twórczość

CZERWIEC 1961

eusz Hołuj · Juliusz Żu-
ki · Artur Międzyrzecki ·
ieb Langner · Ernest
· Paweł Jasienica ·
Jan Strzelecki

twórczość

CZERWIEC 1961 ROK

6

twórczość

ROK XVII CZERWIEC 1961 NR 6 (191)

SPIS TREŚCI

Tadeusz Hołuj
DOTKNIĘCIE SCENARIUSZ
str. 5

Juliusz Żuławski
CZAS PRZESZŁY NIEDOKONANY
str. 9

Artur Międzyrzecki
OWOCOBRANIE NA WIDOWNI PIĘKNE ZMĘCZENIA KOMENTOWANE POHECI
str. 20

Gottlieb Langner
PAMIĘTNIKI DOROŻKARZA WARSZAWSKIEGO
(Przedmowa i przypisy *Wacława Zawadzkiego*)
str. 24

Ernest Bryll
TYDZIEŃ BALLADA O BAGNECIE MOTYW Z CHAGALLA IRONICZNY
str. 61

Paweł Jasienica
KRÓL I KARDYNAŁ
str. 64

Barbara Sadowska
HIENA NA BRATA NAD OGNIEM
str. 78

Jan Strzelecki
AMERYKAŃSKIE NIEPOKOJE (2)
str. 80

Książka miesiąca

Jan Józef Lipski
POEZJA MYŚLI
str. 90

Wśród książek

„MOŻE TRYWIALNOŚĆ PRAWDZIE BLIŻSZA" — *Jerzy Kwiatkowski*
str. 95

METAMORFOZY POETY — *Stefan Lichański*
str. 99

MUZA GRECKA — *Anna Kamieńska*
str. 101

OPOWIADANIA WOJCIECHA WYGANOWSKIEGO — *Michał Głowiński*
str. 104

„BÓJCIE SIĘ KROWY" — *Henryk Bereza*
str. 106

KRYTYKA NA MIARĘ — *Włodzimierz Maciąg*
str. 108

OJCZYZNA I OBCZYZNA — *Jan Wyka*
str. 110

BARWA CZASU — *Stefania Podhorska-Okołów*
str. 113

Na widnokręgu

HELENA I HALINA — *Jarosław Iwaszkiewicz*
str. 117

PRZEGLĄD PRASY — *Zdzisław Najder*
str. 118

LIST Z GENEWY — *Walter Weidelt*
str. 120

LOS KARIN STEINHOFF — *Stefan Lichański*
str. 124

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY
str. 127

Noty
str. 143

Korespondencja
str. 152

Książki nadesłane
str. 154

REDAKTOR NACZELNY

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Tadeusz Hołuj

DOTKNIĘCIE

Uderzył mnie w ramię
zapatrzonego w czerwony gmach
stojącego w zielonym cieniu plant
wsysanego w chłód nibygotyku
w którym chodzili posiwiali młodzi.

Uderzył mnie w ramię
w kurtkę na której jeszcze
jak płat wydartej skóry
widniała łata pasiaka.
Wiedziałem że to przyjaciel.

Uderzył mnie w ramię
od dawna już wolny zbieg stamtąd
skąd przychodziłem porażony
faktem że trzeba żyć normalnie
i patrzeć jak się całują
cienie ptaków i ludzie.

Pocałowałem go w policzek
w zapach palmolive czy ja wiem
i dałem się prowadzić
w sam środek transparentu
co jak czerwona warga
przecinał rynek i dom.

Szymon trzeba odpocząć.
Nie ma czasu zobaczysz.
Towarzysz z lagru poeta.
Cześć no witajcie to dobrze.
Brak ludzi — mówi Kowalski.
Jutro zebranie w Podgórzu.
Z Świerszczewską do propagandy.

Siwa w wysokim pokoju
skąd widać wieżę ratusza
zupełnie nietkniętą, żołnierza
przed bramą Komendy i rynek
i słychać bulgot ulicy
powiada cholernie trudno.

A ja zanikam w fotelu
w chrobocie broszur i w świetle
odbitym od szkła portretów
ogromnych twarzy z papieru.
Nie znam ich wszystkich poznaję
kształty imion i słucham
jak siwa mówi towarzysz.

SCENARIUSZ

M u z y k a:

Z utajonego punktu napływa to co się skończy
zatacza spirale oblepione cząstkami światła
zamyka przestrzeń coraz ciaśniej
a w niej zawsze te same dwa tony niezmienne.

D e t a l:

Jak ciemny brzeg krateru lub księżyca.
Na półkolu delikatne rośliny
za nimi obła kulistość
aż do pręg obojczyków
aż do łuku żeber i pochyłości brzucha
i znowu ciemny brzeg z malinową naroślą.

P l a n ś r e d n i:

Plecy mężczyzny nachylają się chowają głowę.
Chropawa ściana jak powiększony wycinek skóry.
Na karku zakwita pięciolistna dłoń
o czarnych paznokciach błyszczących paznokciach.

P r z e n i k a n i e n a:

(ten obraz śpiewa dziecięcy głos)
Puste pole pole równina.

Idzie polem chłopiec dziewczyna.
Idą sami pole jest samo
z pola dawno zebrano siano
gołe pole pole równina
ginie ginie chłopiec dziewczyna...

Plan średni:

(jak poprzednio)
Mężczyzna: Tamto mnie nie obchodzi. Posuń się.
Kobieta: E!

Muzyka:

To jest ciepły alt wynikający z przestrzeni
cichy jak osunięcie się łagodnego brzegu.
To jest chłopięcy głos próbujący tonu „a"
ledwo dosłyszalny w orkiestrze na garnki i tramwaje.

Plan ogólny:

Idą zdaje się im że są absolutnie sami.
Wszystko wokół nich jest nieostre
o zatartych konturach tylko oni są
ich plecy rozprostowane i czarno-szare głowy
i nogi jakby czworonoga.

Przenikanie na:

Idą widać ich z przodu pośród zatartych ludzi
poruszonych kamienic i rzeczy bez cienia
idą jakby stali a wszystko się porusza
a potem oni tracą wyrazistość kształtów
podczas gdy wszystko inne aż pęka od szczegółów
nieruchomieją w obrocie zaludnionego świata
w którym nawet plakat z maską murzyna
jest bardziej żywy od nich.

Plan bliski:

Oczy nieruchome.Wyglądają jak lalki.
Obracają głowy gdy chcą spojrzeć w bok.
Stawiają ostrożnie stopy na geometrii płyt.
Ślepcy.
Mężczyzna: Nie ma nikogo?
Kobieta: Nie ma niczego.

P r z e n i k a n i e n a:

Kluczyki na szyi oficera
tablica z napisem war start.
Pękaty brzuszek głodnego
parada czarnych z karabinami usa.
Zabici algier laos kongo
muzyka bębnów.
Szkaplerzyk na szyi chłopca
tysiąc tastrów rozrządu maszyn.
W kłębach dymu spocone twarze
towarzysze towarzyszu towarzysze.

M u z y k a:

Jazz na cześć Nowych Państw
ćwierkanie sygnałów radiowych
entelechia eschatologia
szklanej harmoniki dźwięki.

(dziecięcy głos)
Puste pole pole równina
idzie polem chłopiec dziewczyna...

Tadeusz Hołuj

Juliusz Żuławski

CZAS PRZESZŁY NIEDOKONANY

Każdy zna takie poranki — po śnie pełnym zrazu wzburzenia i niepokoju, a potem twardym jak kamień — kiedy wszystko, co działo się w myślach wieczorem i co odbierało tlen sercu, zmienia nagle barwę i ciężar, traci swą jadowitą brutalność, a rozwaga znowu zaczyna odbudowywać coś na ruinach, usuwając bezwładny gruz.

Na stole pod nocną lampą (co była światłem i ciemnością, a jest już tylko sprzętem) leży list napisany gwałtowną wczorajszą ręką, która od razu — świadoma niestałości myśli i uczuć — zalepiła kopertę i nakleiła znaczki pocztowe, aby obronić wieczorne postanowienie przed natręctwem swojej porannej kontynuacji. Ale ręka dzisiejsza — w łatwej przewadze nad już bezsilnym własnym upiorem — rozrywa kopertę, otwiera list i z obojętnością lub pogardą drze go na drobne kawałki.

Albo rozwaga wczorajsza umyślnie nie zanotowała adresu osoby, co wzbudziła była nagle zbyt niedorzeczną skłonność, aby jutrzejsze opętanie nie mogło już jej odnaleźć. Toteż wydaje się niekiedy, że człowiek — który jest przecież w każdym momencie sobą — bywa tylko nieufnym sąsiadem samego siebie na dwóch kolejnych falach płynącego czasu. Ale działać może przecież tylko w krótkiej jak mgnienie oka teraźniejszości. I tylko wtedy istnieje. To, co minęło, jest nieruchome jak fotografia, na której wszystko zastygło w urwanym geście, w niedopowiedzianej myśli, w nieosiągniętym zamiarze. I tak to umiera się co chwila w sposób ostateczny, co chwila żegnając samego siebie na zawsze.

Pamiętam, jak kiedyś jednemu z moich bliskich, choć nie najłatwiejszych do zniesienia przyjaciół mówiłem o tym wszystkim w sposób nienatarczywy, niezaczepny, bez żadnych osobistych aluzji i — Bóg mi świadkiem — ważąc każde słowo. On jednak — ze swoją surową twarzą mnicha natchnionego przez Diabła — przeciwstawiał temu przykłady różnych powinności, wynikających choćby tylko z poczucia konsekwencji, wynosił spośród wszelkich cnót jakąś nazbyt dla mnie ślepą wierność „wczorajszemu" samemu sobie, wskazywał na konieczną ciągłość „osobowości" czy czegoś w tym rodzaju, upierając się, że właśnie dlatego musi dalej robić to i tamto — chociaż nie widzi już w tym najmniejszego sensu.

Pamiętam, jak potem chciałem go jeszcze przekonać, że niewiele mam

dzisiaj z dawnej osobowości i z nią związanych konsekwencji — obcych już naszej osobowości aktualnej — i że jedyna prawdziwie rzetelna wierność samemu sobie, to postępowanie w zgodzie z tym, co się myśli w tej chwili, bo tylko ta myśl, będąc przecież zawsze ostateczną sumą doświadczeń całego życia, jest zarazem naszą praktycznie jedyną podstawą istnienia i działania — ale już nie zdążyłem. Bo wkrótce powiesił się mój przyjaciel. A czas popędził naprzód.

Pochowano go z należnymi mu honorami, gdyż wcześnie zdołał poskromić swe własne zamysły i pełne trzydzieści lat życia oddał — z cechującą go siłą charakteru — zamysłom innych. Więc mu ufano. Był wielkim filantropem. Aż do końca. Aż do ostatniego oddechu przerwanego sznurkiem.

Wracałem z pogrzebu nie myśląc już o tym wszystkim. Wiem przecież, że wstecz niczego już nie można zmienić. Że można natomiast zmienić tylko to, co się jeszcze nie stało, i da się tego dokonać jedynie w tej chwili — w czasie zero. Gdy umilkły fanfary, wycofałem się znad świeżej mogiły wcześniej niż inni i szedłem sam przez ten ogromny cmentarz, zatłoczony tylko kamiennymi grobowcami wśród zeschłych liści i pogniłych wieńców. Kasztany, szukając ziemi, biły zaciekle o marmurowe płyty. Joanna stąpała ostrożnie między grobami boczną ścieżką ku głównej alei, na którą ja już wydostałem się wcześniej. Spotkanie nie było nieuniknione — mogłem przyspieszyć kroku lub zatrzymać się z pozornym zainteresowaniem przy którymkolwiek pomniku. Ale nie pomyślałem o tym, chociaż miała wzrok krótki, a przy tym nieuważny, i na pewno nie spostrzegła mnie jeszcze. Więc idąc patrzyłem tylko z daleka poprzez drzewa, jak zbliża się, aby mimowolnie przeciąć mi drogę. Była w czarnym płaszczu, chociaż nie w tym, który znałem, ale nieuważne oczy trzymała utkwione w ziemi, tak samo jak zawsze, gdy szła. Znikł gdzieś jednak czarny kapelusz, który widziałem przed sobą w tłumie, pochylający się tuż nad otwartą mogiłą. Teraz włosy Joanny — świetliste jak księżyc za mgłą — rozsypały się aż na ściągłe policzki. Odruchowo poprawiła je ręką dochodząc do skrzyżowania naszych dróg, chociaż ani razu nie podniosła oczu. Nawet przez chwilę zatrzymała tę rękę przy skroni. Rękę oswobodzoną już z czarnej rękawiczki i przez to w swoim złotawym odcieniu tym bielszą, wysmukłą rękę z barokowych ołtarzy, rękę tak czułą, tkliwą i tak rozpustną zarazem, rękę znajomą mi bardziej od własnej.

— Joanno — powitałem ją z nagłą niechęcią, gdy przystanęła zaskoczona spotkaniem — bardzo to przygnębiające, że twój mąż tak tragicznie odszedł z tego świata. Ciebie jakoś nigdy nie widywałem od dnia waszego ślubu, ale z nim spotykałem się niekiedy i rozmawiałem nawet w przeddzień wypadku...

— O czym? — zapytała krótko Joanna, patrząc mi prosto w oczy. Zastanowił mnie nowy, całkiem nieznany mi ton tego błękitnawego spojrzenia. Było to tak, jak gdyby odnaleziony stary pierścionek okazał się nagle za duży albo za mały. Czy pierścionek zmienił swój kształt, czy zmieniły się palce? Zacząłem szukać w tym spojrzeniu czegoś, co by się dało odczytać. Czy przed moimi, równie chyba nieruchomymi oczyma, spojrzenie to właśnie twardniało czy miękło? Ogarnął mnie moment popłochu i jak zwykle po takim momencie — nieprzyjemny spokój.

— O czym? — powtórzyła Joanna ciszej, jak gdyby nagle znużona. — Czy nie możesz sobie przypomnieć, o czym?

— Ależ pamiętam doskonale. O granicach czasu.

— To chyba niebezpieczne rozważania — powiedziała znów głośniej i znowu spojrzała mi w oczy.

— Bardzo możliwe. Ale bez tego wpadlibyśmy w obłęd, nie mogąc najprostszych rzeczy zrozumieć.

— On zrozumiał — szepnęła.

— Ja także.

Wiem, że tym razem będzie to już tylko otwieraniem trumny, ale idę tam jednak. Jeszcze kilkadziesiąt kroków wśród tych ulic płaskich jak stół, jeszcze skręcę w przecznicę na prawo — i już za chwilę zacznę zapadać się pod ziemię, a moi znajomi z powierzchni miasta — gdyby z daleka śledzili mnie zaciekawieni — zobaczyliby, jak się pogrążam stopniowo po kolana, po pas, po ramiona, po czubek głowy, aż wreszcie zniklby nawet i mój czarny kapelusz. A ponad horyzontem ulicy, co z równiny miasta nagle tam spada gdzieś w dół, zostałby tylko szmat przestrzeni przed ich oczyma, tylko bezładny rząd dachów — krajobraz szary i pusty. Ale ja jestem już ukryty na jego niewidocznym dnie.

To dno jest też miastem, ale zupełnie innym, jak gdyby z innej epoki i z innego, zapomnianego przez tamtych ludzi, nie istniejącego kraju. Leży nad wielką rzeką, a posąg syreny stojący na nabrzeżu czernieje sylwetką na jasnym, ruchomym zwierciadle wody, błękitnym rano i żółkniejącym o zmroku. Uliczki z ich chropawym brukiem umajone są latem czerwonymi i zielonymi koszami warzyw i owoców w straganach, stare domy noszą nadal na ścianach wszystkie brutalne zapiski historii, w narożnym szynku, otwartym zawsze na roścież, wszyscy się znają i pocieszają mnie z wyrozumieniem, jeżeli sam siedzę, czekając zbyt długo.

Naprzeciwko jest brama, a za nią gładkie podwórko z kapliczką Matki Boskiej, i tyle okien, ile zawiłych spraw ludzkich, które tutaj opierają się pośpiechowi zegarów i nie rozwiewają się w ciżbie. Ale jak długo da się wytrwać w niezgodzie z granicami czasu? To okno, które o każdej porze dnia i nocy otwierało się cicho, gdy tylko kamykiem rzuconym z dołu zadzwoniłem o szybę, teraz błyszczy jak lustro, za którym nic już nie ma i tylko odbijają się martwe obłoki.

Odwiedzam zatem czas przeszły. I jak to bywa we śnie — nie mogę tu zrobić kroku ani ruszyć ręką, chociaż się wszystko naokoło dzieje. Powtarza się każdy dzień — wszystko widzę i słyszę. Ale ani jednego słowa nie mogę dorzucić do słów, które wypowiedziałem, a także żadnego cofnąć. Ani jednego gestu nie mogę dodać czy zmazać i ani jednej już myśli. Nie mogę odmienić niczego. Każde zmienione słowo, czy gest, zmieniłoby losy ludzkie i musiałoby spowodować chaos przez inne ich powtórzenie. Toteż zdrętwiały stoję tu teraz — pod tym oślepłym i ogłuchłym oknem — tak właśnie, jak stoję.

Nie ma chaosu w czasie. Z klatki schodowej wychodzi na podwórko dziewczyna, którą pamiętam jako szesnastoletnią panienkę, a teraz jest już dorosła. Zaskakująco wyładniała przy tym. A po chwili wydaje się jeszcze ładniejsza, bo się uśmiecha do mnie.

— Poznajesz mnie?

— Poznaję pana. Dzień dobry.

Powracam w granice czasu. Już znowu mogę się ruszać i mówić, wybierać takie słowa albo słowa inne, wymyślać gesty (które natychmiast jednak nieodwołalnie zakrzepną), pójść z tą dziewczyną na spacer albo się pożegnać, zobaczyć się z nią raz jeszcze lub nie zobaczyć się nigdy, postąpić tak lub inaczej. Nie wiem tylko, czy to powód do optymizmu, czy do melancholii...

— On pojął granice czasu — szepnęła Joanna i spojrzała w tamtym kierunku poprzez drzewa i groby.

— Ale dopiero wtedy, kiedy myśli całego życia jednocześnie chwyciły go nagle za gardło. A lepiej to pojąć zawczasu — odpowiedziałem niezręcznie. Nie mogłem jednak powiedzieć nic więcej. A pożegnać się i odejść byłoby gestem trochę zbyt dziecinnym. — Pewnie musisz załatwić tu jeszcze jakieś formalności? — zapytałem jako człowiek nieźle już otrzaskany z pogrzebami bliskich i jednocześnie tknięty wątłą nadzieją, że uda mi się jeszcze odsunąć od ust tę rzecz najbardziej gorzką, jaką jest smak popiołu, który został po czymś, co kiedyś miało kształt, zapach i barwę.

— Ach, tam jest cała jego rodzina...

To j e g o zostało wyraźnie zaakcentowane. Ale jak? Czy odsłoniła tu nagle tylko narastający bunt wobec obcej rodziny, do której bezdomna tak garnęła się kiedyś, a która zawsze stawała po j e g o stronie — przed czym zresztą w swoim czasie ostrzegałem Joannę? Czy też zdradziła tym tonem głęboko utajoną — nawet przed sobą samą — nienawiść do n i e g o? Ale teraz już wszystko przestało być ważne. Ruszyliśmy powoli szeroką kasztanową aleją — nie patrząc na siebie i chyba nie czując, że idziemy razem. Najmniejszy nawet powiew nie poruszał ani liści rozsypanych pod nogami, ani liści na drzewach, a eksplozje pękających kasztanów podkreślały jeszcze tę ciszę i nieruchomość Hadesu.

Zacząłem przyglądać się napisom na płytach grobowych. Wśród wielu konwencjonalnych, niektóre krzyczały niemo protestem i rozpaczą. Szczególnie te na płytach spękanych już, omszałych i porosłych chwastem, których stan dowodził, że wreszcie zamknęli oczy także i ci „nieutuleni w żalu" albo że zapomnieli ci, którzy nigdy nie mieli zapomnieć. Coraz częściej jakieś znajome nazwiska odciągały nas na bok. I ani się spostrzegłem, jak szliśmy już nie główną aleją, lecz znowu ścieżyną, na której aż ciasno było od granitowych bloków i żelaznych ogrodzeń.

Na jednej z tablic przeczytałem na głos krótkie epitafium dziewczyny, która zmarła ukończywszy lat dwadzieścia osiem. Uśmiechnąłem się niestosownie.

— Kiedyśmy się poznali — przypomniałem milczącej Joannie — to jest, kiedy miałaś dwadzieścia trzy lata, byłaś pewna, że nie przeżyjesz dwudziestej ósmej rocznicy urodzin, bo tak ci wywróżyła Cyganka. Cieszę się, że zdążyłem jeszcze odczynić ten urok. I oto już od czterech lat masz to za sobą.

Przystanęliśmy, gdy czytałem, i teraz głowa Joanny — cała ta kądziel jej delikatnych, księżycowych włosów, której wierzch był na wysokości mojej twarzy — prawie musnęła mi usta zwracając się ku mnie.

— A może jednak umarłaś właśnie wtedy — ciągnąłem dalej z tym samym uśmiechem, który miał zneutralizować niebezpieczeństwo jakichkolwiek wspomnień i oddalić mnie od zbyt bliskiej niebieskości czy srebrzystości jej oczu. — Może od czterech lat wydaje mi się tylko, że to ty jesteś, myliło mnie podo-

bieństwo zewnętrzne, twoje kolana, twoje ręce, złoty blask na ramionach, uśmiechy i łzy, sposób chodzenia? Na przykład w pewnym momencie stałaś się nagle pełna rozsądku, a co gorzej, zaczęłaś się tym popisywać z wielkim i najuczciwszym zapałem.

— Rozsądek przychodzi z wiekiem — odpowiedziała Joanna tak, jak gdyby się znowu gotowała do obronnej walki. — To chyba nieuniknione.

— Może nieuniknione. Ale raczej smutne i nie ma się z czego tak pysznić.

— Chyba to dowód dojrzałości umysłu?

— Raczej oschłości umysłu. Lub wielkiej rezygnacji. Ludzie rozsądni to ludzie krótkowzroczni i bez wyobraźni, którzy zabiegają o trwałe „urządzenie życia", nie pamiętając o płynności czasu, o kataklizmach, o śmierci. Rozejrzyj się. Iluż rozsądnych ludzi tu leży! Leżą tu także mądrzy. Ale oni wiedzieli o tym zawczasu. Człowiek mądry nigdy nie bywa rozsądny w znaczeniu potocznym. Przeciwnie, śmieszą go ofiary na rzecz rozsądku w nieuniknionej wspólnej podróży do tej starej bramy, na której napisano *Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate*. Toteż cenią w życiu inne wartości niż te, które są u rozsądnych w takiej dużej cenie.

Ruszyłem naprzód zły, że peroruję. — W końcu nie warto właściwie zastanawiać się nad tym — dodałem bagatelizując sprawę z pośpiechem — bo albo ktoś o tym wie od razu, albo woli nie wiedzieć.

Joanna, jak zwykle patrząc w ziemię, dreptała tuż obok.

— Patrz, jakie ładne te kasztany — odezwała się po całej tej mojej przemowie tak, jak gdybym nic w ogóle nie powiedział. Kasztany co prawda wyglądały rzeczywiście wspaniale. Wyłupane upadkiem z zielonej, mięsistej skorupy albo jeszcze tkwiąc w niej częściowo — błyszczały wilgotnie i tak świeżo swą ciemną czerwienią jak coś tylko co właśnie narodzonego na tych kamiennych grobach. I czekały w swej okrągłości, aż je ktoś, nie wiadomo po co, podniesie. A kobiety reagują na to, co się do nich mówi, nie umysłem, ale wyłącznie uczuciem. Kiedy kochają, wszystko wchłaniają i rozumieją. Lub tak dobrze udają, że rozumieją, aż zaczynamy w to wierzyć. Gdy mają serca zamknięte — nie przenika do ich świadomości ani jedno słowo.

— Albo może rozsądek — odpowiedziała pomimo to, rozglądająca się za kasztanami Joanna — jest tylko ubraniem, które się nosi, aby wyglądać tak jak wszyscy inni. Pamiętam, że kiedyś zawsze wzruszała mnie pewna powieść, smutna i straszna, w której umierająca kobieta wprost natarczywie, w najwyższym popłochu przyzywa swojego dawnego kochanka, aby zdążył jeszcze zrozumieć, że chociaż rozsądek nakazał jej zbudowanie całkiem innego domu, to przecież zawsze tylko jego kochała i umierając kocha. Czy wierzysz, że to możliwe, to wszystko?

— Prawdę mówiąc, nie wierzę. Autor powieści był albo zbyt naiwny w pochłaniającej go pasji i nie docenił znaczenia okrutniejszych niż wyobraźnia spustoszeń i zbrodni maszerującego czasu, albo chciał pokonać czas jedynym skutecznym sposobem, to jest poprzez wymysł zupełnie niedostępny wszelkiemu doświadczeniu.

— Więc nie ma miłości? — zapytała Joanna z jakimś nagle beztroskim uśmiechem. Spojrzała przy tym na mnie niemal wyzywająco. Ale nie mnie zwodzić takimi spojrzeniami, mnie, starego wróbla. Srebrzysta niebieskość jej oczu była na swym dnie tak pusta i głucha, jak niebo.

— Ach, jeżeli tyleśmy się wszyscy kochali, to widocznie nie ma. Najczęściej przecież mówimy „kocham się w kimś", a nie „kocham kogoś". Nasz doświadczony w uczuciach język lepiej wniknął w te sprawy niż jakikolwiek inny. Kochamy s i e b i e w kimś. A miłość do samego siebie jest czymś tak kapryśnym!

Joanna pieściła gładki, czerwienią lśniący kasztan w swoich czułych dłoniach i już schylała się po następny. — Chyba tak — zgodziła się na moje wywody z niejasnym westchnieniem.

Joanna trzyma moją rękę w swoich obu dłoniach. Jest w srebrnej wieczorowej sukni, jest w płaszczyku czarnym, jest w letniej sukience w kwiaty, jest w spodniach i wiatrówce z kapturem, jest w kostiumie kąpielowym, jest jak posąg grecki. W Noc Sylwestrową, spędzoną tylko we dwójkę, wypijamy właśnie wielki toast szampanem, patrząc sobie w oczy, właśnie siedzimy na ławce w ogrodzie Uniwersytetu, wychodzimy właśnie z kina i idziemy na daleki spacer za miasto, wyczuwając nawzajem swoje bliskie ciepło, właśnie odpoczywamy na głazach wśród kosodrzewiny, po zejściu z górskiego szczytu, wsłuchani w pisk orłów, a nasza czułość nawet chmury rozpędza nad głową, przeprawiamy się właśnie przez czysty nurt rzeki z cienia olbrzymich wierzb tam na piasek pod upalne słońce, właśnie leżymy pośrodku pokoju na materacowym kobiercu, tam na dnie, poniżej poziomu miasta, a tyrolski chłopczyk z brązu, dźwigający lampę nad podłogą, jak czujny Amor pilnuje dwóch naszych kieliszków z trunkiem.

Joanna mówi i tu, i tam, i wszędzie: — Mój kochany... mój kochany... nawet gdybyś mnie kiedyś opuścił, nie będę umiała kochać nikogo innego, zawsze już tylko ciebie, zawsze przyjdę, jak ci będę potrzebna, zawsze, przez całe życie, zawsze, zawsze.

— Aż wreszcie któregoś dnia nie przyjdziesz, chociaż będę cię prosił o to, któregoś dnia jakimś jednym gestem zaprzeczysz wszystkiemu, co przez tyle lat mi powtarzasz, któregoś dnia nie ja w końcu, jak dziś przypuszczasz, ale ty sama własną ręką zabijesz odważną swoją wiarę w miłość.

— Przestań. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić takiego dnia, tak okrutnego czasu. Spójrz mi w oczy i zrozum, że to niemożliwe.

— Spójrz mi w oczy, Joanno — zwróciłem się do niej przed balustradą nowego, wypielęgnowanego grobowca z marmuru — chciałbym cię jakoś zrozumieć.

Zatrzymała się z kasztanami w ręku i spojrzała zdziwiona tak, jak gdyby nagle odezwał się do niej po imieniu zupełnie obcy przechodzień. — Co chcesz zrozumieć? — zapytała po chwili. — I czy w ogóle można zrozumieć coś z oczu?

— Masz rację, Joanno — przeprosiłem ją zawstydzony i już nie powiedziałem nic więcej. Wspomnienia bywają zawsze żenujące w zbyt jednostronnej swej dosłowności. A przy tym nie są wekslami.

Ale Joanna podjęła to nieostrożne wyzwanie: — Na przykład twoje oczy. Myślisz, że kiedykolwiek można było odczytać z nich, czego naprawdę w życiu chcesz, poza momentami, ułamkami, błyskami momentów?

— Bo poza tymi błyskami nie ma nic — wymamrotałem gapiąc się nieuważnie na pozłacany napis. — Nie ma nic oprócz nieruchomego już doświadczenia.

Cała rzeczywistość i cała wartość życia zamyka się co chwila na nowo właśnie w tych błyskach. Jeżeliby tylko dało się za każdym razem zdążyć...

Teraz Joanna obojętnie, a jednak półszeptem jak na nieszporach, odczytywała na głos: — Świętej pamięci Urszula Majewska... po długich i ciężkich cierpieniach zmarła w wiośnie życia. Świętej pamięci Wojciech Chmara... Dowódca 1-go Pułku Strzelców Konnych... padł w bohaterskiej szarży na polu chwały w roku... Synowie i Wnuki.

— On zdążył — dopowiedziałem cicho. Jak cień nie z tego świata przesunęła się koło nas bez szelestu i gdzieś przepadła czarna, zgarbiona sylwetka kobiety czy Erynii, zbierającej do worka zbutwiałe pamiątki. Przed nami dwie tablice na wspólnym grobowcu. Joanna czyta:

— Ukochanemu przyjacielowi... Romanowi Dzięgielewskiemu.. który zginął tragicznie w roku 1912... na zawsze osamotniona Julia. Świętej pamięci Julia Ostoyska... nauczycielka... po długiej chorobie serca... zmarła w roku 1958.

— Czterdzieści sześć lat choroby serca — obliczyłem szybko. Joanna czytała dalej:

— Świętej pamięci Jan Czerski... inżynier chemik... zginął na posterunku. Świętej pamięci Leonard Kowalski... przyrodnik, podróżnik, kolekcjoner... zginął w wypadku samochodowym w siedemdziesiątym roku życia. Świętej pamięci Beata Barska... primabalerina Opery... po krótkich cierpieniach zmarła przeżywszy lat dziewięćdziesiąt. Świętej pamięci Apolinary Zdyb... wyższy urzędnik ministerialny, emeryt... cicho zasnął w Panu przeżywszy lat osiemdziesiąt pięć... Żona, Synowie i Córki, Wnukowie, Prawnuczki.

— Więc umarł! — krzyknąłem ku zdumieniu Joanny. — Więc jednak koniec końców cicho zasnął w Panu...

— Kto?

— Nie pamiętasz, Joanno? Cztery czy pięć lat temu byliśmy razem na jakiejś rodzinnej kolacji u inżyniera Zdyba i był tam jego dziadek, pamiętasz, czcigodny staruszek, którym tak straszliwie zabawił się ten hipnotyzer...

— Pamiętam — przerwała krótko. — Na drugi dzień rozstaliśmy się na cały tydzień przez twoje nowe dziwactwa.

— Zdaje się, że to już po raz drugi rozstaliśmy się wtedy.

— Nie. Po raz piąty.

— Po raz piąty? Więc ileż to razy myśmy się rozstawali?

— Nie wiem. Chyba z piętnaście.

— Ale nigdy na czas tak długi...

— Ach, teraz to jest już zupełnie co innego.

Byliśmy zaproszeni przez inżyniera Zdyba, człowieka, który nam najserdeczniej przez wszystkie nasze lata sprzyjał, do jego domku z ogrodem na krańcach miasta, chyba z okazji drugiego dnia jakichś świąt albo właśnie imienin czy urodzin dziadunia, bardzo przez całą liczną rodzinę poważanego.

Osiemdziesięcioletni dziadunio, Apolinary Zdyb, był starcem suchym, zapadłym w sobie, ale po chwili obserwacji łatwo dało się zgadnąć, że mógł odznaczać się kiedyś siłą męską i urodą. Jego małomówność nie kryła też w sobie nieśmiałości czy przyćmienia umysłu, bo gdy się w pewnej chwili odezwał przy biesiadnym stole, pełnym synów, córek, wnuków, prawnucząt i zaproszonych gości, wykazał dużo swobodnego opanowania, godności i dowcipu. Od

razu też stało się jasne, że jest domowym fetyszem. Przynajmniej był nim aż do owego wieczoru...

Tej jego pozycji pilnowała — pewnie przez wszystkie lata — przede wszystkim żona, staruszka surowa i bez uśmiechu, całym swym zachowaniem sugerująca typ kobiety, która dobrze według swych twardych zasad potrafi wychować dzieci przez trzy pokolenia, sama nie będąc nigdy szczęśliwa. I dopiero widząc ją przy tym rodzinnym stole, odgadłem źródło znakomitej ogłady i jednocześnie nagłych buntów — naszego przyjaciela, inżyniera, jej wnuka.

Gości nie związanych z tym domem było na uroczystości niewielu. Właściwie, poza Joanną i mną, jeszcze jeden tylko obcy familii człowiek, którego przyprowadził inżynier. A przyprowadził go po prostu z przyjaźni — jak myślałem zrazu — albo z przekory w chwili wewnętrznego buntu — jak domyśliłem się potem. Reszta zebranych to byli członkowie rodziny z kilku pokoleń i jacyś koledzy czy narzeczeni panien.

Ów nieznajomy człowiek, przyjaciel inżyniera — przygarbiony z lekka, nieokreślony gentleman w średnim wieku — już przy stole zaniepokoił mnie tym, że wypowiadając bezbarwnym głosem rzeczy niesłychanie zdawkowe, jednocześnie z jakąś oddzieloną od swoich słów uwagą przypatrywał się wszystkim po kolei, i to nie tym — jak zwykle bywa — którzy coś mówili, ale tym, którzy w danej chwili milczeli. Kiedy przelotnie spojrzał i na mnie — oczyma, które wydały mi się w tym spojrzeniu po prostu znużone i zatroskane — przestałem się śmiać (a śmiałem się do rozbawionej Joanny, tak prześlicznej z tą jej ręką trzymającą kielich białego wina) i poczułem niewytłumaczoną ochotę natychmiastowego opuszczenia tego miłego domu.

Gdy przeszliśmy po kolacji do cienistego, miękkiego saloniku na kawę i koniak, zrobiło się tam jeszcze bardziej tłoczno, chociaż mniej gwarno. Młodzież siadła wprost na dywanie. My — gdzie się dało. Ale na dziadka czekał fotel specjalny. I Apolinary Zdyb — wysoki urzędnik ministerialny, emeryt — rozsiadł się w nim z godnością.

Posłyszałem tuż obok fragment cichej rozmowy: — Tak, łaskawy panie — swoim surowym i powolnym głosem odpowiadała jego żona, babka rodu, na jakieś pytanie owego nieznajomego gościa. — Mój mąż nie tylko wiekiem, ale całym swym rozsądnym, celowym, trzeźwym i pracowitym życiem zasłużył na szacunek licznej rodziny, którą sam stworzył.

I prawie natychmiast po tych słowach zaczęły dziać się rzeczy dość dziwne. Ów człowiek, nikomu tu poza inżynierem nie znany, zapytał dziadka Apolinarego wprost: — A skąd ma pan tę bliznę na prawym policzku?

Samo pytanie było tylko niedyskretne. Wypowiedziane jednak w tym miękkim saloniku pośród szeptów nagle twardo i głośno — zwróciło uwagę wszystkich. Tym bardziej że nieznajomy utkwił wzrok w pomarszczonych szpareczkach oczu dziadunia i już tego wzroku nie spuszczał.

Babka uniosła brwi z dezaprobatą, ale odpowiedziała spokojnie i dumnie: — Apolinary był na wojnie i został lekko ranny. Prowadził słynny podówczas i opisywany potem atak na bagnety.

— Nie — zaprzeczył dziadek równie głośno, jak głośne było pytanie. — Nie brałem udziału ani w tym ataku, ani w żadnym innym.

Wszyscy spojrzeli i zamilkli. — A czy nie nęciła pana taka emocja — ciągnął rzecz nieznajomy — udział w czymś takim?

— Marzyłem o tym przez całe życie. I jeszcze marzę teraz. Tak. Skrzyknąć dokoła siebie oddział osaczony i już bliski popłochu, dać rozkaz „bagnet na broń!", sam pierwszy runąć jak taran, przeprowadzić ośmieloną tym wiarę po tuzinach trupów i mało tego: uderzyć genialnie w najczulszy punkt wroga i zmienić tym losy całej przegrywanej już bitwy.

— A dlaczego nie poszedł pan do ataku, o którym wspomniano?

— Bo się bałem i skryłem w pokrzywach. Znalazł mnie potem porucznik i chciał zastrzelić, ale go uprosiłem. Więc trzasnął mnie tylko na odlew szpicrutą przez pysk. Stąd blizna.

Pamiętam straszliwe milczenie, a potem szum, wreszcie uśmiechy — może to doskonały żart? Najmłodsza prawnuczka zawołała nawet: — Brawo, dziaduniu! A nasz inżynier tylko: — Aha... — Ale babka znowu zmroziła wszystkich swoją kamienną twarzą i suchym głosem: — Czy ty wiesz, Apolinary, co mówisz?

— Wiem, kochanie — odpowiedział rześko i przysiągłbym, że już sam teraz odszukał nieruchomy wzrok nieznajomego.

Ten zaś po chwili odezwał się znowu: — A potem przez długie lata był pan bardzo starannym urzędnikiem, wreszcie wysokim i zasłużonym urzędnikiem nawet. Czy nigdy nie pragnął pan dojść jeszcze dalej, wpływać na bieg wydarzeń?

— Zawsze. Pragnąłem przede wszystkim być znakomitym i odważnym mówcą. Tak, aby wszyscy wysocy urzędnicy drżeli, zgrzytali i bledli, gdy ja się na trybunie pojawiam. Ale nie jestem demagogiem. Jestem mądrym graczem, przenikliwym mężem stanu, politykiem, na którego czekała historia. Nie jedząc i nie śpiąc po nocach, rujnując zdrowie, odnoszę sukcesy na konferencjach z przedstawicielami państw, zawiązuję wspaniałe sojusze, odmieniam dzieje świata, cieszę się powszechnym uznaniem i zaufaniem, na moim pogrzebie słychać wielki płacz.

— A co pan zrobił w tym kierunku?

— Nic. Podpisywałem tylko podsuwane mi listy i zarządzenia. Nawet na naszych biurowych konferencjach z wiceministrem przez czterdzieści lat ani razu nie zabrałem głosu.

— Czy ojciec nie jest zmęczony? — zapytała nieśmiała i otyła, siwowłosa córka, łagodnie dotykając jego żylastej ręki. Spojrzałem na babkę: siedziała wyprostowana jak struna, z zaciśniętymi ustami, złowieszcza.

— Czy zawsze tak wierzył pan w ludzi, w sens poświęcenia się dla nich?

— Nigdy. Przenigdy. Od dziecka marzyłem, żeby ich nie widzieć. Przez całe życie chciałem być tylko samotnym żeglarzem na niewielkiej łupince, która jak delfin tnie oceany. Chciałem szorować pokład w płóciennych portkach, bosy podczas ciszy morskiej, która widnokrąg roztapia w niebie. Albo w wytartym skafandrze noc całą czuwać przy sterze wśród sztormu, który mnie chłoszcze wichurą i prysznicami potoków, a o świcie rzuca mój doświadczony stateczek pomiędzy puste, rozkołysane pagóry i wąwozy wodne. Odwiedzam wyspy, ale tylko na krótko. Widuję ludzi, ale tylko machamy do siebie z daleka. I znowu jestem sam na ogromnym pustkowiu.

— Czy próbował pan zaspokoić pragnienie samotności?

— Tak. Założyłem rodzinę. Niech pan przeliczy. Jest tu tego chyba już ze dwadzieścia sztuk w tym maleńkim domku.

Poczułem się trochę nieswojo i rozejrzałem się po obecnych: Joanna wychyliła się cała ku staremu z na wpół rozchylonymi ustami i nieukrywanym przerażeniem w oczach. Starsi milczeli, młodsi próbowali uśmiechać się i rozmawiać szeptem. Nasz inżynier patrzał na swoje buty, aby nie patrzeć na babkę.

Ale ów chirurg z piekła rodem nie dawał za wygraną. Jak gdyby go już porwała czysta, zawodowa pasja. Widziałem, jak nagle zwęził oczy, tak jakby zmienił narzędzia, i pchnął: — A czego pan szukał u kobiet?

— Ależ, proszę pana! — posłyszałem głos protestu którejś z córek-matron. Dziadunio jednak zaczął odpowiadać na to pytanie głosem najspokojniejszym w świecie:

— To już nie takie proste. Zacząć tu trzeba od tego, że zawsze, przez całe moje życie, chciałem być dandysem. Błyszczeć w salonach i lokalach nocnych, pojawiać się w towarzystwie jak gwiazda, niedbale ciągnąć za sobą spojrzenia młodych dam i zgrzytania ich adoratorów. Chciałem być zawsze tym, dla którego najpiękniejsza niby przypadkiem poprawia właśnie pończoszkę, aby pokazać najładniejsze kolanko, i tym, dla którego najgorętsza rzuca najbogatszego chłopca. Ale to wszystko potrzebne mi jest tylko do dobrego samopoczucia, jak wyostrzona brzytew i odpowiedni do skarpetek krawat. Kobieta, za którą ja oczarowany chodzę, nie potrzebuje tła towarzyskiej intrygi i wieczornego rautu. Jest śliczna na każdym tle, bo jej uroda kwitnie głęboko w jej oczach. Jest prosta i uwrażliwiona zarazem. Jest słaba i silna. Myśląca i nie myśląca. Lękliwa i odważna. Dumna i poniżona. Zaradna i niezaradna. Kobieca i chłopięca. Zupełnie inna niż ja i zupełnie podobna. Gdy jej dotykam, to czuję za każdym razem, że po raz pierwszy w życiu dotykam rzeczy tak obcej, jak gdyby to był kształt z Marsa, i jednocześnie tak zrośniętej ze mną, jak moje własne ciało. Chciałbym któregoś dnia przedstawić ją panu. Zobaczy pan sam, ile ma wdzięku.

— A czy pan już ją spotkał w swym życiu?

— Nigdy.

Atmosfera zażenowania ogarnęła teraz już wszystkich. Starsi panowie zaczęli chrząkać raz po raz, a kilka córek-matron opuściło salon. Babka nie odezwała się już ani słowem. Ale ze swego kąta spoglądała na męża z tak jawną już i zadawnioną widać nienawiścią, że aż skurczyłem się w sobie.

Natomiast dziadunio nie zwracał na nikogo najmniejszej uwagi. Patrzał wyłącznie na swego rozmówcę i mówił głosem zupełnie naturalnym:

— Nigdy. Ale wszystkiego jeszcze nie powiedziałem...

— Dosyć! — przerwał mu twardo, chociaż cicho, nasz nieznajomy i zdaje mi się, że zamknął oczy. Inżynier spojrzał na przyjaciela zdziwiony.

— Jeszcze nie powiedziałem wszystkiego — ciągnął dalej dziadek rzeczowo i beznamiętnie. — Moja cudowna kochanka, którą oddycham o świcie głębiej niż powietrzem, gdy w złotej jej skórze chowam nos i usta, jest jednocześnie wierna i niewierna. Ma wierne serce i niewierne ciało. Mogę to tu oświadczyć, bo przecież nieraz doświadczyłem nie tylko jej ciepłej wierności aż do wzruszenia, ale i przerażającej jej niewierności aż do ściskania gardła lodowatymi kleszczami. Mam nadzieję, że to wszystko jest i panu znane. Kiedy najczulsze, najintymniejsze gesty rąk i odruchy ciała powtarzane są nie wiadomo jak, kiedy i gdzie, lecz w każdym razie gdzieś pod innym dachem. Zazdrość to

wyobraźnia, i dlatego tak trudno sobie z nią poradzić. Więc może już lepiej...

— Dość, dość! — zawołał nieznajomy i powstał. Nie patrząc na starego nalał sobie kieliszek koniaku i wypił go jednym haustem. Nie było już cicho w salonie. Rósł szmer zgorszenia. Ale Apolinary Zdyb spokojnie mówił dalej jak magnetofon, w którym rozgościł się demon przywołany magicznie, lecz już nieczuły na egzorcyzmy.

— Więc może lepiej widzieć to niż wyobrażać sobie. Bo po cóż męczyć się przez tyle lat, jeżeli kocha się ją aż do tego stopnia, że i tak ani chwili nie można żyć bez niej. Jaka szkoda, że nigdy nie spotkałem jej w życiu!

Inżynier podbiegł do nieznajomego. Ten nierozważny Uczeń Czarnoksiężnika chwiał się, blady jak upiór. Odsunął ramię przyjaciela i jeszcze tylko — nigdy więcej, nigdy więcej tego nie zrobię! — powiedział, zanim w pośpiechu opuścił ów dom.

— Teraz jest przecież zupełnie co innego — powiedziała Joanna, gdy mijaliśmy miejsce ostatecznego odpoczynku Apolinarego Zdyba. — Miałam dwadzieścia parę lat. Już nigdy więcej nie będę ich miała. Wtedy mogliśmy się rozstawać co chwila i nie wierzyć w to jednocześnie. Bo co jest rzeczywistością, a co wyobraźnią? Co było naprawdę, a co nie? Co zostało spełnione, a co nie spełnione? I co się wreszcie gubi po drodze? Wiarę, nadzieję i miłość? Czy naiwność, złudzenia i kamienie z serca?

— Gubi się tylko czas, nic więcej i nic mniej — odpowiedziałem na to, a właściwie nie odpowiedziałem wcale, bo jednocześnie między drzewami dojrzałem człowieka, który wydawał się być nareszcie czymś żywym w tej kamiennej krainie cieni. Szedł główną aleją i na nasz widok przystanął, energiczny i niezdecydowany tak jak każdy żywy.

— Ten człowiek przyszedł tu po mnie — oznajmiła Joanna. Ale nie zmieniła wyrazu twarzy ani nie przyspieszyła kroku. Szła jak dotychczas obok mnie, z rękami w kieszeniach otwartego płaszcza, od czasu do czasu schylając się po kasztan, patrząc w ziemię, nie odzywając się więcej. Wtedy właśnie po raz ostatni widziałem jej lekki, chłodnym światłem narysowany profil, który teraz już mi się zatarł w pamięci.

Tak idąc między grobami i niemal depcząc po nich, wracaliśmy pozornie tam, skądśmy przyszli, na główną aleję cmentarną, zatoczywszy boczną ścieżką ostatnie nasze wielkie koło w ostatnim kręgu dantejskim. Na głównej alei czekał nieznajomy mi człowiek.

Taki sam jak i wszyscy. Nowy dla mnie, ale nie nowy dla siebie. N a s t ę p n y. Ale dopiero gdy pożegnałem się z Joanną i nie dochodząc do alei zostałem sam na tej bocznej ścieżce — zerwałem się w sobie, aby pomimo wszystko — p o m i m o w s z y s t k o! — raz jeszcze w tym życiu, które tak chyżo ucieka, zetrzeć się o Joannę i wygrać, zanim podejdzie do niego. Przecież miałem w ręku czas t e r a ź n i e j s z y! Ów właśnie zerowy moment, w którym wszystkiego można dokonać, wszystko naprawić, wszystkiemu nadać kształt nowy. Zawołałem ją po imieniu. Zbyt cicho jednak. A więc po chwili — dopiero p o c h w i l i — jeszcze raz głośniej.

Ale już było za późno.

Juliusz Żuławski

Artur Międzyrzecki

OWOCOBRANIE

Dojrzewanie owoców o których nie wie
natura Nieznane jej szkarłaty
Ochry trujące na jałowym drzewie
architektur Gra w dwa ognie ze śmiercią
Krążenie form skonstruowanych
poza przemianą pól Poza pamięcią
magnetyczną ptaków i ryb Ci wreszcie Ubrani
w tkaniny szklane Przejrzyści i skryci
w dekalogu neonów U zamkniętej bramy
ich wieczory i łoskot gwałtowny ulicy
przepływający jezdnie akustyk falami
jakże niepodobnymi do powolnych szumów
muszli mórz I rzeka której mówiąc imię
czuję jak los oddycha: widzę w niskim niebie
napięte pęki drutów Wyżej nieco dymi
różowa chmura spalin dusząca gołębie
Truchleję od wspomnienia Te groźne sezony
to wiry są słyszalne które w dół spadają
w złożonych skrzydłach ptaków spadających
Tutaj śnię zasłużony mój i niespokojny
sen ocalałych w którym nierealność
szuka swej baśni groźnej Tu głody i miłość
dziwią się sobie Tu w oknie się palą
bukiety z tak daleka! Tęczę wzbudza śmigło
samolotów nad miastem: jedyne to ptaki
które wszyscy poznają z lotu i z imienia.
Tu się starzeję: coraz bardziej brak mi
ciszy cisz o zachodzie i znaków kwitnienia
wiosną i krajobrazu nieśpiesznych dojrzewań
gdzie wszystko mijać będzie i wszystko się stanie
gdzie po słowiku skowronek zaśpiewa
i wróble chmurą wzlecą na owocobranie.

NA WIDOWNI

Już późno Kochałem cię. *Panie*
spałem już dosyć. Jaki wieczór zimny
Jakie zimne jest pamiętanie
podróży dawnych Zimnice pustyni
drżą w tym orfickim mroku. *Czemu*
krzyczeliście w śnie. Jakże cię kochałem
spoglądającą z mozaik muzeum
źrenicą przestróg gdy kruk nad kanałem
pętlami lotu związywał mi oczy
Salwa zdarzeń! Kochałem cię w tym błysku
w cierpieniu cierpień konający
w pogwizdywaniu szyderczym pocisku
w rozrywającej miłości. *Stanę*
pod Filippami.
Cezarze
wybiła już ósma.
Kochałem cię Moja chłodna pamięć
wśród aktorów ze szminką krwawiącą na ustach
gaśnie nagle Już późno Ta chłodna godzina
truje mi serce I pulsy głębokie
słyszę tętnic i ziemi która się ugina
pod twoim powietrznym krokiem.

PIĘKNE ZMĘCZENIA KOMENTOWANE *

Zmęczenia piękne: suche konie pijące
wodę nad oczu odbiciem: jest noc:
dwoiste życie nasze: sen ma świat udzielny

Sny zmęczeń: końskie grzywy białe
w lekkim westchnieniu chmur: wiatr się zrywa:
w takie noce wszystkie miasta są podobne:
chciałbym być kiedyś jak jeden z tych którzy
na grzbietach dzikich koni cwałują przez noc

Podróże zmęczeń: galop niemy koni na piasku
zasypującym ślady: klepsydry rozbite nad morzem:

---

* Fragmenty cytowane pochodzą z utworów Adama Miekiewicza, Cypriana Norwida, Johna Keatsa, Baudelaire'a, R. M. Rilkego, Aragona.

bo wciąż głodna jest otchłań: la belle dame sans merci
rozwiera gębę ale nie do śpiewu:
je parle du temps où l'on se fait vieux

Spojrzenia zmęczeń: oczy nocnych ptaków
gdy konie biegną w mroku mgłą stłumionym:
źrenice rozszerzone znajomością ciszy
na brzegach piór po ptakach i ości po rybach:
ile z tych miejsc przestrzeni było moim wnętrzem!

Krążenie zmęczeń: lekkie obroty nieba:
trzask gwiazdozbiorów: grzebienie komet
czeszą włosy nocy: *o światło!*
pierworodne dzieciątko nocy!
miałem sen: nie wiem o ile bezsenny:
i światłem byłem i źrenicą razem:
widziałem lot słonecznych strzał
z nieba na ziemię

Głosy zmęczeń: gwizd lokomotyw budzi uśpioną eksplozję wzruszeń:
latarnie morskie przemywają równinę znieczulającym światłem:
zapach chloroformu: wirusy stamtąd: spojrzenia w górę: *zamach na przestworze:*
tam milion moich słów: tam lecą i te

Moje piękne zmęczenia: one bełkocą napomknieniami
moje zdania bez orzeczeń moje przedmioty umowne
biedne moje gospodarstwo rozsądku na granicy snu:
przelewające się krajobrazy obłoków:
pewne obłoki są jak moje dzieci
konie biegnące powietrzem przez wysokie ziemie obiecane:
powietrze pełne jeszcze moich niegdyś miejsc
bzykające komary samolotów:
stewardessy przypominają o konieczności
przywiązywania się pasami z brezentu
do krzeseł ziemi
kiedy jeszcze prześwituje pomiędzy chmurami
w oślepiającym blasku kodeksów:
ja jestem tylko niemym mieszkania wyrazem,
ja tylko płynę zwolna jak przejrzysta struga
domowych prac jednego człowieka i razem
świadczę o jego życiu a więc mówię wiele
chórem sprzętów

POHECI

Poheci z aniołami jadą
strząsają z siebie bieża z bierką
Co robić! mdlisz mnie marmelado
zwodziłaś mnie pocieszycielko
pohezjo biesa piętnująca
hymnicznie lub ze wstydem uczuć
wymową inną co miesiąca
Nigdym nie kochał ciebie kluczu
do zorzy zórz w muzycznych pudłach
foryng spod apollińskich łaźni
Więc cześć! jak mówić zwykł paskuda
w knajpie gdzie się z klekotem błaźni
Więc cześć! z retoryk nie schodzący
z istoty klamek z westchnień nagłych
Niech was latawiec w ucho trąci
niechże was wezmą wreszcie diabli!
Wołałem: prowadź ich odmieńcze!
bierz ich rozboju na popasie!
dźgaj ich koffelu! piecz fugasie
parzącym ogniem złych uwieńczeń!
Nie chcieli: senny jest ileli
gniewniki śpią nad paleniskiem
i aniołowie też usnęli
zioła wdychając arkadyjskie

Artur Międzyrzecki

Gottlieb Langner

PAMIĘTNIKI DOROŻKARZA WARSZAWSKIEGO

1832 — 1857

PRZEDMOWA

Dzięki uprzejmości dra Józefa Rybickiego, właściciela dużego zbioru pamiętników polskich, miałem możność poznać pamiętnik Gottlieba (Bogumiła) Langnera, którego los rzucił w roku 1832 z rodzinnej wioski w Poznańskiem do Warszawy.

Pamiętnik ten jest napisany w języku niemieckim, niegramatycznie, z dużą ilością błędów ortograficznych i stylistycznych. Językiem takim, jakim mówił i pisał syn chłopski, dorożkarz warszawski, który ukończył dwie klasy szkoły wiejskiej.

Pamiętnik Langnera wydrukowany jest czcionką gotycką, brak mu karty tytułowej i zawiera 77 stron numerowanych formatu 8⁰. Nie jest też wymieniona drukarnia, rok i miejsce druku tej książki. Do książki dołączony jest portret autora wykonany sposobem fotograficznym. Siedzi przy stoliku, w ręku trzyma jakąś książeczkę, prawdopodobnie swój pamiętnik, na palcu pierścień, w halsztuku szpilka z koniem, godłem zawodu jej właściciela. Ubrany jest w długi, czarny surdut i jasną kamizelkę, jakie nosili od święta zamożniejsi obywatele w owym czasie. Zażywny jegomość o chytrym spojrzeniu mądrych oczu.

Książeczka oprawna jest w wypłowiałą oprawę płócienną koloru fioletowego, z tłoczeniami i wytłaczaną złotem w ornamencie datą 1864.

Wskazywałoby to na rok wydania pamiętnika. Autor w chwili gdy kończył lat pięćdziesiąt i był u szczytu powodzenia, gdy ze zwykłego dorożkarza warszawskiego stał się właścicielem nieruchomości i dużego hotelu Paryskiego przy ulicy Bielańskiej, postanowił spisać dzieje swego życia.

Dziwna i tajemnicza książeczka. Jest unikatem. Nie posiada jej żadna z publicznych bibliotek polskich, nie notuje jej Estreicher ani żadna inna bibliografia polska.

W poszukiwaniach egzemplarza pamiętnika Langnera po bibliotekach warszawskich natknąłem się w bibliotece Archiwum Miasta Warszawy na egzemplarz polskiego tłumaczenia tego pamiętnika. Książeczka polska ma identyczny wygląd zewnętrzny z oryginałem niemieckim i została prawdopodobnie wydrukowana w tej samej drukarni i w tym samym roku. Na przedniej stronie oprawy wytłoczony jest tu jak i w niemieckim wydaniu rok 1864. W egzemplarzu polskim także brak karty tytułowej. Egzemplarz tego polskiego wydania jest również unikatem, nie posiada go żadna inna z polskich bibliotek ani nie notuje tej książki żadna z polskich bibliografii.

Czym wytłumaczyć sobie fakt, że pamiętnik Bogumiła Langnera zachował się tylko po jednym egzemplarzu w każdej ze swych dwóch wersji? Pamiętnik ten został wydany jako druk prywatny na pięćdziesięciolecie autora. Nigdy w handlu księgarskim książki tej nie było.

Jak już mówiliśmy, w roku 1864, w chwili wydania pamiętnika, Bogumił Langner nie był już biednym dorożkarzem, a zamożnym i szanowanym człowiekiem, właścicielem dwóch nieruchomości w Warszawie i dobrze prosperującego hotelu. Rodzina jego i on polszczyli się, często używał już obok niemieckiego Gottlieb — polskiego Bogumił. Dzieci pokończyły szkoły i otrzymały staranne wychowanie. Syn był później właścicielem dużego sklepu korzennego, a wnuk Edmund został właścicielem słynnego w Warszawie handlu win i restauracji pf. Edmund Langner, dawniej Jan Riedel (teść Edmunda L.) przy ulicy Nowosenatorskiej (Focha) 8.

O rodzinie Langnerów i o duchu panującym w tej rodzinie daje nam pewne wiadomości Ferdynand Hoesick w swoim pamiętniku. Przyjaźnił się on z Edmundem Langnerem, a o rodzinie tej pisze: „...jeśli u nas jeszcze w grę wchodziły świeże tradycje familijne niemieckie, to u Langnerów tę samą rolę, i to w bardzo wybitnym stopniu, grały żywe tradycje rodzinne szlacheckie. Matka pani Langner była Kurpiewska z domu, szlachcianka, z dobrego i starego szlacheckiego rodu".

„Podobno i matka Edmunda Langnera — dodaje F. Hoesick — była rodowitą Polką z dobrego szlacheckiego gniazda".

Dla Gottlieba Langnera pamiętnik jego życia był pomnikiem dumy ze swego żywota, świadectwem jego osiągnięć i zwycięstw. Dla dzieci i wnuków był świadectwem złego pochodzenia, które snobizm szlachecki kazał skrzętnie ukrywać. Dlatego też prawdopodobnie rodzina Langnera od razu po wydrukowaniu zniszczyła cały nakład tej niewygodnej dla niej książki.

Niewielki pamiętniczek Bogumiła Langnera jest dość ciekawy i charakterystyczny dla historii rodzenia się kapitalizmu polskiego i powstawania wielkich fortun mieszczaństwa pierwszej połowy XIX wieku. Ten typ literatury pamiętnikarskiej jest u nas bardzo rzadki. Właściwie nie mamy prawie zupełnie pamiętników self-menów polskiego kapitalizmu bujnej epoki od trzydziestych do siedemdziesiątych lat ubiegłego stulecia, kiedy powstawały olbrzymie fortuny i przemysły (przemysł włókienniczy Łodzi i okręgu łódzkiego, górniczy w Sosnowcu i Zagłębiu Dąbrowskim, metalurgiczny w Warszawie, koleje żelazne itp.).

Bogumił Langner wyróżnia się bezsprzecznie wrodzoną inteligencją, pracowitością i przedsiębiorczością. Rozumie on znaczenie nauki i żałuje, że tak mało tej nauki otrzymał. „O! gdyby dozwolonym mi było przynajmniej przez lat parę jeszcze korzystać z nauk, może bym był zdolniejszym stawiać opór nienawistnemu losowi, który mnie tak srodze prześladował."

Cechy charakteru Langnera dają mu możność wybicia się. Jego inteligencja i przedsiębiorczość każe mu ulepszać wozy, którymi przewoził jako „wozak" kamienie przy budowie fortecy w Modlinie, organizować później konne autobusowe linie na różnych trasach Królestwa Polskiego. Jego ruchliwość przejawia się w tym, że podejmuje on kursy dorożkarskie z Warszawy do Neapolu albo z Warszawy do Piatigorska na Kaukazie.

Ciekawe dla obyczajowości tego środowiska rodzącego się współczesnego kapitalizmu polskiego są typy lichwiarzy warszawskich, którzy finansowali przedsiębiorczość Langnera.

Langner nie wspomina o wypadkach politycznych swoich czasów. Zdawałoby się,

że go te sprawy mało interesują. Nie wspomina zupełnie o powstaniu styczniowym. Możliwe, że nie wszedł on jeszcze w społeczeństwo polskie, ale może odgrywały tu rolę względy natury cenzuralnej. Książka ukazała się w roku upadku powstania styczniowego i autor wolał o tych sprawach nie mówić.

W ogólności pozycja ta, choć może niezbyt ważna, wnosi jednak małą cegiełkę do historii Warszawy i dziejów powstającego kapitalizmu.

Wacław Zawadzki

WSTĘP

Celem skreślenia biegu mego życia *(curriculum vitae)*, który tylko przyjaciołom i znajomym moim udzielić zamierzałem, była jedynie tylko chęć przekonania ich, z jakimi przeciwnościami przez tak wiele lat walczyć musiałem i jak srodze los w ciągu tego czasu mnie prześladował, zanim dozwolił mi na stanowisku, w jakim się obecnie znajduję, spokojnie pędzić dalsze dni żywota mego.

Czy nadzieja moja spełni się, to jest:

„Że niejeden, co dziś mnie zazdrości, odda mi sprawiedliwość"

to przyszłości pozostawiam.

Doświadczenie niestety przekonywa, że szczęściu zwykle towarzyszy zazdrość.

G. L.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zanim opowiem historię własnego mego życia, czuję się w obowiązku udzielić kilka słów dotyczących moich rodziców; uczynić to powinienem, albowiem mam im do zawdzięczenia życie swoje.

Śp. ojciec mój przebywając lat kilkanaście w Polsce, zanim objął na siebie dziedzictwo po ojcu swoim, pozbawiony opieki, w towarzystwie złych ludzi przyswoił sobie naganne przymioty i z takimi przywarami powrócił.

Pochodził z rodu Langnerów, chrzestne imię jego było Krystian. Objął w dziedzictwo po ojcu wioskę Gugelwicze, o pół mili od miasta Milicz położoną. Dobra gleba ziemi, korzyści osiągane z gorzelni i browaru aż nadto zdawały się być dostateczne do przyzwoitego utrzymania całej rodziny.

Objąwszy gospodarstwo najpierwszym staraniem ojca mego było wynaleźć sobie dobrą gospodynię domu, którą też niezadługo w sąsiedztwie znalazł.

Ojciec jej posiadał gospodarstwo rolne we wsi Kasawe, obok sprawowania w tejże okolicy obowiązków sołtysa sądowego. Miał ojciec z niej nie tylko dobrą małżonkę, ale zarazem wykształconą gospodynię; wychowana w pracy i zamiłowaniu do ścisłego wykonywania swych obowiązków jeszcze w domu rodziców, stała się w późniejszym czasie dobrą, rozważną i pracowitą panią domu.

Uszczęśliwiony wyborem takiej towarzyszki, która potrafiła rządzić całym gospodarstwem, nic dziwnego, że zupełnie polegał na niej. Lecz z goryczą wspomnieć mi tu wypada: że ojciec mój powoli wracając do trybu życia kawalerskiego pomijał domową zagrodę, a gospodarstwo swoje jako rzecz podrzędną uważał.

Z małżeństwa tego było nas pięcioro rodzeństwa: czterech braci i jedna siostra, z których ja drugi byłem z kolei.

Ponieważ zamierzyłem opisać tylko historię mojego życia, zatem o reszcie rodzeństwa tam tylko wspomnę, gdzie okoliczności i wypadki wspólność z nimi mieć będą.

Urodziłem się dnia 15 stycznia 1814 roku, od pierwszych lat dzieciństwa mego (jak mi to opowiadano) zawsze byłem zdrów i wesoły. W rzeczy samej, o ile pamięcią w lata ubiegłe zapuścić się zdołam: nigdy mi ani na humorze, ani na zdrowiu nie zbywało, skąd doktor i aptekarz niewielkie korzyści z mojej osoby rokować sobie mogli.

Pierwsze wykształcenie swoje wcześnie rozpocząłem, moje zdolności umysłowe zaczęły się szybko rozwijać; zdało się, jakby sama natura nierównie więcej mnie aniżeli resztę rodzeństwa przymiotami swymi obdarowała.

W jedenastym roku życia byłem pierwszym uczniem w szkole wiejskiej, a doszedłszy lat dwunastu, już przez nauczyciela nazwiskiem Schirnik za najpilniejszego w jego szkole ogłoszony zostałem. Następnie rodzice moi umieścili mnie w innej szkole we wsi Szałkowie, pół mili od dworu naszego odległej, w niej to nauki cokolwiek obszerniej wykładane były. Przykro mi wprawdzie z początku było codziennie półmilową tam i na powrót odbywać przechadzkę, lecz miałem nadzwyczajną chęć do nauki i spacer ten, choć z musu, był mi znośnym, albowiem oprócz zwyczajnych nauk w szkole tej wykładanych uczyłem się od nauczyciela nazwiskiem Schneke gry na skrzypcach. Po upływie jednego roku, który więcej na przyjemnych i pożytecznych rozmowach z moim nauczycielem przepędziłem celem wyższego kształcenia, wyż. rzeczoną szkołę opuścić byłem zmuszony. Udałem się do miasta Milicz, do nauczyciela nazwiskiem Brimarius, gdzie oprócz codziennych nauk planem szkolnym wskazanych pobierałem nauki prywatne. Tu dopiero poznałem, jak usposobienie moje umysłowe coraz bardziej się rozwijało; bystrość pojęcia, zdrowy sąd o rzeczach przechodził wiek dziecinny. O! gdyby dozwolone mi było przynajmniej przez lat parę jeszcze korzystać z nauk, może bym nadal był zdolniejszy stawiać opór nienawistnemu losowi, który mnie tak srodze prześladował, może razy jego byłyby dla mnie znośniejsze.

Po roku przyszedł kres moim nadziejom, moim dążnościom. Matkę moją, od niejakiego czasu cierpiącą, zaskoczyła śmierć nieubłagana. Śmierć jej stała się dla nas wszystkich największą stratą, niczym nie powetowaną; a lubo wszystkich ręce oddane były gospodarstwu, to przecież brakowało głowy, która wszystkim kierować potrafiła.

W krótkim przeciągu czasu uczuliśmy nagle, czym ta jedna osoba dla wszystkich była; za życia jej każdy miał to, co mu się należało, o niedostatku nie mieliśmy pojęcia; teraz przeciwnie, zaczęło brakować wszystkiego.

Wlokło się gospodarstwo dalej swoim trybem przez czas jakiś, lecz skoro dawne zapasy zniknęły, a o nowych i mowy nie było, brak i upadek okazał się widoczny, gdyż to, co odpłynęło, już więcej nie powróciło. Ojciec mój, przez tyle lat nie zajmując się wcale gospodarstwem, i teraz był tyle lekkomyślnym, że nie starał się wydźwignąć go z upadku; przywykły do życia wolnego, pozostawił je smutnemu losowi. Po roku zaczął pożyczać pieniędzy dla podtrzymania go, lecz z zaniedbania wydarzały się wypadki, które ogromne pochłaniały sumy. I tak przez nieregularny ruch gorzelni, nie zważając na składane przez się deklaracje, podpadał karom pieniężnym, a jeżeli urzędnik z rozkazu wyższego przybył celem wykonania obowiązków służby, tedy on, zamiast uprzejmości, nieprzyzwoitym obchodzeniem się tegoż traktował. Stąd wytaczane miał często procesy, które wielkie za sobą wydatki pociągały na szkodę mojego ojca. W końcu znaglony do zrealizowania w terminie weksla na dość znaczną kwotę, za swego brata solidarnie poręczonego, w braku gotowizny posiadłość naszą drogą sądową przez publiczną licytację sprzedać musiał; lecz, niestety, zebrana suma zaledwie na pokrycie długów wystarczyć mogła.

Ten cios dotknął nas, dzieci, najsrożej, nikt bowiem nie pomyślał o losie naszym; nowonabywca kazał nas bez miłosierdzia wypędzić, a ojciec z rozpaczy oddał się zupełnie trunkowi. Jeden z sąsiadów nazwiskiem Saure tyle był litościwy, iż udzielił nam schronienia w swojej stodole, gdzie wzajemnie płaczem i narzekaniem pocieszaliśmy się rozmawiając o przyszłości pełnej odstraszających obrazów. Po niejakim czasie ojciec nasz wynajął mieszkanie na przedmieściu miasta Milicz, gdzie wprawdzie znaleźliśmy osłonę przed wiatrami i niepogodą, lecz to nie było dostateczne. Ale Bóg, najdobrotliwszy nasz Ojciec, zachował nas w pełnym zdrowiu; żołądek tylko domagał się od nas zwykłego sobie zajęcia.

Stan nasz taki nie mógł być żadną miarą długotrwały; rozwiązanie onego nastąpić przecież musiało; nic przed nami nie było, jak rozłączenie się wzajemne, które też wkrótce nastąpiło. Starszy brat Karol, który już był ukończył rok osiemnasty życia, zabrany był do Warszawy przez bogatego majstra szewskiego Arnolda. Drugi, imieniem Krystian, po mnie z kolei starszeństwa następujący, jak niemniej najmłodszy Wilhelm pomieszczeni zostali u krewnych. Siostrze zaś, która była czwartym dzieckiem, imieniem Joanna Karolina, najlepiej z nas wszystkich się powiodło; brat bowiem matki naszej, naówczas w Gangwitz zamieszkały, zarządzający znacznymi lasami królewskimi jako nadleśniczy, przyjął ją za własne dziecko. Takim więc sposobem rodzeństwo moje znalazło schronienie; ja tylko zostałem sam sobie oddany, nie wiedziałem, co z sobą począć, a przecież bez zajęcia pozostać dłużej nie mogłem.

W ostatnich trzech latach pobytu w domu rodzicielskim zajmowałem się gorzelnią i browarem; mając jakiekolwiek o tym przedmiocie wyobrażenie, postanowiłem w tej profesji szukać przyszłego szczęścia dla siebie i nie namyślając się długo, w szesnastym roku życia, puściłem się w drogę.

Ojciec mój, dotąd sam sobie pozostawiony, utrzymywał się jak mógł, nie zmienił dawnego trybu życia i w kilka lat umarł, wówczas kiedy ja z rodzeństwem przebywałem w Polsce.

Pierwszy plan, jaki ułożyłem sobie, aby znaleźć zatrudnienie jako gorzelany i piwowar, spełzł na niczym. Nie znalazłszy odpowiedniego miejsca w Krotoszynie, miasteczku około trzech mil odległym od miejsca mego urodzenia, nie mając również odpowiedniego funduszu na dalszą podróż, o innym zacząłem myśleć zawodzie.

Pewien starozakonny, przypadkowo zapewnie dowiedziawszy się o położeniu, w jakim się znajdowałem, wynalazł mnie w Krotoszynie i zrobił propozycję, czybym nie chciał objąć u niego służby około koni; bez zastanowienia się, zdolny przecież do innego zajęcia, odpowiedniego umysłowemu memu usposobieniu, lecz z natury brzydzący się próżniactwem, przystałem. O! jakże ten rok, który u niego przebyłem li tylko za wikt i odzież niezbędną, wyrył się w mojej pamięci; pomimo wytrwałości to nędzne życie stało się w końcu dla mnie u niego trudne do wytrzymania, wskutek czego służbę tę porzucić byłem zmuszony. Chęć wejścia do wojska obudziła się we mnie. W tej nadziei, że będę przyjęty, zameldowałem się władzy, lecz, niestety, na nic się moje marzenia nie zdały, siły bowiem moje fizyczne, jeszcze niezupełnie rozwinięte, tamowały mi drogę do tego stanu. Drugi więc plan, na którym całą nadzieję swoją oparłem, również jak pierwszy chybił celu.

I znowu zostałem sam jeden, ogołocony z najpotrzebniejszych przedmiotów, bez przytułku, bez pieniędzy, w obszarpanej odzieży, mogę śmiało rzec, że i bez chleba. W tak smutnym położeniu pomyślałem o dawnym moim starozakonnym, lecz uczułem nagle wstręt na samo wspomnienie przeszłości i tylko przypadek uwolnił mnie za zawsze od niego. Pewien nadaudytor nazwiskiem Biwald, wracając z podróży, zatrzymał się w Krotoszynie, potrzebował służącego; ja korzystając ze zdarzonej sposobności przyjąłem u niego obowiązki. Z nowym panem pojechałem do Poznania, sumiennie pełniąc obowiązki służby; widziałem jego zadowolenie i wdzięczność, jakie mi ze swej strony dość często okazywał. Było to w roku 1831; mieszkaliśmy w Poznaniu, gdy w Polsce wybuchło powstanie. Było mi bardzo dobrze, a jednak nie chciałem u niego dłużej pozostać, pragnąc koniecznie być żołnierzem. Po roku podziękowałem za służby panu Biwald i zamierzyłem najsamprzód odwiedzić rodzeństwo moje, a następnie zaciągnąć się w szeregi wojskowe. Tym razem pod względem materialnym nierównie lepiej stałem aniżeli w roku przeszłym, gdy służbę żydowską opuściłem; byłem dobrze ubrany i oprócz osiemdziesięciu talarów gotowizny miałem jeszcze srebrny zegarek.

Z jakąż radością i ukontentowaniem dążyłem do stron rodzinnych, w jak pięknych kolorach malowałem sobie przyszłość moją; ta droga zdawała mi się nierównie krótszą, aniżeli rzeczywiście nią była. Lecz to ukontentowanie nagle inny obrót wzięło, gdy w innym bycie zastałem swoją rodzinę, niż sobie wyobrażałem. Serce moje rozdzierało się z żalu i boleści na widok nędzy i ubóstwa, w jakim ich znalazłem; wzruszenie tym mocniejsze było, gdy nie czułem się zdolny osobą swoją przynieść im jakąkolwiek ulgę lub pomoc, łzy i ubolewania moje mieszane z ich łzami zdawały się być jedyną osłodą serc zbolałych. Słabi na siłach, nie byli zdolni wykonywać tych robót, jakimi ich obciążano. Z pogardą patrzałem na tych ludzi bez wyrozumienia i litości; a jednak nic dla biednych braci uczynić nie mogłem. W ciągu kilkudniowego pobytu pomagałem im w wyznaczonych robotach, lecz to długo trwać nie mogło, z rozkrwawionym sercem i załzawionymi oczyma nadeszła chwila roz-

łączenia się naszego, braterskie ściśnienie dłoni było zadatkiem cierpliwego znoszenia tego, co nam Bóg przeznaczył, bez szemrania na świętą Jego wolę.

Smutny, lecz z tą niepłonną nadzieją, że życzeniu memu zaciągnienia się do strzelców żadna nie nastręczy się przeszkoda, udałem się do Wrocławia. Tu los widocznie mnie prześladował, znów zawiodłem się w swych oczekiwaniach i odebrałem odpowiedź podobną jak poprzednio: żem na żołnierza za słaby.

Zniechęcony takim niepowodzeniem, straciłem na zawsze ochotę do żołnierki; przyszła mi na myśl Polska, gdzie brat mój starszy przebywał, postanowiłem tam się udać, aby w Warszawie za pośrednictwem jego wynaleźć sobie stosowne pomieszczenie. W roku 1832 przybyłem pierwszy raz do tego miasta i serdecznie się cieszyłem, że zobaczę brata, którego lat tyle nie widziałem. Nie zostawał już jak poprzednio u tego bogatego Arnolda, który go z sobą przywiózł do Warszawy, a straciwszy majątek zupełnie podupadł; brat mój, o którym wspomniałem, był kelnerem w Hotelu Drezdeńskim.[1] Przyjęcie, jakiego od niego doznałem, nie odpowiadało ani braterskiej miłości, ani mojemu oczekiwaniu, widziałem go dla siebie obojętnym i nie więcej dbał o mnie niż o pierwszego lepszego gościa z ulicy albo znajomego swego. Smutny to był dla mnie widok, czułem się sam jeden w stolicy, bez żadnej pomocy, bez przyjaciela i doradcy. Wprawdzie znalazło się kilku życzliwych rodaków, którzy okazywali mi przyjaźń, dopóki ostatni grosz nie wyszedł z woreczka, lecz w kilka dni stan mój finansowy tak smutnym się okazał, że i ów zegarek musiał iść pomiędzy ludzi na niezbędne potrzeby. Gdy i temu zasiłkowi kres przyszedł, zatęskniłem znów do ojczyzny; lecz powrót bez pieniędzy był niemożliwy.

Znalazłem się więc znów w położeniu nie do pozazdroszczenia, nie pozostawało mi zatem nic więcej, jak tylko na nowo szukać służby. W celu wynalezienia takowej udałem się do kantoru służących przez p. Kühn utrzymywanego i z jego rekomendacji przyjęty zostałem do usług przez niejaką hrabinę nazwiskiem Mannageta von Lerchenau. Pochodziła ona z Wiednia, majątek swój miała w Królestwie pod miastem Terespolem, dokąd po niejakim czasie pobytu w Warszawie tamże ze mną się udała.

Śmiało mogę powiedzieć, że mi tu na niczym nie zbywało, i z uwagi na stanowisko, w jakim się znajdowałem, nic więcej żądać nie mogłem. Okolica, w której dobra te były położone, była urocza, nie zbywało mi na czasie nasycać się pięknością natury, lecz dla mnie, przywykłego do życia w miastach wielkich, pobyt na wsi nie był zajmujący. Według kontraktu, jakim zawarł z hrabiną, byłem przymuszony cały rok przesłużyć i gdy czas nadszedł, czułem się być panem mej woli; i nikt nie mógł mi zabronić powrotu do Warszawy.

Po powrocie do Warszawy w roku 1833, mając porządną garderobę i nieco gotowizny, gdyż z zasług, jakie hrabina przy opuszczaniu służby wypłaciła, niewiele straciłem, powziąłem zamiar powrotu do ojczyzny. Lecz że od początku, jak tylko sam sobie zostałem oddany, plany i projekty moje nigdy do skutku nie przyszły, tak też i teraz się stało. Czy z przypadku, czy umyślnie, ta niewidzialna ręka, która mną kierowała, zetknęła mnie z owym p. Kühnem, utrzymującym kantor stręczeń służących; ten ofiarował mi bardzo korzystną służbę (jak sam mówił), za którą wdzięczny mu być miałem. W rzeczy samej powiedział prawdę; pan, u którego objąłem obowiązki kamerdynera, był rzad-

kiej dobroci i charakteru; po niejakim czasie byłem kontent, że nie powróiłem do stron rodzinnych. Był nim pułkownik Seidlitz, mieszkał wówczas przy ulicy Zakroczymskiej, niedaleko Cytadeli, którą w tym czasie zaczęto wznosić. Do domu jego, w którym mieszkał, należał piękny ogród, tam niemal odziennie zbierali się wyżsi oficerowie, użyci razem z pułkownikiem do robót ortyfikacyjnych; tam to zwykle do późnej nocy czas na grze w karty przepędzali; zabawa ich niemało przyniosła mi korzyści, nie było wieczora, aby a świadczoną im usługę lub przysposobienie kart do gry parę rubelków nie vpłynęło do mojej kieszeni. Zostając rok cały w tak korzystnej służbie, zebraem sobie dość znaczny kapitalik. Umiałem z niego korzystać, kupiłem parę vozów, koni roboczych, w zamiarze zarobkowania nimi przy robotach ziemych wznoszącej się twierdzy; postępek ten wielce przypadł do smaku pułkownikowi Seidlitzowi; ten, widząc moje zabiegi i starania, nie tylko że mi nie odmówił swej pomocy, ale nadto w jednym z domów prywatnych przy ulicy ielonej [2] nabytych przez rząd pod Cytadelę dał mi darmo mieszkanie odpoviednie mojemu przedsiębiorstwu. Zacząłem czterema końmi i dwoma wozani, do nich przyjąłem dwóch parobków, którzy równo z dniem w Cytadeli racowali, sam zaś zarobione przez nich pieniądze tygodniowo odbierałem. Dom, który zajmowałem z ludźmi i końmi, był obszerny, aby więc korzystać miejsca, kupiłem kilka chudych wieprzaków i te kazałem tuczyć na sprzedaż, czego także zarobek mnie dochodził. W miarę wzrastającego dochodu nabyem wypadkowo porządną dorożkę i dobre cztery konie, przynająwszy jeszcze ednego człowieka, który nią jeździł po mieście. Aż do tego czasu pozostawałem v służbie u pułkownika, żal mi było ją porzucić, gdyż była zyskowna; z drugiej trony pełnić obowiązki kamerdynera i doglądać szczerze własnego interesu yło niemożliwe. Przedstawiłem tę rzecz swemu panu; ten widząc słuszność nego żądania uwolnił mnie od siebie, nie przestając nadal względami mnie wymi zaszczycać.

ROZDZIAŁ DRUGI

Było to w roku 1835, gdy opuściwszy służbę prywatną zająłem się szczerze własnym gospodarstwem. W samej rzeczy przysłowie: „pańskie oko konia uczy" na mnie się sprawdziło, dochody widocznie wzrastały, tak z wywózki iemi, jak i z utrzymywanej dorożki, po niejakim czasie dokupiłem drugą, am nią jeździłem po Warszawie, albowiem się już przekonałem, że ludzie ajęci częstokroć dochodem się ze mną dzielili. W dwudziestym pierwszym oku życia stanąłem na takiej stopie, że gospodarstwo moje potrzebowało i rąk vielu, i ścisłego nad nimi dozoru. Tu pomyślałem o sprowadzeniu do Warszavy rodzeństwa mego, osiadłego w Prusach, żyjącego w ubóstwie. Cieszyło mnie o niezmiernie, że w tak młodym wieku mogę się już podzielić kawałkiem apracowanego chleba ze swymi, a rachując na ich wdzięczność tuszyłem sobie, e źle na tym wyjść nie powinienem. Jakoż po niedługim przeciągu czasu iostra moja zajęła się gospodarstwem domowym, na czym się tylko kobieta nać może, i mimo młodości swojej prowadziła je ku największemu memu adowoleniu. Średni mój brat, kulawy na jedną nogę, niewiele mógł być mi rzydatny, tym bardziej że do zajęć moich nie miał żadnego zamiłowania. Aby

jednakże nadal los mu jakiś zapewnić, oddałem go na trzy lata do terminu, do majstra szewskiego Hermana [3]; tam, żeby był lepiej uważanym jak jego towarzysze, obok udzielanego mu częstokroć pieniężnego wsparcia, zapłaciłem z góry Hermanowi trzydzieści talarów za naukę, z jakiej miał u niego korzystać. Sprawował się dobrze, był pilny, pracowity i w lat kilka wyzwolił się na czeladnika. Najmłodszego zatrzymałem przy sobie z powodu dziecinnego jeszcze wieku, dając mu czas, dopóki, doszedłszy do pewnych lat, nie obierze sobie według własnej woli jakiegoś rzemiosła, które by mu w przyszłości byt ustalić miało.

Nigdy człowiek nie powinien być dumny ze swego szczęścia lub powodzenia; są w życiu ludzkim chwile zaślepienia, gdzie nie można przypuścić, ażeby coś niepomyślnego lub złego spotkać go mogło. Gwiazda szczęścia, która mi przez kilka lat tak jasno przyświecała, gdyż nie było jeszcze wypadku, ażeby pomyślany przeze mnie plan jakiś dobrym nie był uwieńczony skutkiem, ta gwiazda szczęścia skryła się za jakąś chmurę i cieniem swym przyćmiła na czas niejaki dalsze dni życia mojego.

Wypadek chciał, że dnia pewnego powróciwszy dorożką do domu brat mój Wilhelm jak zwykle zajął się wyprzężeniem koni i odprowadzeniem ich do stajni, zarzucając jednemu z koni postronki na grzbiet tak silnie uderzony został kopytem, że pomimo natychmiastowego ratunku w sześć godzin życie zakończył. To zdarzenie wielki wpływ na mnie wywarło, jakiś niepokój wewnętrzny dręczył mnie bez ustanku, byłem smutny, cierpiący, odeszła mnie chęć do pracy, do wszelkiego zajęcia, nic mi się nie wiodło. Cień jego ścigał mnie bez ustanku, tłumaczyłem sobie, że to ja byłem głównym powodem jego śmierci. W braku snu w upajających trunkach szukałem ulgi i to zaczęło przywodzić mnie do upadku. Skutkiem zaniedbania byłem przez własnych ludzi oszukiwany, każdy korzystał z mojej słabości, każdy szukał korzyści dla siebie, tak że niezadługo stan mojego gospodarstwa w najkrytyczniejszym objawił się stanie i to mnie zmusiło do zaciągania lichwiarskich długów.

Najpierwszy Żyd, z którym wszedłem w stosunki, nazywał się Barganowa, od niego pożyczyłem trzysta złotych w następującym sposobie: przy wypłacie waluty wytrącił sobie z góry sześćdziesiąt złotych procentu i pięć złotych wpisowego, musiałem dać trzydzieści złotych faktornego i w dodatku zaprosić jeszcze do kupca na śniadanie, które przeszło pięć złotych kosztowało. Z wypożyczonych zatem trzystu złotych pozostało mi czystego złotych dwieście, a trzysta zobowiązałem się spłacić w ciągu dwudziestu tygodni. Okropne było dla mnie położenie, dochody się zmniejszały, a wydatki rosły. Aby nie utracić kredytu, starałem się raty jak najregularniej uiszczać wierzycielowi, przewidując, iż przyjdzie czas, że w tym samym znajdę się położeniu jak poprzednio i do żydowskiej łaski na nowo kołatać będę zmuszony. Jak przewidywałem, tak się też i ziściło, po niejakim czasie wypożyczyłem od tegoż samego Żyda złotych sześćset, na tych samych uciążliwych warunkach.

Spłacanie długu Barganowi tygodniowo było dla mnie niemożliwe, zamierzyłem sobie w zupełności go spłacić i w tym celu udałem się do Hirsza Goldberg, od którego pożyczyłem tyle, ażebym mógł zaspokoić poprzedniego. Lecz pożal się Boże takiej ekonomiki, pozbyłem się długu mniejszego, a zabrnąłem w większy. Im dalej w las, tym więcej drzew; byłem rzetelny, toteż pożyczka przychodziła mi bardzo łatwo, znaleźli się Żydki tak uczynni, że sami ofiaro-

wali się ze swymi kapitałami, mówiąc, że u mnie bezpieczniejsze ich pieniądze jak u nich samych. Udałem się więc do trzeciego Żyda nazwiskiem Heim Günel, od niego pożyczyłem złotych dwa tysiące, dalej do czwartego, od tego wziąłem sześćset złotych itd. Nie można było brać mi za złe, że raz wstąpiwszy na taką drogę szedłem dalej jej torem; będąc człowiekiem honorowym i nie chcąc kłamstwem skalać danego słowa zaciągałem długi nowe dla zaspokojenia dawnych. Aliści zaszedłem wkrótce z deszczu pod rynnę, liczba wierzycieli moich wzrosła aż do czternastu, którzy rościli pretensje do mnie o przeszło czternaście tysięcy złotych; znakomitsze ich nazwiska były, jak to: Agenstejn, Elle, Wildner, Jojna, przezwany z powodu branej lichwy Mecenasem, i Buchholtz.

Prosiłem tylko Boga, aby mi wszyscy jednocześnie wizyty oddać nie raczyli, sam ich widok byłby mnie od razu powalił na ziemię. Nareszcie nadeszła ta smutna chwila, gdy z powodu niemożności płacenia rat regularnie, kredyt mój, poprzednio niczym nie wzruszony, upadł jak kolos rodyjski, i ci uczynni niegdyś przyjaciele, te pijawki ludzkiej kieszeni, poczuwszy się rozczarowanymi, sądownie zaczęli mnie poszukiwać, mnie, który zaledwie sam siebie wyżywić zdołałem. Mieszkałem wtedy w domu p. Eckerkunsta przy ulicy Zakroczymskiej [4], miałem jeszcze dwie dorożki i osiem koni, lecz wartość ich nie pokrywała połowy nawet długów moich.

Z dochodów, jakie miałem, nie było podobieństwem spłacić długów, musiałem koniecznie szukać innych środków w celu zaspokojenia takowych. Warszawa nie nastręczała mnie podobnego źródła, nie byłem w stanie wolną myślą odetchnąć, gnębiony przez moich wierzycieli krokami sądowo-egzekucyjnymi. Nareszcie los dozwolił mi znaleźć środek, który nadzieję moją ożywił.

Było to na wiosnę roku 1836, kiedy rozpoczęto budować fortecę w Modlinie; tam otworzyła się sposobność do zarobkowania końmi, za zwózkę ziemi sowicie płacono. Wolny od dręczycieli moich, tuszyłem sobie, że w krótkim przeciągu czasu z długu się oczyszczę. Nie tracąc chwili zastawiłem dorożki i za otrzymane za nie pieniądze kupiłem cztery wozy robocze; następnie udałem się do Modlina, gdzie wkrótce robotę rozpocząłem.

Z początku zarobek mój nie był tak wielki, jakiego się spodziewałem, albowiem wywózka ziemi obliczana bywała na stopy kubiczne, a chcąc mieć większe korzyści trzeba było poznać sposoby, których nie byłem jeszcze świadomy. Zapoznawszy się jednak z entreprenerem Blumbergiem, pojąłem sposoby korzystania na wymiarach; wówczas lepszego nie pragnąłem zarobku.

W celu osiągania większego dochodu z entrepryzy robót ziemnych wyszukałem włościan w bliskości Modlina zamieszkałych i wynajmowałem do robót za własne pieniądze, i często zdarzało się, że przeszło trzydzieści furmanek moich bywało czynnych.

Przedsiębiorstwo szło bardzo dobrze, lecz mimo to niewiele mi się z dochodów tak świetnych zostawało, albowiem wierzyciele moi zamieszkali w Warszawie i tu mnie znaleźli, i tu nie dali mi spokojności, tylko procesy przeciwko mnie wytaczali i koszty sądowe pomnażali. Z nadzieją rychłego pozbycia się długów wnet rozstać się musiałem, albowiem wierzyciele moi przybyli z komornikiem do Modlina w celu zupełnego zniszczenia mnie.

Nie widziałem środków wydarcia się z ich szponów. Oj, biada temu, kto się w takie ręce dostanie; nędznicy, postępowanie ich było niegodne. Lato

minęło, dnie i noce pracowałem; dla kogo i na co? Tylko na koszta sądowe, które Żydzi przez procesy pomnażali.

Kiedy robota z końcem lata zawieszona została, po ścisłym obrachowaniu się zarobiłem na czysto osiem tysięcy złotych, lecz zamiast spłacenia cokolwiek mych długów, cały zarobek wystarczył zaledwie na pokrycie procentów i kosztów.

Położenie moje było godne rozpaczy, całe lato tak ciężko głową i rękoma pracując długów nic nie pomniejszyłem, zima do drzwi kołatać zaczęła, a ja nie miałem funduszu, abym się przynajmniej w kartofle mógł zaopatrzyć. Dorożki moje od wiosny były u Żyda w zastawie, te stanowiły całą nadzieję przeżycia zimy, lecz jak je wydostać? Bez pieniędzy Żyd ich nie wyda, a nie znajdę nikogo, kto by mi mógł dopomóc do ich wykupienia.

Tak rzeczy stały, kiedy po powrocie z Modlina zająłem poprzednie mieszkanie u pana Eckerkunsta. Po długich staraniach i zabiegach znalazłem nareszcie Żyda, który gotów był pożyczyć mi siedemset złotych, pod warunkiem, że osoba znana poręczy za mną, po wtóre, że od wypożyczonej sumy dam mu dwieście złotych procentu.

W tak krytycznym położeniu na wszystko przystać musiałem, czego tylko ode mnie żądano, aby tylko dorożki moje na powrót odzyskać, gdyż one stanowić miały całe moje utrzymanie, ale tę osobę pewną trudno było tak prędko wynaleźć, lecz przy staraniach wynalazłem. Był nią majster kowalski Thiel [5]; on to dawniej wiele z mojej poręki miał roboty. Przedstawiłem mu położenie swoje, a że znał mnie z rzetelności, nie wahał się mimo wiedzy swojej żony poręczyć za mną. Interes był załatwiony, obie strony były zadowolnione: Żyd z procentu, a ja z odzyskania uwięzionych dorożek.

Zarabiałem tak jak poprzednio i gdyby nie ciągłe prawowanie się z moimi wierzycielami, znaczne za sobą pociągające wydatki, może byłbym mógł choć w części długi moje pomniejszyć. Tegoroczna zima długo trwała, a ja z biedy zaledwie się mogłem wyżywić. Bogiem się świadczę, że owe dziewięćset złotych, za zwrot których Thiel poręczył przed rozpoczęciem robót w Modlinie, zaspokoić pragnąłem, czego przecież, pomimo najszczerszej chęci, uczynić nie byłem w możności.

Z wiosną, opuszczając Warszawę, udałem się do Modlina dla rozpoczęcia robót przez zimę wstrzymanych; przed wyjazdem powtórnie zastawiłem swe dorożki. Tym razem ugodziłem się z wierzycielami mymi, iż ci grosza dostać nie mieli, aż po ukończeniu robót w twierdzy; w celu zaś przyprowadzenia do skutku zamiaru jednorazowego spłacenia długów moich postanowiłem sobie: za dokonane czynności częściowo zapłaty nie odbierać. Robota postępowała, w wynajmowaniu furmanek nie napotykałem trudności, z czego zarobek był znakomity. Nadzieja wyjścia z długów zabłysła mi w oczach.

Nieprzyjaciele moi, pomimo zawartej ze mną umowy w przedmiocie zaspokojenia długów, niecierpliwi, przybyli z komornikiem do Modlina dla zajęcia inwentarza mego; lecz tym razem omylili się w swoich planach, albowiem zająłem mieszkanie w twierdzy, a tam przystęp był im wzbroniony. Majster kowalski Thiel był zapozwany i zniewolony do zapłacenia owych dziewięciuset złotych. Robota moja postępowała bez przerwy, a ja zebrany tygodniowy zarobek co niedziela składałem na ręce zamożnego obywatela Raszewskiego, po ukończeniu roboty zebrał mi się kapitał, wynoszący przeszło 10 000 zł.

Pan Raszewski był tyle łaskaw, iż dopomógł mi do uregulowania moich nteresów; w tym celu udał się ze mną do Warszawy i do mieszkania swego przy ulicy Pokornej na jedną godzinę zamówił wszystkich moich wierzycieli. Wszyscy w liczbie czternastu stawili się w oznaczonym terminie, uginając się pod ciężarem akt procesowych przeciwko mnie uformowanych. Po wielu cerracjach ze strony mojej i pana Raszewskiego przystali na odbiór wypożyczonych mi kapitałów, a od narosłych procentów i kosztów sądowych zwolnić mnie byli zmuszeni.

Do zaspokojenia wszystkich moich długów kapitał, jaki posiadałem, był niewystarczający; obydwie zatem dorożki zostały oszacowane i do masy wliczone. Po zrealizowaniu weksli i zapłaceniu półrocznej należności za komorne cały mój majątek składał się z jednej bryczki, trzech koni i dwustu złotych gotowizny, którą natychmiast złożyłem na ręce pana Thiela z zapewnieniem, że pozostałą resztę, o ile możność dozwoli, jak najśpieszniej mu oddam.

Z pokorą w sercu złożyłem modły Bogu, żem się nareszcie uwolnił od tych dręczycieli; miałem to przekonanie, że od tej chwili już nie dla Żydów, ale dla samego siebie pracować będę, że owoc pracy moją będzie własnością. Oprócz długu Thielowi pozostałem się jeszcze dłużny gospodarzowi za wynajmowany przeze mnie u niego lokal złotych sto osiemdziesiąt; że zaś gospodarstwo moje znacznie się teraz zmniejszyło, nie potrzebowałem więc zajmować tak obszernego mieszkania; nająłem izbę na facjatce, z której komorne daleko mniej mnie kosztowało. Ta zmiana niewiele przyszła w pomoc, właściciel domu nie był jego posiadaczem, albowiem z powodu ciążących na nim długów dom jego był w sekwestr zajęty. Ponieważ, jak to wyżej powiedziałem, komornego jeszcze nie zapłaciłem, przybyły pewnego dnia do mego mieszkania sekwestrator podczas mej nieobecności zabrał wszystko, cokolwiek posiadałem, prócz pościeli mojej siostry, którą nietkniętą pozostawił. Na szczęście moje z końmi nie byłem w domu, albowiem i te byłbym niezawodnie postradał. Siostra moja przyjęła mnie z załzawionymi oczyma, a ja uczułem cały ciężar rozpaczy położenia mego. Był już wieczór, a my nie mieliśmy żadnego schronienia ani dla siebie, ani dla koni. Nie było czasu do namysłu, potrzeba było schronienia na noc, naprędce więc nająłem stajnię na Muranowskim u niejakiego pana Wojdyło, a dla nas samych izbę na facjatce przy ulicy Inflanckiej, gdzie na słomie znaleźliśmy dla siebie posłanie. Ciosy doznane dnia poprzedniego nie dozwalały nam korzystać ze snu, jaki noc na załzawione powieki nasze nasuwała. Myśl o przyszłości zadawała nam niejedno pytanie: co począć mamy, pozbawieni tym razem najpotrzebniejszych ruchomości, które całe mienie nasze stanowiły. Los widocznie nas prześladował. Żona pana Thiel darować mi tego nie mogła, że namówiłem jej męża do poręczenia za mną owych dziewięciuset złotych. Pomieściwszy konie w stajni tegoż samego domu, gdzie Thiel zamieszkiwał, nasunąłem jej sposobność do wywarcia zemsty na szkodę moją. Bez wahania się i wiedzy mojej zajęła je i za trzysta złotych sprzedała, nie zważając, że one stanowią dziś cały mój dochód, całe utrzymanie, ale zadowolenie jej było wielkie, gdyż nienawiścią ku mnie pałała i postępkiem tym cieszyła się.

Z wszystkiego, co do utrzymania życia ludzkiego należy, zostałem wyzuty, z powodu utraty koni nie posiadałem nawet nadziei do podźwignienia się w przyszłości z niedoli, w jakiej pozostawałem. Ani przyjaciela, który by

mnie wsparł radą lub czynem, w położeniu moim nie miałem. Zima zbliżyła się, lecz czymże ją przeżyć miałem? Siostra moja była jeszcze przy mnie, do zarządu niby gospodarstwem, lecz gdzie ono było i jakie? Wszystko znikło bezpowrotnie i nic nie pozostało. Los jej bardziej mnie obchodził aniżeli mój własny. Cóż miała robić przy mnie? Nic nam nie pozostawało jak obojgu szukać służby. Wkrótce znaleźli się miłosierni jacyś państwo, a szczególniej małżonka właściciela dóbr Borgu, nazwiskiem Longo, ona to potrzebowała dziewczyny do dzieci; zgodziła się siostra moja do niej i z największym ich zadowoleniem dwa lata w służbie u nich pozostała. Znalazła ona więc pomieszczenie, ale ja teraz sam jeden pozostałem smutnemu losowi oddany; na współczucie obcych nie należy w podobnych wypadkach rachować, młode lata moje były aż nadto wielką dla mnie nauką i doświadczeniem. Do służby nie miałem ochoty, prowadząc przez lat kilka własne gospodarstwo, nabrałem przekonania, że jest rzeczą nikczemną stać się parobkiem, kiedy tylu parobkom rozkazy sam wydawałem.

Rozmaici ludzie, których w Warszawie poznałem, stawali mi w pamięci, u nich chciałem szukać pomocy dla siebie, i znalazłem. Pewien kupiec rosyjski, nazwiskiem Wasili Maczkow, rodem Kurlandczyk, mieszkający na Nalewkach, obok innego zajęcia prowadził handel końmi. Do niego się udałem i zawarłem z nim następną umowę. Miał mi on dwie pary sań i cztery konie powierzyć, a ja zobowiązałem się płacić mu za to codziennie po złotych czterdzieści. Ponieważ miał w stajni dwadzieścia koni na sprzedaż, miałem więc prawo zmieniać je tyle razy, ile uznałem za konieczne, skąd znaczne korzyści dla siebie miałem na widoku. Przez dwa miesiące interes szedł pomyślnie, gdyż sanna bez przerwy trwała; później z sanną wszystko ustało i zarobek mój końca swego dopiął. Kilkaset złotych wprawdzie sobie uzbierałem, lecz te były niczym, aby nimi jakie przedsiębiorstwo zacząć można było.

Cała nadzieja moja polegała w panu Seidlitz, udałem się do niego, a przedstawiwszy mu swoje położenie prosiłem go o pomoc, jakoż mi jej nie odmówił i pożyczył sześćset złotych, nie żądając od nich żadnego procentu. Wyszedłszy raz z biedy, kupiłem cztery konie i powóz zdatny szczególniej do podróży, ale w razie potrzeby i na dorożkę mógł być użyty. To też jedynie całą nadzieję moją pokrzepiło.

Przy ulicy Zakroczymskiej nająłem mieszkanie i w imię Boże rozpocząłem na nowo gospodarstwo, jak się zdawało, los był mi znów przyjazny. Na wiosnę 1838 roku umarła małżonka panu Seidlitz, ten, przywoławszy mnie do siebie, polecił mi, iżbym rodzinę jego w Rydze zamieszkałą do Warszawy sprowadził; interes ten zdawał mi się być korzystny, albowiem spodziewać się mogłem za doprowadzenie żądania jego do skutku sowitego wynagrodzenia; w czym się nie omyliłem.

Od tego czasu zarobki, jakie tylko mi się nadarzyły, miałem do zawdzięczenia panu Seidlitz, z jego bowiem poręki otrzymałem na całe lato nader korzystne zatrudnienie. Niejaki pan Krasowgolski podjął się był dostawy do Cytadeli znacznej liczby kamienia piaskowego; transport odbywał się do Warszawy wodą, skąd na osiach do miejsca przeznaczenia był przewożony. Zatrudnienie to winien byłem panu Seidlitz, za jego to wstawiennictwem entreprener powierzył mi tę czynność i był zadowolony, że miał do czynienia z jedną tylko osobą. Od wielkich kamieni cena ustanowiona była po złotych pięć od sztuki,

ja zaś ugodziłem się od każdej sztuki, bez względu na to, czy większy, czy mniejszy, po złotych dwa groszy piętnaście. Dla ułatwienia i przyspieszenia zwózki kazałem sobie zbudować dwa oddzielne wozy konstrukcji własnego pomysłu, tak urządzone, aby kamienie wielkie wisząc pod wozem mogły być z łatwością transportowane i przez jednego człowieka ładowane oraz na miejscu składane. Ci, którzy pierwsze kamienie już zwieźli, ujrzawszy moje wozy zazdrościli mi takowych, albowiem tracąc wiele czasu i potrzebując daleko więcej rąk ludzkich do ładowania, mniej zarabiali niż ja, który pomimo tańszej ceny za transport dwa razy tyle zarobić mogłem.

Z upływem lata i zwózka kamieni ustała; w tym roku nie obawiałem się zimy. Przy dorożkach i sankach i jakim takim zapasie gotowizny miałem zapewniony kawałek chleba.

W tym to właśnie czasie pan Seidlitz powtórnie się ożenił z córką brata swego. Pewnego dnia, jakoś to było na schyłku zimy, kazał mnie przywołać do siebie i dał zlecenie, abym w jego własnym interesie dwoma wozami do Krakowa wyruszył; pomyślna to była dla mnie wiadomość, albowiem w każdym razie obiecywałem sobie za tę usługę dobre wynagrodzenie. W porze wiosennej 1839 roku, kiedy pierwsze promienie słońca skrzepłą ziemię naszą do roślinności przysposabiały, puściłem się w drogę do Krakowa.

Korzyści z tej podróży zdawały mi się być znakomite; drogę odbyłem z prawdziwą przyjemnością, a jednakże w skutkach swoich przyniosła mi straty znakomite. Dążeniem moim było, aby z każdej okoliczności korzystać, mając pieniądze zakupiłem w Krakowie towarów, jako to: chustek francuskich, kart itp. z zamiarem spieniężenia onych po wyższej cenie w Warszawie. W podróży nie uległem żadnemu wypadkowi, jak również i towary uszły baczności strażników na rogatce. Pewnego dnia wieczorem poszedłem jak zwykle na butelkę piwa do szynku, przez niejaką Grzybowską na Muranowskim utrzymywanego; tam zwykle z moimi znajomymi się schodziłem, przepędzając kilka godzin na pogadance. Grzybowska, od dawna dobrze mi znana, pytała mnie o nowiny: co słychać za granicą i czy jakich rzeczy z Krakowa nie przywiozłem? Ja byłem tyle nieuważny, że jej wszystko co do słowa wypowiedziałem. Nieszczęście chciało, że w tej samej izbie siedział mój dobry znajomy, niejaki Jakubowski, nie wiedziałem o tym, że on był denuncjantem. Nie zwróciłem uwagi na to, iż on w czasie mojej rozmowy u Grzybowskiej, nie postrzeżony, bez pożegnania się ze mną wyszedł z szynkowni. Następnego dnia równo ze świtem przybył do mieszkania mojego dozorca policyjny, w towarzystwie czterech strażników z komory, w celu odbycia u mnie rewizji; nie myśląc o zdradzie, nie byłem przygotowany, towary więc moje natychmiast zostały wynalezione, następnie razem zapakowane i zabrane; i ja także temu pochodowi musiałem towarzyszyć. Odprowadzono mnie do Marywilu, gdzie naówczas mieściła się Komora Celna[6]. Po szczegółowym przejrzeniu zabranych mi towarów takowe otaksowano i na zapłacenie kary dorównującej podwójnej ich wartości skazany zostałem, kara wynosiła zł 2000. Do chwili zapłacenia kary na wolność wypuszczony nie byłem. Skądże tych pieniędzy wziąć miałem, kiedy cały majątek, jaki posiadałem, wyłożyłem w Krakowie na przedmioty obecnie zabrane, tym bardziej będąc jeszcze w areszcie osadzony. Po wielu trudach udało się jednej z moich znajomych wynaleźć uczynnego Żyda, który mi sumę tę pożyczył z warunkiem oddania mu onej w krótkim terminie z procentem obliczonym na zł 500.

Tym sposobem uwolniony zostałem z aresztu, lecz myśl, że popadłem znowu w ręce żydowskie, stała się dla mnie zatrważająca.

Dla pozbycia się jak najrychlej znienawidzonych już przeze mnie długów posprzedawałem dorożki, kupiłem wozy frachtowe z zamiarem zajęcia się przewożeniem towarów i tym sposobem uwolniłem się od długu ostatecznie zaciągniętego.

ROZDZIAŁ TRZECI

Z wiosną 1839 roku więcej czasu strawiłem w drodze aniżeli w Warszawie. Pierwszą podróż przedsięwziąłem do Petersburga, z żołnierzami przeznaczonymi do batalionów instrukcyjnych, dokąd bez żadnego wypadku w pożądanym zdrowiu przybyłem. Z powrotem do Warszawy nie jechałem próżno, kupcy bowiem rosyjscy powierzyli mi towary przeznaczone dla Królestwa. Druga podróż, jaką odbyłem do tegoż miasta, nie była tyle szczęśliwa i nie przyniosła tyle korzyści, co pierwsza, odwoziłem również żołnierzy, 27 września czterdzieści wiorst od Petersburga spotkałem się już ze śniegiem, co było przepowiednią wczesnej i ostrej zimy. I tym razem przybyłem szczęśliwie do tegoż samego miasta, lecz niestety dużo mnie to kosztowało i czasu, i fatygi, ażeby z próżną bryką nie wracać do Warszawy. Dzień za dniem schodził, a ja żadnej ekspedycji do przewozu dostać nie mogłem. Pobyt w obcym miejscu z końmi i ludźmi wielkie za sobą pociągał wydatki, tym bardziej w Petersburgu, gdzie za wszystkie niemal artykuły żywności podwójnie płacić potrzeba niż gdzie indziej; a tu i zima była za pasem. Po wielu dwutygodniowych staraniach znalazł się przecież ładunek, ale taki, iż go sam na moje bryki zabrać nie byłem w możności. Pewien kupiec rosyjski, zamieszkały w Petersburgu, nazwiskiem Nowoszelcow, posyłał do Brześcia Litewskiego transport effektów wojskowych, mających przeszło tysiąc pięćset pudów wagi. Nie będąc w stanie ładować na swoje bryki więcej jak pięćset pudów, zawarłem jednakże umowę odstawienia ich do miejsca przeznaczenia za umówionym wynagrodzeniem po złotych dziesięć od jednego puda. Jako zadatek miałem wyliczone sobie natychmiast rubli srebrem tysiąc. Na transport ten składały się przedmioty rozmaitego rodzaju, pomiędzy którymi było dziewięć pak z kaszkietami żołnierskimi i te znajdowały się w komisariacie. Wszystko było gotowe do drogi, ale nie miałem fur do zabrania tysiąca pudów. Do każdej z pięciu moich bryk miałem po dwa konie, dla pewniejszego jednak przebycia tak znakomitej przestrzeni drogi, jeszcze w porze najprzykrzejszej, dokupiłem pięć koni, ażebym mógł zaprzęgać po troje. Do przewozu owych tysiąca pudów miałem zamiar wynająć Rosjan z ich powózkami, zdawało mi się, iż oni taniej mnie kosztować będą i po wtóre uważałem ich za najpewniejszych, a gdybym był nie zmienił swego zamiaru, może bym był lepiej wyszedł na tym przedsiębiorstwie; lecz przeznaczenie inaczej chciało.

Przed przybyciem moim do Petersburga Żydzi z Augustowa odstawili już jakiś ładunek i dłużej ode mnie oczekiwali sposobności do powrotu, nie byli jednak tak znani i nie posiadali żadnego zaufania, trudniej im więc było aniżeli mnie wystarać się o ładunek. Wskutek tak długiego oczekiwania i utrzymywania siebie z czterema brykami i szesnastoma końmi nie tylko że pienią-

dze, jakie zarobili, przejedli, ale nadto w zajeździe tyle się już zadłużyli, iż więcej byli winni, aniżeli ich konie i wozy były warte. Dowiedziawszy się więc, że do przewiezienia owych tysiąca pudów zamierzałem nająć Rosjan, przybyli do mnie, przedstawili mi położenie swoje, w jakim się znajdowali, prosząc ze łzami, abym się nad nimi zlitował i odstąpił im te tysiąc pudów na transport.

Nie miałbym chyba serca człowieka, gdybym na narzekania i płacz ich obojętnym patrzał okiem, nieszczęśliwe ich położenie obudziło we mnie litość, jakoż oddałem im ładunek z warunkiem, że od każdego puda odstąpią na rzecz moją tylko po jednym złotym tytułem wynagrodzenia za trudy i odpowiedzialność, jaka na mnie ciążyć będzie; na warunki te chętnie zgodzili się.

Po zawarciu umowy rozpoczęliśmy ładowanie, dziewięć pak z kaszkietami rozdzieliliśmy pomiędzy wszystkie bryki, tak że z tyłu każdej jedna paka umieszczona została. Żydzi w celu osiągnięcia większego zysku wozy swoje, same z siebie ciężkie, za bardzo obciążyli, bez względu na swe pracą wycieńczone konie. Z tego to przewidywałem, że ta podróż nienajlepiej nam pójdzie. Kiedy wszystko już było gotowe, wyruszyliśmy w imię Boże z Petersburga.

Pierwsze dwieście pięćdziesiąt wiorst do samego Ostrowa Żydzi jako tako dorównywali moim furom, lecz dalej konie ich za moimi zdążyć nie mogły. Droga była przykra z powodu wielkiego śniegu, kazałem więc, aby moje fury na przedzie postępowały. W najbliższym miasteczku Roszyce cztery dni na owych furmanów oczekiwać musiałem, przybyli nareszcie, ale konie ich były tak wycieńczone i znużone, że aż przykro na nie patrzeć było. Długo tutaj wypoczywać nie mogliśmy, albowiem i tak te cztery dni, przez które na Żydów oczekiwałem, dużo mnie kosztowały. Następnego dnia puściliśmy się w dalszą podróż, wprawdzie szła ona nader wolno, lecz długie przystanki na więcej narażały wydatków aniżeli powolna jazda.

Po wielu trudach dojechaliśmy nareszcie do Dyneburga, tu przyszedł kres moim funduszom, nie było pieniędzy, ani dla siebie, ani dla Żydów. Okropniejszego coś aniżeli brak pieniędzy groziło mi: przy lustrowaniu bowiem żydowskich fur dostrzegłem, że owe paki z kaszkietami, któreśmy w tyle każdej bryki umieścili, zupełnie przedziurawione były. Przyczyną tego było opieszalstwo i niedbałość Żydów, z gór zjeżdżali bez hamulców i skutkiem tego dyszlem jeden drugiemu szkodę wyrządzał, żadna szkoda ich nie obchodziła, albowiem nie byli odpowiedzialni za całość ładunku. Gdy im wytykałem niedbalstwo i słuszny gniew okazywałem, na który zasłużyli, przyjęli to z największą obojętnością i dowiedli, że ich to nic nie obchodzi. Ani na humorze, ani na apetycie nie stracili, przeciwnie — pożywali swoje przysmaki z największym apetytem, wyśpiewując radosne pieśni swoje. Konie żydowskie do tego stopnia były już pomordowane, że na żaden sposób ładunku dalej ciągnąć nie mogły, nie pozostawało nic więcej jak tylko nająć furmana z czterema końmi i po trzydzieści pudów odjąć dla niego z każdej fury żydowskiej. Tenże sam furman, któregom donajął, przyszedł mi z pomocą przez pożyczenie stu rubli srebrem; lecz zaledwie dojechaliśmy do Wyłkomierza, kiedy z owych stu rubli już i grosza nie było. Na szczęście nasze furman ten miał tu kogoś znajomego i tym sposobem wypożyczył mi pięćdziesiąt rubli i z tymi pieniędzmi dowlekliśmy się przecież do Wilna. W Wilnie wynalazłem Żyda, od którego na wozy i konie pożyczyłem trzysta rubli srebrem. Z nim udałem się do rejenta, gdzie

umowa nasza prawomocnie spisana została na następujących warunkach: „Po odstawieniu do miejsca oznaczonego ładunku oddam wierzycielowi tamże wypożyczone mi rubli trzysta z procentem rubli srebrem pięćdziesiąt i wynagrodzeniem za koszta powrotnej podróży jego do Wilna. W razie niedotrzymania zobowiązania mego służyło mu prawo sprzedania na satysfakcję swej należytości koni i wozów naszą własnością będących". Warunki były uciążliwe, lecz cóż było robić w braku środków utrzymania się; wyżywienie tylu ludzi i koni w podróży niemałym było zadaniem. Rozpoczęła się podróż nasza żółwim krokiem, do którego to orszaku przybyła jedna osoba więcej, to jest Żyd, który pożyczył pieniędzy. Co kilkanaście mil przybywała jedna osoba więcej, albowiem kiedy pieniędzy zabrakło, trzeba było wyszukać nowego kapitalisty, który towarzyszyć nam musiał do miejsca, z którego pieniądze odebrać miałem, ażeby i pożyczający również swoje odebrać mogli. Pożyczka zaciągnięta w Wilnie zaledwie wystarczyła do Słonima, a stąd do Brześcia dwa razy jeszcześmy pożyczali. Można sobie wyobrazić, ile samo utrzymanie życia pociągało za sobą wydatków.

Kiedyśmy celu swojej podróży dosięgli, zajechaliśmy na dziedziniec komisariackiej komisji, gdzie przywiezione przez nas rzeczy miały być odebrane. Nie podobna wyobrazić sobie przestrachu biednych Izraelitów; kiedy urzędnicy dostrzegli paki przedziurawione, dano rozkaz zamknięcia bram, aby żaden koń ani wóz nie mógł być z dziedzińca wyprowadzony. Płacz i narzekania nie miały końca: owi czterej Żydzi, którzy nas w podróży pieniędzmi swymi wspierali, byli rzeczywiście godni litości, że tak niewinnie i marnie własność swą postradać mieli.

Panowie komisjonerzy na nic nie zważali, o żadnym zażaleniu wiedzieć nie chcieli. Uspokoili się nieco wtedy, kiedy okazałem im kontrakt, według którego przypadało mi jeszcze pięćset rubli do odebrania. Co się tyczy czterech furmanów najętych w Petersburgu, rzecz gorzej stała, albowiem z ich tylko winy wszyscyśmy w tak nieprzyjemne położenie popadli. Czuli oni to dobrze, że stąd ani konia, ani wozu jako własności swojej nie będą mogli wyprowadzić; próbowali kilka najlepszych koni cichaczem usunąć i z nimi uciec, lecz ja widząc, co się święci, czujnym okiem przeszkodziłem ich zamiarom.

Kiedy przekonałem pułkownika, że na zasadzie kontraktu należy się do odbioru jeszcze rubli pięćset, wydał polecenie do uwolnienia mi koni spod zajęcia, które pomieszczone w pobliskim domu zajezdnym przez moich ludzi doglądane były. Skoro tylko wszystkie rzeczy według listu frachtowego odebrano, rzeczy uszkodzeniu uległe otaksowano na rubli srebrem trzysta i kwotę takową z przypadającej mi należności potrącono. Wtenczas zmuszony byłem sprzedać konie i wozy swoje, abym owych Żydów, którym dłużny byłem osiemset rubli srebrem, mógł zaspokoić. Przez dni trzy trwały kłótnie i spory w oberży, przy czym dług wzrósł znowu do stu rubli srebrem, zanim przystąpili do układów. Czterej Żydzi kapitaliści odjechali mniej więcej zadowoleni; ci zaś, których w Petersburgu nająłem, *per pedes apostolorum* udali się do siedzib swoich.

Cały majątek, jaki obecnie posiadałem, składał się jeszcze z trzech koni, które mi na pamiątkę pełnej trudów podróży i w ostatku pozostały, oprócz smutnych wspomnień o przeszłości i przyszłości całej grubą pomroką przyćmionej.

Błogo temu, co w pokoju pełni swe zajęcia, któremu los sprzyja i z owoców

wej pracy bez narzekania korzystać może. Niestety! Taki niewiele dba o bliźniego, czy mu się źle, czy dobrze powodzi; egoista, samolub, myśli tylko o sobie i sam sobą przez całe życie zajęty.

Biada jednakże takiemu, który wzrokiem pogardy na brata swego rzuca wejrzenie i z ust swych wyrzuca wyraz „niegodny". Ten nawet, którym pogardzasz, jeżeli własne jego sumienie, ten sędzia czynów, myśli i serca, powie mu, że jest niewinnie prześladowany, ten nawet nie zazdrościłby tobie, albowiem kto na cierpienia braci jest nieczuły, temu uczucie prawdziwych rozkoszy obce na zawsze pozostanie.

W chwili tak smutnego położenia mego rozliczne projekty co do przyszłości w myśli swej układałem, między innymi obudziło się we mnie pragnienie powrotu do ojczyzny. Nadzieja, że może tam znajdę to, co w Polsce zdawało mi się być nie do osiągnięcia, ożywiała mnie. Trzy konie miały zaspokoić koszty podróży, aby się dostać do ojczyzny, do której tak tęskniłem. Ale „człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi", przysłowie, do którego filozofowie nawet wagę przywiązywać powinni. Od życia towarzyskiego, od przyjaciół skutkiem częstych podróży zupełnie odwykłem, po powrocie brak stałego zajęcia uplątał mnie w towarzystwa, z którymi obcowanie na złe mi wyszło. Nieoględny, szukałem szczęścia w kartach. I cóż się stało: oto przegrałem trzy konie, całe mienie, jakie naówczas posiadałem; przegrałem nadzieję zobaczenia rodzinnej ziemi. Znów zostałem ogołocony, sam jeden, bez pieniędzy, bez pomocy, z nadzieją tylko, że znaleźć przecież muszę jakie zajęcie; i znów potrzeba nagliła zwrócić kroki swoje ku Warszawie, której się tak zawięcie wyrzekałem.

Pewnego dnia, chodząc pogrążony w myślach po ulicach Warszawy, spotkałem się z dawnym moim faktorem, Berkiem Todes. Powitawszy mnie rzekł: „Mam dla pana dobry interes", jak się wyrażał. Szło o odbycie podróży z rosyjskim oficerem, Wasilim Maksimow, do Piatigorska na Kaukazie. Udałem się z nim na Saski plac do owego oficera w celu porozumienia się.

Przestrzeń drogi, jakąśmy mieli odbyć, wynosiła przeszło dwa tysiące wiorst. Zobowiązałem się odbyć tę podróż w ciągu jednego miesiąca, następnie czterygodnie tamże pozostać, a w trzecim miesiącu powrócić. Mieliśmy jechać bryczką, trzema końmi i za to miałem otrzymać tysiąc pięćset złotych. Pięćset złotych zaraz tytułem zadatku wypłacone sobie miałem, z tych Żydowi faktornego stosownie do umowy dałem złotych sto, a za resztujące czterysta złotych przymuszony byłem kupić trzy konie i bryczkę, gdyż za pięć dni mieliśmy już jechać. W celu nabycia koni udałem się do pewnego Żyda handlującego tymiż, zgodziłem je za pięćset złotych, na rachunek czego zaliczyłem zaraz trzysta, a dwieście przyrzekłem oddać w dniu odjazdu. Dzień 3 kwietnia 1840 roku przeznaczony do podróży nadszedł, ale niestety pieniędzy nie było. Żyd stawił się na słowie, skoro przybyłem na Saski plac, już oczekiwał na mnie, w nadziei odebrania owych dwustu złotych. Upraszałem oficera o forszus, wystawiłem mu przykre położenie, w jakim się znajdowałem względem Żyda, od którego kupiłem konie. Prośba moja nie odniosła pomyślnego skutku, w miejsce rubli dostałem zelżywe słowa; z Żydem nie mogłem się nimi podzielić, albowiem nie chciał ich wziąć za kursującą monetę. Wziął się wtedy do wyprzęgnienia jednego konia, lecz zamiar jego smutnie się zakończył, żołnierze bowiem odepchnęli go od bryczki i kilkoma kułakami przerwali rozpoczętą robotę. Nie pozostało mu zatem nic, jak z zawiedzioną nadzieją powrócić do domu.

Droga z Warszawy prowadziła nas na Uściług, Żytomierz, Kijów, Krzemeńczug, Ekaterynosław i Rostów, gdzieśmy się przez Don przeprawili, a następnie na Stawropol, Gieorgiewsk, stanęliśmy u kresu naszej podróży w Piatigorsku.

Według umowy miałem ujechać sześćdziesiąt do siedemdziesiąt wiorst dziennie, że zaś droga w wielu miejscach była bardzo przykra, przez bagna i trzęsawiska, zaledwie zatem można było czterdzieści wiorst zrobić na dobę. Smutne to były dla mnie widoki, im dłużej podróż trwała, tym bardziej wzrastały koszta na utrzymanie siebie i moich koni, do tego owies niemal codziennie był droższy. Przez kilkanaście dni deszcz padał ulewny, przez ten czas nie miałem sposobności wysuszyć sobie odzieży, droga coraz cięższa stawała się. Ciało moje z powodu takiej wilgoci i zimna wielce ucierpiało, a nie chcąc chorobie ulec zniewolony byłem używać pożywnych pokarmów i rozgrzewających napojów, które w owej okolicy były bardzo drogie.

Po trudach i niewygodach niepodobnych do opisania, przy Bożej pomocy stanęliśmy w Piatigorsku; lecz z moich tysiąca pięćset złotych ani grosza nie zostało. Odzież moja była podarta, żadnej całej koszuli nie posiadałem w mojej garderobie, bez butów, bez pieniędzy, a nawet bez schronienia dla siebie i dla koni pozostałem. Oficer zajął kwaterę u pewnego żołnierza, który był zarazem właścicielem tego domu, mnie zaś samego z końmi pozostawił losowi. Poza domem płynęła szumiąca rzeka, wprawdzie niegłęboka, lecz bystra, na drugiej stronie znajdowała się piękna łąka, na niej pozwolono mi paść moje konie, które w krótkim czasie przyszły do siebie po trudach olbrzymiej podróży. W obecnej porze panowały w tamtej okolicy nadzwyczajne upały, niemal nie do wytrzymania, dla uniknięcia żaru południowego wchodziłem na parę godzin do wody. Z takiej kąpieli mógłbym dwojaką odnieść korzyść, gdyby mi na niezbędnych środkach do życia nie zbywało, miałem bowiem schronienie przeciwko skwarnym promieniom słonecznym, a po wtóre czułem z powiększającego się coraz bardziej apetytu, że wszystkie wewnętrzne części ciała mego (szczególnie żołądek) wzmocniły się przez używanie takich kąpieli. Nic zdaje się nie może być boleśniejszego nad głód, tym bardziej, kiedy nie ma widoku zaspokojenia takowego. Trzysta mil oddalony od Warszawy, w tak smutnym położeniu, wszelkich pozbawiony środków do utrzymania życia, mając przed sobą niepewną chmurną przyszłość, nic dziwnego, że na zdrowiu zapadać zacząłem. Codziennym moim pożywieniem było mleko, garnuszkiem którego gospodarz domu, dowiedziawszy się z zeznań przeze mnie mu czynionych o położeniu, w jakim się znajdowałem, z litości obdarzał i gdyby człowiek ten nie był dla mnie tyle litościwym, nigdy bym zapewnie Warszawy już był nie oglądał. Ze zgryzoty, z kłopotów i braku pożywienia zachorowałem. Gospodarz przewidując dalsze następstwa, jeżeli bez pomocy dłużej pozostanę, opisał oficerowi stan mój, w jakim pozostawałem. Ten był tyle wspaniałomyślny, że ofiarował mi całkowitego rubla srebrem, który w tej chwili miał u mnie większą wartość aniżeli kiedy indziej tysiąc. Najpotrzebniejsze były mi buty, te więc kupiłem sobie za złotych pięć, a resztę zachowałem do czasu późniejszego na życie.

Miałem teraz przynajmniej sposobność obejrzeć miasto, gdzie wnet znajomości pozawierałem, było tam albowiem niemało żołnierzy rodem z Warszawy, którym nie brakowało pieniędzy, a że im najnowszych wiadomości o Warszawie udzielałem, stałem się miłym dla nich gościem i zawsze szczerze byłem podejmowany[7]. I z kolonistami mającymi własne posiadłości w pobliżu miasteczka

poznajomiłem się i odwiedzając raz jednego, raz drugiego nie doznawałem braku środków wyżywienia się.

We wsi Karas zapoznałem się z dość zamożnym kolonistą nazwiskiem Szwagierius, który miał dwie córki na wydaniu: Annę i Karolinę. Te dwie dziewczyny przy każdej sposobności proponowały mi, iżbym u nich pozostał, a nawet kilkakrotnie była mowa o ożenieniu się, lecz to nie mogło pogodzić się z myślą i celami mymi.

Miesiąc upłynął, oficer chciał wracać z powrotem, lecz ja z bryczką potrzebującą reperacji nie mogłem się odważyć puszczać w tak daleką podróż, żądałem więc od niego stu rubli srebrem, tym bardziej że musiałbym jeszcze dokupić trzeciego konia. Zaskarżył mnie, lecz to niewiele pomogło, ja jechać nie mogłem; on wtedy wziął pocztę i odjechał. W pobliżu, stąd o dwadzieścia do trzydziestu wiorst najdalej, znajdowały się źródła wód uzdrawiających, do podobnych przejażdżek bryczki swej śmiało mogłem używać. Ani na odzieży, ani na pożywieniu nie brakowało mi, lecz zima wkrótce zbliżyć się miała, a życzeniem moim było powrócić do Warszawy; lecz trzysta mil odstraszało mnie od tego zamiaru i zdawało się rzeczą niepodobną, abym w tym roku jeszcze ujrzał stolicę Królestwa Polskiego. Jednakże następujące zdarzenie przyszło mi w porę.

Pewien oficer, który z Czernihowa do Tyflisu odstawiał rekrutów, szukał okazji, którą by mógł z powrotem jechać; była to połowa drogi do Warszawy. Tenże oficer przyszedł sam do mnie i ugodziliśmy się na sto rubli srebrem, zadatku otrzymałem rubli pięćdziesiąt. Wyreperowawszy bryczkę i kupiwszy parę koni pożegnałem się z miejscem, gdzie bieda i słońce dobrze mnie wyparzyło. Z pięćdziesięciu rubli nic nie pozostało, a kasa mego oficera składała się tylko z dwóch rubli. Z takimi to zasobami rozpoczęliśmy naszą podróż. Do Stawropola było dwieście wiorst i tak musieliśmy się urządzić, aby pieniądze wystarczyły, gdyż tam oficer spodziewał się odebrać pewną kwotę. Pierwszego dnia ujechaliśmy sto wiorst. Oficerowi pozostał się jeszcze rubel, nim podzielił się ze mną, lecz pół rubla było mało dla mnie i dla moich koni. Tylko miarkę jedną owsa mogłem kupić dla nich, kiedy każdy powinien był dostać całą. Kozacy zamieszkali w tych okolicach są bardzo zamożni i tyle pomiędzy sobą mają zaufania, że własności swych nigdy nie zamykają. Korzystając z tej ich cnoty dałem koniom moim w nocy tyle owsa, ile go same spożyć chciały; niezadługo przecież byłem ukarany za nadużycie cudzego zaufania. Krzywda bliźniego nigdy na dobre nie wyjdzie, niestety, przysłowie to co do oty na mnie się sprawdziło, albowiem jeden z moich koni następnego rana na wszystkie cztery nogi zesztywniał z przejedzenia się owsem. Pomimo choroby konia podróż nie doznała stagnacji i lepiej nam poszło, aniżelim się spodziewał; skoro bowiem krew biegiem poruszona nabrała cyrkulacji, zginęła sztywność członków, tak że wieczorem stanęliśmy w Stawropolu.

Tu nastąpił trzydniowy wypoczynek, albowiem oficer miał w tym mieście przyjaciół wielu i znajomych, ja zaś byłem pewny, że koń mój, kiedy wypocznie, zupełnie wyzdrowieje, lecz nadzieja ta omyliła mnie, tak mu się bowiem pogorszyło, że w chwili odjazdu naszego zostawić go byłem przymuszony.

Kiedyśmy się pod Rostowem przez Don przeprawiali, zaczął deszcz padać i padał dni trzy, gliniasty grunt tej okolicy tak rozmiękczył ziemię, że podróż nasza trzema końmi była niemożliwa. Oficer dał mi pieniędzy tyle, żem mógł

kupić czwartego konia, lecz pożal się Boże, żadnej nie przyniósł mi korzyści, albowiem drugiego dnia zdechł, takim sposobem byłem zniewolony o trzech koniach podróż do Czernihowa odbywać. Kiedyśmy przecie stanęli w miejscu, do któregośmy dążyli, nie tylko że z wynagrodzenia, jakie otrzymałem, nic mi się już nie pozostało, ale byłem jeszcze dłużny oficerowi rubli piętnaście.

Zajechałem do domu zajezdnego żydowskiego, tam w parę dni zgodziłem się z trzema kupcami jechać do Kijowa za rubli dwadzieścia. Pieniądze umówione musieli mi z góry zaliczyć, a po oddaniu długu oficerowi i zaspokojeniu gospodarza odjechaliśmy. Było to w miesiącu listopadzie, w dniu niedzielnym, gdyśmy do Kijowa przyjechali, pasażerom moim dłużny byłem dziesięć rubli, które pożyczywszy natychmiast od oberżysty nazwiskiem Zelik, tymże oddałem.

Od Kijowa miałem jeszcze sto mil do Warszawy, w pierwszych dniach nie znalazłem nikogo, kto by chciał ze mną jechać, i już miałem zamiar sprzedać konie i do Warszawy puścić się pieszo, lecz konie tam prawie żadnej nie miały wartości. Niespodziewanie nawinął mi się oficer od Czerkiesów; on już z Kaukazu chciał jechać ze mną do Warszawy, lecz obawiałem się z takim panem tak odległą podróż przedsięwziąć, teraz zaś z Kijowa było zupełnie co innego. Miał on własny swój powóz, lecz co do zasobów pieniężnych, to na równi z moimi były. Z początku obaj myliliśmy się, gdyż jeden u drugiego spodziewał się znaleźć cokolwiek gotowizny.

Aby pomyłce tej zapobiec, odkryłem mu położenie swoje, zażądawszy zaraz pięćdziesiąt rubli srebrem, albowiem zadłużyłem się na dwadzieścia pięć i dwa konie do odbycia tej drogi kupić musiałem. Przystał na moje żądanie, powóz swój sprzedał za sto rubli, z tych mnie dał pięćdziesiąt, a reszta, jak sam oświadczył, wystarczyć nam miała na koszty podróży. Gdyby nas żadne nadzwyczajne wypadki nie były spotkały, zapewnie bylibyśmy tymi pieniędzmi podróż opędzili, lecz na nieszczęście niespodziewany wypadek pomieszał nam rachubę. Dzień odjazdu wypadł był w niedzielę i kiedy już zaprzęgać miałem, orakowało jednemu koniowi podkowy. Stróża domu posłałem do kowala, po upływie pewnego czasu powrócił sam, bez konia, oświadczył mi, iż tenże wyrwał mu się i nie było można go znaleźć. Czyniłem poszukiwania, gdzie tylko myśl mi nasunęła, lecz nadaremnie, nareszcie ów oficer, zniecierpliwiony oczekiwaniem, środkami policyjnymi znaglił mnie do dalszej jazdy. Nie było co robić, jak kupić od oberżysty konia za sześć rubli, z zastrzeżeniem, iż gdyby się mój znalazł, takowego za mną pośle i swego na powrót odbierze, w tym celu tylko o dwie mile na nocleg stanąć przyrzekłem. O drugiej po północy przyprowadzono mi zbiegłego konia, którego już miałem za straconego, posłaniec odebrał konia swego pana powracając mi moje sześć rubli.

Weseli i zdrowi puściliśmy się w dalszą podróż; miałem teraz cztery własne konie i nadzieję rychłego oglądania Warszawy; ale niestety, nie stało się tak, jak się spodziewałem, oficer nagle zachorował i musiałem go w pobliskim mieście w lazarecie pozostawić. Żądał on zwrotu swoich pieniędzy, lecz że tych nie miałem, przeto ugodziliśmy się, że on moją bryczkę przyjmie w reszcie należności, jaka mu ode mnie przypadała. Celem odjechania do Warszawy zmuszony byłem pozbyć się jednego konia i kupić powózkę, do której zaprzęgłem trzy pozostałe, a przyzwawszy Boga na pomoc ruszyłem dalej. Droga wypadała mi na Łuck, gdzie z niedostatku pieniędzy znowu jednego konia sprzedałem. Stąd małym ekwipażem moim pojechałem do Uścisługa, gdzie

niałem kilku znajomych, od których spodziewałem się pomocy dla odbycia dalzej podróży; nie znalazł się jednak nikt, kto by mi pieniędzy pożyczył, któych do ukończenia podróży potrzebowałem; tu sprzedałem pojazd mój z zaprzęgiem i piechotą puściłem się w dalszą drogę.

Przybywszy na granicę byłem przytrzymany jako podejrzany, nie można tego yło policji brać za złe, powierzchowność moja musiała wzbudzać podejrzenie. Ubiór mój składał się z czapki i burki czerkieskiej, z czerwonych spodni i kozuli czerwonej, lecz kolor ich z powodu długiego noszenia tak był zmieniony, e trudno go było rozpoznać. Bardziej jeszcze zwracało uwagę nieprzyjemne dla nnie towarzystwo, które mimo mego zezwolenia zagnieździło się wewnątrz nojej garderoby. Zrewidowano mnie, lecz nic nie znaleziono oprócz listów wych żołnierzy z Kaukazu, jak niemniej mało znaczące drobiazgi, których nie otrzebowano; puszczono mnie zatem w dalszą drogę.

Na widok pierwszego pogranicznego miasta Horodła [8] zbudziło się we mnie czucie niewymownej radości, mimowolnie padłem na kolana, dziękując twórcy memu, że tak cudownie mną kierował i w zdrowiu do Polski powróić dozwolił. W cztery dni nad wieczorem przybyłem do Warszawy, udałem ię wprost na Nalewki do niejakiego Maszkowa utrzymującego szynk w domu ana Karczewskiego, gdzie dawniej wieczorami schodziłem się z moimi znaomymi. Usiadłem w kącie izby szynkowej, popijając piwo przypatrywałem ię z niechceniem. Wielu tam było z moich znajomych, lecz żaden w ubraniu ym nie mógł mnie poznać, mogłem bez przeszkody pić piwo; wszedł nareszie do izby majster kowalski Thiel, tu już dłużej incognita dotrzymać nie otrafiłem i dałem mu się poznać. Najsamprzód oddałem mu jego dwieście łotych, czym sprawiłem mu wielką radość oddając mu pieniądze, za które nu żona jego tyle nieprzyjemności wyrządzała, a których nie spodziewał się oglądać.

Resztę użyłem dła siebie, kupiwszy odzież, jaka mi była najpotrzebniejsza. Nic więcej mi nie pozostało, jak tylko jedno smutne wspomnienie przebytych ierpień.

Cały ten rozdział mało co pocieszającego w życiu moim wykazać zdołał.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Fortuna w ostatnim półtora roku nie po przyjacielsku postąpiła sobie ze nną. Miesiąc listopad był na schyłku, zima szybko zbliżała się, a ja nie posiałem nic, czym bym mógł przeciwko niej uzbroić się. Nie miałem ciepłego dzienia, widziałem się strąconym na ostatni szczebel niedoli. Aby zapobiec rzeziębieniu się, poszedłem na ulicę Inflancką do piekarza nazwiskiem Schöneld i ten pozwolił mi posłanie urządzić sobie na noc na piecu jego piekarskim.

Taki stan wytrzymałem przez parę tygodni, dopóki mi się nie udało wskuek rekomendacji wejść w stosunki z pewnym kupcem nazwiskiem Zitnik Królewca, który w interesie handlowym przybył do Warszawy. Miał on sto oni na sprzedaż do Królewca, następnie dokupił jeszcze pięćdziesiąt od acapów z saniami i powózkami, naładowanymi lnem i słoniną, które razem o miejsca przeznaczenia dostawione być miały. Zgodził się ze mną, a ja cały ransport składający się z sań i powózek z końmi do tychże należącymi, z do-

daniem nie mniej do tego dwudziestu pięciu koni poprzednio przez niego kupionych, zobowiązałem się odstawić do granicy. A tak cały tabor złożony był z siedemdziesięciu pięciu koni oraz mnóstwa sań i powózek, słoniną i lnem naładowanych.

Na granicy owe siedemdziesiąt pięć koni poprzednio kupionych oddzielnie zostało na transport powierzone niejakiemu Berger. Podróż nasza była przez Pułtusk i Mławę nienajprzyjemniejsza, w tej okolicy wiele śniegu spadło, dlatego też pochód nasz zwolna tylko mógł postępować, zabrakło nam wreszcie obroku dla koni, a len i konopie służyły niekiedy za siano. Bez wielkiego uszczerbku odstawiłem transport z zadowoleniem pana Zitnik nad granicę do dalszej ekspedycji. Berger podobno nie dopełnił sumiennie danego mu zlecenia, kupiec dostrzegł kilka przemienionych koni, wskutek czego zaraz go oddalił, mnie zaś nie tylko że wszystko wypłacił podług umowy, ale jeszcze podarował pięćdziesiąt talarów. Stąd dalszy kierunek oddany został jakiemuś oficerowi; pan Zitnik życzył sobie, abym i ja także towarzyszył mu do Królewca, nie byłem temu przeciwny.

Tu przyjęto parobków Niemców, a Polaków oddalono. Zmiana taka przysporzyła nam wiele pracy, gdyż parobcy niemieccy nie obeznani byli z zaprzęganiem w dugi i tak zaprzęgli konia, że ten wkrótce sam wyprzągł się, poszedł za innymi, a sanie naładowane słoniną stanęły, z których tym sposobem połowę słoniny skradziono. Śnieg był dość głęboki, pomimo to podróży nie można było wstrzymać.

Dnia piątego po odjeździe od granicy stanęliśmy w Królewcu. Kupiec zajęty był więcej końmi, a znalazłszy takowe w dobrym stanie nie wspomniał wcale o ładunku. Dopóki konie nie będą sprzedane, prosił mnie, aby pozostać u niego. Nie mając nic do stracenia przystałem na tę propozycję. W ciągu dwóch tygodni już koni nie było; sowicie wynagrodzony, udałem się z powrotem do Warszawy, a mając w kieszeni parę tysięcy złotych spróbowałem na nowo prowadzić gospodarstwo.

Nająłem odpowiednie mieszkanie przy ulicy Inflanckiej w domu Hoffmanna i podstawą gospodarstwa mego była jedna dorożka i cztery konie. Szło mi z początku nieźle, albowiem w krótkim czasie kupiłem drugą dorożkę i cztery konie. Odbywałem podróże z różnymi osobami za granicę, jak również transportowałem towary do Poznania, Kijowa i Petersburga.

Tak upłynęło lat cztery, nie mogłem narzekać na niedostatek, albowiem korzyści odnoszone z zajęć, jakie wyżej wskazałem, polepszyły gospodarstwo moje. Na święty Jan 1844 roku wziąłem na powrót do siebie siostrę swoją do zarządu domem, albowiem dość często przedsiębiorąc podróże potrzebowałem osoby, na której bym mógł polegać, gdyż ludzie najęci do dorożek często mi się sprzeniewierzali.

Było to jakoś w porze wiosennej 1845 roku, po powrocie do domu z podróży odbytej z pewnym państwem dowiedziałem się, że dwóch rosyjskich duchownych z Petersburga już od kilku dni dowiadywało się o mnie w celu najęcia ośmiu koni do własnego powozu dla odbycia podróży do Wiednia.

Dzień naprzód przed powrotem moim do Warszawy niejaki Michał Markiewicz zobowiązał się osiem tych koni dostarczyć, lecz tylko do Krakowa, skąd do Wiednia łatwiej im było dostać się. Dowiedziawszy się o tym udałem się do hotelu Wileńskiego[9], gdzie duchowni ci stali, chcąc się z nimi względem

ej podróży porozumieć. Uprzejmie mnie przyjęli, tym bardziej iż posiadając ęzyk niemiecki tymże językiem mogłem się z nimi rozmówić, ugodziłem się v końcu wprost z nimi do Wiednia jechać. Głównie mi szło o Markiewicza, ale ez wielkich trudów porozumiawszy się z nim interes na swoją stronę pokierovałem. W tej chwili miałem tylko cztery konie, potrzeba mi było jeszcze ztery dokupić; ponieważ zaś gospodarz mój handlował końmi, kupiłem od iego owe cztery konie za dwa tysiące złotych, lecz gotówki zaraz nie dałem.

Gdy już wszystko do podróży było przygotowane, zaprzągłem konie i w niezielę opuściliśmy Warszawę. Jechaliśmy zdrowo i wesoło, bez żadnych wyadków, i we środę stanęliśmy w Krakowie. Po dwóch dniach wypoczynku uściliśmy się w dalszą drogę do Wiednia. Szóstego dnia po wyjeździe z Warzawy stanęliśmy u celu podróży. Najęliśmy mieszkanie w części miasta wanej Leopoldstadt, w oberży „Pod Złotą Wiewiórką".

Wszystko, co w mieście tam było godne widzenia, nie uszło naszej baczności, awiasem wspomnieć muszę, że tam odgrywałem ważną rolę.

Pasażerowie moi zamierzyli jechać do Neapolu, namawiali mnie, ażebym ch nie opuszczał. Powodem żądania tego było to, iż żona jednego z duhownych, którą niezbyt dawno poślubił, nie chciała innego woźnicy prócz nnie, gdyż z nią po rosyjsku rozmawiać mogłem.

W Wiedniu uważany byłem przez nich jak krewny, w ciągu ośmiu dni aszego tu pobytu dzieliłem z nimi wszelkie zabawy, przy jednym stole jadem i piłem, a nawet w jednym z nimi pokoju sypiałem. Codziennie namaviali mnie, abym z nimi jechał do Neapolu, lecz podróż na Kaukaz z pamięci eszcze mi nie wywietrzała. Aby po raz drugi nie dozwolić się podobnie jak vówczas w pole wyprowadzić, należało mi najsamprzód obznajmić się doładnie z całą drogą i miejscowością.

W Wiedniu znalazłem pewnego obywatela, który się trudnił podobnymi rzedsiębiorstwami, umówiwszy się z nim przyrzekłem przybyć do niego duchownym, który potrzebował ośmiu koni do Neapolu. Przedstawiwszy noim duchownym, że tej podróży podjąć się nie mogę z przyczyny, iż nie viem, ile za nią mam żądać wynagrodzenia, napomknąłem im nieznacznie, iż ależałoby się poinformować w tym przedmiocie u takiej osoby, która się odobnymi interesami zatrudnia. Starszy duchowny przystał na to, udał się e mną do owego obywatela, którego zapytałem, ile by żądał za wynajęcie śmiu koni do Neapolu, w krótkich słowach dałem mu do zrozumienia, że to est osoba, na której można coś zarobić, miałem bowiem tę korzyść, że duhowny ten nic po niemiecku nie rozumiał. Za osiem koni żądał tenże obyvatel dwieście pięćdziesiąt dukatów; mnie przyrzekł dać dziesięć, jeżeli intees, który mu nastręczam, przyjdzie do skutku na jego korzyść.

Przybywszy do hotelu duchowny mój oświadczył swej żonie, że konie będą osztować dwieście pięćdziesiąt dukatów. Ona zwróciwszy swą mowę do nnie rzekła: „Pragnęłabym, abyś pan lepiej te pieniądze zarobił, zamiast wustu pięćdziesięciu daję panu trzysta dukatów. Bez namysłu przystałem a tę propozycję i otrzymałem sto dukatów zadatku. Z pieniędzy tych odesłaem w liście panu Hoffmann do Warszawy należność za wzięte od niego ztery konie; myślę, że musiał ucieszyć się, biorąc dług mój za przepadły.

Po przyprowadzeniu do skutku tak pomyślnego dla mnie interesu, poszedem do oberżysty, opowiedziałem mu szczegóły rozmowy, a będąc w dobrym

humorze kazałem dać dwa zajdele wina. Zaledwiem skończył moje opowiadanie, kiedy do pokoju, w którym siedzieliśmy, wszedł ów obywatel; lecz gospodarz mu oświadczył, że przychodzi za późno, albowiem podróży tej ja się podjąłem nie za dwieście pięćdziesiąt, ale za trzysta dukatów. Rozgniewany, z obrażonej miłości własnej zemstę swoją pragnął na mnie wywrzeć. Niewiele myśląc udał się do księdza, ofiarowując mu ośm koni za dwieście dukatów, lecz tym razem nic nie wskórał. Żona tego duchownego, będąc naówczas obecną, powiedziała krótko w dwóch słowach: „Nie potrzebujemy pańskich koni, choćbyś je bez pieniędzy chciał nam dostarczyć". Ów obywatel, nie posiadając się ze złości, byłby sobie włosy rwał z głowy za to, że tak podstępnie został przeze mnie w pole wyprowadzony, ale poznawszy, iż zemsta żadnej nie przyniesie mu korzyści, zwinął chorągiewkę i do domu powrócił.

Nie było wieczoru, abym ze swoim duchownym nie poszedł do teatru lub na inną zabawę i w ogólności przez cały dzień nie opuszczałem jego towarzystwa, służąc wszystkim za tłumacza. Konie moje także kosztem pasażerów były utrzymywane, było to życie najprzyjemniejsze przez te osiem dni, sowicie mi wynagrodziło trudy i straty, jakie poniosłem w podróży kaukaskiej.

Zwiedziwszy to miasto cesarzów ze wszystkimi jego osobliwościami puściliśmy się w dalszą drogę na Mester, gdzie trzy dni przeznaczone były na wypoczynek. Pozostawiwszy powóz i konie przeprawiliśmy się łodzią na drugą stronę morza do Wenecji, w tym to mieście pozostaliśmy dni trzy, dla zwiedzenia wszystkich jego osobliwości. Wenecja zasługuje na uwagę z powodu znakomitego handlu morskiego, miasto nader ożywione i podobnie jak Amsterdam na fundamentach z pali wybudowane. Jest tu wiele wspaniałych gmachów, obszerny plac ze wspaniałym kościołem Świętego Marka, jak niemniej odznaczające się gustem i przepychem pałace, pomiędzy którymi na szczególniejszą zasługuje uwagę z artystycznej architektury pałac Dożów.

Po trzydniowym pobycie, zwiedzeniu wszystkiego, co godne widzenia, przeprawiliśmy się z powrotem do Mester, celem dalszej podróży.

Stąd udaliśmy się bez wypoczynku przez Ferrarę, Bolonię, do Florencji, gdzie znów trzy dni przeznaczyliśmy na zwiedzenie tego, co było tam godne widzenia.

Stąd udaliśmy się do Rzymu i w tej stolicy katolickiego świata bawiliśmy przez dni sześć, dla dokładnego zwiedzenia osobliwości państwo moi przyjęli na ten czas Szwajcara, który Rzym znał dobrze. Ten więc oprowadzał nas codziennie po mieście, opisując szczegółowo każde gmachy i wszystko.

Kościół Świętego Piotra najwięcej był godny widzenia, jest to obszerny gmach, który tak z zewnątrz jak i wewnątrz pełen jest arcydzieł sztuki najsławniejszych mistrzów. Za wiele znajduje się w tym starożytnym mieście osobliwości, ażeby takowe po szczególe wyliczać, nie było to zamiarem mojego pisma.

Po sześciodniowym pobycie, doznawszy najprzyjemniejszych wrażeń, pożegnaliśmy Rzym, zdążając do celu naszej podróży, do któregośmy trzeciego dnia przybyli.

W Neapolu obszerny gmach przeznaczono duchownym na mieszkanie, który zarazem służył im za rosyjską cerkiew, mnie zaś oddano dwa umeblowane pokoje, a konie zostały umieszczone w piwnicy.

Całe trzy tygodnie bawiliśmy w najpiękniejszej okolicy Europy. W tym czasie zwiedziłem w tym miejscu wszystko, co tylko było godne widzenia. Widziałem górę Wezuwiusza w chwili wybuchu, z wypływem lawy, następnie okazano nam zapadnięte miasta: Pompeję i Herkulanum, okazale i z przepychem zbudowany zamek królewski, niemniej teatr Karola i wiele innych godnych widzenia osobliwości. Zdaje się, iż Neapol i jego okolice pod względem swych piękności najpierwsze miejsce w całym świecie otrzymać powinny. W ciągu tego czasu pasażerowie moi starali się o ile możności czas mi uprzyjemnić i namówić, iżbym u nich przez lat trzy pozostał, a potem razem z nimi powrócił; nawet wchodzili ze mną w ugodę i obiecywali mi stałą pensję: po dwa tysiące rubli asygnacyjnych rocznie. Na ten raz namowie ich nie uległem. W Neapolu nie znalazłem nic, co by mnie do niego przywiązać mogło, sprzedałem konie, za które dobrze mi zapłacono, zakupiłem wiele wyrobów z lawy w złoto oprawnych, jak to: naparstków, spinek większych i mniejszych, zegarków damskich itp. Wielką chęć miałem odwiedzenia Jerozolimy, lecz musiałem odmówić sobie tej przyjemności, gdyż pora roku była już za późna. Październik bowiem nadchodził. Drugi projekt podróży mojej rozbił się równie jak pierwszy: chciałem udać się statkiem parowym do Marsylii i zwiedzić Liworno, Genewę i Tulon; a następnie z Marsylii przez Hamburg i Berlin wrócić do Warszawy. Już statkiem parowym na pełne morze wypłynęliśmy, na którym to statku znajdowało się sto pięćdziesiąt podróżnych, kiedy złośliwy żywioł zagroził nam zagubą. Straszliwa wzmogła się burza, morze nagle pienić się zaczęło, a statek raz unosił się na grzbiet piętrzących się w górę bałwanów, to znów wpadał w głębię, kołysząc się pomiędzy bałwanami z jednej strony na drugą. Okropny był widok słyszeć rozpacz i narzekanie przerażonych podróżnych, gdyż znikąd nie spodziewaliśmy się ratunku. Zmieniłem plan podróży mojej i postanowiłem sobie, że jeśli mnie Opatrzność z niebezpieczeństwa utraty życia wyprowadzi, nigdy podobnej podróży na tym zdradliwym żywiole nie przedsięwezmę. Przecież Bóg wysłuchał modłów naszych, dozwolił wynaleźć nam przystań i wszyscy szczęśliwie przybyliśmy do portu. Jak się to miasto nazywa, które nas przyjęło w swoje objęcia, z żalem wyznać muszę — nie pomnę, lecz zdaje się, że albo Moneglia, albo Lavagad.

Stąd przez Mediolan udałem się do Wenecji, gdzie wsiadłem na parowy statek i przez Golf (zatokę morską) do Triestu przeprawiłem się w ciągu dziesięciu godzin.

Po paru dniach wypoczynku udałem się do Wiednia; podróż tę odbyłem szczęśliwie. W Wiedniu odnowiłem znajomości za pierwszą bytnością zawarte i po kilku dniach pobytu odjechałem drogą żelazną do Krakowa. Tu nie mogłem się długo zatrzymywać, gdyż radość widzenia się z krewnymi tak mnie opanowała, iż pragnąłem jak najśpieszniej stanąć pośród nich.

Po powrocie radość ze wszystkich stron była serdeczna, szczególniej siostry mojej, która nie mogła się uspokoić z radości widzenia się ze mną po tak długim rozłączeniu. W podróży tej fortuna postępowała ze mną jak z rodzonym swoim synem. Jakaż była sprzeczność z wyprawą na Kaukaz! Dziś przybyłem jak pan, z drogocennymi rzeczami, a w kieszeniach w holenderskie lisy[10] zaopatrzony; wówczas zaś zmuszony byłem ciemną nocą, jak obszarpany żebrak, z całą zgrają najobrzydliwszych towarzyszy przez rogatkę do miasta

się wkradać. Pozostałe pieniądze włożyłem w gospodarstwo, zakupiwszy zaraz dwie dorożki i potrzebne do nich konie.

Zamysły moje ziściły się podług życzenia, zdawało się, jakoby wszelkim usiłowaniom moim niebo błogosławieństwem swym wynagradzało. Zima szybko zeszła, żadne szczególniejsze wypadki nie zdarzyły się.

Na wiosnę przybył ekstrapocztą z Petersburga do Warszawy cesarsko-rosyjski jenerał, nazwiskiem Nieszejow; ten chciał jechać do Eger pod Karlsbadem, miał własne dwa powozy, pragnął tylko nająć do nich osiem koni. Polecony mu zostałem przez jenerała Abramowicza [11], kazał mnie do siebie poprosić; jakoż wkrótce zawarta została pomiędzy nami umowa, że ośmioma końmi i lekkim powozikiem miałem go odstawić do Berlina. Wszystkim warunkom umowy zadosyć się stało, przyjechaliśmy do tego miasta; tu nowy zawarliśmy pomiędzy sobą układ, według którego zobowiązałem się jechać z nim przez Drezno, Cieplice, Karlsbad do Eger.

Podróż tę odbyłem bez przeszkód. Chciałem konie swoje sprzedać i pocztą do domu powrócić, ale ów jenerał zaproponował mi, iżbym przez dwa miesiące w miejscu pozostał i z nim powrócił. Ponieważ to był czas używania wód mineralnych, w którym rozwożąc przybyłych gości spodziewałem się zarobku, przystałem na tę propozycję. Dobrze mi się powiodło, na obstalunkach nie brakowało i bez przerwy miałem zarobek. I tak podejmowałem się podróży z Eger do Karlsbadu, stąd do Marienbadu lub Budy a nawet do Pragi czeskiej. Wreszcie owe dwa miesiące upłynęły; przysposobiwszy wszystko do podróży, wróciliśmy tą samą drogą do Warszawy.

Po przybyciu do tegoż miasta jenerał okazał mi swoje zadowolenie, wynagradzając sowicie moje trudy. Gospodarstwo moje polepszało się, gdyż o ile tylko mogłem, starałem się takowe powiększać, a to celem osiągnięcia z niego coraz to większych korzyści. Los od kilku lat był dla mnie stały, mogłem się spodziewać jego odmiany wcześniej lub później. Zmiana ta niedługo nastąpiła. Siostra moja, dotąd z prawdziwą troskliwością zajmująca się domowym gospodarstwem, zawarła śluby małżeńskie i dom mój opuścić musiała.

Zazwyczaj doznajemy przykrych wrażeń w chwili, gdy na nas, od kilku lat przyzwyczajonych do niezajmowania się wcale gospodarstwem domowym, takowe całym ciężarem na nas spadnie; a nadto jeżeli oddajemy zarząd tegoż obcej osobie, o której rzetelności nie mamy jeszcze przekonania.

Wprawdzie mogłem i ja, stosownie do swego wieku, wynalazłszy dla siebie przyzwoitą osobę i rządną gospodynię, zawrzeć z nią śluby małżeńskie, miałem już bowiem skończonych lat trzydzieści jeden wieku, lecz gospodarstwa swojego nie widziałem jeszcze na takiej stopie, abym z niego przyszłą rodzinę moją przyzwoicie mógł utrzymać. Kiedym u równych sobie, w stanie małżeńskim będących, widział brak funduszów, wówczas zwykle ogarniała mnie niechęć do tego stanu i wolałem wolny pozostać dopóty, dopóki los mój nie polepszy się. Zaledwie upłynął rok od zamęścia siostry mojej, niespodziewanie zaproponowana mi została za żonę piękna i bogata wdówka, przy ulicy Gołębiej [12] zamieszkała. Piękna, bogata, jeszcze przy ulicy Gołębiej zamieszkała, zapewnie także uprzejma. Nie wypadało mi nic więcej, jak tylko o ile możności osobiście ją poznać. Przyjęła mnie z grzecznością,

prosiła siedzieć i zgodnie z życzeniem moim opowiedziała mi o pierwszym mężu swoim.

Miał w roku 1831 służyć w wojsku polskim jako oficer, od tego czasu już go nie widziała, lecz według otrzymanych wiadomości o śmierci jego zupełne miała przekonanie, a skutkiem tego była wolna i miała prawo zawarcia powtórnego małżeństwa. Ożenienie się nie było dla mnie tak nagle potrzebne, jednakże przyszedłem oznajmić jej wkrótce o postanowieniu swoim.

W tym to czasie wybuchła wojna węgierska, a w Warszawie poszukiwano podwód pod transport prowiantu dla armii rosyjskiej do Węgier. Z niejakim panem Braumann, mającym zlecenie uskutecznienia dostaw, zawarłem kontrakt na sześć bryk czterokonnych, za które co miesiąc miałem pobierać po tysiąc osiemdziesiąt rubli.

Interes był dobry, lecz ja zobowiązałem się podróż wspólnie z nim odbywać, a tym samym wypadało gospodarstwo swoje w obce ręce oddać. Lecz i temu potrafiłem zapobiec. Bez namysłu udałem się na Gołębią ulicę, przedstawiłem proponowanej mi żonie zamiary swoje, prosząc, iżby podczas mej nieobecności gospodarstwem moim kierowała, a zarazem oświadczyłem, że jeżeli los pozwoli mi powrócić, natenczas pomówimy z sobą o bliższym związku. Przystała na mą prośbę i niezadługo wprowadziła się do mego mieszkania. Było to około świąt wielkanocnych, a doręczając mi złotych pięć tysięcy wywiązała się z pokładanego przeze mnie zaufania do niej.

Za te pieniądze obstalowałem dwa powozy, a za resztę kupiłem koni: aby gospodarstwo ciągle w ruchu zostawało.

Zaraz po świętach wyszedł rozkaz ruszenia w drogę, mianowicie do Lublina, skąd z ładunkiem owsa udaliśmy się do Tarnogrodu, gdzieśmy główny magazyn w Dukli będący dotąd w prowiant zaopatrywali, dopóki armia rosyjska granicy nie przeszła; po przejściu której postępowaliśmy za armią z zapasami. Udaliśmy się do Kaszowy, tam przez pięć dni w gołym polu pozostawaliśmy. Deszcz nieustannie padał, tak żeśmy zupełnie przemokli. Cholera grasowała straszliwie, porywając swe ofiary, do tego brak żywności stawiał nas w okropnym położeniu.

Dla koni mieliśmy żywności do zbytku, gdyż wieźliśmy owies dla kawalerii. Gdyśmy siedzieli pewnego wieczoru przy ognisku obozowym, kozak sprowadził nam jedną owcę, a parobcy moi zawinęli się w chwili do jej zabicia, oprawienia, a następnie przyrządzenia przy ognisku; lecz niecierpliwy żołądek nie dozwolił się mięsu ani dopiec, ani dogotować, a tak wpół surowo, zgłodniali, spożyliśmy takowe, ja sam zjadłem spory kawałek; niezadługo pragnienie czuć nam się dało, a pomimo że woda w tej okolicy zaledwie zdatna była do picia, przecież nam smakowała; nie pomyśleliśmy o grasującej strasznej chorobie. Po upływie dwóch godzin okropne jej skutki czuć nam się dały, obawa bardziej je zwiększała, tak że nim zdniało, wszyscy bez wyjątku walczyliśmy z cholerą. Jeden z moich parobków nie dożył dnia, inni wyszli z tej choroby po wytrzymaniu przez dłuższy lub krótszy czas okropnych jej skutków. Koniec życia mego zdawał się być bliski, bóle kurczowe żołądka mego powiększały się; z trudnością zdołałem zawlec się do pobliskiego miasta, do majstra kowalskiego, który kuł moje konie. Żona jego pochodziła z Polski, zaraz się poznała na chorobie, jaka mnie dotknęła, odstąpiła mi natychmiast małą izdebkę opatrzoną w łóżko, w które się położyłem. Szcze-

rze wzięła się do mojej kuracji, nie szczędząc swych trudów; to ryżem, to rozmaitymi rozgrzewającymi napojami, a szczególniej wybornym czerwonym winem tak mnie karmiła, żem przyszedł do zdrowia. Jakoż wyznać muszę, że tylko nadzwyczajnej troskliwości i poświęceniu się tej dobrotliwej kobiety zawdzięczać musiałem, że trzeciego dnia zdrów i wesół opuściłem łóżko. Wojsko tylko co opuściło obóz i my z nim, to w prawo, to w lewo, przy grzmocie armat i wystrzałach karabinowych, za takowym postępowaliśmy; aż nareszcie po czterech miesiącach nastąpił koniec wojny. Wszystko, co tylko w wozach i koniach stanowiło własność moją, spieniężywszy, pocztą do Warszawy powróciłem.

Gospodyni moja nowa z powrotu mego nader była ucieszona, żem zdrów bez żadnego szwanku powrócił z wojaczki.

W tym czasie zaczęto rozbierać domy przy ulicy Inflanckiej na rozprzestrzenienie promienia Cytadeli, że zaś mój dom był przy tejże ulicy, wypadało mi się postarać o inne mieszkanie. Do zajazdu Białostockiego przy ulicy Bielańskiej przeniosłem się [13]. Gospodarstwo moje znajdowało się w dobrym stanie, posiadałem cztery dorożki, jeden powóz, trzy bryki frachtowe, kilka sanek i ze dwadzieścia dobrych koni. Wszystko, co tylko zarobiłem, było moją własnością, gdyż żadnych długów nie miałem. Cały rok tu mieszkałem bez doznania wypadków, które by mi tamowały bieg pomyślny mego gospodarstwa, jednakże zagrażało mi znowu nieszczęście, które o mało że mnie do szczętu nie zrujnowało. Jednego wieczoru ludzie moi według zwyczaju na górę pomiędzy siano spać się udali, jeden z parobków wyjął świecę z latarni, przylepił ją do stojącego tam łóżka i zasnął. Po upływie godziny siano zaczęło się palić, a następnie cała stajnia; z saniami, z zaprzęgiem na wszystkie konie i wielu jeszcze innymi rzeczami stała się pastwą płomieni i zaledwie z narażeniem własnego życia konie wyratować zdołano. Oprócz tej straty, jaką ja poniosłem, inni lokatorzy w dziedzińcu domu tego zamieszkali z powodu pożaru na znaczne szkody byli narażeni; a że pożar wynikł z nieuwagi moich ludzi, poszkodowani żądali ode mnie wynagrodzenia za poniesione straty.

Aby nie postradać tym sposobem wszystkiego, co ogień oszczędził, udałem się z moją gospodynią do pisarza aktowego Noskowskiego i przed tymże całą moją własność na jej imię przepisałem, w tej myśli, że nikt do przedmiotów pozostałych, jako jej własności, nie mógł rościć żadnej pretensji. Takim rodzajem spekulacji nic sobie nie polepszyłem i może bym korzystniej był wyszedł, gdybym poszkodowanym szkody ich wynagrodził.

Po tym nieszczęśliwym wypadku przeniosłem się na ulicę Nalewki do domu niejakiego pana Hempla, tu się spostrzegłem, jak nierozważnie postąpiłem, zapisując własność moją na imię gospodyni. Odtąd bowiem wszystko, co posiadałem, za swoją własność uważać zaczęła; przy każdej sposobności okazywała mi prawdziwy swój charakter, z którym się dotąd potrafiła kryć przede mną.

Śmiało bez żadnego względu utrzymywała, że całe gospodarstwo jej jest wyłączną własnością, że nikt nie ma prawa onym dysponować. Było to dla mnie nieznośne, musiałem się zdecydować na cokolwiek bądź, gdyż mieszkać z podobną osobą pod jednym dachem byłoby rzeczą niepodobną. Aby się raz na zawsze od tej poczwary uwolnić, zniewolony byłem wejść z nią w ukła-

dy i tym tylko sposobem jej się pozbyłem, że po większej części własność moją, wartującą najmniej dziesięć tysięcy złotych, byłem przymuszony od niej odkupić. Przy odbiorze tych pieniędzy zniewoliłem ją do podpisania deklaracji urzędownie sporządzonej, że do mnie żadnych nie ma pretensji ani takowych pod jakim bądź pozorem rościć do mnie w przyszłości nie będzie.

Doświadczenie, jakiego z okoliczności tej nabyłem, uczyniło mnie roztropniejszym na przyszłość i doprowadziło mnie do tego sądu o rzeczach, że dopóki gospodarstwo moje nie będzie utrzymywane przez osobę ściśle ze mną złączoną, dopóty wszelkie usiłowania moje posiadania wyłącznie swojej własności staną się nadaremne.

Mienie moje znajdowało się w dobrym stanie i niemal codziennie wzrastało, mimo to czułem jakiś brak, gdyż nie było ani jednej osoby w domu, która by na zaufanie moje zasługiwać mogła. Wreszcie postanowiłem sobie stanowczo zmienić stan kawalerski i od tej chwili składam codziennie dzięki Najwyższemu Stwórcy, iż postanowienie to do skutku przyprowadziłem i że Bóg w małżeństwie tym opieki swej mi nie odmówił.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W marcu 1851 roku zawarłem związki małżeńskie.

Tegoż samego roku wziąłem w dzierżawę nieruchomość przy ulicy Bielańskiej, w której mieścił się zajazd furmański zwany Białostocki. Kontrakt zawarty został na lat sześć, czynszu dzierżawnego płacić zobowiązałem się rocznie sześć tysięcy pięćset złotych. Podówczas nieruchomość ta małe miała znaczenie, gdyż oprócz niewielkiego domu mieszkalnego obejmowała plac w podwórzu dla bryk furmańskich i stajnie dla koni.

Jak zawsze z każdego przedmiotu tak i z tej dzierżawy starałem się najwyższe osiągnąć korzyści, skutkiem tego natychmiast urządziłem dziewięć numerowych pokoi dla podróżnych, sklep do szynkowania trunków, a w krótkim czasie mieściła się już kawiarnia z bilardem. Tym sposobem dom ten zupełnie nową przybrał postać, jak niemniej stajnie dla koni przerobić kazałem, studni nadałem inny kształt i tym podobne uczyniłem ulepszenia.

Pan Kurella, dotychczasowy właściciel tejże nieruchomości, był bardzo zadowolony z mych urządzeń i uskutecznionych ulepszeń, zadowolenie swoje tym mi okazał, że sam dobrowolnie przyrzekł mi kontrakt dzierżawy na dalsze lat cztery przedłużyć.

Po upływie lat czterech nabyłem mały domek na Muranowskim[14] za dziesięć tysięcy złotych, gdy jednak przyszło do spisania kontraktu urzędowego przed rejentem, tenże rejent wykazał, że dom ten obciążony jest długiem dwanaście tysięcy złotych, zwrócił mi zarazem uwagę swoją, że skoro bym go chciał nabyć, musiałbym także długi na siebie przyjąć, oświadczyłem rejentowi, że przystaję na to. Gdy z przepisaniem własności załatwiliśmy się, koszta stempli i spisanie kontraktu zaspokoiłem, udałem się z byłym właścicielem i żoną jego na kufelek piwa, a tym samym za dwa kufle piwa stałem się właścicielem domu. Obok niego położony był plac bardzo zadłużony, który także nabyłem za cztery tysiące złotych; na nim, jeśli czas i okoliczności na to pozwolą, wielkie zabudowanie postawić by można było.

W rok później znowu Cytadela miała być rozprzestrzeniona i w tym celu niektóre domy w bliskości rogatek marymonckich położone przeznaczone zostały do rozebrania; pomiędzy nimi znajdował się wielki młyn, na dole deptak, a na piętrze wiatrak. Młyn ten, który niegdyś do pana Uhl należał, kupiłem za niską cenę na materiał budowlany. Na nabytym placu wystawiłem wielki budynek na młyn, oficynę o jednym piętrze i stajnię na konie, jednakże wszystko tak było stawiane, iż uważać je należało za zabudowania od tyłu położone.

Gdy młyn został ukończony, zakupiłem koni, pszenicy, nająłem czeladników młynarskich i młyn w ruch wprowadziłem. Każdy początek jest trudny, tak mówi przysłowie, i ja rzeczywiście doznałem skutków tego przysłowia, gdyż nie mając wyobrażenia o młynarstwie, prowadząc takowe za pośrednictwem obcych ludzi, byłem z początku zmuszony wszystko za prawdziwe uznawać, co mi oni powiadali. Musiałem nieraz być cierpliwym, albowiem nie z jednym młynem tylko miałem do czynienia, lecz musiałem kierować jeszcze gospodarstwem przy ulicy Bielańskiej. Wprawdzie doznałem później ulgi co do młyna, albowiem Żydzi umówili się ze mną, że własną pszenicę do młyna dostarczać, mnie zaś pewnym procentem wynagradzać będą. Z obydwóch gospodarstw korzyści były wielkie, na wszystko sam baczne oko dawałem; wszystkie rachunki przeze mnie były prowadzone, wprawdzie niejedną noc bezsennie przepędziłem, lecz dzięki Wszechmocnemu zawsze w zupełnym zdrowiu.

Tak przez lat trzy młyn w ciągłym był ruchu. Następnie powzięto zamiar dalszego rozszerzenia Cytadeli i zgodnie z planem połowa ulicy Konwiktorskiej, czyli zabudowania z jednej strony tejże ulicy stojące, publicznie sprzedane do rozebrania zostały.

Znów znalazła się dla mnie sposobność zrobienia dobrego interesu, przy młynie moim potrzebowałem wystawić dom frontowy. Za czternaście tysięcy złotych kupiłem dom wielki z dwiema oficynami, z warunkiem uprzątnienia takowego w ciągu dwóch miesięcy. Kupno to uczyniłem w zimie, mróz był silny, dochodził do 22 stopni R^{a}, wskutek czego trudno było dostać robotnika; lecz ja płaciłem dobrze, to i dosyć ludzi znalazłem. Materiał kazałem zwieść na miejsce własnymi końmi, co było dla mnie nader łatwe, gdyż sanna była po temu, tak że w terminie rozbiórka zupełnie ukończona została.

Z wiosną rozpocząłem budowę i wyznać muszę, że wszystko spiesznie postępowało, albowiem na święty Michał dom frontowy i dwie oficyny pod dach były wyprowadzone. Dotąd dawałem sobie radę, lecz gdy źródła moje pieniężne zupełnie się wyczerpały, zacząłem się martwić, iż żadnego procentu od wyłożonej gotowizny pobierać nie mogę, jedynym środkiem było budowę jak najspieszniej ukończyć.

W tym położeniu udałem się do niejakiego pana Stenglewskiego, od którego uzyskałem pożyczkę trzydzieści tysięcy złotych, pod warunkiem, że jeżeli sumy tej do dnia pierwszego lipca nie zwrócę, cały dom stanie się jego własnością. Wewnętrzne roboty około domu mego z pośpiechem wykonywano, aby wszystko przed wyznaczonym terminem zupełnie ukończone być mogło, tak iżbym był w możności zaciągnięty dług na hipotekę nieruchomości, wysoką teraz wartość mającą, w oznaczonym terminie panu Stenglewskiemu uiścić.

Usiłowania moje pomyślnym uwieńczone zostały skutkiem, gdyż dom mój stanął, jeszcze na osiem dni przed terminem zupełnie wykończony. Pomimo starań nikt przecież nie znalazł się taki, który by mi na pierwszy numer hipoteki potrzebnej pożyczki był udzielił. Położenie moje było pełne rozpaczy, wszelkie nadzieje moje wniwecz się obróciły, jeszcze tylko dni cztery, a cała budowa zginie dla mnie na zawsze! Wszystkiego próbowałem i tam, gdzie tylko iskierka nadziei zabłysła, nie żałowałem starań i zabiegów, lecz wszystko było nadaremnie. Zdarzyło się, jakby los najsroższym ciosem chciał mnie zgnębić, gdyż nawet siostra żony mojej, mająca leżącą gotowizną dwakroć sto tysięcy złotych, zamknęła dla mnie swe współczucie. Jedna tylko ufność w Bogu pozostała mi i ta nie dozwoliła mi, abym legł pod ciosem rozpaczy. Długie doświadczenie wzmocniło we mnie ufność moją w Opatrzność Boską, gdyż często sprawdzało się na mnie owo prorocze przysłowie: „gdzie nędza największa, tam pomoc Boska najbliższa", czemuż i dzisiaj nie miałem z całą siłą wiary ufać w takową i skutków jej z pokorą oczekiwać.

Gdy powróciłem do domu po bezskutecznym poszukiwaniu dla siebie pomocy, wchodzi do mnie niespodziewanie pan Fukier ze Starego Miasta [15], że zaś go mało osobiście znałem, nie podobna było dla mnie odgadnąć powodu jego przybycia. Po krótkim przywitaniu zapytał mnie dość obojętnie, czy rzeczywiście znajduję się w potrzebie wypożyczenia pieniędzy, gdyż o tym dowiedział się potocznie.

Opisałem mu położenie moje w krótkości, prosząc, iżby mnie z chwilowego kłopotu wyż. wzmiankowaną sumą wyratował. Bez namysłu pożyczył mi nie tylko trzydzieści, ale pięćdziesiąt tysięcy złotych.

Oby Bóg tysiąckrotnie wynagrodził go za to i błogosławił go ciągle dobrym zdrowiem i niezachwianą niczym pomyślnością, gdyż tego, czego żaden znajomy ani krewny nie uczynił, on obcy to dopełnił.

Pierwszą czynnością moją było oddać zatwardziałemu wierzycielowi mojemu, Stanglewskiemu, one trzydzieści tysięcy złotych; a tak z łaski pana Fukiera cały majątek mój uratowałem.

Takim sposobem posiadałem teraz dwa znakomite gospodarstwa, młyn szczególnie wiele mnie trudów nastręczał, gdyż musiał być w ciągłym ruchu utrzymany; stagnacja bowiem onego, z powodu użycia koni, była zawsze z podwójną stratą dla mnie połączona. Zarząd podobnego młyna, gdy ma być administrowany korzystnie, nawet wykwalifikowanemu młynarzowi wiele nastręcza trudów i kłopotów.

Staraniem swym doprowadziłem interesa swoje do coraz lepszego stanu, skąd nowe korzyści osiągałem. Będąc właścicielem zajazdu, miałem sposobność pogadać nie raz z rozmaitymi osobami, a szczególnie takimi, które liczne podróże odbywać musiały. Wielu uskarżało się na złą komunikację w bliższych okolicach Warszawy, że rzadko kiedy znaleźć można miejsce w powozach pocztowych, a w takich przykrych przypadkach zniewoleni są podróżni udawać się do furmanek żydowskich, u których ani od deszczu, ani od przykrego powietrza żadnej osłony nie mają; częstokroć, z powodu zepsucia lub złamania się czego u bryki, dłużej lub krócej w połowie drogi czas marnie trawić muszą, nie mając nawet sposobności czymkolwiek się posilić.

Podobnych żydowskich furmanów trudniących się jedynie rozwożeniem pasażerów było na jednym trakcie warszawsko-lubelskim do siedemnastu.

Celem więc zaradzenia takim niedogodnościom a zarazem osiągnięcia stąd korzyści kazałem wystawić dwa omnibusy i te regularnie każdego poniedziałku i czwartku do Lublina wysyłałem. Każdy podróżny płacił za miejsce trzy ruble srebrem, miał wygodne siedzenie i przybył do miejsca w oznaczonym czasie, nie potrzebował obawiać się ani deszczu, ani wiatru. Kiedy przez lat dwa interes ten przyniósł mi znakomite korzyści, poczta zwróciła na to uwagę i zaczęła także swoje omnibusy do Lublina wysyłać za takąż samą opłatą po rubli trzy od osoby. Aby więc moje omnibusy darmo mi nie stały, zniżyłem opłatę od osoby do rubli dwóch, a i tak jeszcze miałem zarobek. Poczta niezadowolona była z mojego postępku, gdyż pasażerowie rzadko pocztą podróże odbywali, dlatego też urzędnicy jej zaczęli mnie rozmaitymi sposobami prześladować, ażeby mnie pozbawić tego dochodu, co im nareszcie udało się. Moje omnibusy użyłem na przejażdżki do Wilanowa, do wód mineralnych w Busku i innych, szukałem sposobności, aby tylko pozostawały w ciągłym ruchu.

W tym czasie niektórzy właściciele dóbr z okolicy Błonia i Sochaczewa podali prośbę do dyrekcji poczt o przywrócenie codziennej komunikacji pomiędzy Warszawą a powołanymi miastami. Odpowiedź nie była pomyślna, zasadzała się na tym, iż z powodu małej liczby podróżnych na tym trakcie codzienne urządzenie komunikacji nie wynagrodziłoby kosztów nakładu, przeto też komunikacja żądana nastąpić nie może. Ciż właściciele przybyli do mnie w celu nakłonienia mnie do zaprowadzenia w stronach tych ciągłego ruchu; szczególnie nacierał w tym względzie na mnie niejaki pan T. V. z Sochaczewa, który zawarł ze mną kontrakt na trzy miesiące. Obowiązki były następujące: każda osoba miała płacić z Warszawy do Błonia złotych cztery, a do Sochaczewa rubla srebrem i w tymże samym stosunku z powrotem.[16] Zawarcie kontraktu nastąpiło w grudniu, skutki jego miały obowiązywać od pierwszego stycznia do pierwszego kwietnia, zatem przeciąg czasu był najgorszy do podobnego rodzaju zajęć, najwięcej liczyłem na porę letnią, która mi porę zimową wynagrodzić miała. Omnibus codziennie miał wychodzić z Warszawy o godzinie szóstej, o dwunastej w południe przybywać do Sochaczewa, z powrotem zaś z Sochaczewa o trzeciej po południu odchodzić, a o godzinie dziewiątej wieczorem do Warszawy przychodzić. Bieg omnibusu przez trzy miesiące był regularny, mimo to nadzieja moja, że letnią porą cokolwiek lżej zarabiać będę, nie przyszła do skutku. Zaledwo bowiem władza pocztowa powzięła wiadomość, że zawsze prawie wszystkie miejsca są zajęte, natychmiast mnie tego zarobku pozbawiła, ja zaś przez trzy miesiące na utrzymanie koni niemałe poniosłem wydatki.

Następnie spróbowałem urządzić podobną komunikację pomiędzy Warszawą a Suwałkami, aby tylko moim omnibusom nie dozwolić zupełnej stagnacji; lecz, niestety, skończyło się tylko i tu na próbie, albowiem władza pocztowa, zwróconą mając uwagę na moje przedsiębiorstwa, zaczęła wysyłać swoje omnibusy, nie racząc mnie nawet podziękowaniem za wskazanie nowego źródła pomnożenia swych dochodów; lubo z wszystkich tego rodzaju projektów moich umiała korzystać, nie zwróciła jednakże uwagi swej na straty, na jakie mnie wystawiła. Z zaprowadzeniem omnibusów, częstokroć mimo trudów przeze mnie podejmowanych, na straty byłem narażony; pociesza mnie tylko to przekonanie, że skutkiem moich zabiegów i starań interes podróżujących

iele na tym zyskał. Ileż to niejeden doznał zawodów z przyczyny nie uregu-
owanych stosunków pocztowych, kiedy nieraz nie przybył w czasie oznaczo-
ym do miejsca, do którego dążył, musiał za wysoką cenę na niewygodnej
ryczce żydowskiej trząść się przez kilkanaście godzin i dłużej, wystawiony
a wiatr i niepogodę i znosić niewygody. O jakże teraz musi być dla każ-
ego podróżującego przyjemnie, kiedy według upodobania wsiądzie do wy-
odnego pojazdu i niewielkim kosztem podróżować może.

Przekonanie, że do tego dobrodziejstwa dla współobywateli moich ja po
zęści się przyczyniłem, jest dla mnie błogą pociechą i wynagrodzeniem za
vszelkie w tej mierze położone trudy i starania.

Przebaczyć mi tym razem raczą czytelnicy, że tak długo zatrzymałem się
ad przedmiotem, który właściwie stanowił tylko poboczny ustęp mojej historii.
amiarem moim było przekonać jedynie przyjaciół i znajomych, że żadnego
ie pominąłem środka, aby z przedmiotu mało co znaczącego na pozór, pomimo
ozlicznych trudności, ciągnąć korzyść.

Kto przeczytał dotąd historię mojego życia, dowiedział się, jak z losem
przeciwnościami walczyłem i jak pracowałem, nim się udało położyć fun-
ament do teraźniejszych moich stosunków majątkowych.

W roku 1853 kupiłem pierwszy dom za dwanaście tysięcy złotych, pozbywszy
ię dawniejszego właściciela dwoma kuflami piwa. Następnie nabyłem plac
bok tegoż domu położony. Wreszcie 1854 roku zakupiłem ów wielki młyn
o Uhlu. Nieco później w roku 1857 dom wielki, który po rozebraniu prze-
awiłem na Muranowskim obok mego młyna. Na każdym kupnie zawsze
ośkolwiek się zarobiło, utrzymywałem w zajeździe około czterdziestu koni,
tóre również dochód mi przynosiły, słowem wszystko, co przedsięwziąłem,
yło z większym lub mniejszym dla mnie zarobkiem.

Zajazd przy ulicy Bielańskiej położony proponowano mi do kupna w ro-
u 1852 za sto dwadzieścia tysięcy złotych, lecz zdawało się mnie rzeczą
iepodobną zebrać potrzebną na to sumę. Zajazd ten jak dawniej, tak
obecnie dzierżawiłem, to jest dotąd, dopóki stary pan Kurella nie zakończył
ycia, co nastąpiło w roku 1857. Syn jego Józef, który po ojcu stał się właś-
icielem tegoż zajazdu, wielką miał chęć takowy sprzedać i za otrzymaną
umę nabyć dobra ziemskie. Amatorów do kupna tegoż domu nie brako-
vało, albowiem tak kamienice, jak i place w wysokiej w owym czasie stały
enie, dawano mu już dwakroć sto tysięcy złotych. Przybył on do mnie i pro-
onował mi, iżbym za tę sumę zajazd, o którym mowa, nabył.

Stary pan Kurella w ciągu sześcioletniej dzierżawy polubił mnie i życzył
obie, abym dzierżawiony zajazd kiedyś na własność zakupił, gdyż zapro-
vadzone w nim przeze mnie urządzenia wielce mu się podobały. Życzenie
we oznajmił synowi i ten szanując wolę ojca swego z nikim w układy nie
vchodził, dopóki się ze mną nie porozumiał. Niezadługo zgłosił się korzyst-
iejszy jeszcze nabywca, niejaki Bornstejn, który już dawał dwakroć sto
ięćdziesiąt tysięcy złotych. Suma ta samemu panu Kurella zdawała się
rzewyższać wartość nieruchomości, był więc w wątpliwości, co miał uczy-
ić. Aby się ze mną w tym względzie ostatecznie porozumieć, odłożył układy
kupno na dwa tygodnie. Przybywszy do mnie, szczegółowo wszystko mi
powiedział i proponował nabycie, nie żądał ode mnie od razu całkowitego
zacunku, owszem, zgodził się na pozostawienie przy gruncie sto dwadzieścia

osiem tysięcy na czas nieograniczony, wypadałoby mi zatem zapłacić gotówką sto dwadzieścia dwa tysiące złotych.

Chęć nabycia tego na własność, co już od kilku lat jako dzierżawca posiadałem, od dawna już we mnie trwała i stawała się silniejsza, im bliżej termin sprzedaży nadchodził. Po należytym rozmyśleniu zdawało mi się, że kupno może i nie jest tak niepodobne do uskutecznienia, jak sobie zawsze wyobrażałem, zacząłem wyszukiwać środków podług ułożonego sobie planu i w końcu znalazłem więcej, aniżelim znaleźć się spodziewał.

Znajomy nam już pan Stenglewski oddał mi był do zachowania dwadzieścia dwa tysiące złotych, na prośbę moją zezwolił, abym sumą tą przez kilka miesięcy dysponował według własnej mej woli. Brakujące sto tysięcy musiało być natychmiast złożone. Niejaki pan Grabski, człowiek bogaty, mieszkający przy ulicy Nowy Świat,[17] z którym się już cokolwiek znałem, przyrzekł mi dopomóc. Nowowystawiony dom na Muranowskim oraz będąca do nabycia nieruchomość, czyli zajazd, służyły za rękojmię, po nastąpionym w tym względzie wzajemnym porozumieniu się pan Grabski dał pisemną deklarację następującej osnowy: „Jeżeli pan Kurella zawrze z panem Langner kontrakt kupna i sprzedaży, natenczas zobowiązuję się, niżej podpisany, wyliczyć panu Langner sumę złotych sto dwadzieścia osiem tysięcy". Po otrzymaniu tego wypłaciłem panu Grabskiemu tytułem procentu złotych tysiąc i ukontentowany wróciłem do domu.

Pan Kurella przybył według umowy do Warszawy, ja zaliczyłem mu zaraz owe dwadzieścia dwa tysiące złotych tytułem zadatku, na które wydał mi pokwitowanie, z tą w nim wzmianką, że zajazd mi sprzedał. Zaledwie miałem czas włożyć do kieszeni toż pokwitowanie, kiedy ujrzałem Bornstejna obciążonego pieniędzmi, jak się przechodził koło domu będącego już moją własnością; nic nie zyskawszy wrócił do swego mieszkania z zawiedzioną nadzieją. Interes kupna sprawił mi wielkie ukontentowanie, zwłaszcza że do niego ani jednym własnym groszem przyłożyć się nie miałem potrzeby. Umówiłem się z panem Kurellą, że za cztery tygodnie przybyć ma do Warszawy celem spisania urzędowego kontraktu, a ja mu na ten czas wyliczę resztującą sumę: sto dwadzieścia tysięcy złotych. Miesiąc ten był dla mnie rokiem; podstarzałem się przez ten czas, albowiem myśli moje co do tej sumy nie dozwoliły mi zasnąć spokojnie.

Przypuszczałem za rzecz możebną, iż pan Grabski słowa swego może nie dotrzymać, a w takim razie moje dwadzieścia dwa tysiące złotych przepadną, i ilekroć ta myśl nasunęła mi się, tyle razy zimny pot przerażenia oblewał czoło moje. Wreszcie nadszedł termin oznaczony, pan Kurella punktualnie się stawił, a i pan Grabski nie dał na siebie długo czekać, owszem, w czasie oznaczonym udzielił mi przyobiecaną sumę; kontrakt urzędownie został zawarty, a ja za właściciela nieruchomości Nr 601 prawnie uznany zostałem.

Pierwszym staraniem moim było powiększyć dochody z tego domu, wskutek tego trzeba było zacząć budować, plac ku temu był dość obszerny, a pieniądze i na ten cel również się znalazły.

Dwie nowe oficyny zdawały się być najbardziej potrzebne, do rozpoczęcia ich budowy wziąłem cegłę na kredyt, fundusze były odpowiednie, gdyż miałem dosyć przyjaciół, którzy na weksle udzielili mi pożyczki, w budowie

tedy nie doznając żadnej przeszkody, rozpoczęte przeze mnie dzieło w ciągu dwóch miesięcy tak daleko posunąłem, że obie oficyny pod dachem stanęły.

W ciągu tego czasu pan Kurella daremnie szukał dla siebie dóbr ziemskich, odpowiednich żądaniu swemu nie znalazł, pożyczył mi na powrót ów kapitał na czas, dopóki coś odpowiedniego do nabycia nie znajdzie. Pieniędzmi tymi spłaciłem przede wszystkim długi wekslowe i zacząłem budować najprzód stajnie dla koni, a następnie drugie piętro na starej oficynie, tak że w krótkim czasie miałem już trzydzieści numerów dla podróżnych, kompletnie urządzonych, i dom już był wartości przeszło pięćkroć sto tysięcy złotych. Teraz miałem niepłonną nadzieję, że gdyby nawet pan Kurella żądał zwrotu swych pieniędzy, łatwo mi będzie sumę tę na hipotekę domu swego zaciągnąć.

Niedługo znalazłem amatora na kupno gospodarstwa mego na Muranowskim, a że takowe sprzedać było moim życzeniem, sprzedawszy zarobiłem czystego pięćdziesiąt tysięcy złotych.

To, czego pan Kurella tak długo daremnie szukał, znalazł przecie. Przybył do mnie po swoje pieniądze, ja ze swej strony zaciągnąłem dług na hipotekę taki, ile mi brakowało do sumy jemu należnej, i takową oddałem.

Teraz miałem cokolwiek mniej kłopotów. Po sprzedaniu młyna z dalszą budową wstrzymałem się, całą troskliwość zwróciłem na domowe interesa, w których czterdzieści koni główną grało rolę.

Utrzymywanie koni i dom zajezdny przynosiły mi znaczne procenty, tak że po trzech latach od dawna gotowy plan wystawienia domu frontowego w wykonanie wprowadziłem. Wprawdzie potrzebnej sumy, jaka do wykończenia budowli planem zakreślonej była potrzebna, nie posiadałem w gotowiźnie, ale musiałem trzydzieści tysięcy rubli srebrem na hipotekę zaciągnąć.

Roboty rozpoczęto, bez przerwy prowadzono, nareszcie po roku gmach został ukończony i otrzymał nazwę: Hôtel de Paris.[18]

Co tu czytelnikom moim opowiedziałem, zgodne jest z najrzetelniejszą prawdą, daty wypadków nie zawsze mogłyby być dokładnie podane. Jeśli zamiary moje nie będą w zupełności osiągnięte, to przecież mam nadzieję, że każdy dobrze myślący, skoro przekona się o usiłowaniach moich, odda mi zupełną sprawiedliwość.

Na tych zaś, którzy na wszystko okiem zazdrości spoglądają, zważać nie będę, przeciwnie, z ubolewaniem powtórzę słowa na wstępie przywiedzione: że „Bez zazdrości nie można pomyśleć o szczęściu doczesnym."

Gottlieb Langner

Z unikalnego egzemplarza Archiwum Miasta Warszawy wydał, wstępem i przypisami zaopatrzył

Wacław Zawadzki

PRZYPISY

[1] Hotel Drezdeński mieścił się przy ulicy Długiej Nr 40 w pałacu dawniej Teppera, zwanym Pod Czterema Wiatrami.

[2] Ulica Zielona. Jedna z większych ulic w miejscu, gdzie dziś znajduje się Cytadela. Zaczynała się od ulicy Inflanckiej i biegła równolegle do Wisły.

[3] Franciszek Herman, majster szewski, prowadził swój warsztat w domu Nr 28—30 (hip. Nr 468—9) przy ulicy Senatorskiej.

[4] Józef Eckerkunst był właścicielem posesji Nr hip. 1845—1846 przy ulicy Zakroczymskiej, później zajętej pod Cytadelę.

[5] Majster kowalski Andrzej Thiel miał swój warsztat przy ulicy Nalewki Nr 47 (hip. Nr 2253).

[6] Komora celna mieściła się w oficynie Teatru Wielkiego. Chociaż Marywil w owym czasie nie istniał już i jego miejsce zajął teatr i Plac Teatralny, ludność z przyzwyczajenia zwała Marywilem ten kompleks gmachów wraz z placem.

[7] Na Kaukazie dużo było żołnierzy polskich wcielonych do rosyjskich pułków. Byli to bądź jeńcy polscy z powstania listopadowego, bądź też młodzież rewolucyjna przymusowo wcielana do armii rosyjskiej w charakterze szeregowców.

[8] Horodło — miasteczko w powiecie hrubieszowskim, wojew. lubelskiego, znane z unii polsko-litewskiej 1341 roku. Za Horodłem przebiegała granica Królestwa Kongresowego i Cesarstwa Rosyjskiego.

[9] Hotel Wileński mieścił się przy ulicy Bielańskiej Nr 17 (Nr hip. 597—598).

[10] Holenderskie lisy — tak nazywano dukaty holenderskie, monetę złotą bitą w Holandii, którą chętnie przyjmowano w Polsce.

[11] Ignacy Abramowicz (1793—1867) — oberpolicmajster warszawski, z pochodzenia Polak, renegat, najbardziej znienawidzony przez ludność. W Warszawie krążyło powiedzonko, że abecadło warszawskie to: A—bramowicz, b—aty, C—ytadela.

[12] Ulica Gołębia — potoczna nazwa ulicy Nowomiejskiej z powodu dużej ilości gołębi, które się tam gnieździły.

[13] Zajazd Białostocki mieścił się przy ulicy Bielańskiej Nr 14 (hip. Nr 608) i był własnością Mateusza Nowakowskiego.

Zajazd mieścił się w dawnym pałacu Kossowskiego, zamienionym później na hotel zwany Hamburskim.

[14] Langner nabył dom przy ulicy Muranowskiej Nr 13 (hip. Nr 2210) od sukcesorów Józefa Pióreckiego.

[15] Teofil Florian Fukier (1816—1891) — właściciel słynnej winiarni na Rynku Starego Miasta. Człowiek kulturalny, bibliofil i zbieracz starożytności, popularny w społeczeństwie warszawskim.

[16] Złoty polski równał się 15 kopiejkom w srebrze.

[17] Franciszek Grabski, obywatel ziemski, mieszkał przy Nowym Świecie Nr 29 (Nr hip. 1260).

[18] Hôtel de Paris wybudowany został przez Langnera w odkupionej od Józefa Kurelli posiadłości przy ulicy Bielańskiej Nr 9 (hip. Nr 601). Przy hotelu Gottlieb Langner urządził restaurację, którą kierował brat jego Karol, dawniej kelner w hotelu Drezdeńskim.

Ernest Bryll

TYDZIEŃ

Jeść chleb samemu boli gęba tak,
jakbyś uśmiechał się i gadał w lustro
Stąd wiem, że poniedziałek jest czarny
i przez to
rozmowy moje to twardość razowca:
trzymaj się, gimnastyka, trzymaj się,
już obiad —
siadaj spokojnie, rękę nieś powoli
jak ptaka z skrzydłem ułamanym,
ptak
najczęściej zdycha. Jest w powietrzu trwoga
burzy, której nie widzisz jeszcze, a pioruny
już rozszczepiają ziemię, jest i kamień,
ten ci w podróży znaczy ubieg myśli...
Stąd uczę się, że wtorek brązowy, jeżeli
nie liczyć drżenia palców przepłynę listopad
jak drzewa odrzucając co zbędne, dla wiatrów
najlepiej suchość. Jest to umiejętność
którą lokaje mają ćwiczeni tak sprawnie,
że nawet cienia nie rzucą.
Przez środę,
czwartek i piątek — jak przez amfiladę
salonów w bieli, żółtości i różu
— Więc krok taneczny, więc lżej od dmuchawca,
śniadanie pańskie tak jak ksiądz komunię,
(wniebowstąpienie już prawie), i zawsze
cios w gębę, boś zapomniał o cukrze,
i: chamie
i: całuj w rękę, i: kopniaka w dupę
Oto soboty siność i niedzieli czerwień,
którą zbieramy z nosa razem z perfumami.

BALLADA O BAGNECIE

Najpierw uczono ziemi. Śmierć napoleońska
to było jeszcze szlusuj, szlusuj!
I szeregi
zwierały się jak palce krwawiące: kto w pięści
twardszy — zwyciężał. Kudłami bermycy
gaszono gardła armat,
bagnet...
on jeden nie zgasł, zawsze użyteczny
możesz ryć inicjały na ścianie z betonu,
rozcinać blachę konserw... Oto jego płomień
nie tknięty żadnym wiatrem, czystszy niż modlitwa
jak akt strzelisty bezbłędny
i szlachcic
wśród tych łomotów, bebeszenia ziemi,
błazeńskich skoków.
Potem uczono nas nieba
i znów cofnięcie ewolucji, sztuką
po doskonałość płazów, po spłaszczone łebki,
łapy przydatne do rycia, po barwę ochronną.
Tylko jemu trzeba byśmy walczyli stojąc. Tylko
on nam każe oglądać twarze wrogów, ciężkie krople potu,
zabijać czując tętno po rękojeść, ginąć
szarpiąc palcami ziemię nie zżartą do kości
On jeden nie zgasł, od Boga wierniejszy
świadczy nam, że pod larwą, odmienioną ziemią,
pod skórą gładką przeciw gazom, można
wydrążyć ostrzem odrobinę ciepła.

MOTYW Z CHAGALLA IRONICZNY

A patrzą pogody, jakoby nas pozbawić
do końca świebody.
(Kochanowski)

Teraz patrz — stopy rozczapierzają się w skrzydła
ledwo paznokciem ziemię i już pięta w locie,
w chmurach udo
Jak balon buchasz ponad szafy,
dachy. Już gardło dręczy długi klangor,
klucze tak ciągną, nie ustają, tępo

zaciskających palce wokół rynien;
szarpanych jak chorągwie
Dołem
odpycha ziemia, coraz prężniej grzbietem
krok po kroku odrzuca jak pęknięcie struny
i drzazgi w palcach, i z kawałkiem deski
w zębach śmigasz do nieba

Teraz patrz — jeszcze stoisz nie dotknięty wiatrem,
gromadzisz sprzęty ciężkie tapczan, stół, to kładziesz
wokół siebie, pod ręką byś ucapił szybko
ledwo liść się poruszy, ledwo trawa przygnie
Ale jak z korzeniami wyrwie ciebie z domu
i tylko ogon makat, zasłon, płomień pierzyn,

Teraz patrz — palce cierpną, pogoda nadchodzi,
siność pod paznokciami
tak już krążą Żydzi
wypłaszani nad ziemię, jutro dla twej stopy
nie znajdziesz ziarna piasku.

Ernest Bryll

Paweł Jasienica

KRÓL I KARDYNAŁ

Stefanowi Kisielewskiemu, ideologowi

Jagiełło zostawił więc po sobie dwóch synów, z których starszy, Władysław, już 25 lipca 1434 r. wstąpił na tron jako Władysław III. Nazajutrz zaś tłumy krakowian podziwiały dziesięcioletniego chłopca w koronie, na czele wspaniałego orszaku przemierzającego konno ulice miasta. Strzemię w strzemię z królem jechało dwóch biskupów, przystrojonych we wszystkie oznaki godności — krakowski i płocki. Pierwszym z nich był Zbigniew Oleśnicki.

Jagiełło zostawił również po sobie powagę królewską w takim poniżeniu, jakiego nigdy przedtem nie było. Żaden z dawniej koronowanych władców polskich do czegoś podobnego nie dopuścił, książęta dzielnicowi też umieli strzec autorytetu.

Na krótko przed zgonem Jagiełły Oleśnicki podkreślił swą przewagę w sposób niezwykle zuchwały. Było to w Nowym Korczynie podczas zjazdu „znaczniejszych panów". Biskup wraz z innymi hierarchami miał wyjechać na sobór do Bazylei i przewidując, że więcej już zgrzybiałego króla nie ujrzy, postanowił pokazać, kto jest naprawdę pierwszą siłą w państwie. Wygłosił mowę tak brutalną, że starzec rozpłakał się i głośno narzekając opuścił izbę. Wytknął monarsze zabobony, rzekomą przemianę królestwa w „barbarzyńskie i poddańcze" oraz fikcyjne grabieże dóbr kościelnych. Zagroził klątwą. O sobie samym powiedział, że Opatrzność ze „służebnika" uczyniła go „ojcem" Władysława.

Po zgonie Jagiełły, kiedy korona z głowy sędziwej przeniosła się na dziecinną, rzeczywista władza nad Polską przypadła magnatom, zwłaszcza duchownym. Inaczej być nie mogło. Biskupi od dawna posiadali duchową przewagę nad królem-neofitą. Oleśnicki miał o trzydzieści kilka lat mniej od Jagiełły, a jeszcze ważniejsze, że był indywidualnością wyjątkowo silną, imponował nie tylko drążonemu przez kompleksy Litwinowi, lecz i samym papieżom ówczesnym. Należał do moralnego plemienia tych książąt Kościoła, którzy łamali cesarzy i królów, a jeśli przegrywali, to z takimi charakterami, jak Filip Piękny we Francji, Kazimierz Wielki u nas. Zbigniew Oleśnicki był w swej epoce przeżytkiem najgłębszego średniowiecza. Jego triumf w Polsce wynikł z całego układu okoliczności. Ułatwił go i wiek monarchy, obcego

krajowi pochodzeniem oraz kulturą, i potęga magnaterii, obdarzonej przez Jagiełłę bez miary i rachuby, musiały dopomóc wspomnienia o zmarnowanym Grunwaldzie, wyraźnym faworyzowaniu Litwy, podejrzeniach, oskarżeniach i awanturach w rodzinie panującej.

Ogólny bilans osiemdziesięciu czterech lat, które upłynęły od wygaśnięcia rodzimej dynastii, niczego dobrego monarchii polskiej nie wróżył. Przyzwyczajeni do biadania nad jej upadkiem zapominamy, że rujnować powagę władzy może czasem ona sama.

Przeciwko koronacji Władysława III, a raczej przeciwko rządom oligarchii duchownej protestowali w Krakowie trzej świeccy magnaci — Spytko z Melsztyna (syn wojewody poległego nad Worsklą), Abraham Zbąski i Strasz z Kościelnik. W niedalekiej przyszłości dwaj pierwsi mieli zdobyć się na opozycję nie tylko słowną. Na razie nie dopuścili Oleśnickiego do objęcia regencji.

Tymczasem sprawy rozpoczęte za poprzedniego panowania toczyły się dalej. W tym samym 1434 roku, kiedy Jagiełło już dogorywał, na Litwie Zygmunt Kiejstutowicz ogłosił wielki przywilej ziemski, przynoszący bojarstwu dalsze ulgi, lecz odnoszący się tym razem także i do Rusi. Prawosławni otrzymali prawa majątkowe i inne, jednakże nadal byli odsunięci od dostojeństw państwowych, zastrzeżonych dla Litwinów-katolików. Miało to oczywiście osłabić pozycję opierającego się na ruskich ziemiach Świdrygiełły. Z tych dwóch walczących w Wielkim Księstwie współzawodników Zygmunt uznał Władysława III swym zwierzchnikiem, Świdrygiełło — rodzony stryj nowego króla — nie uczynił tego.

Decydujący akt rozgrywki odbył się dnia 1 września 1435 roku pod Wiłkomierzem nad rzeką Świętą. Starły się tam dwie armie, które wolno nazywać koalicyjnymi. Zygmunta Kiejstutowicza wspierał Jakub z Kobylan na czele dwunastu tysięcy kawalerii polskiej, po stronie Świdrygiełły stali Tatarzy oraz siły krzyżackie z Inflant, dowodzone przez tamtejszego mistrza, von Kerskorfa. Wielki mistrz z Malborka, ze względu na wrogą wojnie postawę swych poddanych, przyjść nie mógł, ale jego podejrzane postępki nie pozwoliły Polsce dać Kiejstutowiczowi większej pomocy.

Polacy złamali najpierw Tatarów, potem Niemców, Litwini rozbili ruskie drużyny Świdrygiełły. Bitwa pod Wiłkomierzem to prawdziwy Grunwald w pomniejszeniu. Poległ mistrz inflancki, niemal cała starszyzna i mnóstwo rycerzy zakonnych. Inflanty stały się na czas pewien bezbronne — miały po zamkach najwyżej kilkuset ludzi, w tym dwustu spieszonych korsarzy bałtyckich, zwanych Schiffskinder. Strona polska żądała natychmiastowego marszu na ten kraj i zajęcia go. Ale dowodził Zygmunt Kiejstutowicz, który zawrócił pułki z drogi do Inflant i skierował je na Smoleńsk, Witebsk oraz Połock, pragnąc skończyć ze Świdrygiełłą i opanować Ruś. Do wielkiego mistrza, obawiającego się uderzenia z dwóch stron i katastrofy, słał książę z zapewnieniami, że chce żyć z nim dobrze i zła mu nie życzy. Kiejstutowicz również uważał istnienie osłabionego Zakonu za pożyteczne dla Litwy. Zaczął się z nim tajnie porozumiewać natychmiast po objęciu władzy.

Magnes wschodni, tak silnie oddziałujący na Litwę, okazał się istnym błogosławieństwem dla nadbałtyckiej niemczyzny. Poszczerbiona i nadwątlo-

na, ocalała jednak ze śmiertelnych niebezpieczeństw. Zachowała pozycje zarówno wokół Królewca jak Rygi, a w przyszłości znowu je wzmocniła w sposób, który przyniósł wyłącznie klęski, i to całej Europie.

Nasza najnowsza historiografia słusznie podkreśla ujemne skutki ekspansji na wschód, ale kieruje oskarżenia pod adresem niezupełnie właściwym. Polscy magnaci chcieli zagarnąć Podole i Wołyń. Takie aneksje wcale nie przekraczały miary znanej innym państwom europejskim, były nawet dalekie od ówczesnych rekordów. A najważniejsze, że nie pochłaniały wszystkich sił i nie odciągały kraju od głównych zadań politycznych. Dopiero program zdobycia całej Rusi dla Litwinów okazał się deską ratunku dla Królewca i niemieckiej Rygi. Polskę spychał z właściwego szlaku sam fakt związku państwowego z Litwą, zmuszający do liczenia się z jej od dawna wytyczonymi celami. Mówienie tylko o zaborczości feudałów małopolskich to nadmierne upraszczanie spraw zawiłych, bo tenże związek dawał Koronie znaczną, natychmiastową korzyść. Zabezpieczał granicę wschodnią, pozwalał na gospodarczy rozwój Zawiśla.

Jakub z Kobylan nie bez zysku dla Polski bił się pod Wiłkomierzem, gdzie pokonał chorągwie niemieckie. Wobec złamania sił inflanckich, wielki mistrz z Malborka musiał porzucić tajne zamysły i zawrzeć pokój wieczysty, który podpisano 31 grudnia 1435 roku w Brześciu Kujawskim. Warunki były dla nas bardzo pomyślne. Pod względem terytorialnym ponownie otrzymywała Polska tylko Nieszawę, ale są rzeczy ważniejsze od kilometrów kwadratowych. Zakon wyrzekł się związków z postronnymi potęgami — a więc papieżem, soborem i cesarzem — przestawał więc być ekspozyturą niemczyzny, wspieraną przez rozmaite moce Zachodu. Schodził do roli zwykłego państwa, pilnującego własnych spraw. Ponadto jeszcze — gdyby Malbork złamał te zaprzysiężone warunki, poddani mieli prawo wypowiedzieć mu posłuszeństwo. „Panowie pruscy" dostawali się zatem pod kontrolę społeczeństwa, które już od dawna spoglądało na Polskę, a w 1410 roku na wyścigi śpieszyło poddać się jej.

Niezależnie od tego faktu pokój brzeski wprowadzał w Prusach porządek z reguły pożyteczny. Państwo, którego rząd jest skrępowany przez wolę własnych obywateli, nie może uprawiać polityki zbyt niebezpiecznej dla sąsiadów, a jeśli dawniej hołdowało takim tendencjom, musi się z nimi rozstawać.

Zygmunt Kiejstutowicz wypuścił z rąk Inflanty, lecz pomimo to wschodnich celów nie osiągnął i Świdrygiełły nie złamał. Zamęt i walki na Litwie trwały nadal. O ich bezwzględności świadczy los rezydującego w Smoleńsku metropolity prawosławnego, Harasima, którego Świdrygiełło uwięził i spalił na stosie (odbyło się to jeszcze przed bitwą pod Wiłkomierzem). Magnaci koronni próbowali polityki kompromisowej, nie zależało im na całkowitym usunięciu Świdrygiełły, byli gotowi uznać jego władzę nad częścią Litwy. Oczywiście, że byłoby to korzystne dla Krakowa, lecz owa oględność świadczy zarazem o umiarkowaniu i braku zasadniczej wrogości wobec księcia, rządzącego przede wszystkim Rusinami. Świdrygiełło przyjeżdżał na narady do samego Krakowa.

Zygmunt Kiejstutowicz wziął górę dopiero w roku 1439. Byłoby zupełnie niesłuszne widzieć w nim polskiego agenta na stolicy litewskiej. Prowadził

on politykę samodzielną, nie liczącą się z interesami Polski, a czasem i wrogą jej. Razu pewnego pisał do Albrechta Habsburga: „My nigdy nie byliśmy niewolnymi ani też nasze Wielkie Księstwo nigdy nikomu, jak daleko pamięć ludzka sięga, nie było poddane; i teraz nie trzymamy go od nich [Polaków], lecz siedzimy na nim, objąwszy je z łaski Bożej, prawym dziedzictwem przodków naszych, po śmierci brata naszego, śp. Witolda..." Zwartego frontu całej Litwy przeciwko Polsce też jednak nie było, o czym doskonale wiedzieli Krzyżacy: „Panowie i ziemia litewska niezupełnie są ze sobą w zgodzie; część ich jedna oświadcza się po stronie Polaków, część druga za Wielkim Księciem..." — pisał komtur brandenburski.

Wielmoże litewscy wiele zyskali od czasów unii, przede wszystkim wzorowane na polskich prawa i możność odgrywania roli politycznej. W osobie i rządach Zygmunta Kiejstutowicza jakby zmartwychwstawał dawny pogański obyczaj, nieludzki i mroczny. Długosz opowiada o nim ponure rzeczy, a nie wolno lekceważyć tych relacji, bo kronikarz był już wtedy mężem dorosłym, wiarogodnym świadkiem. Według niego Zygmunt „to człek na podziw srogi i łakomy, do karania śmiercią lub wydzierstwem z lada przyczyny pochopny... a przy tym niezmiernie chciwy... Okrutnik chytry i podstępny, każdego za lada oskarżeniem, jakoby zdrajcę i buntownika... najpierw odzieraniem ze wszystkiego, potem więzieniem, a na ostatek, co się często zdarzało, srogimi kaźniami, wśród których badani sami na siebie z bólu winę kładli, i śmiercią niewinne karał..." — Podobno: „za namową wróżków, którzy umysłem jego rządzili, z krwi ludzkiej z krwią dzikich zwierząt zmieszanej święcił ofiary bluźniercze dla zbadania rzeczy przyszłych..."

W tydzień po Wielkiej Nocy 1440 roku miał się odbyć zjazd szlachty litewskiej, w czasie którego — jeśli wierzyć Długoszowi — książę zamierzał dokonać rozprawy ze „starszyzną". Jednakże w Palmową Niedzielę, 20 kwietnia, sam zginął w Trokach od noży spiskowców, którym przywodzili kniaziowie Aleksander oraz Iwan Czartoryscy. Zmasakrowanego trupa Kiejstutowicza wywlokły z bramy ojcowskiego zamku konie zaprzężone do telegi bez woźnicy.

Rozważając polityczne dzieje unii nie wolno ani na chwilę zapominać o jej najgłębszym nurcie. Układy, nieporozumienia, nawet walki przeplatały się nawzajem, lecz kultura niepowstrzymanie płynęła na wschód. Takie zjawisko jak Zygmunt Kiejstutowicz w Polsce XV wieku było już nie do pomyślenia. Wkrótce i na Litwie miały zniknąć pierwotne mroki.

Gdy się to wszystko działo w Wielkim Księstwie, sprawy Korony stały pod znakiem doniosłych wydarzeń, zachodzących na południu i zachodzie Europy.

Jeszcze za życia Jagiełły, 24 lipca 1431 roku, zebrał się w Bazylei nowy sobór, który już w grudniu został rozwiązany przez papieża Eugeniusza IV. Przybyli na zjazd prałaci nie usłuchali jednak rozkazu, obrad nie przerwali, ogłosili nawet stanowczo zasadę wyższości soboru nad papieżem. Spór w Kościele, kilkanaście lat temu z trudem zażegnany w Konstancji, rozpalił się na nowo. Eugeniusz IV przeniósł sobór do Ferrary we Włoszech, gdzie więcej znaczył wpływ posłusznego Rzymowi duchowieństwa italskiego, potem do Florencji. W tym mieście dnia 6 lipca 1439 roku dokonano aktu o wielkim znaczeniu dla Polski, a tym bardziej dla Litwy. Zawarto unię

dwóch Kościołów — wschodniego i zachodniego. Konstantynopol zgodził się na to, licząc na pomoc papiestwa oraz państw zachodnich przeciwko Turkom, którzy śmiertelnie mu zagrażali. Ale zamieszkali w granicach Litwy Rusini przywitali unię kościelną, jak świadczy Długosz, drwinami i śmiechem. Niechętnie patrzył na nią katolicki biskup Wilna, a także wielmoże narodowości litewskiej.

Trudno było spodziewać się po tej unii czegoś istotnego, skoro nieposłuszni duchowni, którzy nadal obradowali w Bazylei, potępili zjazd ferraryjsko-florencki i ogłosili za dogmat zasadę wyższości soboru nad papieżem. Na krótko przed chwilą zawarcia unii, 25 czerwca 1439 roku, uznali Eugeniusza IV za złożonego z godności i obrali antypapieża w osobie Feliksa V.

Wschód pod fizycznym naciskiem Turków przystał na unię, nie cały Zachód ją popierał. W tych warunkach i samo dzieło nie miało przed sobą przyszłości, a to tym bardziej, że zajęte polityką i skłócone sobory nie załatwiły sprawy najważniejszej, nie przeprowadziły wewnętrznej reformy Kościoła. Oto opinia Michała Bobrzyńskiego, który nie może być pomawiany o brak prawowierności katolickiej: „Przywileje polityczne odwróciły duchowieństwo całej Europy od jego istotnych zadań na pole interesów świeckich, upadek ducha religijnego był wskutek tego widoczny, rozprzężenie karności w Kościele, a moralności w całym społeczeństwie chrześcijańskim bezprzykładne".

Eugeniusz IV mianował dwóch hierarchów wschodnich kardynałami. Jednym z nich był metropolita kijowski Izydor, człowiek całą duszą oddany sprawie zjednoczenia wyznań. W Krakowie Oleśnicki przyjął go dobrze, dopuścił do odprawienia nabożeństwa unickiego w katedrze wawelskiej. Izydor ruszył na Ruś litewską, nie zawahał się potem pojechać do Moskwy. Niczego tam nie wskórał, jak się zresztą należało spodziewać. Na czas pewien dostał się nawet do więzienia.

Unia florencka była bardzo ważnym wydarzeniem dla rozwoju i okrzepnięcia ideologii politycznej Kremla. Wielkie Księstwo Moskiewskie potępiło Konstantynopol za zdradę wiary, zerwało z nim stosunki i samo uznało się za przywódcę, obrońcę, za właściwą stolicę prawosławia. Odtąd zaczęły się w Moskwie wytwarzać przesłanki do słynnej teorii „trzeciego Rzymu". Według niej Moskwa jest prawowitą spadkobierczynią starożytnej Romy cezarów oraz Bizancjum-Konstantynopola, lecz samą już nie będzie miała następcy. — *„A trietij Rim — Moskwa, a czetwiortomu — nie bywat'."*

W ruchu soborowym Polska brała udział bardzo żywy, stanowczo, konsekwentnie i dłużej niż jakiekolwiek inne państwo kontynentu opowiadając się za wyższością soboru nad papieżem. Do Zbigniewa Oleśnickiego w żaden sposób nie pasują zatem słowa, które Stanisław Wyspiański włożył w usta innego kardynała krakowskiego: *„Roma locuta*, a Roma nie może się mylić!". Teoria koncyliaryzmu, którą Oleśnicki wyznawał, a Uniwersytet Jagielloński pracowicie i lepiej niż ktokolwiek w Europie uzasadniał, widziała w papieżu tylko przewodniczącego soboru powszechnego, będącego wyrazicielem wol ogółu wiernych. Przez czas pewien Kościół polski był rzeczywiście samoistny ponieważ wobec przedłużających się zatargów przyjął i ogłosił zasadę neutralności, to znaczy nie słuchał żadnego ze zwalczających się papieży.

Takie postępowanie przyniosło Oleśnickiemu możność przebierania w ka-

peluszach kardynalskich. Ofiarowali mu je jednocześnie — Eugeniusz IV, papież, i Feliks V, antypapież. Potem, w 1449 roku, raz jeszcze dokonał nominacji Mikołaj V, który był papieżem prawdziwym. Oznaki książęcej godności Kościoła przywiózł wtedy z Włoch Jan Długosz, dobrze nam znany historyk, i w katedrze wawelskiej wygłosił do Oleśnickiego mowę, którą sam uznał za „wyborną i z uwielbieniem od wszystkich przyjętą".

Sprawę osobistego awansu Zbigniewa Oleśnickiego wolno uznać za symboliczną, lecz tylko poniekąd. Kardynałowi przyświecała myśl zdobycia dla Polski mocnej, widnej, nawet naczelnej pozycji w świecie katolickim. Kościół był wewnętrznie skłócony, rozbity, potrzebował wielkich poświęceń i czynów. Kto by ich z powodzeniem dokonał, ten siłą rzeczy wysunąłby się na przodujące miejsce.

Trzeba mieć na uwadze ten tok myśli, jeśli się chce zrozumieć postępowanie Zbigniewa Oleśnickiego.

Sobór bazylejski doprowadził do kompromisu z czeskimi husytami, wśród których wzięło górę umiarkowane skrzydło. Jednakże właśnie w tym czasie echa husytyzmu zaczęły się coraz głośniej odzywać w Polsce. Nie można tego przypisywać samym tylko wpływom uchodźców z Czech. Masowych i poważnych poruszeń nigdy znikąd się nie importuje, one wyrastają z miejscowego gruntu lub nie ma ich wcale. Przyczyn niepokojów w Polsce było wiele — niezadowolenie ludu z rosnących obciążeń, pogarszanie się pieniądza, zajadłe spory szlachty z duchowieństwem o dziesięciny, niechęć do przewagi magnatów i kłótnie wśród samych wielmożów, opozycja świeckich wobec potęgi Oleśnickiego. Tłem ogólnym było zjawisko, które wywoływało wrzenie w całej Europie: bogactwo i uroszczenia polityczne kleru. Jak wiemy, już podczas koronacji Władysława III nie dopuszczono biskupa krakowskiego do objęcia regencji. Obóz opozycyjny był liczny, lecz wewnętrznie podzielony, a główna zasada postępowania Oleśnickiego polegała na odgradzaniu Polski od Czech, skąd szły hasła heretyckie i zły przykład.

Dnia 9 grudnia 1437 roku zmarł cesarz Zygmunt Luksemburczyk, który niegdyś omal nie został królem polskim, wyznaczony na tron przez Ludwika Węgierskiego. Zawsze nienawidził on Polski, a u schyłku życia sentyment ów nabrał cech manii prześladowczej. Zgon Zygmunta opróżnił trony Czech i Węgier. Wobec wygaśnięcia dynastii Luksemburgów na spadkobiercę przewidziany był zięć zmarłego, Albrecht Habsburg. Niechętni Niemcom Czesi woleli jednak poszukać sobie innego pana. Ofiarowali koronę Władysławowi III.

Pomimo wszystkich sporów i podziałów kraj zdecydowanie opowiedział się za przyjęciem propozycji. Jeden tylko Oleśnicki był przeciw. Początkowe osamotnienie nie przeszkodziło mu pogmatwać i ostatecznie pogrzebać sprawy. Koronę czeską przyjęto, lecz dla młodszego brata królewskiego — Kazimierza.

„Zjednoczenie Polski i Czech byłoby, ze stanowiska polityki niemieckich krajów, wielkim nieszczęściem, od którego niech Pan Bóg uchowa" — pisał kanclerz cesarski, Kaspar Schlick. Od niego również wiemy, że Czesi zobowiązali się wobec Polaków „zmusić książąt śląskich do uznania zwierzchnictwa Korony Polskiej". Był rok 1438 — zaledwie pięć lat wcześniej pułki czeskie i polskie razem poszły na północ i dotarły aż do Bałtyku.

25 kwietnia 1438 roku Oleśnicki zawiązał w Nowym Korczynie konfederację, której cel polegał na obronie wiary katolickiej przed herezją, a wymowa polityczna była w danych warunkach niedwuznaczna. Dywersja zrobiła swoje — słabe, słabsze niż być mogły, siły polskie nie poradziły trzykrotnie liczniejszej armii Habsburga i jesienią król wraz z bratem musieli się z Czech wycofać.

3 maja 1439 roku Korczyn widział początek nowej konfederacji. Tym razem wodzem jej był Spytko z Melsztyna, a pod jego husyckim sztandarem stanęła cała różnolita opozycja przeciwko biskupim rządom. Nie brakowało tłumów uzbrojonych chłopów ani... tajnego poparcia ze strony dynastii, zwłaszcza królowej-matki, Zofii. Nie może ulegać kwestii, że zmarnowanie widoków czeskich spowodowało ten wybuch, wyzwoliło go, lecz nie stanowiło jedynej przyczyny.

Wierne Oleśnickiemu hufce śpieszyły do rozprawy, zanim Spytko, który stanął w zakolu Nidy pod Grotnikami i umocnił się na wzór czeski taborem, zdąży usypać wały i przekopać rowy obronne. Konfederaci ulegli natarciu piechoty. Mordowano ich „ze srogą zawziętością", spychano do rzeki. Śmiertelnie ranny wódz spadł z konia i zaraz, na miejscu, odegrała się jedna z najbardziej obrzydliwych scen naszych dziejów. Odprawiono uroczysty „sąd" nad nieprzytomnym, rozciągniętym na ziemi ciałem Melsztyńskiego, „trzykrotnym wołaniem pozywano dychającego jeszcze winowajcę". Jako „zdrajcę ojczyzny" skazano go na śmierć. Odarty do naga trup przez trzy dni leżał tam, gdzie padł.

Zanim się ten „sąd" rozpoczął, piętnastoletni Władysław III osobiście nakazał, „aby pieszemu gminowi oszczędzano życie". Wkrótce skasował wydany „wyrok", przywracając prawa szlacheckie wdowie po poległym oraz jego rodzinie.

Długosz był przysięgłym zwolennikiem Oleśnickiego, pisał o nim z uwielbieniem, stronniczo. A jednak w opowiadaniu o rozprawie pod Grotnikami wyraźnie czuć między wierszami niepewność i zawstydzenie. Kronikarz nie twierdzi, że wszyscy w Polsce potępiali Melsztyńskiego, wspomina takich, co litowali się nad nim samym i nad „śmiercią włościan".

Pozostawał w Polsce jeszcze jeden wybitny kacerz, Abraham Zbąski, sędzia poznański, „który sprzyjał czeskiemu odszczepieństwu". Biskup Stanisław Ciołek obłożył go klątwą, a Zbąszyń interdyktem, sam jednak wolał wyjechać z Wielkopolski do Krakowa. Jego następca, Andrzej Bniński, omal nie postradał życia na ratuszu poznańskim, a potem zbrojnie obległ Zbąszyń, zmusił mieszczan do wydania pięciu księży husyckich i publicznie spalił ich w Poznaniu na stosie. Abraham Zbąski wkrótce umarł i „z jego śmiercią ustała, wykorzeniona do szczętu, zaraza kacerska w ziemi i diecezji poznańskiej".

Pomimo surowości prześladowań nić wcale się w Polsce nie zerwała. W tym samym 1439 roku kanonię św. Floriana na Kleparzu w Krakowie objął ksiądz Andrzej Gałka z Dobczyna, profesor uniwersytetu i dziekan. Równo w dziesięć lat później gorliwiec szperający w jego papierach wykrył odpisy dzieł Wyclifa oraz inne zdecydowanie heretyckie utwory, wśród nich „inwektywy na papieża, duchowieństwo i wystąpienia przeciwko posiadaniu majątków przez Kościół". Wieziony z Mogiły do Krakowa na sąd, Gałka

uciekł — pewnie przy pomocy przyjaciół — i skrył się w Małym Głogowie na Śląsku u wrogiego klerowi księcia Bolka. Stamtąd pisywał harde, lecz nacechowane szacunkiem listy do Oleśnickiego, oraz obelżywe do kolegów z akademii. Później, być może, działał w Wielkopolsce i przystał do husytów. Zostały po nim owe pisma, wśród których była *cantilena vulgaris,* piosenka ludowa po polsku. Początek jej i koniec brzmiały tak:

Cesarscy popowie
są antichristowie;
ich moc nie od Chrysta,
ale od antychrysta
z cesarskiego lista...

Chryste, przez Twe rany
racz nam dać kapłany
iżby prawdę wiedli,
antychrysta pogrzebli,
nas k'tobie przywiedli.

Gałka wcale nie powoływał się na Husa i nawet go nie wymieniał, pewnie ze względów taktycznych. Znawcy twierdzą za to, że jego poglądy wyraźnie zbliżały się do tez Marcina Lutra, ogłoszonych w kilkadziesiąt lat później.

Ale wybiegliśmy naprzód. Na razie Zbigniew Oleśnicki triumfował. Dopiero teraz mógł swobodnie urzeczywistniać swe programy, a sam los podsunął mu okazję. 27 października 1439 roku zmarł Albrecht Habsburg i sprawa następstwa tronu w Czechach i na Węgrzech znowu stanęła otworem.

Akurat w tym czasie przybył do Krakowa poseł, jakiego tam jeszcze nie oglądano. Był to przedstawiciel Murada II, sułtana tureckiego, który słysząc, że król polski walczy z Habsburgami o Czechy, ofiarowywał pomoc i przymierze. Sam bowiem wojował z nimi od strony Morza Czarnego i Węgier. „Król Władysław, przyjąwszy posła łaskawie i z uczciwością, zatrzymał go przy sobie, póki się nie dowiedział, jaki obrót brały sprawy węgierskie po śmierci króla Albrechta."

Według zasad od całych tysiącleci obowiązujących w polityce, Turcja nadawała się wtedy na sojusznika Polski. Rozumiał to Murad i pierwszy pchnął posła do władcy nadwiślańskiej odmiany giaurów.

W same zapusty 1440 roku przyjechało na Wawel nowe poselstwo. Węgrzy ofiarowywali Władysławowi III swą koronę żądając, by poślubił wdowę po Albrechcie, Elżbietę, znacznie od niego starszą — nawet „podstarzałą" — i będącą właśnie w ciąży. Ta perspektywa wcale się nie uśmiechała szesnastoletniemu niespełna monarsze, nie widział też korzyści w porzucaniu Polski i wyjeździe za Karpaty. Opinię tę podzielała część rady koronnej, a kiedy goniec z Węgier doniósł, że Elżbieta urodziła syna — nazwanego też Władysławem, z przydomkiem Pogrobowca — zaniosło się na zdecydowaną odmowę.

Jednakże 8 marca 1440 roku Władysław III, „potłumiwszy w sobie wszystek wstręt i niechęć, na radę i prośbę stron obydwóch, acz z przekonaniem swoim niezgodną, powodowany jedynie względami religijnymi, przywiązaniem do prawej katolickiej wiary, postanowił królestwo węgierskie przyjąć". Cere-

monii, podczas której posłowie madziarscy znowu uklękli przed Jagiellonem, przyglądał się wciąż jeszcze obecny w Krakowie poseł sułtana.

Król — wraz z trzynastoletnim bratem Kazimierzem — przez Niepołomice, Wieliczkę i Bochnię wyruszył do Sącza, gdzie oczekiwała go matka i Zbigniew Oleśnicki, który dał tu monarsze sporą sumę pieniędzy oraz srebra stołowe, a w zamian wziął prawem zastawu Spisz. Dążył do stworzenia w granicach Polski osobnego księstwa biskupiego, do czego wiodły też późniejsze zakupy Siewierza, Oświęcimia i Zatora. Od jego czasów biskupi krakowscy noszą tytuł książęcy.

23 kwietnia Władysław III pożegnał się w Czorsztynie z matką i bratem, po czym przekroczył granicę węgierską. 25 maja odbył uroczysty wjazd do Budy. Otaczające go rycerstwo polskie szło pieszo, aby lud mógł lepiej widzieć siedzącego na koniu króla. Tuż za Władysławem sunął Oleśnicki, za nim dwaj biskupi węgierscy, dziekan krakowski Mikołaj Lasocki, a dopiero potem wojewoda Jan z Tęczyna oraz palatyn madziarki Wawrzyniec Hedrewara. Reżyseria nie pozostawiała nic do życzenia.

Dzieje te układały się po myśli Zbigniewa Oleśnickiego, gdyż on był ich właściwym sprawcą, on ostatecznie przemógł wahania króla, który jeszcze z Węgier chciał zawrócić z powrotem, skłaniając się ku zdaniu większości doradców. Nie król, lecz kardynał ponosił odpowiedzialność za uczynki, oceniane przez najtęższych naszych historyków w sposób krańcowo różny. Michał Bobrzyński pisał: „Wielka to była w dziejach Polski chwila, kiedy za mężnym Władysławem świetne rycerstwo polskie zbrojnie i okazale do Węgier ciągnęło". Ludwik Kolankowski wyrażał się o wiele zwięźlej: „Króla na tę drogę popchnięto i doprowadzono go nią do zguby, a jego ojczyznę na skraj przepaści", która to opinia niemal idealnie przylega do prawdy.

Warunki, zawczasu ułożone w Krakowie, nakładały na Władysława III obowiązek obrony Węgier przed Turkami. Ponadto winien był król poślubić Elżbietę, zająć się losem dwóch jej córek, a Pogrobowca (należącego do rodu Habsburgów, Niemca) uczynić w przyszłości władcą Czech. Uderza brak jakiejkolwiek wzmianki o tym, co ma uzyskać Polska, dająca wszak Węgrom pomoc wojskową, opłacaną z krakowskiego skarbca, oraz własnego monarchę. Bo też w istocie nie przewidziano dla niej nic. Korzyści miały wyniknąć z objęcia przez nią przewodnictwa w nowej krucjacie Zachodu.

Był to pierwszy w historii Polski wypadek rozpoczęcia działania nie mającego nic wspólnego z podstawową zasadą polityki *„do ut des"*. Po sześciu wiekach istnienia państwo zaczynało wkraczać na tory dotychczas najzupełniej sobie obce, godziło się ponosić samo koszty. Przeszłoroczna rozprawa pod Grotnikami, która zgniotła opozycję i zdjęła hamulce z biskupich rządów, teraz wydawała owoce. Polityka polska bez zastrzeżeń poszła w służbę ideologii, rzekomo powszechnej, a w gruncie rzeczy nierzeczywistej, bo akurat wtedy nikt w Europie o żadnym zbiorowym wystąpieniu przeciwko Turkom nie myślał, każdy pilnował własnego dobra i już bez ceremonii odrzucał resztki uroszczeń papiestwa oraz cesarstwa.

W X stuleciu kraj w zadziwiający sposób zachował równowagę w dobie przemiany wiary, jego pierwsi chrześcijańscy władcy ani na cal nie zboczyli z drogi rozsądku. Chrobry obu nogami stał na ziemi popierając misję św. Wojciecha i zaraz po jego zgonie uzyskując arcybiskupstwo. Ostatni Piast

zająwszy Ruś Czerwoną nie przejawił ani iskry zapału do nawracania schizmatyków. Wręcz przeciwnie — w tajemnicy przed papieżem działał dla ich dobra. Naśladując ojca, Łokietka, zawierał sojusze z Litwinami, nie przejmując się ich pogaństwem.

XV stulecie przyniosło zmiany bardzo istotne, których najwcześniejszą, znamienną zapowiedzią była metamorfoza uniwersytetu krakowskiego. Jeden z Węgrów oficjalnie mówił w Budzie do Władysława III: „Ufaliśmy, że nad klęskami i nieszczęściami naszego królestwa litościwie się użalisz a jako przesławny rodzic twój wiele ludów i narodów z ciemnoty błędów pogańskich przywiódł do światła wiary świętej, tak ty staniesz się obrońcą i twierdzą tejże samej wiary, którą on tak gorliwie rozkrzewiał, abyś czynów jego i sławy prawdziwym był dziedzicem". Młody król był istotnie spadkobiercą świeżej tradycji podejmowania zadań zbyt szerokich, z własnych polskich warunków wcale nie wyrastających, a z konieczności noszących znamię walki ideologicznej. Nie odnosi się to wcale do rozszerzania katolicyzmu w samej Litwie — bardzo było mądrze odepchnąć od tej misji Niemców i wzmóc swe znaczenie. Ale skomplikowane warunki wewnętrzne Wielkiego Księstwa nieuchronnie plątały Polskę w zbyteczne zatargi z prawosławnymi, kazały jej myśleć o unii Kościołów. Całokształt nowych okoliczności zabarwiał politykę królestwa na nowy sposób, rodził atmosferę sprzyjającą triumfom Oleśnickich. Pomału zaczynała się Polska uznawać za obarczoną polityczną misją obrony katolicyzmu. Jeszcze w Krakowie wygłosił Władysław III słowa, w których ton doprawdy warto pilnie się wsłuchać: „Że poprzestając na swoim królestwie polskim nigdy obcych królestw nie pragnął: wszelako, aby się nie zdawał Boskiemu opierać rozrządzeniu, rzeczone królestwo (węgierskie) na chwałę Boga Wszechmogącego, Rodzicielki Jego Maryi Panny i wszystkich wybrańców nieba, dla pokoju i obrony wiernych, a wytępienia i zagłady barbarzyńców, nie bez mnogich łez wylania przyjmuje". Jakże to uważać za czczą deklamację, kryjącą chytre interesy, skoro układy rzeczowe nie przewidywały dla Polski nic?

Po unii z Polski i poprzez Polskę popłynęła do Wielkiego Księstwa fala europejskiej kultury, lecz jednocześnie ścieżka naszej historii zaczynała odbiegać od zwykłych europejskich dróg. W tym oczywiście sensie, że samo wytyczanie kierunku marszu odbywało się na odmiennych niż gdzie indziej zasadach. We wrześniu 1440 roku, po powrocie Oleśnickiego do kraju, szlachta małopolska postanowiła obarczyć się podatkami, zwalniając od nich tylko tych, co sami osobiście wyruszą na wojnę węgierską. Trudno by przyszło skłonić wtedy do takich uchwał rycerstwo Francji, Anglii czy Niemiec. Dokonana przemiana, utrata równowagi, wcale nie była ostateczna. W niedalekiej przyszłości, pod wpływem własnych doświadczeń oraz europejskich prądów Renesansu i reformacji Polska miała znakomicie otrzeźwieć. Czasy Władysława III przyniosły pierwsze pobłądzenia, od razu opłacone jednak straszliwą ceną.

Polska poniosła wiele ofiar na rzecz krajów wschodnich, z którymi po roku 1386 związała swój los. Najłatwiej oczywiście zauważyć udział w wyprawach wojennych, a najtrudniej chyba ocenić, że wskutek owego związku sama zaczęła się wewnętrznie przemieniać, rozstawać z tymi zasadami postępowania, dzięki którym wyrosła w dobie piastowskiej.

Wiele się dawniej pisało o posłannictwie czy misji dziejowej Polski. Patrząc z perspektywy dłuższej niż tysiąclecie można twierdzić, że ta misja polegała na budowie nad Odrą i Wisłą normalnego państwa europejskiego, zapewniającego narodowi bezpieczeństwo oraz dobrobyt, a przez to gruntownie i na zawsze utwierdzającego w tych stronach określony typ kultury, jej jak najlepszy rozkwit, a nie wegetację. To zadanie było wypełniane. Już XIV wiek stać było na ostateczne zjednoczenie państwowe, prawo spisane oraz uniwersytet, który datą swych narodzin wyprzedził liczne kraje Zachodu. Było wypełniane mimo trudnych warunków tak solidnie, że pewnych podobieństw wolno szukać aż w dziejach Francji.

Odległe i górne cele, jakie przyświecały Oleśnickiemu, nie wystarczą jednak dla pełnego wyjaśnienia dziwnych losów Władysława III. Należy jeszcze spojrzeć od strony praktyki politycznej. Król wyjechał na Węgry, tym samym przestał wyczuwać puls codziennego życia kraju, utracił związek z nim. A że w chwili rozstania z Polską liczył sobie lat niespełna szesnaście, więc nie nabył jeszcze doświadczenia. Gdyby nawet w przyszłości powrócił, stanąłby w Krakowie jako człowiek skazany na naukę od początku. Wyjazd Władysława czynił Oleśnickiego rzeczywistym, choć nie koronowanym królem. Monarchia polska przez kilka lat miała istnieć tylko teoretycznie, prawdziwe rządy przypadły magnatom, zwłaszcza duchownym. W 1439 roku krwawo złamano opozycję, w następnym wśród wielkich honorów pozbyto się z kraju władcy, posiadającego wszak rozległe uprawnienia a z natury, jak widać, wrogiego takim wydarzeniom, jak Grotniki. Z punktu widzenia praktyki politycznej zabieg Oleśnickiego wygląda niedwuznacznie. To było zdobycie władzy.

17 lipca Władysław III wstąpił w Białogrodzie na tron węgierski. Do ceremonii posłużyła jednak nie tradycyjna prastara korona — ta sama, która niegdyś przeznaczona była dla Chrobrego, a trafiła na Węgry — lecz inna, symboliczna, specjalnie w tym celu zdjęta z relikwiarza św. Stefana. Tamtą właściwą znacznie wcześniej, bo już 15 maja, ukoronowano Władysława Pogrobowca.

Matka jego, królowa Elżbieta, zmieniła bowiem front już wtedy, gdy polski kandydat przebywał jeszcze w Krakowie. Opierając się na pomocy cesarza Fryderyka III, stronnictwa habsburskiego na Węgrzech oraz wojsk najemnych, przeprowadziła koronację syna-niemowlęcia i wytrwale broniła jego praw. Triumfalny pochód Władysława III przemienił się w dwa lata trwającą, ciężką wojnę domową. Nie było na razie mowy o objęciu przodownictwa w chrześcijaństwie ani o „rozciągnięciu wpływów polskich aż po kresy Bałkanu i uczynieniu z Polski czynnika decydującego na wschodzie i w środku Europy" (bo tymi słowami profesor Jan Dąbrowski określał cele Oleśnickiego).

Tymczasem nad Wisłą działo się źle i coraz gorzej. Nieudolne rządy magnaterii, zamieszki i rozboje to były sprawy przemijające, do naprawienia. Fatalnie i w sposób trwały cierpiał główny filar wszelkiej polityki — skarb, majątek państwa.

Polska nie była skłonna oficjalnie mieszać się do wojny z Elżbietą i Pogrobowcem, za to wielu rycerzy ochotniczo szło za Karpaty, szukając nie tyle sławy, co kariery. Zgodnie z prawem, trzeba im było płacić za służbę zagraniczną. Każdemu z przybywających kancelaria królewska uiszczała więc

należność brzęczącą monetą lub dawała kwity, płatne w Polsce. Wskutek tej praktyki „przesunął się ogromny szmat ziem królewskich w ręce prywatne, nieraz bezpowrotnie". Jeden z wierzycieli wziął więc w zastaw całą Sandomierszczyznę, inny Bydgoszcz, trzeci Śrem i tak dalej.

Władysław Jagiełło był aż nadto hojny, a rządził lat czterdzieści osiem. Podczas cztery lata trwającej ekspedycji węgierskiej jego syna dług obciążający dobra państwowe wzrósł o sumę trzykrotnie przewyższającą wszystkie zobowiązania Jagiełły. Skarb koronny popadł w ruinę, z której nie miał się już nigdy podźwignąć. Na zawsze przepadł główny wspornik polityki piastowskiej, czyli zdecydowana przewaga materialna panującego nad poddanymi. W przyszłości miało być w Polsce akurat odwrotnie — bogate możnowładztwo, szczególnie duchowne, nędzarskie państwo. To była owa straszliwa cena zapłacona za politykę w imię ideologii.

Długosz, który wszystko to oglądał własnymi oczyma, pisze: „...król Władysław przez czas pobytu swego na Węgrzech prawie wszystkie miasta, zamki, ziemie, miasteczka, wsie tudzież cła i dochody królewskie krociami długów obciążył i pozastawiał... Mnożyły się zatem w królestwie polskim nieszczęścia, tak iż zarazem cierpiało od nieprzyjaciół i niszczało przez spustoszenie kraju, królewskie darowizny i zapisy. Powiększała jeszcze te nieszczęście duma polskich panów, którzy uzyskawszy od króla nadania wielu wsi na Rusi i Podolu rugowali z nich dawnych osadników i mieszkańców, którzy, przywiedzeni do ostatniej nędzy, z rozpaczy uciekali do Tatarów i tych potem namawiali do plądrowania ziem ruskich i majętności, z których byli wygnani".

Od roku 1434 do 1444 trwały w Polsce rządy oligarchii magnackiej, a wielkie rody porastały w dobra jak nigdy przedtem. Owo dziesięciolecie gruntownie i na gorsze przemieniło możnych, grupę społeczną i bez tego najbardziej dla państwa niebezpieczną. Późniejsi wielcy panowie całkiem przestali przypominać swych stanowych poprzedników, komesów Kazimierza Wielkiego.

Zbyt szerokie cele polityczne kierownictwa sprawiły, że prawdziwa polityka przestała w kraju istnieć, spowodowały skutki pod każdym względem złe. W niedalekiej przyszłości, podczas walnej rozprawy z Krzyżakami, miała Polska fatalnie odczuć brak pieniędzy roztrwonionych na chimeryczne przedsięwzięcie węgierskie. Pusty skarbiec zagrodził nam drogę do Królewca.

Wspomnijmy jednak z naciskiem, że zjazd koronny, odprawiony w Sieradzu w kwietniu 1442 roku, kategorycznie zażądał zakończenia wojny. W zjazdach takich, już wtedy zwanych sejmami, uczestniczyli biskupi katoliccy oraz wszyscy wyżsi dostojnicy, lecz także zwykli urzędnicy ziemscy, przedstawiciele średniej szlachty, nawet miast. Z Polski szły do Władysława III rozpaczliwe wołania o powrót. Nadal istniały zatem w kraju warunki i dane do uprawiania polityki rozumnej. Marnowano wszystko na szczytach, tam gdzie zapadały decyzje.

14 grudnia 1442 roku zwalczające się na Węgrzech obozy Władysława i Elżbiety zawarły kompromisowy układ. „O Polsce — pisze Ludwik Kolankowski — która złożyła tyle ofiar na ołtarzu pacyfikacji Węgier, w ugodzie tej w ogóle nie pamiętano, rezerwując jej za to wdzięczne pole do zasług w nowej wojnie, w którą dyplomacja papieska i ambitne plany panów węgierskich uwikłały jej króla, w ofensywnych, bałkańskich, antitureckich krucjatach".

Pośredniczył w układach wysłany przez papieża Eugeniusza IV kardynał Julian Cesarini. Nie miał on szczęśliwej ręki, nie wyniósł też przyjemnych wspomnień z wcześniejszych działań w tej połaci Europy. Swojego czasu doznawał dotkliwych klęsk od husytów czeskich. Pomocnika znalazł w Mikołaju Lasockim, dziekanie krakowskim, który stale bawił przy boku Władysława, miał duże wykształcenie, horyzonty szerokie. Może nawet za szerokie, bo odznaczał się zdecydowaną skłonnością do wytyczania odległych celów i poświęcania im rzeczywistych korzyści własnego narodu. Ta spółka tłumaczy, czemu Polska wyszła z układów bez żadnego zysku.

Zwyciężyły interesy Rzymu, papieża Eugeniusza IV, który spierając się z soborem oraz antypapieżem Feliksem V na gwałt potrzebował sukcesu. Miała go przynieść zamierzona na rok 1443 wielka wyprawa przeciwko Turkom. Znamienne, że Polska wzięła w niej udział całkiem nieznaczny. Przybyli tylko niezbyt liczni ochotnicy. Kraj był rozczarowany wynikiem poprzednich układów, nie przynoszących mu nic, a oprócz tego — opowiadając się za soborem, o czym już była mowa — nie widział interesu w popieraniu planów papieża (sam Oleśnicki był kardynałem z ramienia antypapieża, bo nie przyjął kapelusza ofiarowanego mu przez Eugeniusza IV). Pomysły, dla których Polska odstąpiła Węgrom własnego monarchę i popadała w wewnętrzną ruinę, po prostu nie dawały się wprowadzić w życie. Ona sama ich zaniechała, rezygnując z udziału w krucjacie.

Bałkańska kampania Władysława III, odbyta od listopada 1443 do stycznia 1444 roku w warunkach nadzwyczajnie ciężkich, przyniosła mu sukcesy i sławę. Wśród innych miast oswobodzono i Sofię, w Albanii wybuchło powstanie przeciwko Turkom. Chwila ulgi, którą te działania przyniosły narodom bałkańskim, jest na pewno godna zapamiętania.

To, co się stało latem 1444 roku, ciągle wywołuje namiętne spory wśród historyków, należących do rozmaitych narodowości. Pertraktacje z sułtanem odbyły się i ułożono warunki dziesięcioletniego pokoju, to są fakty. Ale czy Władysław III pokój ów naprawdę zatwierdził i zaprzysiągł, a w trzy dni później złamał? — oto przedmiot dyskusji. Większość dziejopisarzy odpowiada na to pytanie twierdząco, wyjaśniając, że Władysław działał z namowy oraz upoważnienia papieża i jego legata. Jednakże inni poważni uczeni przeczą temu, i to opierając się na najnowszych badaniach archiwalnych. Ich zdaniem król nie zatwierdził przedstawionych mu warunków, które wcale nie były tak korzystne, jak się zazwyczaj przyjmuje.

Nie kusząc się o rozstrzygnięcie kwestii, trudno jednak zrezygnować z uwagi, że łamanie najbardziej uroczyście zawartych układów jest w polityce nie tyle zjawiskiem wyjątkowym, co chlebem powszednim. W żaden sposób nie można więc uważać Władysława III za przestępcę. Sułtan znalazł się podówczas w trudnym położeniu, w jego własnym państwie wybuchły zamieszki na tle religijnym, i ta okoliczność skłoniła stronę przeciwną do próby skorzystania ze sposobności.

W każdym razie zjazd koronny w Piotrkowie doznał gorzkiego rozczarowania. Zebrani szlachcice cieszyli się wieścią o zawartym z Turkami pokoju i zapowiedzią rychłego powrotu króla do kraju, a otrzymali z Węgier nieoczekiwaną wieść o nowej wojnie.

Władysław III podjął decyzję w dniu 4 sierpnia. Czyniono mu obietnice

poparcia ze strony rozmaitych krajów oraz silnej floty chrześcijańskiej. Murad II przebywał za morzem, w azjatyckiej części państwa, gdzie zaprowadzał spokój. Okręty krzyżowców wcale mu nie przeszkodziły w przeprawie na brzeg europejski. Podobno Genueńczycy za pieniądze sami przewieźli armię turecką przez cieśniny. 9 listopada Murad zastąpił pod Warną drogę Władysławowi, odcinając mu odwrót.

Starcie nastąpiło nazajutrz, 10 listopada. Nosiło charakter bitwy o przebicie. Front wojsk królewskich zwrócony był na zachód, na zapleczu miał miasto Warnę i morze. Dowodził właściwie znakomity wódz węgierski, Jan Hunyady, zwany przez Turków „przeklętym Jankiem". Jego wiedza i doświadczenie nieskończenie górowały nad królewskimi. Batalia mogła się zakończyć powodzeniem i otwarciem drogi odwrotu. Klęskę spowodował błąd Władysława, wynikły z krwi zbyt gorącej.

Przywodził on bezpośrednio dwom hufcom ciężkiej jazdy, w których wraz z Węgrami służyli wszyscy Polacy. Było to centrum linii chrześcijańskiej oraz rezerwa taktyczna, przeznaczona do rozstrzygającego ciosu. Jakoż pułki te przywróciły równowagę na prawym skrzydle, które Turcy rozproszyli. Ale w chwili, kiedy Hanyady zaczął zwyciężać na lewym, uniesiony zapałem król już nie czekał, poderwał swoje rycerstwo do szarży na wprost.

Co się z nim działo potem, o tym świadczyli tylko Turcy, bo nikt z chrześcijan więcej Władysława nie zobaczył.

Miał on przeciwko sobie wielki czworobok janczarów, którzy umocnili się i otoczyli wielbłądami, płoszącymi konie rycerstwa. Sam sułtan znajdował się wśród swej znakomitej piechoty i zanosił do Allacha głośne modły. Wypadki rozegrały się błyskawicznie i nie jest pewne, czy janczarowie rozstąpili się, by tym pewniej oskrzydlić, czy też, wytrzymawszy uderzenie, otoczyli całe rycerstwo walcząc wręcz. Możliwe też, że odcięli tylko jego część. W każdym razie dokonawszy tego godzili przede wszystkim w konie.

Zwalonego na ziemię Władysława III zabił janczar imieniem Kodża Khizr. Odciętą głowę wbito na spisę i podniesiono nad pobojowiskiem, obwołując: „Ta głowa jest głową króla!" — Potem, dla zabezpieczenia przed zepsuciem włożoną do garnka z miodem, odesłano ją do Brussy, ówczesnej stolicy państwa tureckiego. Obmyta w rzece, znowu znalazła się na ostrzu dzidy, obnoszona była ulicami miasta. Ciała królewskiego nie odnaleziono nigdy. Grobowiec na Wawelu jest symboliczny, próżny.

Legat Cesarini marnie zginął w ucieczce, prawdopodobnie zabity na Dunaju przez przewoźnika, który połakomił się na kiesę kardynała. Opowiadano co prawda, że Turcy schwytali Cesariniego, zawiedli do Adrianopola i żywcem obdarli ze skóry. Ale to jest prawie na pewno bajka. Jan Hunyady wraz z niedobitkami dotarł na Węgry. Okazało się, że miał rację, kiedy ostrzegał króla przed tą wyprawą.

Cokolwiek się ujemnego powie o tym smutnym okresie dziejów, nic nie dotyczy chłopca, który padł ofiarą cudzych zaślepień, ambicji i żądzy władzy. Tym bardziej tragiczny, że zupełnie daremny zgon Warneńczyka, to jakby wczesna zapowiedź nieszczęść, czekających Polskę na szlakach, które nie były jej własnymi drogami.

Paweł Jasienica

Barbara Sadowska

HIENA NA BRATA

pozwól mi zapomnieć ty bolisz, mój mózg
zanim zgaśniesz ziemia, pozwól ciało moje
nie żegnaj swych kości bo nie są podwoje
wracasz przecież do ziemi, kto się z tobą zrósł

choćby ta kobieta ściśnięta wśród bruzd
z niej wody odchodzą potem ciało moje
pozwól ciało zapomnieć będzie jak być miało
wyrosłam z ciebie boleśniej niż wrzód

pozwól zapomnieć ciało że inaczej będzie
to rąk łamanie i łza ciebie wstydzi
mokre i mozolne to śpiewanie matko
warg przywartych w ziemię pełną kości brata

niech hiena się zaogni jej trucht w diament głodu
diament jakby za oczy ponure — duszenie
odkąd bym sobie kłamać odjęła od warg
w skurcz żuchwy ostatni dni martwe zabiorę

że niby tulę obejmuję tę wykochaną z rodzicieli
ja tak podchodzę do gardła mojego
a hiena moja przebiega latami
braciszku mój ziemny z szumiącym korzeniem.

NAD OGNIEM

Zgadzam się oglądam cokolwiek się zdarza
światło się węgli, ile mnie zostało
ognisko się tlenem zachłystuje moim
cienie idą po twarzach ze słów zasłyszanych

Dzieciństwo, tam przymknięta powieka obmierzła
starca krewnego który kazał tańczyć
po skórze swego napiętego brzucha
dlaczego mocniej pamiętam to złe.

Zgadzam się przyglądam jakkolwiek się zdarza
widzenie moje wyraźne, chyli się coraz bardziej
słyszana i widziana w ścianach wiatru klęsnę
i klęska to jest — snu drzwi wyważone

widzę wtedy dziewczyny gościnność ich ciał
w domach niestrzeżonych
gdybyś żył ojcze, kroków by poplątanych
nie było aż tyle
i choinę byś piękną wyrąbał północą
na święta i matkę naszą objął

w ogień mówię i widzę jeszcze
twarzy cienie rozwiązanych w węgiel
jak bóg chciał
zgadzam się oglądam cokolwiek się zdarza

24.II.1961

Barbara Sadowska

Jan Strzelecki

AMERYKAŃSKIE NIEPOKOJE (2)

Świadomym rzeczy nie trzeba powtarzać, że tradycyjne narzekania kontynentalnych gości na zaatlantycki materializm, z których pozwoliliśmy sobie przytoczyć obszerne fragmenty, wydają nam się częściowo w złym tonie. W złym, żeby tak powiedzieć, według ideologicznej miary, gdyż był to przeważnie ton najlepszego europejskiego towarzystwa. Wiadomo przecież, że swą szczególną i pouczającą epopeję pościgu za rzeczami tworzyli Yankesi wśród podejrzanego zgorszenia kontynentalnych arystokratów. Wypadnie tedy zgodzić się z tymi spośród Amerykanów, którym się wydaje, że w wydziwianiach tych dałoby się bez trudu odnaleźć elementy wzniosłości obłudnej i że *homo americanus* nie wyróżnia się niczym szczególnym, jeśli chodzi o ludzkie zamiłowanie do dóbr tego świata, tylko że, jak dotychczas, lepiej mu się powiodło i zdołał w tej materii cele swe urzeczywistnić w pokaźniejszym niż inni zakresie. „Europejskie masy — pisze w tym przedmiocie Riesman — aż do lat ostatnich nie miały po prostu pieniędzy ni czasu, by wkroczyć na ślad amerykańskich standartów konsumcji. Z chwilą gdy to czynią, demonstrują niekiedy materializm bodaj mniej jeszcze wybredny." Przyjdzie poczekać jeszcze lat kilkoro, aby na nas wypróbować słuszności tego twierdzenia, w którym to celu przydałoby się zaproponować jakąś transkontynentalną skalę wybredności. Nie jest to sprawa łatwa nawet na amerykańskim gruncie. Kogóż na przykład nazwać bardziej wybrednym, czy tych, którzy mniemają, że nie przystoi im posiadać pojazdów mechanicznych w klasie niższej od Cadillaca czy Lincolna, czy tych, którym nie wadzi jeździć Chewroletem? Wulgarniejszy materializm polega chyba właśnie na wyborze Cadillaca, jako że jest to wybór uzależniony nierównie bardziej od tego, co Veblen nazywał pieniężnym kanonem smaku — *pecuniary canon of taste*. Dotykamy tutaj sprawy, nad którą należy się nieco zatrzymać, chociaż Veblen tworzył w tzw. okresie minionym, to znaczy okresie błędów i wypaczeń kapitalizmu; okres ten, nacechowany demonstracyjną beztroską magnatów businessu o opinię szerszej publiczności, skończył się już dawno; ludzie ci dbają dzisiaj bardzo, żeby ich kochano, angażują nawet sztaby specjalistów, mających troszczyć się o podsycanie ludzkiej tkliwości, zwróconej ku ich osobom i dziełom; obyczaje ich zmieniły się znacznie, przestali się stylizować na renesansowych książąt, stylizują się

na swoich chłopaków; wystawna konsumcja przestała być dzisiaj ich wyróżniającą cechą, stając się raczej cechą ciał zbiorowych. Toteż łatwiej dzisiaj znaleźć związek zawodowy, wynajmujący na swe doroczne obrady hotel na Florydzie, niż dziedziczkę fortuny, spacerującą po ulicach Bostonu z lampartem na smyczy. *Pecuniary canons of taste* straciły od tamtego czasu wiele ze swej jaskrawości, stały się spokojniejsze, mniej prowokacyjne, ale w dalszym ciągu stanowią w życiu tego narodu coś w rodzaju skali, którą mierzy się nie tylko pozycję społeczną, ale i, w przybliżeniu, wartość człowieka, jego *respectability*, jego sprawność w tym tradycyjnym wyścigu do mety bogactwa. Bo cóż właściwie stwierdzał Veblen, opisując wpływ *pecuniary standards* na obyczajowość tego kraju? Stwierdzał, że społeczeństwo to oddaje się z zapałem współzawodnictwu w zdobywaniu dóbr i że walory okazane w tym współzawodnictwie stają się podstawą ogólnej reputacji. Skutkiem i symbolem rozporządzania tymi walorami, dowodem szczególnej dzielności współzawodnika jest pieniądz. Wystawna konsumcja jest tedy czymś w rodzaju noszenia orderów, chodzenia w kołpaku, to znaczy publicznym okazywaniem świadectw swej dzielności. Stwierdzał ponadto, że kolejne warstwy tej społecznej piramidy bogactwa mają swoje własne, przestrzegane zbiorowo zasady przyzwoitości regulujące rodzaj, ilość i sposób konsumcji określonych dóbr i że zasady te ciążą ze znaczną siłą na umysłowości i zachowaniu się sklasyfikowanych hierarchicznie konsumentów zarówno w czasie publicznych występów, jak i w głębinach życia prywatnego. Między ceną przedmiotu a samopoczuciem właściciela istnieją więc związki głębokiej, dwustronnej natury, polegające na wzajemnym użyczaniu sobie dostojeństwa. Dostojeństwo człowieka wyraża się we władaniu potęgą pieniądza, dostojeństwo przedmiotu w koszcie płynącym ze zbytkownego narzutu, nie mającego żadnego związku z użytecznością, a ustalającego przynależność przedmiotu do kręgu życia jak najbardziej przyzwoitych i odpowiedzialnych finansowo ludzi, których obyczaje przeniknięte są zasadą honorowej rozrzutności, panującą na szczytach hierarchii. Veblen dodawał jeszcze, że owe obyczaje uszeregowanych kręgów zamożności kształtują nie tylko konsumcję, lecz i kategorie moralne, zmysł piękna i obraz człowieka wszystkich objętych współzawodnictwem obywateli konsumentów.

Tak mniej więcej, po stonowaniu ironicznej pasji, przedstawia się veblenowski model obyczajów *upper-* i *middle classes* tego społeczeństwa, model kręgów pozycji i gradacji ludzkiego znaczenia, pochodzący z początku dwudziestego wieku, z czasów gdy Wall Street była prawdziwą Wall Street, a bankierzy zajmowali w tym kraju prawie taką pozycję, jak w książkach Saint-Simona, ojca socjalizmu; godzimy się z łatwością, że dni te przeminęły i że w kraju tym wiele się zmieniło, nawet obyczaje bankierów. Amerykanie przyznają się z gościnną radością, że prawdziwa Wall Street istniała rzeczywiście, i z muzealnym zamiłowaniem opisują zamki Vanderbildtów, jachty Morgana czy rezydencję Hearsta w San Simeon, Kalifornia, jako widome symbole egzotyki czasów, które przeminęły z wiatrem. Oczywiście, że tamte właśnie czasy były klasyczną epoką veblenowskiej leisure class i wystawnej konsumcji *old style*. Jeśli już o niej mowa, trudno powstrzymać się od przytoczenia skromnej ilustracji z życia nowojorskiego towa-

rzystwa na przełomie wieków. Otóż kroniki zanotowały, z dokładnością co do jednego dania i jednego dolara, że 11 lutego 1899 roku w sali Myrtle Room hotelu Waldorf Astoria odbyło się przyjęcie urządzone przez Randolfa Guggenheimera dla dobranego grona czterdziestu panów i czterdziestu pań. Sala przekształcona była w ogród pełen róż, hiacyntów i tulipanów, przedzielonych piniowymi żywopłotami. W zielonej gęstwinie kryło się różnorodne ptactwo. Biesiadującym towarzyszył śpiew szpaków i słodkie trele słowików, wypożyczonych uprzejmie przez nowojorskie Zoo. Stół zastawiony był w sklepionej altanie, gęsto krytej winem, a nogi dostojnych gości spoczywały miękko na zielonej runi. Menu spisane było złotą farbą na polerowanej gładzi kokosowych orzechów, a każda z dam otrzymywała wachlarz, demonstrujący w otwarciu bogatą listę win. Panowie dostawali za to drobny upominek w postaci pudełek od zapałek wysadzanych drogimi kamieniami. Śpiew ptaków nie wyczerpywał efektów akustycznych; konsumcji i konwersacji towarzyszyła muzyka neapolitańskich gitarzystów, ubranych w narodowe stroje. Lista dań jest stanowczo zbyt długa, aby ją tu przytaczać, powiemy tylko, aby oddać sprawiedliwość organizatorom, że nie zabrakło zupy z zielonego żółwia i świeżych poziomek, a baranina przyjechała z Gór Skalistych ekspresem w specjalnej lodówce. Proszę o wybaczenie mi tego plotkarstwa, ale jeśli już zaczęło się mówić o wystawnej konsumcji, to nie wypadało poprzestać na suchych pojęciach, żeby nikt nie powiedział później, że za schematem nie potrafimy dostrzec żywego człowieka. Zresztą obrazek taki, opatrzony datą, wymowniej niż nagie słowa przemawia za tezą o poważnej zmianie obyczajów. Dzisiaj dużo skromniejsze nawet przyjęcia urządzane są nie na rachunek prywatny, a na koszt *public relations* wielkich korporacji.

Jeśli więc nie ustajemy w powtarzaniu, że obyczaje *wealthy classes* uległy znacznym zmianom, to dlaczego wywołujemy ducha dawnych czasów i przywodzimy na pamięć veblenowski model? Otóż dlatego, że owa hierarchiczna struktura konsumenckich kręgów jest w ciągu dalszym niezmiernie istotnym składnikiem społecznego życia tego kraju, i dlatego że przedmioty, otaczające człowieka, odgrywają tu w szczególny sposób rolę wskaźników pozycji. Powiedzą wam o tym ludzie, którzy od tej strony znają ten kraj najlepiej, to znaczy dyrektorzy działów sprzedaży przemysłowych gigantów i kierownicy biur badawczych, pracujących na zlecenie wielkich agencji ogłoszeń. Dlaczego właśnie oni? Bardzo prosta sprawa. Ludzie ci mają bowiem najwięcej do czynienia ze sztuką sprzedaży. Sztuka sprzedaży jest sztuką perswazji. Sztuka perswazji zaś opiera się na znajomości tajnych pragnień człowieczego serca. Wobec tego wiedza o tym skomplikowanym przedmiocie wchodzi, w zakresie istotnym z punktu widzenia wymiarów obrotu, w skład ich zawodowych obowiązków. Są więc, z natury swego zawodu i odpowiedzialności przed krajem za przebieg akcji zbytu, mecenasami naukowych badań nad naturą potrzeb i sposobem ich zaspokojenia. Wyniki tych badań są nieprzebranym źródłem doniosłych dla nas wiadomości, informują bowiem o zależnościach między samopoczuciem człowieka a kręgiem przedmiotów, które bądź posiada, bądź posiadać chciałby, przy czym, powiedzmy od razu, samopoczucie to zasilane jest w rozstrzygającej mierze przez wyobrażenie o przyszłej opinii sąsiadów,

klientów czy kolegów pracy, czyli przez jaźń odzwierciedloną potencjalnego konsumenta. Jest bowiem rzeczą stwierdzoną, że gdyby gospodarka plemienia ludzkiego opierać się miała jedynie na zaspokajaniu potrzeb materialnych, nie wyszlibyśmy do dziś zbyt daleko poza granice formacji kamienia łupanego. Napięcie naszych potrzeb niezwykle szybko otrzymuje zastrzyk ducha, czyli tego czegoś, co nie wynika jedynie z naszej jako zwierząt naczelnych budowy, a co stanowi w potrzebie domieszkę obrazu; pozostawiając istotę owego obrazu w fenomenologicznym zawieszeniu, powiedzmy, że na treść jego wpływa nasza wrażliwość na przeczuwany sąd innych o nas samych. Mówiąc wrażliwość, nie mamy na myśli wrażliwości moralnej. Chodzi tu raczej o rodzaj wrażliwości, reagujący nie tyle na opinię bliźnich o przymiotach naszego serca, co o przymiotach naszej *public personality,* naszej osobowości widzianej między ludźmi i ocenianej przy pomocy znamion właściwych dla danej kultury. Otóż w Ameryce jednym ze znamion naczelnych pozostają rzeczy.

Sprawa przy tym w ostatnich czasach nabrała nieco innego wymiaru, gdyż wystawna konsumcja, straciwszy dobrych kilka punktów jako wskaźnik indywidualnego prestiżu, chwały i pozycji jednostki, zyskała za to czołową lokatę jako symbol cnót ustroju, mądrości przywódców businessu i rządu i uniwersalnej wartości American Way; zyskała więc znaczną rangę ideologiczną jako czynność zbiorowa, jako oręż w walce, jako sztandar fortecy wolności, jako realizacja testamentu Lincolna, jako nadzieja mas wolnego świata; łatwo zrozumieć, że w tej sytuacji akt konsumenta przekształca się, wyzbywa się swej codzienności, staje się aktem zespolenia z ustrojem, nabywa wysokiego waloru patriotycznego. Ale nie wprowadzajmy na razie tego nowego wymiaru zagadnienia i pozostańmy przy dotychczasowym.

Wróćmy więc do znaczenia rzeczy dla samopoczucia jednostkowego mieszkańców tego kraju. Otóż jeśli za czasów Veblena potencja konsumcji symbolizowała miejsce zajęte we współzawodnictwie wolnych i równych businessmanów, to dziś oznacza raczej miejsce w hierarchii *executives* wielkich przemysłowych biurokracji. Oznacza więc również stopień życiowego sukcesu, jest również symbolem powodzenia i nie przestała dostarczać okazji do *invidious comparison;* ale w stosunku do swej wspaniałej poprzedniczki ma się tak, jak kariera dzisiejszego gubernatora stanu New York do raubritterskich przygód ojca założyciela naftowej dynastii. Nie ma rady, to społeczeństwo też się biurokratyzuje. Doszło nawet do tak gorszącego z punktu widzenia tradycyjnych standartów widowiska, jak uzależnienie lepszych stanowisk w przemyśle od uniwersyteckiego dyplomu. *Going ahead* odbywa się dziś w sposób nierównie bardziej uregulowany i w taki sam sposób odbywa się przechodzenie od szczebla do szczebla konsumcyjnych konwencji na długiej drabinie awansu wewnątrz wielkich organizacji. Whyte odwraca nawet veblenowski termin i, zdając sprawę ze stylu zakupów młodszych *executives,* rozporządzających dochodem około 7500 dolarów i mieszkających w zwartych podmiejskich osiedlach, komunikuje, że styl ten jest znamieniem pokoleniowej solidarności i niechęci do wyrywania do przodu. Polega to na tym, że przodownicy w zakupywaniu coraz to nowych gadgetów czekają na pozostających w tyle i posuwają się naprzód dopiero

wtedy, gdy tamci dociągną. Ten piękny wyraz ludzkiego braterstwa daje się jednak zauważać wśród ludzi o podobnej klasie dochodu, nie może więc uchodzić za jutrzenkę już tak zupełnie bezklasowej obyczajowości. Bo właśnie rzeczy są najwidoczniejszym znamieniem klasowej pozycji w tym społeczeństwie, niezmiernie nie lubiącym tego słowa. Dom, auto, ubranie puchnie w cenie, nabiera wystawności, promieniuje prestiżem, oznajmia rosnącą świetność społecznej roli właściciela wraz z przejściem każdej z kolejnych granic; *Successful striver* nie może być przywiązany ani do rzeczy, ani do przyjaciół. Bywali nawet tacy, co swoje dojście do czubka drabiny święcili przenoszeniem trumien swych rodziców na cmentarze bardziej odpowiadające ich nowej pozycji i wraz z podmiejską rezydencją, historycznymi meblami, parą czarnych Cadillaców zakupywali wystawne nagrobki, poprawiające wydatnie klasowe pochodzenie rodziny. Jest to jednak, powiedzmy sprawiedliwie, dość jaskrawy przykład dążenia do społecznego awansu. Zmiana symboli klasowej przynależności przebiega zazwyczaj w łagodniejszy sposób i ma w sobie coś ze zwyczajowego rytuału, którego pominięcie oznaczałoby gorszące lekceważenie uznanej społecznie procedury, prowokacyjny stosunek do samej zasady sukcesu, szyderstwo z narodowych legend. Rytuał ten wymaga, jeśli się ma być przyjętym przez bardziej zasiedziałych członków nowego środowiska, czynnego wyrażenia szacunku dla jego konsumcyjnych manier, które wyrażają rosnący stopień radosnego panowania nad rzeczami i uczestnictwa w błogosławionej obfitości. Wyraża poza tym coś więcej — uznanie dla zasadniczych reguł gry — *rules of game*. Gry w sukces, gry w szczęście, gry w Amerykę.

W tej najegalitarniejszej z demokratycznych republik istnieją tedy rytuały gradacji przestrzegane z równą skrupulatnością, co gradacja postaci na wielkich socrealistycznych płótnach. Pojawiły się już nawet klucze, pozwalające z wielkim przybliżeniem przewidzieć pozycję manażera w przemysłowej hierarchii na podstawie jakości towarzyszących mu w życiu służbowym przedmiotów. W realistycznej heraldyce jedno z pierwszych miejsc zajmują samochody. W osiemnastowiecznej Francji powóz wyrażał nieomylnie rangę dworską rodu. W dzisiejszej Ameryce rangę w manażerskiej hierarchii poznaje się po samochodzie, tym bardziej jeśli pochodzi ze służbowej puli. Jeśli więc w miasteczku, okalającym wielką hutę stali, prezes rady nadzorczej jeździ Lincolnem, a dyrektor huty jednym z droższych typów Buicka, to nie wypada żadnemu z podległych *executives* używać tych samych modeli. Jeśli agent handlowy wielkiej hurtowni jeździ Fordem, Chewroletem czy Plymouthem, to kierownik działu sprzedaży używać będzie niechybnie Oldsmobile, De Soto czy Buicka, a wiceprezydent Chryslera czy Cadillaca z aklimatyzacją i białymi gumami. Można o tym wszystkim nieskończenie. O samochodach („samochód mówi, kim jesteśmy i co o sobie myślimy... jest podręcznym symbolem naszej pozycji i osobowości... najdobitniejszym sposobem określenia naszej sytuacji. Kupno wozu jest aktem expresji: poszukujemy samochodu, który by najlepiej wyrażał nas samych"). Badania wykazały, że jedynie mniejszość ludności, i to przeważnie klienci z klas niższych, zdradza rzeczywiste zainteresowanie techniczną stroną samochodu. Dla innych jest to przede wszystkim przedmiot, nasycony społecznym znaczeniem i wysoko ceniony ze względu na swą wartość wyraża-

nia charakteru, temperamentu i sposobu widzenia samego siebie. O rezydencjach, willach, domach, domkach, mieszkaniach i budach. *Connecticut, first class people:* typowy dla tej grupy dom na dwanaście do piętnastu pokoi. Położony jest w dzielnicy „najlepszych rezydencji", oddzielony od sąsiadów obszernym terenem, najczęściej na podmiejskich wzgórzach. Rodziny tej klasy nie byłyby w porządku wobec towarzyskiego protokołu, gdyby nie miały drugiego domu przeznaczonego na święta i na sezon letni. „Chatka" mieści się zazwyczaj w okolicy najmodniejszych plaż wzdłuż Long Island lub na odludnych brzegach Maine. *Connecticut, second class people:* dom uważany jest za symbol sukcesu rodziny w urzeczywistnieniu jednego z głównych celów życia. Ci, co go już kupili, postarali się o dobrą dzielnicę i przyzwoity obwód szkolny. Wolą zwykle starsze domy w dzielnicach o ustalonej marce niż modne rancho z nowej zabudowy. Ich domy, jeśli położone w pagórkowatej okolicy, leżą n i ż e j na stoku niż domy klasy przodującej; mają o połowę mniej pokoi i obsługiwane są przez mieszkańców. *Connecticut, third class people:* ich domki grupują się wzdłuż wąskich uliczek „niezłych" mieszkalnych dzielnic, na wąskich działkach, bez dystansu od ulicy. Prawie połowa nie posiada własnego domku i wynajmuje mieszkanie w mieście. Sześciopokojowe rancho na podmiejskiej działce pozostaje w sferze marzeń. *Connecticut, fourth class people:* znaczna większość spośród tych, którzy są właścicielami, ma udział we własności dwu- lub trzyrodzinnego domku w robotniczych dzielnicach. Przeszło połowa wynajmuje mieszkania. *Fifth class:* przeszło osiemdziesiąt procent mieszka w przeludnionych starych kamienicach czynszowych sprzed osiemdziesięciu lat, bez łazienek, z ubikacjami wspólnymi dla pięciu sąsiadów.

Proszę nie myśleć, że przytaczając tę uroczą w swej prostocie klasyfikacyjnej gradację, zmierzam ku podjęciu dzieła demaskacji. Demaskowanie jest czynnością zmierzającą do niezbitego ustalenia znacznej rozpiętości między obrazem stanu, zamiarów i działań jakiejś jednostki czy zbiorowości, utrwalonym w szerokiej społecznej opinii, a ich rzeczywistym charakterem. Przy czym, aby istotnie zasłużyć na to miano, czynność ta dokonywać się powinna przeciwko wydatnemu oporowi niecnych czynników zainteresowanych w dalszym trwaniu złudzeń. Ponadto czynność ta musi zawierać w sobie jakiś element pionierstwa, przodownictwa, waleczności, zuchwalstwa, słowem coś z odkrywania Ameryki. Z wyłożonych powyżej powodów demaskowanie tego kraju jest niezwykle trudne, głównie z przyczyny owych dwu dodatków; gdyż zbieranie, badanie, wykładanie, publikowanie przytoczonych faktów, kodyfikacja rozpiętości pomiędzy *American Dream i American Reality, Dichtung* i *Wahrheit* stało się, w każdym razie od lat trzydziestych, czynnością pokaźnego grona obywateli tego kraju, uprawiających te zajęcia zawodowo i nauczających młodzież w college'ach i uniwersytetach. Nie czynią tego co prawda z piękną pasją i retoryką starych amerykańskich radykałów; ich stosunek do *Big Businessu* jest nieco inny niż Idy Tarbell do Standard Oil of Jersey czy Lincoln Steffensa do City Covernment i całości politycznego systemu. Przeto obciążeni są w naszych nieprzejednanych oczach liberalną ugodowością, bowiem, zbierając skrzętnie przeróżne fakty, nie kierują się prawidłową teorią i nie wyciągają prawidłowych wniosków. Ale, wytknąwszy im te mankamenty, przyznać trzeba, że jednak,

dzięki ich pracy, strukturę społeczną tego kraju, podział dochodu i ową prześwietną gradację w poufałości z dobrami tej ziemi widać z wyrazistością niełatwą do prześcignięcia.

Jakiś swój, choćby skromny, udział w kontynuacji radykalnego dzieła szerzenia jasności w dziedzinie międzyludzkich stosunków niewątpliwie mają i nie łatwo ich wyprzedzić nawet na amerykańskim gruncie. Sprawili, że rzeczywistość przestała uchodzić za najwierniejsze odbicie natchnionych idei Ojców Założycieli o szczęściu ludzkości, czym przyczynili się do ulżenia doli ludzi zbyt przygniecionych ciężarem tej doskonałości. Słowem, demaskować trudno, tym bardziej że tradycyjni adresaci nabrali, jak powiada Frederick Allen, zdrowego respektu dla handlowej wartości popularności swych firm i osób i strzegą, jak oka w głowie, przykazań doradców, którzy pełnią przy nich funkcje podobne do tych, które Robert Montgomery pełnił przy Eisenhowerze: funkcje projektanta i reżysera publicznych wystąpień, kustosza widzialnego masowo obrazu; otóż trzeba wiedzieć, że zaprojektowana przez doradców linia bynajmniej nie doradza wydatnego przeciwdziałania badaniom nad klasowym zróżnicowaniem społeczeństwa klientów i zależnością stylów życia od poziomu dochodów, lecz wydatne ich popieranie. Chodzi bowiem o rzecz tak doniosłą, jak zaplanowanie strategii sprzedaży w oparciu o zbadanie dynamiki zmiennych i rosnących potrzeb jak najszerszych mas i o takie opakowanie towaru, aby odpowiadał on, wychodził naprzeciw, został wchłonięty przez jedną z najpotężniejszych sił amerykańskiego rynku: przez ludzi zmierzających ku wyższemu niż dotychczasowy, szczeblowi konsumcyjnych manier. Siła ta zwie się w języku fachowym *upgrading urge,* co w wolnym, lecz wiernym tłumaczeniu brzmieć winno: dążenie do polepszenia obrazu osobowości przez podwyższenie standartu konsumcji; z siłą tą najwyższe potęgi businessu starają się pozostawać w jak najżyczliwszych stosunkach.

Bynajmniej więc nie w demaskatorskich celach szkicujemy ten dzisiejszy obraz hierarchii konsumenckich kręgów. Nie dyktuje go również chęć okrężnej zemsty na kapitalizmie, która to chęć ma być, zdaniem Denisa Brogana, immanentną cechą intelektualistów europejskiej lewicy, których podobno obraża dobrobyt Ameryki, jako że osiągnięty niesocjalistycznymi środkami. Nie o to chodzi i bynajmniej nie czujemy się obrażeni. W dowód dobrej woli wyrazimy swe żywe zadowolenie z faktu, o którym donosi Fortune, a który zwiastuje nowe i bliskie sercu obyczaje najmłodszych milionerów. Jest to grupa speców od elektroniki, łączących wysoką wiedzę z niezłą zaradnością. *Space-age milionaires,* szczęśliwe dzieci wieku przestrzeni wystartowały do produkcji z niezwykle małymi zasobami *money,* natomiast ze świetnymi na ogół doktoratami fizyki i w krótkim czasie, specjalizując się w wytwarzaniu i projektowaniu szczególnie mózgochłonnych części aparatury sterowniczej i kontrolnej różnego typu latających przyrządów, przekroczyli pułap jednego miliona. Fortune donosi z zadowoleniem, że są to przeważnie ludzie typu *egghead,* czyli mędrkująca pała, zachowujący, przy całym błyszczącym powodzeniu, studenckie niemal obyczaje, jeżdżący wysłużonymi na ogół autami, mieszkający najczęściej w dom-

kach *lower-middle* i nie czyniący najmniejszej ostentacji z powodu pokaźnej ilości zdobytych dolarów. Przy całej dla nich sympatii trudno ich jednak uznać za zwiastunów nowego stylu w obyczajach kół kierowniczych amerykańskich korporacji. Gdyż, co przyznaje Fortune, pozostają oni właściwie naukowcami przebywającymi na marginesie świata businessu jako jego ekscentryczni dyletanci, jako meteory, pochłonięte niecodzienną techniczną przygodą swego wysokiego lotu, w którym pieniądze odgrywają rolę matematycznego wskaźnika właściwego kursu. „*Money is just the way we keep score* — pieniądze są sposobem punktacji wyników". Słowem coś niemal podobnego, od psychologicznej strony, do naszych co zdolniejszych dyrektorów, wyciągających wysoki wskaźnik rentowności. Ale okazuje się później, że Fortune nazywa jednego z nich businessmanem raczej niż naukowcem i miano to przypada mu w udziale dlatego właśnie, że jego styl wydatków cechuje wystawna ostentacja.* Trudno więc uznać, że ta przyjemna wiadomość o *egghead-millionaires* podważa w poważniejszy sposób nasze przekonanie o tym, że veblenowski model, przy całym jego stonowaniu, nie został jeszcze zastąpiony przez obyczajowy franciszkanizm w najnowocześniejszym wydaniu elity amerykańskiego businessu.

Czas najwyższy, aby przejść do ekspozycji niepokojów, przeżywanych przez wielu ludzi po tamtej stronie oceanu na widok ciśnienia, które model powodzenia, tak bogato obwieszony rzeczami, wywiera na budowie osobowości. Podkreślić przy tym należy jak najdobitniej, aby uniknąć nieznośnej i nie zamierzonej solidarności z wulgarnymi antymaterialistami, że w modelu tym rzeczy przybierają charakter na poły symboliczny, są tedy nie tyle materią, ile znakiem, służą zaspokojeniu nie tyle materialnych, co moralnych potrzeb. Cechująca nas tu skłonność do widzenia rzeczy w niezupełnie materialnej postaci nie świadczy, że znajdujemy się pod wpływem jakiejś niepokojącej filozoficznej dewiacji, gdyż od dawna, śladem świętego Tomasza, a i nie na przekór Marksowi, upieramy się przy mniemaniu, że rzeczy istnieją najzupełniej naprawdę. Chodzi więc nie o tryb istnienia rzeczy samych w sobie, a o tryb postrzegania ich i przeżywania przez ludzkie istoty; a więc rozważania nasze lokują się nie w przestrzeni ontologii, a w polu najspołeczniejszej psychologii, co stwierdzamy z dużą stanowczością i nie mniejszą ulgą.

Otóż powtórzyć wypada raz jeszcze, w modelu tym rzeczy postrzegane są jako symbole dokonania, symbole *smartness, fitness,* i nawet *goodness,* czyli wielorakich cnót charakteru o łącznym wydźwięku purytańsko-nietzscheańsko-sportowym. Przy całym osłabieniu tradycyjnej etyki sukcesu, po szeregu szczerb, jakie Wielka Depresja zadała tradycyjnemu mitowi o ścisłej i bezwyjątkowej zależności powodzenia od pracowitości i cnoty,

* Wyliczmy dla przykładu kilka dość tradycyjnych stylu tego składników: mamy więc białego Cadillaca z aklimatyzacją i szoferem w liberii, jacht trzydziestometrowy i samolot, gotów do lotu w dziesięć minut po otrzymaniu zlecenia. Dodajmy jeszcze częsty relax w Las Vegas, pustynnej oazie, słynącej z rulety i najkosztowniejszej na calutkim świecie kolekcji gwiazd strip-teasu, plus przyjęcia na pięćset osób z dwiema orkiestrami.

a więc cech moralnych, lokata na drabinie szczebli sukcesu jest w dalszym ciągu dominującą składową moralnej samowiedzy, nieprzedawnionym ze szczętem sposobem samooceny, i to w dodatku sposobem zakorzenionym w ludowych legendach, a nie tylko w klasycznej świadomości klas nad businessem panujących.

I to jest właśnie jedną z głębokich przyczyn niepokoju. Podobno niepokój ów szczególnie żywo odczuwają ci, którzy w jakiś sposób znajdują się na marginesie, którzy nie są wchłonięci przez żywy, natężony potok amerykańskiego życia, którzy nie są radosnymi *joiners*, czyli jowialnymi członkami tysiąca stowarzyszeń i klubów, Rycerzy Kolumba, Łosi, Rotarian i tysiąca innych — jednym słowem ci słabo przystosowani. Podobno rdzenni Amerykanie mniej są nim dotknięci, gdyż uczestniczą w tym życiu, jego formach, jego obyczajach bardziej nawykowo, a więc spontanicznie, nie przeżywając tych napięć i nie przeprowadzając tych męczących kalkulacji, o które posądzani są przez obserwatorów rozpatrujących w abstrakcyjny sposób prawdopodobne następstwa moralne i psychologiczne etyki sukcesu. Otóż zgodzić się wypada, że niepokój ten nie nawiedza ogromnej masy tego społeczeństwa jako idea jasna i wyraźna i gdyby przeżywanie go w tej postaci było jedynym znakiem jego istnienia, trudno byłoby przypisywać mu szeroką powszechność. Wszakże są dowody, że manifestuje się on inaczej niż w tej kartezjańskiej postaci; nachodzi ludzi raczej jako stan utajony, wyposażony we własności nękania nie tyle umysłu, ile głębokich warstw jednostkowej psyche, wpajając w nią niejasną *uneasiness*, czyli nieswojość, stan bezprzedmiotowego niby utrapienia, zakłócającego niekiedy optymizm najsolidniejszych nawet obywateli tego kraju, w którym optymizm jest z dawna cechą obywatelskiej lojalności, świadczącą o pełni zaufania do ustroju. Różne są dziś sposoby przeprowadzenia dowodu na prawdziwość powyższych przypuszczeń. Nie darmo wiek ten chrzczą niektórzy mianem wieku psychoanalizy, a w Ameryce język tej fascynującej nauki, której rozwój obfituje w dramatyczne odchylenia i bratobójcze walki, opanowany został nawet przez małoletnich, grożących, w razie niepodatności rodziców, popadnięciem w najbardziej wyszukane kompleksy. Ale my na razie zrezygnujemy z tej pomocy i na początek powołamy się na świadectwo najbardziej niby nieoczekiwanego sojusznika. Jest nim ni mniej, ni więcej tylko sam George Babbit. Ta postać, przedmiot zjadliwych uwag swego twórcy, jest, jakby się na pozór zdawało, całkowicie nieprzydatna dla naszego celu. Jest przecież konformizmem wcielonym, czystą ideą doskonałego przystosowania, monadą nie podlegającą wszelkim niepokojom. Jest dobrym Amerykaninem, szczęśliwym synem szczęśliwych lat dwudziestych, właścicielem prosperującego biura kupna i sprzedaży nieruchomości, wcieleniem cnót businessmana; mieszka w dobrej dzielnicy, zadaje się z właściwymi ludźmi, wypowiada właściwe opinie, kroczy z euforią po swej drodze życia; a jednak łamie się w rozstrzygającej dla nas chwili i przyznaje, że w calutkim swym życiu nie zdarzyło mu się uczynić czegoś takiego, czego by naprawdę chciał; sądzi ponadto, co w jego wyznaniu jest szczególnie ważne, że nie dokonał w istocie niczego poza zwykłym utrzymywaniem się na powierzchni, *except just get along*. Dziękujemy, nie chodziło nam o nic innego.

Rozpatrzmy nieco bliżej to wyznanie, które czyni nam tę postać bliższą zapewne niż była swemu autorowi. Otóż w wyznaniu tym tkwi stwierdzenie, że Babbit, symbol *adjustment*, dokładnego zlania się potencjalności ludzkiej istoty z jej aktualnością, radosnego zespolenia dążeń i zaspokojeń, zamiarów i spełnień — nie zdołał jednak przystosować się należycie. Pozostała w nim pięta Achillesa, nie uchronił się przed zewem nicości, czyli pragnieniem bycia w sposób, w który być mu się nie przydarzyło; i jego nawiedza poczucie frustracji, zjawa Babbita Możliwego, Babbita, który by urzeczywistniał Sam Siebie, Babbita Iść Zawsze za Natchnieniem, Babbita Kochaj i Czyń co Chcesz, Babbita Osobowości Spełnionej. Więc i on ma szczelinę, więc i on nie wyczerpuje się w tym, co mu się czynić opłacało, nie staje się zdalnie kierowanym bez reszty i bez ratunku; więc i w nim tkwi niepokój, że nie żył, a był żyty.

Musimy więc podjąć jego obronę przed Henry Steele Commagerem, który, wyrzekając się wszelkiego z Babbitem związku, podaje jako przyczynę, że „Babbit był zadowolony ze swego nudnego życia, nudnej rodziny, nudnego domu, nudnego businessu, nudnego miasta, nudnych cnót i nudniejszych jeszcze grzechów". — Interpretację tę uznać należy za poważne nieporozumienie, płynące z jeszcze poważniejszego zdenerwowania, powstałego w wyniku zbyt bliskiego sąsiedztwa. My, z naszej koegzystencjalistycznej perspektywy, uznajemy w Babbicie istotę nękaną rześką pustką swego bytowania i wynik naszego rozeznania przytaczamy jako pierwszy dowód przeciw zdaniu tych, którzy utrzymują, że niepokój nietrafnego istnienia nie znajduje dostępu do duszy prawdziwego Amerykanina.

Proszę zważyć, że nie kontynuujemy tu tradycji amerykańskich antykonformistów, wściekłych, romantyków, czerwonych wszelkiego odcienia i nie uznajemy Babbita za egzystencję zamkniętą na głos niepokoju; nie mówimy też bynajmniej z lewicową pychą — wy wszyscy z jego ducha — rozumiejąc, że duch ten jest płaski. Mówimy — nawet on, Babbit, cierpi, pewnie wy także cierpieć musicie; co niech nam będzie poczytane za wysoką miarę naszego socjalistycznego humanizmu i woli pokojowego współistnienia.

Przykład, do którego uciekliśmy się w pierwszym dowodzie, jest przykładem skrajnym. Ale narzucił nam się właśnie przez swą skrajność. Chcieliśmy przy jego pomocy wyrazić swoje przekonanie, które wypadnie nam później rozwinąć, że człowiek, nawet choćby był nim Babbit, nie jest jedynie — jak często mówimy, nie często rozumiejąc — wynikiem całokształtu swych społecznych stosunków, lecz również wynikiem całokształtu tego, co owe stosunki skutecznie w nim tłumią. Ewentualnym czytelnikom tego ostatniego zdania zalecam nie ograniczać jego znaczenia do jednej formacji.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Jan Strzelecki

Jan Józef Lipski

POEZJA MYŚLI

Określenie „liryka refleksyjna" prawie zupełnie wyszło dziś z użycia w krytyce poezji i brzmi prawdę mówiąc jakoś archaicznie, trochę myszką trąci. Czy to dlatego tak się dzieje, że samo zjawisko należy dziś do rzadkości, czy też mamy do czynienia raczej z utajonym naciskiem jakichś wpływowych poetyk normatywnych — trudno z całą pewnością powiedzieć, gdyż każde twierdzenie wymagałoby obszernej dokumentacji, w każdym jednak razie, jeśli przejść do porządku nad tego rodzaju impresjami skojarzeniowymi, archaizująco zabarwiającymi wyżej przytoczony termin — trudno znaleźć określenie bardziej pasujące do większości liryków zawartych w najnowszym tomiku Jastruna. Oczywiście, gdyby ktoś próbował z tego powodu szukać wspólnego mianownika między *Większym od życia** i np. *Sonetami nad głębiami* Asnyka — to chociaż co prawda taki wspólny mianownik zapewne by znalazł, niewielki by z tego miał pożytek: to, co tam i tu okazałoby się wspólne — z pewnością byłoby czymś bardzo ubogim i niedostatecznym do określenia poetyckiego sensu tomiku Jastruna. Mimo to samo wskazanie na fakt, że mamy tu do czynienia z liryką refleksyjną — wydaje mi się celowe, gdyż określa szereg cech konstytutywnych zbiorku, a zarazem wskazuje na tendencję do poetyckiego odnowienia postaw mało dziś popularnych. Takie powroty, dokonujące się jednak na coraz to nowym (czy można, mówiąc o sztuce, z czystym sumieniem użyć przydawki: „wyższym"?) piętrze artystycznych możliwości — od wieków stanowią jedną z zasad rozwoju poezji.

Pomijając oczywistą i banalną sprawę, że rzadko kiedy liryka nawet programowo do tego dążąca — wyzbywa się wszelkiej domieszki refleksji, można stwierdzić, że w twórczości Jastruna oznacza to powrót do postaw właściwych raczej pierwszemu, młodzieńczemu okresowi jego twórczości. Przy całej odmienności środków wyrazu artystycznego (choć i pod tym względem — o czym dalej — mówić można do pewnego stopnia o powrocie) — liryka *Większego od życia* jest pokrewna w swym typie *Spotkaniu w czasie* (1929), *Innej młodości* (1933), *Strumieniowi i milczeniu* (1937), *(Dzieje nieostygłe,* 1935 — mniej tu pasują, choć nie można i ich w zupełności wyłączyć z te-

* Mieczysław Jastrun: *Większe od życia.* Warszawa, „Czytelnik", 1960; str. 86.

go ciągu) — natomiast na ogół różni się od *Godziny strzeżonej* (1944), *Rzeczy ludzkiej* (1946), *Sezonu w Alpach* (1948), *Roku urodzaju* (1950), *Barw ziemi* (1951), *Poematu o mowie polskiej* (1952), *Poezji i prawdy* (1955), *Gorącego popiołu* (1956), a nawet tak niedawnych *Genez* (1959), choć tu już można by zaobserwować szereg zjawisk zapowiadających zmianę. Najbliższe zaś są sobie pod tym względem tomiki w czasie najodleglejsze. Powrót ten oznacza przede wszystkim powtórny awans problemu czasu w twórczości Jastruna, wzrost zarówno urzeczenia, fascynacji fenomenologią czasu, jak i refleksji nad jego strukturą — oraz spotęgowanie się czynników, które Sandauer w swym studium *Czas oswojony (Poeci trzech pokoleń)* wiązał z symbolizmem poezji Jastruna tego okresu.

Można dodać jeszcze, że powrót ten dostrzegalny bywa nie tylko w generaliach — ale i w drugorzędnych w gruncie rzeczy drobiazgach, takich np., jak echa znanych już z młodzieńczej liryki Jastruna obrazów. Dla przykładu: „Aż cień na chodniku zalśni wiosennym deszczem" (*To, co nas łączy z życiem* w *Większym od życia*) i „Na trotuarów mokrym cieniu" *(W drzewie przygodnie zasłyszanym* w *Innej młodości);* — i „... góry, Nawet największe, przyjść mogą" *(Śpiew syren* w *Większym od życia);* „Szły na zachód wzgórza przemienione" *(Mitologia* w *Strumieniu i milczeniu);* „Już wilk pożera czerwony ochłap zorzy wieczornej" *(W październiku* w *Większym od życia);* — i „Jeszcze ociekająca ciepłą krwią mięsiwa" *(Dzień i noc* w *Spotkaniu w czasie)* itd. Chociaż w poezji Jastruna częściej może niż u wielu innych współczesnych poetów zauważa się predylekcję do powtarzania ulubionych obrazów i metafor — to i tak zbieżności tego rodzaju między najwcześniejszymi tomikami a ostatnim są bardziej uderzające niż kiedykolwiek przedtem.

Liryka refleksyjna Jastruna jest zarazem liryką nastrojową. Gdyby szukać szerszego kontekstu historyczno-literackiego, na którego tle ta poezja powinna być przede wszystkim rozważana — trudno byłoby chyba celniej trafić, niż zrobił to Sandauer, znajdując we wcześniejszych tomikach Jastruna cechy charakterystyczne dla symbolizmu. I chociaż interesująca Sandauerowska koncepcja socjologiczna polskiego symbolizmu w dwudziestoleciu, oparta o syntetyczną konstrukcję kompozotystyczną, jest bardzo dyskusyjna — to abstrahując od jej wartości uogólniającej niesposób nie przyjąć jej egzemplifikacji indywidualnej w wypadku Jastruna.

Liryka *Większego od życia* jest więc znowu powrotem do „stylu, który potrafi wyrażać jedynie refleksje i nastroje" (można by co najwyżej postawić tu znak zapytania przy wyczuwalnej jakby pretensji do poety, wyrażonej przez krytyka słówkiem „tylko"; „tylko"? czy to w poezji aż tak mało?); jest to znowu na szerszą skalę stosowanie specyficznego zaszyfrowania utworów „dostępnych w pełni jedynie tym, którzy znają okoliczności ich powstania", a więc względne odstępstwo od metody intersubiektywizacji stosunku do przedmiotu (por. str. 190 *Poetów trzech pokoleń),* a nawet do pewnego stopnia — powtórny proces dehistoryzacji tej liryki, tak jeszcze zupełnie obcy *Genezom.* Można również zastosować tu rozważania Sandauera o „słabości wszystkich symbolistów", których widzenie świata „rodzi utwory często poetyczne, rzadko — wstrząsające" (str. 185). Ale wszystkie te przytaknięcia trzeba zarazem ograniczyć stwierdzeniem, że nie mamy tu do czy-

nienia z prostym nawrotem — lecz nawrotem o charakterze bardziej dialektycznym, z ruchem, do którego stosuje się raczej klasyczny model spirali — niż koła.

Najwyraźniej to się dostrzega, gdy śledzić w tomiku Jastruna obsesyjny i centralny motyw czasu, przemijania itd. Od czasu *Spotkania w czasie* nigdy ta sprawa, zawsze zresztą obecna w poezji Jastruna, nie znalazła się do tego stopnia w centrum zainteresowań poety, stając się filozoficzną dominantą tomiku, jego myślowym jądrem. Ale sposób jej ujęcia jest tym razem inny.

Nim spróbuję określić tę różnicę — jedna ważna dygresja. W liryce ostatnich kilku lat (raczej przede wszystkim w liryce) zauważam ciekawe zjawisko ufilozoficzniania poezji w sposób zupełnie odmienny od dotychczas obserwowanego. Coraz częściej się zdarza, że struktura poetyckiego świata odpowiada pewnym archaicznym ujęciom filozoficznym, stanowiącym zamierzchłą historię myśli ludzkiej, coraz rzadziej zaś można ją podporządkować bardziej skomplikowanym i nowocześniejszym koncepcjom XIX- i XX-wiecznym. Wiąże się to z reguły ze znacznym odnowieniem środków wyrazu poetyckiego. Szerzej próbowałem zająć się tą sprawą w związku z rewelacyjnymi poetycko *Trzema poematami* Zbigniewa Bieńkowskiego. Czytelnik miał tam do czynienia z poetycko nowoczesną eksplikacją bardzo archaicznych, bo przedsokratycznych idei filozoficznych. Tym bardziej interesujące jest dla mnie, że nowe ujęcie zagadnienia czasu w ostatnim tomiku Jastruna jest nawiązaniem do Heraklita, z tym jednak, że w wypadku *Większego od życia* można nie ograniczyć się do zbudowania konstrukcji interpretacyjnej, zawsze stojącej w jakimś stopniu pod znakiem zapytania — lecz również polepszać ją świadomymi manifestacjami poety, *expressis verbis* odwołującego się do mistrza. Jastrun robi to w wierszach *Z dnia na dzień* i *Eksperyment*.

Sandauer — jeszcze raz trzeba się tu na niego powołać — przekonywająco wykazuje, że czas miał dla młodego Jastruna strukturę kolistą, powracał do punktu wyjścia, mógł cyklicznie multiplikować zjawiska — i dawał się ująć w statycznym modelu. Można by dodać, że stąd właśnie brał się u Jastruna dualizm człowieka — i martwej przyrody, sprowadzającej się do różnic w fenomenologicznej strukturze czasu, zależnie od tego, co miałoby być punktem odniesienia: człowiek czy przedmiot. W *Większym od życia* — czas ma strukturę heraklitejską: nigdy nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki i w każdej chwili się przemija. Na to cytować by można cały tomik. Każdy wiersz jest dowodem.

W filozofii heraklitejskiej tylko jedno jest niezmienne: zasada powszechnej zmienności, wyjaśniająca świat. Poezja Jastruna stawia sobie za cel dotrzeć do ostatecznej poetyckiej formuły tego jedynego czynnika niezmiennego, a więc metafizycznej zasady świata. Tak w każdym razie interpretowałbym *Wprowadzenie do liryki*, wiersz więc — sam tytuł o tym mówi — programowy. Mowa tu jest o dążeniu od szczegółu — do abstrakcji.

Poznanie idzie w głąb — do czystej nazwy
Od szczegółu takiego, jak ziarno w mrowisku.

Przyroda, jej obraz, ulotna impresja — są tu owym „ziarnem w mrowisku", nie trwałym kontrastem dla ludzkiego przemijania, lecz raczej sym-

bolem tego nieustannego procesu, czasami też — punktami orientacyjnymi, pozwalającymi mierzyć upływanie czasu. Człowiek i świat nie są poddani innym prawom, należą do tego samego porządku metafizycznego.

Tej interpretacji zdaje się przeczyć wiersz *Owocobranie*.

> Jestem tylko tłumaczem niejasnych związków
> Między budową bryły a naturą cienia.

Czyżbyśmy mieli znajdować się w „jaskini filozofów", gdzie rzeczy, do których siedzimy plecami, rzucają cienie na ekran ściany?

Trudno z całą pewnością odpowiedzieć na tę wątpliwość, gdyż — nie od rzeczy będzie wyraźnie to powiedzieć — nowa liryka Jastruna należy do najmniej komunikatywnych, do najbardziej hermetycznych wypowiedzi poetyckich, z jakimi się na przestrzeni wielu lat zetknąłem. Utarł się mit o rzekomej niekomunikatywności Przybosia i jego uczniów, podczas gdy zrozumienie tej najbardziej ametafizycznej poezji spośród wszystkiego, co znam, jest tylko funkcją treningu wyobraźni przestrzennej i asocjacyjnej. Również niekomunikatywność poetów awangardowych młodszego pokolenia (którzy często poszli w zupełnie innym kierunku niż ich literaccy przodkowie) jest na ogół mitem, z wyjątkiem tych nielicznych stosunkowo wypadków, w których daleko idąca ekspresjonizacja liryki doprowadza do zaniku semantycznej funkcji „wypowiadania co do treści", ale to nie jest kwestia niekomunikatywności; np. czysta ekspresja nieartykułowanego wycia z bólu — choć mało interesująca estetycznie i intelektualnie — jest w zupełności komunikatywna. Natomiast nowa liryka Jastruna, wieloznaczna w swych treściach metafizycznych, operująca skomplikowanymi symbolami (ten środek wyrazu odgrywa wielką rolę!) i metaforami, pełna aluzji do jednorazowych, niepowtarzalnych doznań — należy do lektur szczególnie trudnych właśnie ze względu na stopień komunikatywności.

Czyniąc to zastrzeżenie — i wracając do *Owocobrania*, wiersza bardzo trudnego — skłaniałbym się raczej do interpretacji odrzucającej platońską interpretację wyżej już zacytowanej wypowiedzi. Metafora bryły i cienia na tle całego wiersza, aż przeładowanego klasyczną nieomal symboliką — tłumaczy się raczej w płaszczyźnie epistemologicznej niż ontologicznej: tyczy ona raczej poznania życia, świata, czasu (a więc — w tym ujęciu — głównej funkcji poezji: „Jestem tylko tłumaczem niejasnych związków..."), dualizmu świadomości, poznania — i bytu niż dualizmu idei i fenomenu.

Największą rozkosz estetyczną i intelektualną zarazem odnosi czytelnik *Większego od życia* właśnie z takiego tropienia „myśli", „idei" poezji Jastruna w jego symbolach, obrazach, metaforach. Może to za śmiałe uogólnienie własnej, subiektywnej percepcji tego tomiku, ale usprawiedliwione tym, że wszystkie prawie cechy zbiorku wskazują na zamierzony charakter tej liryki jako „poezji myśli".

Tyczy to nie tylko semantyki tej poezji — ale nawet eufonii. Chociaż sądzę, że należy ostrożnie się posługiwać jednoznacznymi podporządkowaniami określonych struktur i chwytów wersyfikacyjnych — określonym walorom warstwy semantycznej, to przecież już chociażby tradycja poetycka powoduje powstawanie zupełnie wyraźnych mechanizmów kojarzących. Wersyfikacja

Większego od życia jest nadzwyczaj ciekawym zjawiskiem, którego nie czuję się tu na siłach przeanalizować. Wymagałoby to oddzielnego studium, które mogłoby prowadzić może do równie rewelacyjnych wniosków teoretycznych, jak te, które dała przed kilku laty analiza wersyfikacji Różewicza przez Siatkowskiego w *Pamiętniku Literackim*. Ograniczę się tu więc tylko do garści impresji.

O ile obrazowanie, metaforyka, składnia etc. etc. nowego tomiku Jastruna nie kojarzą mi się nigdy z jakimikolwiek praktykami Awangardy — o tyle wersyfikacja zdaje się mieć pewne związki z wczesną poetyką tego kierunku, np. w technice odległych w czasie (często przybliżonych tylko) współdźwięczności. Najciekawsza — i najoryginalniejsza — wydaje się tu struktura rytmiczna: zwykle już pierwsza linijka wywołuje skojarzenie ze znanymi tradycyjnie metrami, lecz dalszy ciąg wiersza nie konstytuuje tego pierwszego impulsu. W wierszu *To, co nas łączy z życiem* np. klaruje się już wers toniczny, by znów ulec złamaniu, przez co „strofa" rozpada się jakby na dwie części, wyodrębnione również semantycznie. Mechanizmy tego z pewnością nie są proste. W największym przybliżeniu można by powiedzieć, że jest to technika rzucania krótkich motywów, które porzuca się z chwilą, gdy w świadomości odbiorcy zaczyna się rysować schemat prawidłowości. Utrzymanie równowagi między kompozycją semantyczną wiersza i taką jego strukturą wersyfikacyjną, stawiającą czytelnikowi wielkie wymagania (nb. potęguje to niekomunikatywność, o której wyżej była mowa) — wymaga nie byle wirtuozerii technicznej.

Jan Józef Lipski

„MOŻE TRYWIALNOŚĆ PRAWDZIE BLIŻSZA"...

Ernest Bryll: *Autoportret z bykiem*. Warszawa, „Iskry", 1960; str. 70.

Spowiadam tobie Ojcze iżem zgrzeszył
ciężko
ukochaniem secesji
— ale jest w tej stali w tych
plastikach przeróżnych
choć nie przeczę święte
niewinniejsze od dziewic
od aniołów gładsze
— zimno —

Mamy zatem spowiedź dziecięcia wieku. Przynajmniej — estetyczną. To, co dotychczas narastało nie uświadomione, dostrzegane przez postronnych: poetów starszych pokoleń, krytyków — wypowiedział wreszcie *expressis verbis* poeta odpowiedniej, by tak rzec, generacji. Tej, która — jak się zdaje — przezwyciężyła mit „wiecznej awangardy", odeszła od jej ideałów i posunęła naprzód poezję w innym niż wytyczony przez tę awangardę — kierunku.

*

Dzięki *Autoportretowi z bykiem* (debiut poety *Wigilie wariata* pozostaje tu na boku, reprezentując odmienny nieco styl poetycki) Bryll uplasował się w tym kręgu młodej poezji, którego centrum stanowią wiersze Stanisława Grochowiaka. Nadzwyczaj to ciekawe zjawisko: owa atrakcyjność Grochowiakowej muzy, coraz to nowego poetę wciągająca w zaklęty krąg udziwnionej brzydoty. Jak się zdaje, sam sprawca jest tym zjawiskiem nieco zaszokowany, czemu daje wyraz w swych wypowiedziach publicystycznych, nie bez krygów zresztą i pokrętnego rzeczy traktowania (istnieje bowiem znaczna różnica między Grochowiakiem-poetą a Grochowiakiem-publicystą). Tak czy inaczej, indywidualność to bardzo silna, skoro niejednemu poecie narzucić potrafi już nie tylko pewne elementy literackiego programu, lecz także — melodię wiersza. Owa melodia: wypadkowa elementów składniowych i wersyfikacyjnych, jest w poezji Grochowiaka nacechowana niezwykłą oryginalnością. Odcina się wyraźnie od tła współczesnych melodyj mało wyrazistych: dążących do językowej „przezroczystości" lub opartych na konwencjach już zbanalizowanych. W niczym lub prawie w niczym nie przypomina innych melodyj wyrazistych, jakie w młodej poezji reprezentują Białoszewski, Harasymowicz czy Nowak. Im bardziej zaś jest oryginalna, rozpoznawalna, słyszalna w wierszach Grochowiaka, tym łatwiej dostrzec ją, gdy pojawi się u innego poety. A pojawia się nieraz, i to bynajmniej nie u wątłych epigonów. Ważny to przyczynek do historii mód poetyckich, jednocześnie sygnał, że poezja Grochowiaka jest w jakiś sposób bardzo reprezentatywna dla naszej współczesności, sygnał, że poeta natrafił na jakiś nerw bardzo dla tej współczesności istotny. Jego melodia nie jest bowiem czymś sztucznym, powierzchownym: wiąże się, wynika z warstw czy aspektów innych, bliższych temu, co zwykliśmy nazywać treścią dzieła poetyckiego. A i poeci, o których tu mowa, na melodii nie poprzestają. Spotyka się u nich podobne akcesoria, podobne tworzywo poetyckie, podobne motywy ideowe.

Brylla łączy z Grochowiakiem zarówno podobieństwo w wyborze kierunków odpowszednienia poetyckiego języka, jak wiele konkretnych chwytów, realizujących owe ogólne kierunki-założenia. Łączy ich więc zarówno kolokwializacja i archaizacja, jak składnia anakolutyczna, skłonność do inwersyj i wtrąceń, skrótowość wyrażająca się częstym użyciem bezokolicznika, stylizacje norwidowskie, rehabilitacja zaimka względnego „co" (wypieranego współcześnie przez „który"). W efekcie otrzymujemy tu pewną — zamierzoną — szorstkość, brutalność języka, w sposób bardziej umiarkowany, mimo wszystko harmonijny, występującą u Grochowiaka; z pewną neoficką przesadą, która sąsiaduje niekiedy ze zwykłą niedbałością, potraktowaną przez Brylla.

U obydwu poetów właściwości te służą — między innymi — sławnej już rehabilitacji brzydoty. Pisze Grochowiak:

Wolę brzydotę
Jest bliżej krwiobiegu
Słów gdy prześwietlać
Je i udręczać

i pisze Bryll:

więc może
trywialność prawdzie bliższa
chociaż ją osłaniasz
jak kryje się bieliznę
pod konwencjonalnym
dowcipem
modnie szytej kamizelki

A także — powiada Grochowiak:

Są bo na świecie ludzie tak wymyci
Że gdy przechodzą
Nawet pies nie warknie
Choć ani święci
Ani są też cisi

i powiada Bryll:

więc może
człowiek gdy śmierdzi potem
sprawiedliwszy
Kat i sędziowie zawsze są wymyci
wypucowani czysto
począł to już Piłat

Pozostawiając innym żarty na temat: problem mycia się a młoda poezja — przyjrzyjmy się z kolei Bryllowi od Grochowiaka oddzielonemu. Jest to bowiem poeta o dość już silnie zarysowującej się indywidualności, który — jeśli nawet znajdzie się w kręgu wpływów poety o indywidualności silniejszej — wpływy te na swoją modłę urabia, potrafi zaś także (jak trafnie zauważył to już Jacek Trznadel *) świadomie je wykorzystać, by ze swym starszym bratem w poetyce brzydotyzmu przeprowadzić dyskusję, czy też odrobinę się z niego pośmiać (wiersz *Pranie*).

■

Kolokwializmy, anakoluty, niechęć do zdań gładkich, poprawnych — wszystko to sygnalizuje pewien typ wyobraźni, jest wynikiem pewnego sposobu poetyckiego widzenia, pewnego systemu łączenia zjawisk. Warto tu dokładniej nieco przyjrzeć się owemu stylowi i zastanowić nad jego genezą — na jednym z przykładów skrajnych, ukazujących nie tyle przeciętny obraz poezji Brylla, ile jej obraz „wyostrzony"; jedną z tendencyj najciekawszych i najbardziej śmiałych.

Zatem pisano nam miłość tak zwykłą
jak pospolitość pierzyny
bo ona
najbliższa będzie naszym uniesieniom
I nie arabczyk co z wygiętą szyją
łabędź muskany uwielbieniem wiernych
nie podźwignięcie stopy
wiotkość kłęba
co baletnica w skoku
smyczek w locie
którym podbijasz skrzydła tonacji
lirycznych

Katalog, który rozpoczyna się od piątego wiersza przytoczonego fragmentu, katalog cech owej innej, „nie naszej" miłości, napisany został, niewątpliwie, po polsku. Jednak — jak gdyby w innym nieco systemie tego języka. Podstawową jednostką jest tu nie słowo czy zdanie, lecz pewien zespół słów, ciąg nagle urwany. „Arabczyk co z wygiętą szyją"... To już wystarczy, by zarysował się przed czytelnikiem obraz: tradycyjny, zdawkowy obraz konia pochodzącego z rasy najbardziej delikatnej, szlachetnej, wykwintnej, związanej z tradycjami szlachecko-ziemiańskimi oraz z

* *Współczesność* 1960, nr 22.

tradycją łatwego, ładnego (z pewnością zresztą dobrego) malarstwa Juliusza Kossaka. Aby to wszystko czytelnik sobie wyobraził, aby o tym wszystkim pomyślał — wcale nie trzeba owej wygiętej szyi zamykać końskim łbem czasownika: jakimś „stąpa", „kroczy" czy czymś w tym rodzaju, co byłoby tu jedynie tak zwaną czczą formalnością.

I oto typowy kolokwializm: coś z mowy pokolenia, które „porozumiewa się gestem i pomrukiem". Ale gestem i pomrukiem inteligentnym, świadczącym o wrażliwości, niejednokrotnie: o znacznej kulturze. Coś z rozmów, w których wystarczy słowo czy obraz, by sprawa, bynajmniej nie prymitywna, skrót historyczno-kulturowy — został „nadany" i „przyjęty". Ileż czasu straciliby tu poprawnie wysławiający się retorzy.

Inna rzecz, że nie jest to styl, jaki należałoby polecać konstruktorom precyzyjnych mechanizmów. „O szczegóły tu się nie rozchodzi"; obiektywna, „intelektualna" sprawdzalność sprowadza się do minimum. Bo też styl to wywodzący się z impresyjno-subiektywnej postawy, intro-, nie ekstrawertycznej, styl wrażliwców badających nie świat, lecz swoje na ten świat reakcje.

Konsekwentnie — skoro podstawową jednostką jest tu nie słowo ani zdanie, lecz szereg słów, bardziej czy mniej zgodny z prawami składni strzęp zdania — także i we wzajemnych stosunkach między owymi jednostkami nie obowiązują, nie muszą obowiązywać, składniowe rygory. Struktury syntaktyczne mogą tu być różne, nie chodzi o to, aby konsekwentnie przystawały do siebie. Ważne są, „liczą się" jednostki; według nich czyta się wiersz. Zyskują prawo do autonomii. A skoro tak — to, co dzieje się wewnątrz każdej z nich — traci na znaczeniu poza granicami jednostki. Może, ale nie musi korespondować z zasadami panującymi w jednostce sąsiedniej.

Czymże zaś są owe jednostki, owe strzępy zdań? Językowymi znakami wyobrażeń, które pojawiają się w psychice poety na zasadzie subiektywnie odczutego podobieństwa, na zasadzie skojarzenia, łączącego — częściej niż zjawiska świata zewnętrznego — wrażenia związane z apercepcją tych zjawisk. Cóż ma miłość, taka czy owaka, wspólnego z owym „arabczykiem"? Niejeden Zoil, który do dziś nie potrafi wyjść poza poetykę „rymu, rytmu i sensu", miałby tu szerokie pole do stosowania formuł krytycznych typu „ple-ple". Tymczasem — chodzi tu o to, że zarówno owa obca poecie miłość, jak ów zdawkowy, ładny obraz — nawiązują do jakiegoś wspólnego ideału estetycznego, na który poeta jest specjalnie, obsesyjnie uczulony. Inaczej mówiąc — zjawiska te łączy jakaś wspólna tonacja: łatwego, zbanalizowanego, przesłodzonego, sztucznego, może także trochę: nieodstępnego — piękna. To, co można by tu nazwać tertium comparationis — jest dość szczupłe. Dlatego poeta często nie poprzestaje na skojarzeniu jednym, daje cały szereg przykładów na jedną tonację. Tak czy inaczej — uchwycenie tego rodzaju nastrojowej wspólnoty działa zazwyczaj silnie i niezawodnie. Skojarzenia nie są tu zresztą wyłącznie estetyczne czy czysto subiektywne, prywatne. W analizowanym wypadku wspierają je elementy historyczne, socjologiczne. Podpórki te zmieniają się jednak. Sięgnijmy do innego przykładu. Chodzi o zabijanie koguta:

> I oto cios —
> jak przez wycięty brzeźniak
> rwą śnieg szrapnele napoleońskie

Tu dodatkowy moment porozumienia z czytelnikiem zostaje wprowadzony przez element hiperboli groteskowej, przez żartobliwe zmrużenie oka. Samo przecież skojarzenie opiera się przede wszystkim na podobieństwie reakcji, jaką zjawiska — potężnie od siebie odległe — wywoływać mogą w psychice obserwatora. Tertium comparationis zostało tu już definitywnie przeniesione z zewnątrz — do wewnątrz.

Operowanie śmiałymi, zaskakującymi skojarzeniami — nie jest obce współczesnej młodej poezji polskiej. Tu Bryll okazuje się typowym jej przedstawicielem, typowym zresztą realizatorem środków estetycznych ostrych. Skojarzeniowy impresjonizm, często podkreślany przez zwroty typu: „jest coś z...", „to tak jak gdyby..." — stanowi już jednak coś w rodzaju oryginalnej Bryllowskiej odmiany owej zasady łączenia zjawisk odległych. Świadczy o zarysowywaniu się własnego miejsca poety wśród nowej fali.

*

Świadczy także o skłonności do

swoistego realizmu. Jakkolwiek bowiem poeta kładzie nacisk na opis wrażenia, nie rzeczy, czyni to w taki sposób, jak gdyby drogę tę uważał za najwłaściwszą dla poznania — rzeczy właśnie. I rzecz, każdemu dostępny konkret — jest najczęstszym tematem jego poezji. Rzecz jednak — jako symbol, jako wyraz treści psychicznych, nie zawsze w pełni świadomych.

Charakterystyczna jest w *Autoportrecie z bykiem* obsesja drzewa, drewna, pod którego „figurą" poeta lubi przedstawiać samego siebie. U genezy tego tomu, pośród kompleksów innych, nie trudno odnaleźć kompleks niezgrabności, bolesne przeżycie konfliktu duszy anielskiej i czerepu rubasznego:

Tak po wierzchu popatrzeć
góra brutalności
Łeb jak romańska katedra
taki huk i ogrom
(. . . . .)

Tak ponad ziemię
zeppelin odęty koniczyną
wiatru bezwładna igraszka
można to nazwać bęben
klatka z żeber
i na jaką drwinę
diabeł
z dowcipem pocztmistrza
uwięził w niej kanarka.

Obsesja drewna, topornego, opornego — podobnie jak styl poety — wobec geometrycznych, gładkich, czystych ideałów piękna — jest jedną z form przejawiania się tych kompleksów. Cały tom stanowi obrachunek z nimi, próbę — zakamuflowanej często groteską lub... hiperbolą — rehabilitacji rubasznego czerepu. Poszukiwanie wartości w tym, co dotychczas było pogardzane — przez estetykę, przez poezję.

Nie zawsze zresztą i raczej u nas niż gdzie indziej. Schludna czy może tylko nieśmiała Polska Muza stara się zawsze wszystko załagodzić — dobra, szlachetna matrona. I dlatego teraz dopiero — w postaci Brylla czy Grochowiaka — otrzymujemy lilipucich Rimbaudów czy Baudelaire'ów: tych, co pisali o ścierwach czy paskudnych staruchach...

Bryll — oszczędnie zresztą rozdziela jady i makabry. Częściej niż o *„poètes maudits"* każe myśleć o staropolszczyźnie: o Beju, o sarmackim baroku.

Istnieją poeci czy teoretycy z przekąsem odnoszący się do tego rodzaju twórczości i tego rodzaju interpretacji. Ironicznie piszą o obsesjach, śledzenie ich uważają za trud jałowy. Są przecież obsesje i obsesje. Te, które obserwatorowi pozwalają dostrzec zjawiska natury ogólniejszej, a poecie oddziaływać szerzej, niż mógłby to czynić, poprzestając na roli tak zwanego „słowiarza" — na pewno na badanie zasługują.

Tu zaś mamy do czynienia z obydwoma wypadkami. Bryll należy do pierwszej po wojnie generacji poetów, której wejście na literacką arenę zbiega się w czasie z socjologicznymi zmianami na widowni. Miejsce tu, by powołać się na teorię lumpizmu i kalekich form Ludwika Flaszena. „Lumpizm" — wydaje się określeniem już nieaktualnym. Młoda generacja podlega procesowi obłaskawienia — nie w ten sposób jednak, by podporządkowywała się panującym dotychczas modom. Włączenie w krąg konwencyj poetyckich nowych treści, poszerzenie, liberalizacja ideału estetycznego — byłoby dziwne, gdyby te właśnie zjawiska nie towarzyszyły powolnemu opanowywaniu przez nią literatury. Tak przecież zawsze działo się dotychczas.

Generacja poetów, do których Bryll, choć młodszy nieco, jeszcze należy — nie poprzestaje jednak na owym nowatorstwie niejako automatycznym. Weszła do literatury manifestując prawdę. I żarliwość ta pozostała jej, objawiając się w szczerości posuniętej aż po granice psychicznego ekshibicjonizmu, w pragnieniu — możliwie najpełniejszego — samopoznania. Stąd penetracja podświadomości, stąd wędrówki po świecie zrodzonych w dzieciństwie mitów, powstałych w dzieciństwie obsesyj. Stąd nawrót do realiów przeszłości i niechęć do powierzchownej poezji „cywilizacyjnej", poezji „tych plastików przeróżnych", jak niezgrabnie, właśnie na przekór niezgrabnie, pisze Bryll. I stąd także — z treści tych i obsesyj wywodzące się nowe środki wyrazu, nowe chwyty, rodzaje obrazowania, rodzaje skojarzeń. Jeszcze — nie współtworzą one dzieł pełnych. Już — rozwijają, posuwają poezję naprzód.

Na przekór awangardowym purystom i ariergardowym parnasistom.

Jerzy Kwiatkowski

METAMORFOZY POETY

Włodzimierz Słobodnik: *Kamienny cień.* Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 123.

Dwa charakterystyczne rysy indywidualności twórczej Słobodnika wydają mi się szczególnie ważne i cenne: niepożyta żywotność i rozległość przyswojonej, wtopionej w miąższ własnego pisarstwa tradycji literackiej. Jest to poeta, który w okresie dojrzałości umie dostrzec niebezpieczeństwo skostnień i podjąć próbę radykalnej odnowy swego warsztatu pisarskiego. Ten subtelny liryk-pieśniarz, który przez tyle lat zgłębiał sekrety muzycznej melodyjności wiersza, odważa się zerwać z nią, rozbić kunsztowny ład swojej metryki i strofiki, zrezygnować z wypieszczonej urody słowa, z bogactwa znakomicie opanowanych figur i tropów liryki tradycyjnej.

Ta tendencja do ograniczania środków wyrazu, do prostoty i zwięzłości, znamienna dla powojennej liryki Słobodnika a bardzo wyraźnie zaznaczająca się w *Ciężarze ziemi*, staje się dominującym rysem *Kamiennego cienia.*

Mój smutek — smutek chałup,
Szorstki smutek strzech,
Mój smutek — mgła nadpolna,
Mazowiecka dal
I deszcz, co licząc płoty,
Nie zliczy do trzech,
Lecz zliczy żal.

Jest to wiersz z cyklu *Z Mazowsza.* Tematykę mazowiecką eksploatował Słobodnik od zarania swojej twórczości, zwykle jednak w sposób „opiewający":

Kocham ciebie, pszenna i niebieska,
Jak wiosenny nów,
Czarnoziemna ziemio mazowiecka,
Hodowniczko krów.

To Mazowsze było przedmiotem jego lirycznej adoracji, pozującym poecie modelem; Mazowsze z *Kamiennego cienia* to własne Mazowsze Słobodnika, to suma wewnętrznych przeżyć i doświadczeń związanych z tym regionem, to osobista, własna wizja, w której zaciera się granica między podmiotem i przedmiotem, między „ja" i „nie-ja".

Kiedy młodego jeszcze poetę zafrapował jeden z odwiecznych tematów liryki sielankowo-nastrojowej, słowik, to wzruszenie owo wyładowywało się w popisie kunsztu oratorsko-retorycznego:

Czarował księżyc i powietrze
I rozsypywał się w lazurze,
I trelem perlił się na wietrze,
I preludiami pieścił róże.

I od fontanny do gałązki,
I od gałązki do fontanny
Przeciągał srebrny sznurek wąski
I szkłem weneckim dzwonił szklany.
(. . . . . .)
I kroplił się, i mdlał, i płonął,
I tonem szedł do kwiatów woni,
I kryształowym pionem tonął
W tajemniczego nieba toni.

Zestawmy tego *Słowika* A. D. 1931 ze *Słowikiem* z roku 1960:

Siedząc na gałązce, uśpiewniał noc.
Znajdował to, co jest nie do
odnalezienia.
Od jego trelów każda gałązka bzu
Świeciła fosforycznym blaskiem.
Tłumaczył język róż na język słowiczy.
Ciemność, słuchając go, zaniemówiła.

Zamiast „odtwarzania", „opiewania", zamiast literackiego iluzjonizmu, usiłującego dać wrażenie słownej transkrypcji słowiczego śpiewu — zwięźle zarysowana wizja, w której absolutnie nie chodzi o naśladowanie rzeczywistości pozaartystycznej, o jakąkolwiek formę jej imitowania.

Poskramianie upodobań do retorycznej ozdobności i rozlewności, do reregularności metrycznej i stroficznej, do posługiwania się rymem nie jest u Słobodnika wynikiem literackiego konformizmu, przystosowującego się do panującej obecnie mody. Wiąże się ono u niego z generalną rewizją nie tylko własnej poetyki normatywnej, ale i samej postawy pisarskiej. Jest to odejście od poezji opisującej do przedstawiającej, odejście od liryki pejzażu i nastrojowej impresji do liryki uogólniającej metafory, w której

przeżycia osobiste, własne emocje stają się tworzywem dla refleksji filozoficznej o charakterze ponadosobistym.

Bardzo wyraźnie dostrzec można ten proces przeobrażeń na wierszach Słobodnika o tematyce epitafialnej. Jego dawne liryki, poświęcone pamięci rodziców czy brata Józefa, są utworami jak najbardziej osobistymi. Jeżeli poeta wychodzi nawet poza krąg wspomnień, poza spowiedź z własnego cierpienia nad utratą bliskich, to motywy refleksji o ogólniejszym zasięgu służą mu do potęgowania nastroju, grają rolę pomocniczą. W tytułowym cyklu ostatniego tomu, poświęconym pamięci brata Janusza, dramat osobisty staje się tworzywem utworów elegijnych, podejmujących problematykę śmierci, przemijania, znikomości ziemskiej egzystencji, w wymiarze ogólnoludzkim *(Kamienny cień, Trzy sonety na śmierć brata mojego Janusza, Anioł miał czarne skrzypce... Requiem).*

Nader charaktersytyczne dla nowej fazy rozwoju pisarskiego Słobodnika są jego wiersze poświęcone dawnym artystom. Utwory o Kochanowskim, Norwidzie, Leonardzie da Vincim, Michale Aniele to nie zapis osobistych wrażeń przeżytych w trakcie obcowania z dziełami starych mistrzów, ale próba określenia kulturotwórczego sensu ich pracy, sensu do dziś ważkiego i aktualnego. Malowanie portretu Mony Lizy to zarazem próba maksymalnego zbliżenia się do innego człowieka, jak najbardziej dogłębnego zrozumienia swoistości i jedyności jego wewnętrznego życia *(Leonardo da Vinci maluje Monę Lizę).* Tłumaczenie *Psałterza Dawidowego* to zarazem odszukiwanie tego, co wspólne duchowemu życiu ludzi oddzielonych od siebie czasem, przestrzenią, tradycjami kulturowymi *(Kochanowski tłumaczy Psałterz Dawidowy).*

Mówiąc o roli i znaczeniu refleksji filozoficznej w liryce Słobodnika pamiętać należy, że jest on poetą *par excellence* lirycznym i że refleksja ta jest bardzo daleka nie tylko od wierszowanej dydaktyki w stylu Asnyka, ale i od znamiennej dla Norwida poetyckiej dialektyki pojęć. Słobodnik refleksję musi wyrazić wizją budowaną z elementów uchwytnych dla wyobraźni, obrazem konkretyzującym grę emocji, dialektykę napięć uczuciowych i intelektualnych. Tak jest we wspomnianym wyżej sonecie o Kochanowskim, tak w wierszach o Michale Aniele, tak w takiej oto poetyckiej miniaturze:

Uciec od siebie do gwiazd, do muzyki
I na dno morza do ryb niemookich,
W roślinach morskich znaleźć siebie,
płynąć
I z falami przeminąć.

Gdzie refleksja nie zdoła się wcielić w nasycony konkretem poezji obraz, wiersz przeobraża się w oschłą, prozaiczną notatkę *(Modliłem się do Jehowy..., Górnik i węgiel).* Takich jednak miejsc, w których pojęciowa abstrakcja wymyka się spod władzy poetyckiej wyobraźni, nie znajdziemy w tomiku zbyt wiele. Jeżeli w ogóle zwracam na nie uwagę, to tylko dlatego, że są to wyraźnie dostrzegalne ślady przełamywania dawnych nawyków pisarskich, że stanowią one świadectwo wytężonej, zaciętej walki poety o nowe, bardziej mu obecnie odpowiadające formy kształtu artystycznego.

Słobodnik należy do autorów, dla których cały dorobek polskiej poezji jest księgą otwartą i dobrze znaną. Jeżeli *Kamienny cień* otwiera sonet o Kochanowskim, to nie przez przypadek; nie jest to konwencjonalny gest hołdu wobec ojca poezji polskiej. Autor *Spaceru nad Wisłą,* tak mało podatny na uroki mód literackich swego czasu, jest jednym z pisarzy nie tylko najbardziej wczytanych, ale i najbardziej wżytych w klasyczną poezję polską — od renesansu po romantyzm i Norwida. W typowym dla niego bogactwie form metrycznych i stroficznych, w upodobaniu do takich rodzajów poetyckich, jak tren, elegia, sielanka, w chętnym sięganiu po tematy klasycznie poetyckie, w słownictwie oraz doborze figur i tropów widać stałe czerpanie z owego spadku stuleci.

W okresie przedwojennym jednak Słobodnik terminował u starych mistrzów przede wszystkim jako artysta pragnący osiągnąć doskonałość rzemiosła pisarskiego. Nigdy nie były mu obce zagadnienia społeczne i sprawy bieżącego życia, ale nie one określały charakter i styl jego twórczości. Doświadczenia wojny i okresu po-

wojennego spowodowały decydujące przesunięcie punktu ciężkości w pisarstwie Słobodnika. Jego świadomość kulturowa zdynamizowała się i stała się zasadniczym wyznacznikiem dalszej drogi poetyckiej autora *Modlitwy o słowo*. Sielankopisarz i elegik przeobraził się w poetę zagadnień moralnych i kulturowych. Z dorobku dawnych mistrzów na plan pierwszy wysunęły się dla niego wartości, którym oni służyli. I dlatego dzisiaj w Kochanowskim, Norwidzie, Leonardzie da Vincim, Michale Aniele widzi Słobodnik przede wszystkim nie swoich mistrzów w rzemiośle artysty, ale pomnożycieli dorobku kulturowego ludzkości, wyrazicieli humanistycznego aktywizmu.

W tym przesunięciu stosunku do tradycji, w próbach zorganizowania go i określenia na nowo leży przyczyna przeobrażeń stylu pisarskiego poety. Styl ten stał się może w wyniku tego mniej harmonijny, mniej gładki, ale także bardziej żywy, dynamiczny i chyba również bardziej własny. Nowy styl Słobodnika bywa chwilami chropawy, ciężki, zatrącający może nawet prozaizmami, nie grozi mu jednak niebezpieczeństwo wtórności i nazbyt wymuskanego stylizatorstwa, o które ocierał się niejeden dawny wiersz poety.

Kamienny cień nie przynosi jeszcze pełnej krystalizacji nowego okresu rozwojowego liryki Słobodnika, jest jednak książką żywą, niespokojną i niepokojącą. Jest w niej piękna odwaga rezygnacji z utartych, dobrze znanych dróg i pasja twórczych poszukiwań, tak imponująca u pisarza w pełni dojrzałego.

Stefan Lichański

MUZA GRECKA

Muza grecka. Epigramaty z Antologii Palatyńskiej. Wybór opracował, przełożył i wstępem poprzedził Zygmunt Kubiak. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1960; str. 310.

Okres, w którym żyjemy, nie ma szczęścia do antyku. Nie ma dość czasu ani dość cierpliwości dla sztuki i poezji starożytnego świata, który karmił już tyle pokoleń. Każda niemal epoka naszej literatury miała swój antyk, swojego Homera i Wergiliusza, swojego Horacego. Sposób widzenia starożytności klasycznej, stosunek poetów do literatury greckiej i rzymskiej — był często sprawdzianem ich pojmowania sztuki, miarą, jak głęboko tkwili korzeniami swej sztuki w kulturze europejskiej.

Dotychczasowe przekłady na język polski poetów greckich i rzymskich utrzymywały się w konwencjach tradycyjnych poetyk, tradycyjnego wiersza pseudoklasycznego i romantycznego.

Wielkie przełomy poetyckie, które nastąpiły w literaturze w wieku XX-tym, przeorały całą poezję, całą lirykę. Okresy burzenia i ponownego budowania, burzenia i odbudowywania na nowo, ale już na innych zasadach, języka poetyckiego, składni, widzenia, wrażliwości estetycznej — zmieniają oblicze poezji. Dziesiątki lat, jakie upłynęły od wystąpień nowatorów poezji, nagromadziły już taką sumę doświadczeń i utrwaliły już na tyle nowy smak literacki, nową wrażliwość poetycką, że nadszedł czas spojrzenia na poezję starożytności poprzez te doświadczenia nowatorskie, oczyma współczesnego, nowoczesnego poety. Nadszedł czas, aby wydobyć z tradycyjnych konwencji rozwlekłego, ozdobnego, rymowanego wiersza — poezję Wergiliusza, Lukrecjusza i Horacego. Jak wiadomo, poezja starożytna nie znała rymu, wprowadzonego dopiero w czasach średniowiecza. Pseudoklasycyzm utrwalił nam obraz poezji starożytnej, który już nie odpowiada prawdzie, jest przestarzały i pusty w środku. Duch życia z niego uleciał.

Dlatego trzeba, aby poeci współcześni sięgnęli znów do poezji klasycznej i zobaczyli ją po swojemu.

Jaskółką takiego nowoczesnego widzenia antyku jest wybór greckiej poezji

hellenistycznej, dokonany przez Zygmunta Kubiaka. Wybór ten pt. *Muza grecka* wyszedł w „celofanowej serii" PIW-u, rozrastającej się w piękną bibliotekę poetycką.

Zygmunt Kubiak wybrał najcelniejsze epigramaty ze słynnej Antologii Palatyńskiej, odnalezionej w Heidelbergu w XVII wieku. Niejednokrotnie historia okazuje się tak lekkomyślna, że zaprzepaszcza wielkie i ambitne dzieła literackie, a chroni i utrwala drobiazgi, ulotne zapiski i myśli. Tak się właśnie zdarzyło z poezją grecką epoki hellenistycznej, z której dochowały się do naszych czasów nieliczne ułamki większych dzieł i ogromna ilość drobnych utworów lirycznych, zwanych epigramatami. „Szczególny paradoks — pisze o tym w swym pięknym wstępie autor wyboru — ocaliła je właśnie ich kruchość i wdzięk właściwy rzeczom małym, który kusił kolekcjonerów i kazał im pilnie troszczyć się o ich przechowanie wśród surowych odmian czasu".

Epigramat — taki, z jakim mamy do czynienia w Antologii Palatyńskiej — to gatunek literacki ukształtowany pod koniec starożytnego świata w epoce hellenistycznej. Jego rodowód wywodzi się z napisów na stellach nagrobnych, na cokołach posągów, napisów dołączanych do darów wotywnych ofiarowywanych bogom. Ten pierwotny charakter epigramatu wyznaczył mu najważniejszą jego cechę — zwięzłość, lakoniczność. Kamień jest materiałem opornym, trudno na nim ryć długie poematy. Również przechodzień, dla którego napis jest przeznaczony, nie ma czasu zatrzymywać się w drodze na długą lekturę. Napis musi przykuć go na chwilę, uderzyć swoją zwięzłością i treściwością.

Epigramaty w tym sensie układali najwybitniejsi poeci greccy, np. Simonides. W epoce hellenistycznej epigramat oderwał się częściowo od swego pierwotnego przeznaczenia, stał się miniaturą poetycką o charakterze liryczno-filozoficznym. Ze wszystkich literackich rodzajów starożytności ten jest najbliższy liryce w naszym, nowoczesnym pojęciu tego słowa, zarówno ze względu na styl, posługujący się właśnie z racji swej zwięzłości zupełnie nowoczesną pointą niedomówienia, zupełnie nowoczesną proporcją przemieszania słowa z milczeniem. Jakże bliski naszej wrażliwości poetyckiej jest ten rodzaj nie stroniący od dowcipu i ironii! Jakże bliskie nam są liryki miłosne mówiące o sprzecznościach wewnętrznych serca ludzkiego i o subtelnych stanach rodzenia się uczucia, rozpoczynania się miłości, lęku przed nią! Jakże nowoczesne są liryki mówiące o szczęściu macierzyństwa i ojcostwa, liryki rodzinne, których my też nie wymyśliliśmy!

Jakże bliskie nam i współczesne jest w epigramacie hellenistycznym odczuwanie przyrody. W zwięzłej, lapidarnej formie ileż tu obrazów przyrody, morze, gwiaździste niebo, ptaki i zwierzęta, o których mówi z czułością Grek — przedstawiciel narodu pasterzy. Anonimowy epigramat uogólnia w sposób wspaniały to poczucie piękna natury. Słusznie Zygmunt Kubiak wysunął ten utwór na czoło jako kwintesencję całej liryki hellenistycznej:

Któż by sprostał tobie, o życie, gdyby
nie śmierć? Niezliczone twoje niedole —
ciężko je dźwigać i umknąć im trudno.
Rzeczy, które pięknymi uczyniła natura —
te są dobre: ziemia, morze, gwiazdy, księżycowa poświata, blask słońca.
A poza nimi — tylko trwoga i ból. Jeśli
dasz nam chwilę radości, zaraz płacić za
nią trzeba cierpieniem.

Środkowa strofa epigramatu przywodzi na pamięć w swej wymowie tylko potężny zachwyt biblijnego stwórcy nad swoim dziełem, który oglądał swoje prace i „widział, że były bardzo dobre".

Bliskie naszej filozofującej poezji są epigramaty pełne zadumy nad życiem i śmiercią, nad losem ludzkim. Pisali je nie tylko poeci, pisali je z przepełnionego serca uczeni (Ptolemeusz), filozofowie i władcy (cesarz Hadrian, Filip Macedoński).

Odbiły się w nich ostatnie w starożytności wielkie koncepcje filozoficzne losu ludzkiego i wielkie systemy moralne, stoicyzm, epikureizm i cynizm, ten, jak zauważa Kubiak — „egzystencjalizm antycznego świata".

Kruche miniatury poetyckie umiały mówić o rzeczach wielkich, o śmierci, o znikomości życia ludzkiego, o czasie wszystko pożerającym, pytały, skąd idziemy i dokąd dążymy.

Ale mówiły też o sprawach małych, życiowych, chwaliły Tychona, małego bożka rzeczy drobnych. Są na pewno wśród epigramatów, zwłaszcza najpóźniejszych, utwory wyrafinowane już,

konwencjonalne, a pod względem stylu — chciałoby się rzec — barokowe. Jest jednak więcej takich, w których przechowały się jakieś autentyczne realia, sytuacje, przedmioty, przeżycia.

Oto Leonidas z Tarentu skarży się na swą biedę, wypędza ze swej nędznej lepianki myszy, które tu nic nie znajdą do jedzenia, szantażuje Artemidę, że ofiaruje jej bogatsze dary w przyszłości, gdy ona uczyni go bogatym.

Oto wzruszające, dalekie od poetyckich zawiści, pochwały młodziutkiej poetki Erinny, zmarłej w 19-tym roku życia.

Oto poetyckie, nie pozbawione grozy, przekomarzania się poety Alkajosa z królem Filipem, straszącym poetę bezlistnym drzewem — szubienicą.

Oto zachwyt astronoma Ptolemeusza nad wiecznością świata i gwiazd.

Oto niezliczone argumenty miłosnych zalotów, westchnienia, wezwania, prośby i ostrzeżenia, tęsknota, ból rzeczywisty i kokieteryjny.

Oto płacz nad umarłym synem, żoną, matką.

Ale epigramat i sam siebie nicuje na wylot z gorzką ironią nad własną konwencją, nad epitafium wymieniającym imię zmarłego, ojczyznę, pochodzenie i zasługi.

Tak poeta Paweł Silencjariusz odczytuje przypadkowe epitafium: „Zwałem się"... — Po cóż mi imię twoje? — „Ojczyzną mą była"... — Czy nie wszystko jedno, gdzieś się rodził? — „Pochodziłem ze świetnego domu"... A gdyby z lichego, to cóż? — „Odszedłem z życia w blasku sławy"... — A gdyby w poniżeniu, jaka dziś różnica? — „Teraz zaś tu spoczywam". — Kim ty jesteś? I do kogo przemawiasz?

Tam, gdzie utrwaliło się w utworze subiektywne przeżycie poety lub jego niepokój filozoficzny, tam żyje liryka, tam iskra poezji nie gaśnie w popiele obcych martwych słów obcego martwego języka.

Tak się stało z epigramatami przyswojonymi naszej poezji przez Kubiaka. Ożyły, zagrały, absolutnie świeże, pachnące, tętniące dawnymi i aktualnymi sprawami życia ludzkiego, mądre i swawolne, głębokie i lekkomyślne, piękne i prawdziwe, a wszystkie bardzo, bardzo ludzkie.

Jakże przeczą one wszelkim powracającym teoriom o tym, że wielkie w poezji jest to, co obejmuje rozległe problemy epoki. Najczystsza poezja zawarta w epigramatach niewiele, lub nic zgoła, mówi nam o problemach wieków, w których powstawała. A były to przecież wieki nie byle jakie, wieki, w których ginęła i waliła się potęga i kultura świata starożytnego, a rodziły się nowe potęgi polityczne i nowa idea na całe przyszłe wieki — chrześcijaństwo.

Poeci — twórcy epigramatu, tej liryki starożytności, niewiele o tym wiedzą i mówią. Ale znów — siła ich jest w ich niewiedzy, a raczej w głębokiej wiedzy o człowieku, o życiu ludzkim, o śmierci, o miłości. Miniatury poetyckie ocaliła ich kruchość. Poezję w tych miniaturach — ocaliła niewiedza poetów.

Wdzięczność należy się Zygmuntowi Kubiakowi i za wybór epigramatów, i za ich przekład. Kubiak powziął szczęśliwy pomysł tłumaczenia greckiego regularnego wiersza przy pomocy zrytmizowanej prozy, a wiec wiersza zupełnie nowoczesnego, można by rzec — awangardowego. Odrzucenie rymu — tej obcej antykowi konwencji — to jedna wartość przekładu. Druga — to piękna wewnętrzna rytmizacja frazy, rytmizacja nie regularna jak w wierszu białym, ale swobodna, giętka, rytmika prozy poetyckiej. Przekłady Kubiaka odznaczają się nieomylnym wyczuciem rytmu, który właśnie sprawia, że mamy do czynienia jednak z wierszem, a nie z prozą:

To jest Erinny dorobek dziewczęcy. Niewiele tych wierszy, tyle, ile mogła napisać dożywszy lat dziewiętnastu.

Lecz od wielu innych większe to dzieło! Gdyby Hades nie przyszedł tak szybko, któż by sławę miał taką jak ona?

Zadziwiająco pięknie brzmi ten wiersz, właśnie wiersz, w polskim przekładzie.

Muzykalne kadencje poszczególnych zdań. Zdania proste, ale jak kunsztowne w swej prostocie. I jakże pięknie brzmiące przestawnie w początkowych frazach: „To jest Erinny dorobek dziewczęcy"... Ten człon rytmiczny ma odpowiednik w następującej strofie: „Lecz od wielu innych większe to dzieło". Za tymi dwoma członami biegną znów po jednej równoległe dłuższe frazy, tak samo dwuczłonowe. Kunsztowny, świetny to przekład poetycki. Język jest prosty, współczesny, pozbawiony wszelkich pseudoklasycyzmów. Również nazwy re-

aliów, przedmiotów wydają się trafne i jedyne, z wyjątkiem może szpady w wierszu Makedoniosa, wydającej się tu małym anachronizmem.

Proza poetycka przekładu Zygmunta Kubiaka dobrze oddała cały wdzięk epigramatów, ich lekkość, dowcip, ironię, nie uroniła także występującej tu i ówdzie świetnej, zupełnie nowoczesnej metafory, jak np. w epigramatach platońskich:

Patrzysz w gwiazdy, o gwiazdo moja? Chciałbym być tam niebem gwiaździstym — i tysiącami tych oczu, tych gwiazd, wpatrywać się w ciebie.

Lub:

Uśpił Satyra Diodor, nie w kruszcu go wyrzeźbił. Dotknij go, a wnet się ocknie. To srebro ma w sobie miękkość snu.

Dodanymi od siebie trafnymi tytułami Zygmunt Kubiak wiele czytelnikowi wyjaśnił i ułatwił, łącząc tu wiedzę filologa z inwencją poetycką.

W sumie — jest to jedna z najpiękniejszych książek poetyckich, jakie ukazały się u nas ostatnio. Przeczytałam ją z zachwytem i radością, jaka płynie stąd, że dostrzega się mimo wszystko trwałość pewnych ludzkich dzieł, trwałość tego, co tak nietrwałe, tego, co ludzkie.

Anna Kamieńska

OPOWIADANIA WOJCIECHA WYGANOWSKIEGO

Wojciech Wyganowski: *Powroty i zabłąkania.* Warszawa, „Czytelnik", 1960; str. 200.

Niezwykle interesujące opowiadania Wojciecha Wyganowskiego powstają na przecięciu dwu ważnych linii rozwojowych prozy współczesnej, powstają w punkcie zetknięcia się tendencji psychologistycznych i tych, które nie mają jeszcze swej nazwy, a które określić można precyzyjnie dwoma nazwiskami: Kafka i Schulz. Ten punkt zbieżności jest sam w sobie zjawiskiem absorobującym i niezwykłym. Obydwie sygnalizowane tu tendencje są bowiem sobie przeciwstawne. Psychologizm wyłącza zwykle jednostkę z systemu zależności, kafkizm — bo tym konwencjonalnym terminem dla ułatwienia możemy się posłużyć — przeciwnie: zasadniczym punktem czyni zawsze przedstawienie tego, w jaki sposób jednostka zależna jest od zjawisk, które znajdują się poza nią. Dla psychologizmu człowiek jest zespołem różnego typu możliwości, realizujących się pod wpływem coraz to innych impulsów wewnętrznych, dla kafkizmu człowiek stanowi istotę określaną z zewnątrz, impulsy wewnętrzne nie wyznaczają jego najbardziej istotnych właściwości. Psychologizm wreszcie programowo indywidualizuje, kafkizm — w sposób równie konsekwentny typizuje. Przeciwieństwa te można by z pewnością mnożyć — przywołane tutaj chyba jednak wystarczą.

Wystarczą z pewnością dla celu, któremu mają tutaj służyć, a mianowicie, by przekonać, że zorganizowanie takiego punktu stycznego wymagało szczególnych zabiegów literackich, wymagało szczególnego typu konstrukcji, zbudowania nowej płaszczyzny, w której linie te mogłyby się spotkać. Jest to dla prozy Wyganowskiego zjawisko najbardziej istotne, obecność tej właśnie płaszczyzny określa jej właściwości.

Bohater opowiadań, zawartych w *Powrotach i zabłąkaniach,* jest zawsze określoną indywidualnością, jego strachy, jego obsesje są przyczynami jego działania. Wyganowski nie rezygnuje więc z motywacji psychologicznych, są one nieustannie obecne. Jednakże uzasadnienia psychologiczne nie stanowią tu — by tak powiedzieć — racji ostatecznych. Bohatera nie określają jednak takie fakty, jak te np., że czuje się samotny, że podlega maniakalnym przywidzeniom itp. Jest on bowiem zawsze wpisany w świat, który go określa, jego biografia jest zawsze determinowana przez to, co znajduje się poza nim. Jego biografia wewnętrzna

także, a więc ta, która stanowi zasadniczy przedmiot zainteresowań pisarza.

Pytanie, w którym miejscu, na jakiej płaszczyźnie zbiegają się te dwa typy motywacji, pozostaje nadal w mocy. Można na nie odpowiedzieć poprzez analizę struktury opowiadań Wyganowskiego. Motywacja psychologiczna nie ma tutaj charakteru introspekcyjnego (tylko opowiadanie *Pozory złudzeń* jest w tej materii w jakimś stopniu wyjątkiem). W tym sensie, że w tekście nowel elementy introspekcji typu proustowskiego są nieobecne, że, by uzasadnić takie, a nie inne postępowanie bohatera, pisarz nie zastanawia się bezpośrednio nad racjami jego działania, mimo że racje te funkcjonują i są w jakiś sposób przez niego obserwowane. Wyganowski jest bowiem twórcą o szczególnie silnych zainteresowaniach psychologicznych. Zainteresoania te jednak realizują się pisarsko w inny sposób niż u uczniów Prousta. Realizują się poprzez nawiązanie do doświadczeń pisarzy typu Schulza. Realizują się więc poprzez swoiście pojętą fantastykę.

Połączenie wątków psychologicznych z fantastyką jest w historii literatury zjawiskiem bardzo starym. Już przecież romantycy postępowali w ten sposób — fantastyka w prozie E. T. A. Hoffmanna (zwłaszcza w *Diablich eliksirach)* jest niejako namiastką motywacji psychologicznej, a wątki np. nawiedzeń, rozdwojeń, sobowtórów, gdy rozwinęły się środki literackiej psychologii, utraciły swe walory fantastyczności. Fantastyka jako odpowiednik psychologii powieściowej była zjawiskiem w miarę krótkotrwałym, stanowiła bowiem wytwór określonej sytuacji historycznoliterackiej. Była wynikiem zainteresowania tokiem przeżywania człowieka w momencie, gdy nie istniał jeszcze zespół środków literackich, które mogłyby w sposób bezpośredni służyć ich realizacji. Z tych względów powstała konieczność sięgnięcia po fantastykę jako środek zastępczy. Ale fantastyka w roli psychologii nałożyła się jeszcze na inne fascynacje romantyzmu: na jego upojenie niezwykłością, na jego uwielbienie dla tego wszystkiego, co cudowne, w jakiś sposób odchodzące od normy.

Rzecz jasna, iż dzisiaj łączenie fantastyki z psychologią ma sens inny niż u romantyków, pomimo nawet, że proza Hoffmanna zachowała zadziwiającą świeżość i aktualność. Zasadnicza różnica sprowadzałaby się do tego, że fantastyka powieściowa romantyków miała charakter ontologiczny, podczas gdy fantastyka pisarza współczesnego ma jakby charakter tylko poznawczy, bądź też stanowi świadomie założoną konwencję. Romantyk przypisywał fantastycznym stworom istnienie, diabły czy duchy pojawiające się w klasztorze, by niepokoić świątobliwych braciszków, egzystowały w systemie powieściowym w sposób równie realny, co bohaterowie o trzech wymiarach. Pisarz współczesny — Wyganowski także — rezygnuje z tego naiwnie realistycznego stosunku do motywów fantastycznych. Interesują go one bowiem jako zjawiska znajdujące się poza świadomością bohatera, jako elementy świata względem niego zewnętrznego. Można by powiedzieć, że w prozie współczesnej fantastyka stanowi sposób kontaktu bohatera ze światem zewnętrznym. Jest konstrukcją świadomości bohatera, konstrukcją, będącą wariacjami na temat rzeczywistości zewnętrznej.

Ów świat powstały w trybie subiektywnych wariacji jest wszakże w prozie Wyganowskiego tworem niezwykle dwuznacznym — na tej właśnie dwuznaczności polega jego znaczenie. Stanowi bowiem wyraz przeżyć bohatera, jest upostaciowaniem jego strachów i obsesji, posiada więc jakby wymiar ekspresjonistyczny. Ale jest przy tym równocześnie reprezentantem tych sił, które określają bohatera od zewnątrz, decydują o jego losach, przytłaczają go i zniewalają, jest Sądem i Zamkiem, który — podobnie jak u Kafki — wyznacza biografię każdego, kto działaniu tych sił podlega. Wyganowski niezwykle silnie wydobywa tę dwuznaczność swojego świata fantastycznego. Uprawiając bowiem fantastykę psychologiczną, jest deterministą w kreowaniu swych bohaterów. Jest deterministą nie w tym sensie, iż dla każdego ze strachów i zabłąkań (tych zabłąkań, które użyczyły tytułu całej książce) szuka wyznaczników zewnętrznych. Jest deterministą z tych racji, że nie czyni z psychologii czynnika zasadniczego, decydującego o losie bohatera. Los określają zjawiska zewnętrzne: np. niesamowite miasta ze swymi pokręconymi ulicami i ponurymi domami, te

miasta, na które skazany jest bohater i które urastają do rangi metafory.

Ta dwuznaczność decyduje o charakterze fantastyki Wyganowskiego. Jest to z reguły fantastyka codzienności. Niezwykłość, obdarzona zazwyczaj określonymi funkcjami metaforycznymi, wynika tutaj z opisu codziennych realiów i powszednich sytuacji. Stanowi subiektywną interpretację tego, co należy do społecznej empirii. Fantastyka tego typu ma zwykle charakter — by tak powiedzieć — monistyczny. Nie wynika z romantycznego przekonania o naturalnej dwoistości świata, o istnieniu sfery ducha i sfery materii. Stanowi zaś sposób oglądania rzeczywistości zewnętrznej, konkretnej ze swej istoty i narzucającej się przez swój zmysłowy charakter. W prozie Wyganowskiego znajdujący się na przecięciu realności i fantastycznej fikcji świat jest materialnie wyrazisty i namacalny. Nawet więcej: pisarza urzeka ta właśnie materialność, jest on zafascynowany rzeczami, realiami dnia codziennego.

To urzeczenie realiami decyduje o technice pisarskiej Wyganowskiego. Uprawia on bowiem prozę opisową, wyrosłą z najlepszych tradycji realistycznych — dokonuje się więc tutaj swoiste zderzenie metody opisu realistycznego z fantastycznością przedmiotu, zderzenie charakterystyczne dla tych kręgów prozy, z których twórczość omawianego tu pisarza wyrasta, kręgu Kafki, a w Polsce Schulza i Truchanowskiego. „Gęsta ciemność otacza nas ze wszystkich stron. Ciągle mi się zdaje, że wjeżdżamy w stojące przed nami płaszczyzny i zostawiamy za sobą grube i zasklepiające się ściany. Ulica jako taka nie istnieje. Zjawiają się tylko na jedną chwilę i nikną jej aktualne fragmenty, poskładane z przypadkowych domów, dachów i pięter. Patrzą na nas jakieś wąskie i długie okna, sygnalizują coś tam jeszcze wydłużające się kominy, zapalane albo gaszone światła. I oto wydostajemy się z niskiej piwnicy na przezroczystą wysoką noc. Senne perłowe chmury snują się po głębokim niebie jak ektoplazma z wielkimi pulsującymi gwiazdami w rozpuszczonych włosach i długich fałdzistych sukniach. A koń chwieje się i potrząsa wielką kudłatą głową, a dorożkarz garbi się i zasłania jakieś tam Oriony, Łabędzie i Andromedy wyglądające spoza jego ramion" *(Równanie z niewiadomą)*.

Omawiane tu zjawiska decydują o swoistościach prozy Wyganowskiego i jej własnym profilu.* One też każą czekać z zaciekawieniem na następne książki pisarza.

Michał Głowiński

---

* Przykrym nieporozumieniem wydaje mi się „recenzja", jaką o książce Wyganowskiego zamieściła *Współczesność*. W „recenzji" owej bezapelacyjna apodyktyczność sądów wypowiadanych przez autorkę znajduje się w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do jej umiejętności krytycznych. Trudno tu zresztą o takich umiejętnościach mówić, skoro autorka zademonstrowała, że po prostu nie umie czytać tekstów literacko nieco bardziej skomplikowanych.

„BÓJCIE SIĘ KROWY"

Henryk Worcell: *Parafianie*. Wrocław, Ossolineum, 1960; str. 221, 3 nlb.

Miałem okazję czytać przed laty w redakcji *Orki* całe partie autobiograficznej książki Henryka Worcella. Worcell opowiadał w niej o swoim życiu powojennym na śląskiej wsi w okolicach Kłodzka. Był to jedyny w swoim rodzaju dokument socjologiczny i dokument literacki: pisarz i rolnik, pisarz i sprzedawca w wiejskim sklepie spółdzielczym, pisarz i autentyczny działacz społeczny zapisywał perypetie swojego życia i komentował je w jakiś przedziwny chłopsko-intelektualny sposób. Sytuacja życiowa Worcella nie była sztucznie wymyślona, aczkolwiek wszystko zakrawało w niej na wymysł jak

najbardziej sztuczny, na jakąś zdumiewającą i tragiczną parodię pewnego teoretycznego konceptu socjologiczno-literackiego. Naturalne koleje losu ukształtowały w sposób doskonały wyjątkową sytuację życiową i pisarską Worcella. Nie omieszkałem wówczas przekazać Worcellowi swojego zachwytu, co zostało skwitowane — o ile dobrze pamiętam — wyrozumiałą uprzejmością, która mi jeszcze bardziej zaimponowała. Worcell to ktoś, kto wie, że jest prawdziwy, i ceni sobie swoją prawdziwość. Mój zachwyt był czysto literacki, a dotyczył przecież nie tylko literatury, a przede wszystkim tego, co było w niej dokumentem cudzego życia. Nie wypada literacko patrzeć na cudze życie, któremu nie byłoby się w stanie sprostać.

Parafianie usprawiedliwiają czysto literacki stosunek, ponieważ nie jest to dokument w nagim kształcie. Widzę to tym wyraźniej dlatego, że znam ów stary autobiograficzny tekst Worcella. *Parafianie* są swobodną literacką parafrazą tamtego tekstu. Jest to coś w rodzaju powieści czy raczej powiązanej kompozycji pół-nowel pół-reportaży. Występuje w nich literacki narrator, nie występuje człowiek, dla którego nazwisko Henryk Worcell jest tylko literackim pseudonimem.

Parafianie to książka, która straciła na walorach dokumentu i zyskała na walorach natury estetycznej. Stwierdzam fakt, nie zamierzając się ustosunkowywać do tej przemiany. Domyślam się, że złożyło się na nią sporo ważnych przyczyn. Po prostu jest tak, a nie inaczej, i trzeba powiedzieć, że jest znakomicie. *Parafianie* to wyborna literatura, wyborna proza. Dla najbardziej wyrafinowanego smaku. I chyba przede wszystkim dla niego. Od dawna jestem przekonany, że autentyczna chłopskość czy szeroko rozumiana autentyczna ludowość jest najbliższa prawdziwemu intelektualizmowi i literackiemu rewelatorstwu. Przepaść oddziela jedynie wszystko, co pośrednie. W pośredniości wyraża się banalność myśli i banalność słów, kołtuństwo myślowe i kołtuństwo literackie. Człowiek prosty jest prawdziwy, człowiek wyrafinowany chce być prawdziwy. Prawdziwi intelektualiści komentują życie ludzi prawdziwie prostych. Największe rewelacje myślowe na temat człowieka dadzą się wyrazić w pojęciach i języku ludzi prostych. Sartre nie wymyślił nic takiego, czego by nie wypowiedział Faulkner językiem swoich ludowych bohaterów.

Worcell na miarę swego talentu wyraża człowieka językiem prostych ludzi. Narrator w *Parafianach* jest taki sam jak wszyscy inni mieszkańcy wsi Zdarzyce. On zapisuje to, czego oni nie robią. Jedynym wyrazem ich myślenia są działania życiowe. Narrator Worcella jest chłopskim filozofem, który w dodatku jest człowiekiem piszącym. Piszącym tak, jakby pisali oni, gdyby mogli czy chcieli. Piszącym o tym, czym oni żyją. Ich życie to manifestacja elementarnych dążeń, elementarnych namiętności, elementarnych zabiegów biologicznych i społecznych. Ponieważ chodzi w tym wszystkim o warunki pierwsze egzystencji, o samą możliwość życia, wszyscy są w sposób absolutny bezwzględni i jako ludzie prości nie kryją się ze swą bezwzględnością. Wszyscy wiedzą o wszystkich, kim kto był i co robił, kim kto jest i co robi.

Kryteria moralne istnieją tu jedynie jako możliwość, która realizuje się z rzadka w szczególnie sprzyjających okolicznościach, naprawdę liczy się natomiast jedynie realna siła, biologiczna czy społeczna. Wszystkie anse moralne wobec potentata w Zdarzycach, Bogusiaka, są niczym, ponieważ nikt nie dysponuje realną siłą, żeby go pokonać. Narrator tak jak wszyscy godzi się z takim stanem rzeczy, wie bowiem, że o wynikach walki decyduje siła, a nie cokolwiek innego. Przykład dziesięcioletniego Jurka, który toczył walkę z krową, nie doceniając jej siły, i musiał w tej walce zginąć, zawiera w sobie wymowną naukę, podkreśloną nawet w tytule tej wspaniałej noweli o młodocianym pastuszku: *Bójcie się krowy*. Ambicji Jurka nie zaaprobowała nawet matka: „Niedobry to był chłopak, nie. A miał z niego wyróść jakiś bandyta albo wielki grzesznik, to lepiej, że go Pan Bóg zawczasu zabrał do siebie" (str. 28). Dziesięcioletni Jurek chciał jedynie panować nad namiętnością Krasuli do koniczyny i nawet to mu się nie udało, ponieważ nie był dość silny.

Narrator w *Parafianach* zna swoją bezsilność i jak przystało na prawdziwego filozofa godzi się z takim stanem rzeczy. Walczy wtedy, kiedy można, i tylko tyle, ile można. Podejrzewam,

że wytrwał swoje dwanaście lat w warunkach nie złagodzonych praw życia tylko dla wcale nie poetyckich uroków natury, która kryje możliwości azylu. Myślę, że jego refleksje w czasie grzybobrania wiele tłumaczą: „Jakże daleko stąd do wsi, wprost wierzyć się nie chce, że gdzieś tam w dolinie pionowo stoją domy, ludzie i fabryki. I pomyśleć, że gdzieś tam w miastach żyją istoty, które cały dzień muszą chodzić w wyprasowanych spodniach i którym nie wolno tarzać się po ziemi" (str. 114). Tę swobodę kontempluje narrator nie w Zdarzycach, ale dopiero w młodziutkim lasku, do którego nikt nie zagląda.

Parafianie Worcella to książka doskonale prosta, głęboko mądra i w sposób ujmujący piękna. Wypada, żeby została zauważona przynajmniej przez czytelników.

Henryk Bereza

KRYTYKA NA MIARĘ

Zygmunt Lichniak: *Ceterum censeo.* Warszawa, Instytut Wydawniczy „Pax", 1960; str. 219.

Książka Zygmunta Lichniaka *Ceterum censeo* może wzbudzić zazdrość zestawem tematów. Sprawy tak ogólne i tak jednocześnie zasadnicze, jak twórczość artystyczna, kultura współczesna, krytyka literacka, wieloświatopoglądowość, tolerancja a spór ideowy, mecenat artystyczny — to tylko najważniejsze spośród innych przewijających się w książce. Ściśle biorąc *Ceterum censeo* nie jest pracą krytyka literackiego, lecz raczej polityka kulturalnego, ideologa, którego bardziej interesuje literatura jako całość, warunki istnienia i rozwoju twórczości artystycznej, literatura jako instrument społecznego, ideowo-kulturalnego działania, a nie jako nagromadzenie dzieł czy indywidualności twórczych. Lichniak spełnia w tej książce funkcję rezonera określonego obozu ideowego i tę świadomość reprezentacji czuje się na każdej stronie książki. Zresztą nie wydaje się, aby ta świadomość ciążyła autorowi, ona mu właśnie porządkuje myślenie, daje zestaw zagadnień, podpowiada kryteria i we wszystkich wątpliwych wypadkach określa granice rozważań, wskazuje rozstrzygnięcia. Myślenie krytyka nie tyle krytyce służy, co właśnie apologii i pod tym względem bardzo znamienne są niektóre uwagi autora o niechęci wobec wątpienia jako postawy. Uwagi zaskakujące pod piórem krytyka literackiego, jeśli się przyjmie, że nic innego jak właśnie wątpienie jest istotą krytycyzmu.

Książka nie jest chyba pomyślana jako eksperyment intelektualny, wyżej wskazane znamiona i sam tytuł zbioru świadczą, że Lichniak chciał powtórzyć pewne aksjomaty idei, jaką wyznaje, dać potocznym oświadczeniom formułę szerszą, ujętą językiem filozoficznym, dać jej splendor myślenia, a nie tylko zachowania się. I pod tym względem książka jego ma kilka miejsc bez wątpienia interesujących. A najbardziej zaciekawiają te fragmenty, w których autor podejmuje zagadnienie bardzo istotne dla katolicyzmu w Polsce i nie tylko w Polsce, zagadnienie, które powraca wielokrotnie w *Spiżowej bramie* Brezy, a także jest jednym z ważnych ogniw całej współczesnej dyskusji ideowej. Zagadnienie to brzmi: jak rozwiązać współżycie katolicyzmu i marksizmu na gruncie doktryny katolickiej, jak znaleźć możliwość porozumienia się że zwyciężającą a przecież obcą ideologią, możliwość niesłychanie potrzebną, w wypadku zaś Lichniaka zagadnienie to będzie tym drastyczniejsze, im bardziej ideologia, jaką wyznaje, czuje się socjalistyczna. Lichniak rozbudowuje na użytek swej książki rozważania (czyje? cytaty nie mają odsyłaczy bibliograficznych) określające rolę Boga jako pana świata z dwóch tytułów: jako stworzyciela i jako odkupiciela. Otóż właśnie stworzenie świata stanowi teologiczną przesłankę sankcjonującą udział katolików w pracy nad doskonaleniem tego świata. Można z te-

go wysnuć bardzo daleko sięgające konsekwencje polityczne, których Lichniak już nie podejmuje i przesuwa sprawę na teren twórczości artystycznej, pisząc o obowiązku tworzenia, mnożenia wartości duchowych itd.

Jak widać więc, same wnioski z myślowego przewodu nie są ani głębokie, ani odkrywcze i zaciekawienie recenzenta budzi raczej mechanizm myślenia, sposób dobierania argumentów i zręczność w pomijaniu „spraw kontradykcyjnych", merytorycznie bowiem książka nic nowego nie przynosi. Ale taka na przykład sprawa: Lichniak uważa się za zwolennika literatury angażującej się w problematykę współczesną, dalej, uważa się za zwolennika literatury o szerokim zasięgu wychowawczego oddziaływania, wyraża chętnie pogardę dla tzw. „kawiarni literackiej", która w kontekście jego rozważań otrzymuje sens bardzo specyficzny, i w ogóle deklaruje się jako entuzjasta literatury jako instytucji oświatowo-wychowawczej w stopniu, na jaki mało kto by się dziś odważył. Ale jednocześnie rozważania jego pozostają w granicach bezpiecznych ogólników, gdzie nie ryzykuje się ani jednej informacji konkretnej, ani jednej książki jako przykładu „dobrego" lub „złego", ani jednego nazwiska, nawet zaczerpniętych z literatury obcej. Wszystko jest mgliste a jednocześnie wyłożone z bardzo zręcznie zrobionymi pozorami jasności. „Co za niesłychana umiejętność stwarzania pozorów jasności" — przytycza Lichniak opinię Wacława Borowego o jednym z niegdysiejszych przeciwników. Jest w książce *Ceterum censeo* niejedno miejsce, które wywołać musi podobne uznanie.

Ale Lichniak ma niełatwe zadanie i można by znaleźć wiele argumentów nie tyle usprawiedliwiających tę mglistość, co raczej wyjaśniających jej przyczyny. Krytyk gra podwójną grę, grę na dwa fronty literackie. Książka jest wymierzona przeciw liberalnemu intelektualiście, ale nie tak dalece, aby nie dywagować o tolerancji, która z kolei uzasadnia istnienie wieloświatopoglądowości. Książka ma powściągliwy stosunek do okresu minionego, ale nie tak dalece, aby nie widzieć jego kolosalnych pozytywów w sferze twórczości literackiej (str. 141). Krytyk korzysta więc z argumentów różnych stron polemiki kulturalnej i własne sformułowania musi podawać w takim kształcie, aby go ze wszystkich stron broniły i ze wszystkich stron zjednywały mu sojuszników. Książka pragnie zbudować program twórczości kulturalnej, ale program ten nie ma w sobie nic zdecydowanego ani w sensie treści, ani w sensie stylu artystycznego, polega raczej na wiązaniu, kojarzeniu, zabezpieczaniu i wymijaniu. I chociaż wątpić można w jego jakąkolwiek siłę inspiracyjną, przyznać trzeba, że zrobiony został zręcznie.

I tutaj prawdopodobnie szukać należy źródeł stylu pisarskiego Lichniaka, stylu o znamionach swoistej odrębności. Autora książki *Ceterum censeo* poznać można łatwo po sposobie wypowiadania się, jednakże odrębność ta jest tego rodzaju, że nie może stanowić argumentu na rzecz artystycznej indywidualności. Odrębność ta bowiem składa się głównie z wad. Krytyk działający w sytuacji Lichniaka musi być z natury rzeczy mediatorem, kompilatorem, pośrednikiem, tymczasem autor książki *Ceterum censeo* koniecznie chce się przystroić w kostium ideologa agresywnego, chce stwierdzać, rozstrzygać, chce nawet potępiać, kiedy z racji istotnie pełnionej roli nie ma do tego przesłanek myślowych. Bo wszystkie jego rozstrzygnięcia i potępienia są mniej lub więcej świadomymi przytoczeniami. Własne argumenty autora — to tylko uczona, scjentyficzna lub metaforyczna terminologia, która patetyzuje w swoisty sposób rzeczy i sprawy proste i jasne. Lichniak przepada za zdaniami o charakterze naukowej definicji, naszpikowanymi uczonym słownictwem, a także lirycznym epitetem („literacki" styl), zdaniami, które nie kryją w sobie żadnych nowych treści, które często są truizmami, maskują podstawowe logiczne błędy — podawane zaś są z fanfarą nieznośnej pretensjonalności. Przykład ze str. 214: „Dezintegracyjne ambicyjki budowania pozornego autoryteciku i przewagi jednej aktywności ludzkiej nad drugą powinna zastąpić twórcza ambicja integralnego widzenia losu ludzkiego, losu narodu, losu ludzkości". Sens tego uczonego wywodu sprowadza się do stwierdzenia, że trzeba działać razem, a nie jeden przeciw drugiemu. Od czasu do czasu autor jak gdyby przerażony scjentyficznym patosem forsuje

na gwałt styl „bezpośredni", gawędziarski, szpikuje zdania kokieteryjnymi „ot, co" i robi to w bardzo złym guście. Te przeskoki stylistyczne, ta ciągła rozbieżność między sensem wywodów a kształtem, w jakim są podawane, nie zachęcają bynajmniej do lektury interesującej przecież książki.

Włodzimierz Maciąg

OJCZYZNA I OBCZYZNA

Tadeusz Hołuj: *Królestwo bez ziemi*. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1960; tom I — str. 528, tom II — str. 708.

Przeżyłem tę książkę. Przyjemniej jest żyć w odległym czasie, niezależnie od jego kierunku, czy cofa się w przeszłość, czy na odmianę wybiega w przyszłość. Czytającemu prostuje się mimowolnie grzbiet, gdy wyobraźnię podłącza do losów godnych i minionych, mimo że ze skupioną uwagą nachyla się nad powieścią.

Historia przypomina obiegowy surowiec. Surowiec do personalnej dyspozycji władzy. Nadużywano jej od niepamiętnych wieków, gdyż ułatwiała rządzenie, ale jako służebnica polityki staje się nieodzownie funkcjonalną, polecaną mitologią, podobnie jak mitologia grecka wspomagała władców Hellady w wytyczaniu pożądanego kierunku losom ludzkim.

My jeszcze w większym stopniu od naszych przodków jesteśmy maltretowani przez tę mistrzynię, czyli instruktorkę naszego bytu, przez magistra vitae. Pokutuje ona w naszych książkach i jubileuszach, w szkołach i w armii, w konfliktach i polemikach.

Hołuj, podejmując tematykę drugiego ćwierćwiecza ubiegłego wieku, poprzez personalne zbliżenie nas do Gromady Grudziąż, chciałby czas historyczny wyzwolić od publicystycznej zależności, choć wątpię, czy mu w tym towarzyszy powodzenie i czy w ogóle może się to udać w przebraniu bardzo wielebnej i wysłużonej powieści historycznej. Przecież to jest prawie czysta kostiumologia. Jakaś niewyczerpana garderoba, wypożyczalnia strojów, do których wynajmuje się na czas trwania fabuły ludzi i wydarzenia określonej daty.

Czy w nikim nie budzi się dręczące skojarzenie, że wystrojona fabuła dziejów rozłożona na rozdziały, na intrygi, na erotyczne komplikacje, na spotkania i rozstania, na sceny batalistyczne i tła pejzażowe pozostaje w jakimś pokrewieństwie z operą, tym nieznośnym i kosztownym widowiskiem, w którym rzeczy wypowiadane normalnie z ust do ust wyśpiewuje się jakimiś tenorami, barytonami, sopranami, altami nie z tej ziemi i na domiar złego arie przelatują do słuchaczy spod szminki, spod kilku funtów koronek, wełny i bawełny. Ale nikt chyba nie zdoła wypłoszyć tego oczka w głowie naszych sentymentalnych prababek, jak nikt chyba nie zdobędzie się na zbawienne wygnanie jej względnego odpowiednika w prozie. Wobec naszej oczywistej bezsilności, przypomnijmy sobie, kto na swój sposób stara się poprzez prozę ocalić historię, pozbawiając ją nadwornych krawców i oklepanej fabuły. Chociażby kilka przykładów mi znanych.

Poznałem niedawno cztery warianty kompozycji prozatorskich na tematy historyczne: Thorntona Wildera o Idach Marcowych, Brechta o Cezarze, Brocha o Wergiliuszu i Kadena-Bandrowskiego o Barczu-Piłsudskim. Tego ostatniego włączyłem z premedytacją, mimo że był relacją niemal bezpośrednią, ponieważ w dzisiejszym odczuciu rzecz ta o 1918 r. wydaje się dopiero co napisana. Jest dokumentalną groteską o narodzinach władzy, o archeologii, biologii, stratyfikacji i parodystycznej mitologii rodzimego, ojczystego podwórka.

U Wildera i Brechta — proszę mi wybaczyć, że łączę dwie różnorodne o odmiennej poetyce i odmiennych walorach improwizacje — dominuje zasada, że historia to autentyk, dokument

i źródło, że improwizowany autentyk musi mieć adekwatną moc, by czytelnik się pomylił co do narodowości, miejsca zamieszkania i daty urodzenia pisarza, że listy Cezara może odczytywać jak dopiero co wydobyte przez archeologa spod fundamentów rzymskich domów, a relacje bankierskie, sprawozdania i papierki o wysoko notowanym kursie są owocem przemyślnego włamania do rzymskiego domu bankowego. Tego rodzaju autentyk fikcyjny jest pozbawiony cech apokryficznych, nasycony jest bodźcami podniecającymi wyobraźnię, tego niezawodnego sojusznika każdego dzieła, które nie chce czytelnika zmóc i obezwładnić wygładzoną perfekcją, nie chce mu się narzucić konwencjonalną, klasycyzującą wizją.

Broch, o oszałamiająco rozległej percepcji przeszłości, obracający się po prostu w czasie jak rakieta w kosmosie, jest odkrywcą własnego *genre*'u. Wydaje się, że tworzy on po raz wtóry historię, że panuje nad jej losem, gdy z ludźmi bywa na odwrót. Czasami uginamy się pod nadmiarem jego umiejętności.

Po to powołałem się na cztery wybitne nazwiska o różnej skali, by przypomnieć sobie, że w sporze o jak powieści historycznej ten korpulentny model z kilkunastu wątkami zgłosić będzie musiał dymisję, co nie znaczy wcale, że Hołuj miał już możliwość wyboru i że nastąpi to zaraz czy jutro. Wrosła ona zbyt mocno w zwyczaje naszego życia literackiego.

Nie oznacza to bynajmniej, że *Królestwo bez ziemi* nie jest pożądaną publikacją, że nie tylko wszechstronny wysiłek Hołuja jest godny podziwu i uznania, ale ze wszech miar zasługuje również na uwagę własna i odmienna wykładnia personalistycznej strony powstania listopadowego, gromad i innych ugrupowań popowstaniowych. Wydanie tej książki jedynie w 5000 egzemplarzy niepokoi, mimo zasług Wydawnictwa Literackiego, gdyż potwierdza raz jeszcze przekonanie, że wydawcy i księgarze nieprzychylnie odnoszą się do samodzielnej myśli historycznej, która nad wyschnięte, nawykowe komunały przedkłada poszukiwanie światła i cienia w ważnych dla naszego rozwoju i kontynuacji przełomach socjalnych.

Dla komunistów Gromada Grudziąż, ukonstytuowana przez protagonistów polskiego proletariatu, pozostanie bezcenną improwizacją społeczną, która pojęciu rada czy gromada daje zgoła odmienną od papierowej interpretację. Pozostanie nią pod warunkiem, że ludzie tamtego kręgu świadczyć będą o sobie wprost i nic im nie będzie obce, co jest ludzkie, a nieludzkie jest również bardzo ludzkie. Bez recytacji, bez usługowej mimikry do przemijającego czasu, co też na ogół Hołuj czyni i czemu świadectwo dają chociażby zmienne koleje dawnej tetralogii, której *Królestwo bez ziemi* jest bardziej zwięzłą kontynuacją, oraz daty zmian dokonywanych w tetralogii: 1939, 1942, 1946, 1956, mające swój wymowny, historyczny podtekst.

Odnajdywanie ciągłości i nieprzemijającej racji socjalnej w najradykalniejszym, krańcowym, maksymalistycznym środowisku powstania, w niewątpliwej prawdzie, że to jest jedynie rewolucja, mimo że przegrywa i przegrywała dotychczas, a wszystko inne jest na niby, symulacją i namiastką, musi działać sugestywnie, choć nie jest socjologiczną rewelacją. Hołuj śledzi z zainteresowaniem niebezpieczne skostnienia myśli, pragnień i nadziei, serwilizm wobec bieżącej historii, wobec jej mocy kruszącej i rozdrabniającej. Przeprowadza on obserwację psychologiczną stopniowego odmieniania swych pozycji przez Krępowieckiego, Worcella i innych, odsłaniając prawdziwość wielu ponawiających się doświadczeń w ciągu wielu dziesięcioleci.

Worcell, ongiś współpracownik Marksa, dobrze się czuje w kojącym mistycyzmie i w eschatologii religianckiej, co jest przecież szlachetną próbą ochronienia się przed zakłamaniem i obłudą, wyręczającą dociekliwość. Worcell chce pozostać w zgodzie z sumieniem i udaje się na pielgrzymkę do Boga. Zamiast twórczej utopii — mistyczne religianctwo.

Krępowiecki Hołuja ma nadmiar energii i przerost ambicji, dlatego wyżywa się tylko w burzach bez względu na ich amplitudę i kierunek wiatru. Nawet twórca idei ulega popędowi burzliwej krwi i pędzi na oślep do zawieruchy społecznej, spodziewając się, że ona go od nowa wyniesie na szczyt, bo miejsc bocznych nie lubi. Nie obej-

rzy się dla zorientowania się, gdzie się znalazł. Nim się odwróci, będzie miał już rewolucję poza sobą. Będzie poza nią.

Plebejusze powstania pragnęli plebejskiej Polski i wbrew sobie poparli demagogiczną dyktaturę Krukowieckiego. Natychmiast po uzyskaniu pełnomocnictw dyktator wydał co najprzedniejszych i najdzielniejszych swoich sojuszników swoim plutonom egzekucyjnym.

Edward Dembowski nie przekroczył pierwszego aktu swojej tragedii i tragedii powstania krakowskiego 1846 r., ginąc na jej progu. Tylko taki młodzian mógł rozpocząć bieg olimpijski Wiosny Ludów, przecież sam był kształtem wiosny i nie mógł sprawdzać swego bohaterstwa ani przeżywać utopii, ani dotykać empirycznie swego rozwoju, ponieważ żywot jego nie dobiegł nawet ćwierćwiecza. Dojrzałość przedwczesna dawała mu radość szybkiego, pożytecznego spalania się i spalenia się. Zginął na pięknym stosie, który sam podpalił. Ale dociekliwy pisarz jest bezsilny wobec wielkości tego człowieka, który był raczej przemijającym bogiem.

Liderzy mają za sobą zastępy ludzi codziennego trudu: chłopów, rzemieślników, wyrobników, górników. Warto zastanowić się nad wierzącym w swoje spracowane dłonie i w niszczące żelazo Adamem Mrozem, nad bezwzględnym, krwawym żołnierzem rabacji. Warto zastanowić się nad ojcem, nie synem, Borkiem, długoletnim więźniem warszawskim, chłopem i górnikiem. Mróz jest niezłomnym sekciarzem, co nie wynika z jego prymitywizmu umysłowego, gdyż mógłby ułożyć ufortyfikowaną teorię, ale z napastniczej, hermetycznej wiary, wyostrzonej do tego stopnia, że zabija, że niszczy, że niweczy zło wraz z życiem. Modlitwa jego jest również z żelaza. Nie może on zrozumieć swej klęski podobnie jak Borek. Może ją tylko ponieść.

Nie powiadam, że Hołuj skorzystał dostatecznie ze swoich przeżyć, by jako konstruktor postaci tej książki nie ulec pewnym adiustacjom, ale jego Łukasiński czy twierdza Zamość, czy osoba Wolskiego sugerują, że nie są mu obce cienie i odcienie czekających na swoje wcielenie postaci, że zanim dokonanie znakomitego przywódcy czy działacza uzna za właściwe, wpierw pokaże, jak wiele się załamuje w udoskonalonym filtrze psychicznym, broniącym się twardą siłą żywotną przed spojrzeniem rzeczywistości w twarz, która jest tak ciężka od ładunku bezsensu. Kłamstwo i prawda, dobro i zło, bohaterstwo i załamanie wydają się tylko dwoma brzegami każdego czasu i każdego wydarzenia. Trudno powiedzieć, który to brzeg. Zależy, od jakiej strony na to spojrzeć.

Hołuj nie kamufluje oportunizmu, nie zasłania go zwodniczym mirażem, nie szuka w nim źródła energii, nie tłumaczy go wiedząc, że jest on powodem wielkiej koordynacji i jeszcze większej destrukcji, że jego przewaga nad wszelkim godnym czynem określa społeczny niedorozwój, choć to wszystko wraz z postępem czasu przechodzi na coraz wyższą płaszczyznę. Łukasiński, Krępowiecki, Worcell, Wolski, Mróz, Borek i wielu innych przedkładają nam wszystkie swoje papiery. Niczego nie spalili. Niczego nie ukryli. Niczego nie podrobili.

Aragon na przykład w *Wielkim Tygodniu* zbliża czas miniony do pobrzeża teraźniejszości. Żeby fikcja powieści nie grała nadmiernym oczarowaniem, identyfikuje się ze swoim bohaterem. Zamiast Teodora, bohatera jego powieści, on polemizuje z historią, która dla komunistów jest powietrzem i rzeczywistością. Nie jest najważniejsze, czy rzecz działa się w roku 1815, 1919, czy też niedawno temu. Aragon sam się broni przed nożem ohydnej postaci Firmina, wcelowanym w serce autora *Komunistów*, i woła z przerażeniem:

„Czy było konieczne, żeby Napoleon kazał zabijać republikanów? Ta krew przelana, towarzysze... Popełniono omyłki i będą nadal popełniać omyłki. Będą szarpać jedni drugich, będą bić swoich, swoje własne ciało. Gdzie jest serce? Gdzie wbić sztylet? Jest bowiem nienawiść, lecz jest także wstyd..." (str. 405).

Aragon nie pyta o licencję. Wolno mu odsunąć bohatera powieści i samemu się wpisać w akcję. Autor też pragnie po ludzku zawyć z bólu.

Jan Wyka

BARWA CZASU

Jadwiga Waydel-Dmochowska: *Jeszcze o dawnej Warszawie.* Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1960; str. 384.

W pierwszym roku mego funkcjonowania jako redaktorki *Bluszczu* zgłosiła się do mnie urodziwa i wytworna dama, ofiarowując mi do tak zwanych arkuszowych dodatków powieściowych przekład, nie pamiętam już z jakiego języka, powieści pt. *Rozmaryjka poszukuje ojca.* Powieść należała do tego gatunku lekkostrawnej, a zajmującej lektury, jaka ma zawsze powodzenie u przeciętnych czytelniczek, przekład był staranny i poprawny, toteż wkrótce ukazał się drukiem.

Tak się odbył start pisarski pani Jadwigi Dmochowskiej, którą znałam dotąd pod jej panieńskim nazwiskiem Waydel, a która tą drogą weszła do licznej gromadki „dzieci bluszczowych", czyli szczęśliwych debiutantów *Bluszczu.* Mogę zapewnić panią Dmochowską, że znalazła się w dobrym towarzystwie. Odtąd minęło sporo lat. W Polsce Ludowej to nazwisko spotykało się często pod książkami tłumaczonymi z rozmaitych języków (przeważnie z rosyjskiego), aż wreszcie w 1958 roku ukazała się jej pierwsza książka oryginalna *Dawna Warszawa.*

Był to debiut twórczy, na ogół udany pomimo pewnych, nieuniknionych w takich wypadkach niedociągnięć i braków, które autorka postarała się usunąć i uzupełnić przez wydanie drugiej książki na ten sam temat pod tytułem *Jeszcze o dawnej Warszawie.* Jest to chyba najdokładniejszy, a w niektórych dziedzinach najbardziej wyczerpujący przewodnik po Warszawie z przełomu dwóch wieków i najbliższych mu lat wieku dwudziestego, z częściowym uwzględnieniem okresu międzywojennego.

Można pozazdrościć autorce wyjątkowej pamięci, spostrzegawczości, daru wyławiania i uwieczniania drobiazgów. My, ludzie tego samego pokolenia, którzyśmy zachowali raczej ogólny, nieco zamglony obraz Warszawy tamtych czasów, spotykamy tu co krok ze wzruszeniem na wpół zapomniane nazwiska i na pozór mało znaczące szczegóły, które przecież w ówczesnej Warszawie odgrywały rolę pierwszoplanową.

Ten kult szczegółu dochodzi do apogeum w dwóch dziedzinach: gastronomii i stroju kobiecego. Świadczyłoby to o fakcie, że te dwie dziedziny były najbliższe ówczesnej warszawiance i decydowały o atmosferze kulturalnej jej otoczenia. Nie jest to zarzut, tylko stwierdzenie faktu. Względny dobrobyt, poczucie bezpieczeństwa i niemożność legalnego wyżycia się w sprawach społecznych zacieśniały krąg przeciętnych zainteresowań mieszczaństwa do sfery wygód codziennych, przyjemności podniebienia, elegancji i względnego luksusu w ubiorze. Zwłaszcza ten ostatni zaspokajał zarówno upodobania estetyczne, jak dosyć prymitywny snobizm słynnych z urody i szyku warszawianek.

Takie rozdziały, jak *Sklepy wiejskie, Pieczywo i wędliny, Owocarnie, Cukiernie, Szewcy i rękawicznicy, Gorsety, Kapelusze, Biżuteria, Bogusław Herse,* nawet *Zmienne barwy czasu,* zawierają tyle bezcennych i fachowych wskazówek, że mogłyby stanowić w swoim czasie niezastąpiony „Przewodnik dla płci pięknej". Szkoda, że są nieco spóźnione i że budzą żal niewczesny za tą obfitością wyboru, jakiej dostarczała ówczesna „prywatna inicjatywa"... Jednocześnie świadczą one chlubnie o pamięci autorki, czerpiącej nie tylko z wrażeń wzrokowych, ale i smakowych.

Takie wskazówki, jak te, że u Semadeniego kupowało się bombonierki dla pań do teatru i że on to wprowadził modę tak zwanych „petit fourów", tego salonowego pogotowia ratunkowego skromniejszych herbatek, że u Lourse'a były „najlepsze w świecie ciastka półfrancuskie", że tam nabywało się na przyjęcia słynny tort hiszpański i wspaniałą zimną leguminę, zwaną „bomba hrabska", dzieje powstania i rozwoju paszteciarni, ciastkarni i cukierni Lardellego, dowodzą, że w domu państwa Waydlów i w najbliższym otoczeniu młodziutkiej panny Jadwigi panowała wysublimowana kultura pod-

niebienia i znawstwo nie byle jakich przysmaków.

W książce towarzyszy im i swoista kultura stylu „garmażeryjnego". Dla przykładu dwie próbki z tej nabożnej pielgrzymki po przybytkach słodyczy. Pierwsza to lapidarne zakończenie opisu „bomby hrabskiej": „Olbrzymia kula lodów waniliowych, otoczona powłoką kremu mrożonego i to wszystko oblane czekoladą. Jakże niewinne składniki zawierały bomby w dawnych, dobrych czasach!"

Druga to charakterystyka brioszy, wprowadzonych do Warszawy przez Lardellego. „W smaku coś pomiędzy mało słodkim ciastkiem drożdżowym a maślaną bułeczką, na wygląd zaś babka śmietankowa, której woda sodowa uderzyła do głowy, aż wykipiała z formy tworząc rumiany, chrupiący kołpaczek". Słusznie autorka powołuje się na poetę-pasztetnika Ragueneau z *Cyrana de Bergerac* Rostanda. Echa jego upodobań odnajdziemy łatwo w rozdziałach „smakowitych" książki.

Elementy uczuciowe wyższego rzędu wnosi *Samowar* i *Czarna kawa*. Starsze pokolenie warszawiaków powita z rozczuleniem tego jedynego w Polsce przybysza ze Wschodu, przed którym drzwi domu polskiego otworzyły się na oścież i który stał się wkrótce symbolem ogniska rodzinnego. Szum samowara zastąpił trzaskanie ognia na tradycyjnym kominku, którego byś na próżno szukał w warszawskim mieszkaniu z drugiej połowy dziewiętnastego wieku.

Jeśli chodzi o ludzi „z tamtej strony", to próg domu polskiego był dla nich nietykalnym tabu, zwłaszcza w stosunkach towarzyskich. Tylko „rewirowy" albo, co gorzej, żandarm odważał się go przekroczyć w sprawach służbowych. Zresztą te dwa światy, świat carskich najeźdźców i podbitych, ale nie pokonanych tubylców, dzieliła nieprzenikliwa „żelazna kurtyna". Aluzyjne wspomnienie o tej dyskryminacji spotykamy w zakończeniu rozdziału *Owocarnie* łącznie z epizodem „damy bez rąk", po prostu odzianej w tzw. „rotundę", którą ówczesna moda przeniosła z Paryża do Warszawy i do Petersburga. Dama ta wysiadła z tak zwanej „proliotki" wraz z towarzyszącym jej generałem przed sklepem „oficerskim" obok kościoła św. Krzyża.

Przez szybę wystawową tego sklepu mała dziewczynka podziwiała szklane sople lodowe, idealną ozdobę choinki. „Wejść po nie jednak nie mogłam, choć może by mi je sprzedano. Broniło mi tego tak obowiązujące wówczas niepisane prawo".

Wśród miejsc, w których warszawiacy mogli zaopatrywać się w doskonałe owoce „prosto z drzewa", autorka wymienia Ogród Pomologiczny, ten niezapomniany, a dziś nie istniejący raj zabaw w „chowanego", natomiast pomija Łazienki, gdzie w specjalnym pawilonie przy wejściu można było nabywać owoce z tak zwanego „ogrodu formowego", to jest złożonego z drzew karłowatych, odpowiednio formowanych, skasowanego pod późniejszy pomnik Chopina i jego otoczenie, oraz ogród owocowy przy Towarzystwie Ogrodniczo-Pszczelarskim na Wiejskiej obok Frascati. (Co do drugiego nie mam absolutnej pewności.)

Od tych źródeł bądź co bądź elitarnej słodyczy i ochłody przejdźmy do towarów bardziej demokratycznych, codziennego użytku wszystkich sfer ówczesnej Warszawy. *Piekarnie i wędliniarnie*. Pieczywo warszawskie! Któż z dawnych warszawiaków nie wspomina z rozczuleniem tradycyjnych, rozkosznie chrupiących „kajzerek" przy rannej kawie, wiejskiego chleba ze spodem przyprószonym mąką, błyszczących obwarzanków, którym autorka przywraca właściwą pisownię, „obwarzanek", nie „obarzanek" (obwarzany znaczy tyle, co parzony).

Po dawnej Warszawie krążyło powiedzonko: „pieczywo od Turka, ciastka od Włocha, wędliny od Francuza". Był nim Dusoge ze sklepem na rogu Ordynackiej i Aleksandrii (obecnie Kopernika) w tym miejscu, gdzie ulica skręca raptownie w dół ku Tamce i dawnemu targowi „na Ordynackiem". Autorka lokuje Dusoge'a na Nowym Świecie. Nie wiem, w jakim to było okresie.

Rozdziały: *Sklepy z zabawkami* i *Choinka* wprowadzają czytelnika w czarodziejski „świat ułudy". Chociaż nie śmiałabym rywalizować z wyjątkową pamięcią autorki i w tej sferze, muszę jednak dodać, że w pamiętnym dla nas wszystkich „Magasin Français" przy ul. Berga oprócz pociągu na prawdziwych szynach z lokomotywą nakręcaną mechanicznie były też lokomotywy poruszane parą przy pomocy mi-

niaturowej maszynki spirytusowej. Nie potrzebuję chyba dodawać, że ten pociąg puszczali w ruch raczej ofiarodawcy, zastępując w tym obdarowanych pod pozorem uchronienia ich od nieszczęśliwego wypadku. Istotnie zabawa dorosłych kończyła się zwykle tym, że rozpędzona lokomotywa wyskakiwała z szyn, wywracała się, płonący spirytus wylewał się na posadzkę, tworząc miniaturowe morze ognia. Była to dodatkowa, choć nieprzewidziana atrakcja zagranicznej zabawki.

Wdzięczna jestem autorce, że parę kartek poświęciła klinikom dla lalek, owym przybytkom czarnej czy białej magii, w których nasze dziecięce ulubienice odzyskiwały stracone oczy, gdzie w cudowny sposób odrastały im połamane ręce i nogi, a urwana głowa łączyła się z korpusem. Jeszcze bardziej tajemnicze były praktyki, dzięki którym potrzaskane w drobny mak filiżanki koreckie i mśnieńskie wazoniki odzyskiwały pierwotny kształt i barwę.

Tu już przechodzimy niepostrzeżenie do antykwariatów, dziedziny dobrze znanej autorce, która wychowała się w gronie wytrawnych i zapalonych zbieraczy. Takie epizody, jak odwiedziny u Gustawa Bisier, stanowią jeden z najbardziej uroczych fragmentów książki. Znać, że tutaj autorka nie potrzebowała sięgać do wspomnień cudzych. Właśne starczyły jej najzupełniej.

Podobnie rzecz się ma z rozdziałem *Amazonki, tattersale, karuzele,* traktującym o elitarnym sporcie jazdy konnej, dostępnym zaledwie dla nikłej liczby pań, którym środki materialne pozwalały na tę kosztowną rozrywkę. Natomiast mam wrażenie, że przy opracowywaniu wyczerpujących rozdziałów o prasie, drobnych ogłoszeniach, księgarniach, czytelniach, introligatorniach, nawet wystawach obrazów trzeba było dopomagać sobie pamięcią cudzą, a nieraz sięgać i do źródeł drukowanych.

Uważam taką postawę za całkowicie usprawiedliwioną, bowiem w pewnych wypadkach oparcie się o autorytet cudzej pamięci podnosi wiarogodność szczegółu, tego szczegółu, o który przede wszystkim chodzi autorce. Objaw znamienny: jeżeli zdarzy się jej potknięcie w ścisłości, na pewno będzie to skutek brania informacji z drugiej ręki. Np. w rozdziale *Letniska* mówi się, że do sanatorium w Rudce dojeżdżało się z Cegłowa, gdy tymczasem najkrótsza droga prowadziła tam z Mrozów. Od razu widać, że autorka nigdy nie spędzała lata w tej miejscowości.

Podobnie, pisząc o zwyczaju picia zdrowia pięknej panny z jej pantofelka przez podochoconą młodzież, autorka nie dodaje, iż odbywało się to w ten sposób, że kielich z winem wstawiało się do pantofelka i dopiero w takiej „oprawie" wychylało się toast.

Dziedziną, w której autorka obraca się z całkowitą swobodą i pewnością siebie, jest potężne mocarstwo kobiecego stroju. Bogusław Herse nie ma dla niej tajemnic. Ze swobodą i upodobaniem wiernej jego adeptki przenika w najskrytsze zakamarki tej dżungli wstążek, koronek, pasmanterii, galonów, woalek, gaz, jedwabi, haftów, kosztownych futer, od których widoku mogło się zakręcić nawet w mocnej głowie.

W upojeniu tymi czarami autorka zapomina poinformować nas, że naprzeciwko Hersego, również przy Marszałkowskiej, istniała poważna firma Janiszewskiego (specjalność kostiumy i płaszcze) i że poza tym „cała Warszawa", czyli średnie i drobne mieszczaństwo oraz nigdy nie pachnąca groszem inteligencja zaopatrywała się w futra, płaszcze, a nawet w kostiumy w magazynach gotowej konfekcji na Miodowej. Tam nie tyle chodziło o szyk, co o taniość. Targowanie się do upadłego należało niemal do dobrego tonu.

Ale porzućmy ten festiwal tandety i przyjrzyjmy się lepiej wspaniałej defiladzie polskiego rzemiosła, dla którego autorka ma słuszne uznanie. Warszawscy szewcy (jak wiadomo, najlepsi w świecie mistrze w swoim fachu), rękawicznicy, modystki, gorseciarki, cały ten legion rękodzielników z ulicy Chmielnej i Kruczej zgromadził się na łamach książki, aby za pośrednictwem autorki zademonstrować nam owoce swojej pracy.

Na pograniczu rzemiosła i sztuki plastycznej stała wytwórnia brązów Braci Łopieńskich przy ul. Hożej, znana ze swoich wystaw sklepowych w ówczesnej „kordegardzie" na Krakowskim Przedmieściu. Tradycje jej kontynuuje obecnie spółdzielnia „Brąz Dekoracyjny". Autorka uwieczniła ją w dwóch momentach o charakterze emo-

cjonalnym, górującym nad ogólnym tonem raczej informacyjnym.

Takim uczuciowym akcentem kończy Dmochowska swoją książkę o Warszawie. Wyliczając bogatą listę modnych ongiś kolorów, których francuskie nazwy przeszły do polskiej terminologii fachowej, wspomina bajkę o pasterce, której marzyła się „suknia *couleur du temps*. Co bajkopisarz miał na myśli? Zmienną, niepowtarzalną barwę pogody czy niemal równie kapryśną, zmienną barwę czasu?".

Z mozaiki drobiazgów i szczegółów udało się autorce wydobyć tę pamiętną dla starych warszawiaków barwę czasu...

Stefania Podhorska-Okołów

HELENA I HALINA

Powtarzając sobie piękne imiona córek majora Gagarina zastanawiam się nieraz, jaki będzie świat, kiedy one wyrosną. Kiedy spoglądając w niebo, licząc gwiazdy jako dorosłe kobiety — będą widziały na niebieskim szlaku drogę, jaką przebył ich ojciec. Oczywiście lot w kosmos będzie wówczas czymś zupełnie zwyczajnym. Pamiętam, jaki entuzjazm połączony z niedowierzaniem wywołał lot Lindbergha przez Ocean Atlantycki. Wszystkim się wydawało, że jest to wielki wyczyn sportowy — ale że praktycznego znaczenia nie będzie on miał żadnego.

Oczywiście „lot" majora Gagarina jest czymś o wiele trudniejszym i bardziej znamiennym. Oderwanie się od ziemi, osiągnięcie punktu nieważkości — jest czymś bardziej epokowym niż przelot Lindbergha. A jednak wydaje mi się, że i w tym wypadku tylko zupełnie wyjątkowe jednostki mogą zdać sobie sprawę z całej wagi tego zdarzenia. Ogół, zachwycony odwagą, opanowaniem i wyjątkową inteligencją młodego człowieka (przez co nie docenia się jak gdyby w tej chwili potężnej pracy mózgów tych, którzy Gagarina w przestrzeń kosmiczną wysłali i którzy wieloletnią pracą i myślą lot ten przygotowali) — nie umie sobie wyobrazić, jakie konsekwencje ta kosmiczna przygoda będzie miała dla ludzkości.

Dzień dwunastego kwietnia 1961 roku pozostanie w naszej pamięci wielkim dniem. Należy mieć nadzieję, że stanie się on naprawdę zapoczątkowaniem nowej ery.

Dla ludzi, którzy są już w pewnym wieku i którzy widzieli przez pierwszą połowę XX wieku tyle przelanej krwi, tyle nieszczęść, tyle podłości i zbrodni — wylot poza ziemską orbitę staje się zapowiedzią jakiejś odmiany w sprawach ludzkich. Mimo woli myślą — że może stanie się ten czyn zapoczątkowaniem realizacji najintensywniejszych snów ludzkości, początkiem realizacji marzeń.

A przecież jedynym prawdziwym marzeniem ludzkości jest marzenie o pokoju powszechnym, o współpracy wszystkich ludów świata, o jedności i zgodzie, o pracy wspólnej nad rozwiązaniem największych bolączek i nieszczęść, jakimi są choroby, kalectwa, przedwczesna śmierć...

Czy wyczyn majora Gagarina przyśpieszy epokę powszechnej pomyślności? Czy ludzkość, oddana zagadnieniom, których obszar wykracza poza ziemię i jej ciasny krąg, wyjdzie poza swoje meskineryjne zagadnienia i okrutne kłótnie? Czy gdy dorosną Helena i Halina, otaczać je będzie lepsza ludzkość, zgodniejsze narody, szczęśliwsze jednostki?

Jarosław Iwaszkiewicz

PRZEGLĄD PRASY

Marcowy *Przegląd prasy* — a dokładniej jego część poświęcona toczącej się wówczas (wówczas, tj. w chwili pisania *Przeglądu*, tzn. w połowie stycznia), dyskusji o poezji — ściągnął na siebie gniew Antoniego Słonimskiego. Gniew widać poważny, skoro znalazł wyraz w specjalnym liście do *Życia Warszawy* (26—27 marca), poświęconym polemice z niżej podpisanym. Nie byłoby sensu kontynuować sporu i odpowiadać na żarty w rodzaju: „P. Z. Najder dokonał niezwykłego odkrycia, że są różne rodzaje grafomanii", ale cała sprawa ma przecież znaczenie wybiegające daleko poza to, co p. Słonimski myśli o p. Najderze i *vice versa*.

Najbardziej zaskakujące i zarazem najsmutniejsze w tym wszystkim jest, że kto jak kto, ale ceniony poeta, wieloletni mieszkaniec Wysp Brytyjskich, były kierownik sekcji literackiej UNESCO i *last not least* satyryk przecie powinien chyba odróżniać dyskusję czy nawet atak na poglądy od ataku na osobę.

Przechodząc do przedmiotu sporu — moje zdania: „Jedyny sposób przekonania młodych, że można pisać dobre wiersze w ramach »starych« konwencji — to napisać parę takich wierszy. Inne argumenty — wątpliwe, czy trafią do rozsądku i wyobraźni, jak świat światem nigdy dotychczas nie trafiły" — zrozumiał Słonimski jako sąd, że jemu właśnie „nie udało się dotąd napisać tych paru dobrych wierszy". Pomijam już, że dyskusja toczy się na temat współczesności, a nie przeszłości — ale cały dorobek Słonimskiego nie ma tu nic do rzeczy i wcale nie o jakąkolwiek ocenę tego dorobku tu idzie. Aby wykazać, że nie mam racji, trzeba by przytoczyć jakiś historyczny przykład przekonania „młodych" przez pozapoetyckie argumenty. Podobnie nieporozumieniem jest interpretowanie mego zdania: „Tyrady Słonimskiego przeciwko niezrozumialstwu, dowolności i antyintelektualizmowi można by bez zmiany niemal włożyć w usta któregoś z warszawskich klasycystów, atakujących sto czterdzieści lat temu młodych romantyków z prowincji", jako przeprowadzania analogii między dzisiejszymi dyskusjami a walką klasyków i romantyków. Nie zestawiałem bynajmniej sytuacji, tylko treść zarzutów: że brzmią niemal słowo w słowo tak samo, od „rymu i rytmu" poczynając, a na „inflacji poezji i rozplenieniu się grafomanii" kończąc — przekonać się łatwo, sięgając do jakiejkolwiek antologii krytyki tego okresu. Sytuacje są rzeczywiście niezupełnie podobne, ale właśnie tym bardziej niepokoi podobieństwo i niekonkretność zarzutów. Inna sprawa zresztą, że twierdzenie, jakoby „romantyzm, jak żadna przed nim poezja, od pierwszej chwili porwał za sobą cały naród. Sprzeciwiała mu się tylko grupka krytyków", jest grubym i oczywistym uproszczeniem. To, co „porwało" naród — i to bynajmniej nie od razu i nie cały przecież — nie było tym samym, co dziś określamy jako wielką poezję romantyczną. Balladomania, ulubiony przedmiot drwin krytyki, była chorobą wcale nie szlachetniejszą niż niejedno dzisiejsze „dziwactwo"; racja była niejednokrotnie po stronie krytyki właśnie. Warto też pamiętać, że np. Słowacki nigdy za życia nie cieszył się (ani u krytyków, ani u narodu) popularnością taką, jak choćby A. E. Odyniec.

Cała awantura polega na zapomnieniu starego, mądrego i obowiązującego wszystkich uczciwych humanistów przysłowia *Amicus Plato*... A doprawdy największa nawet sympatia i szacunek dla osoby autora nie zwalniają od obowiązku protestu, jeżeli — jak w omawianym przeze mnie *Liście otwartym* Słonimskiego — znajdujemy zdania np. takie: „W Anglii i Ameryce jest dość ostry zwrot przeciw rozwiązłości beatników. Ostatnio zaatakował ten odwrót od intelektualizmu Karl Shapiro. Nie zapominajmy, że poezja C. Sandburga, T. S. Eliota, Audena, Spendera, Ginsburga jest poezją na wskroś intelektualną i że właśnie tam bardzo ostro krytykuje się pretensjonalność i bełkot poetycki". Otóż Shapiro atakował nie „odwrót od intelektualizmu", ale hermetyzm i akademickość poezji typu eliotowskiego. Wymieniony Alec Ginsburg jest właśnie czołowym beatnikiem, znanym z ekscentryczności zachowania i rozchełstanych wierszy; podobnie bezpodstawne jest nazwanie „na

wskroś intelektualną" poezji Sandburga. Nikogo chyba tak jak Eliota nie krytykowano za pretensjonalność i bełkotliwość, a dołączenie do tej dziwnej trupy W. H. Audena i S. Spendera zaciemnia sprawę jeszcze bardziej, bo nie wiadomo, o które z ich licznych wcieleń chodzi. Gdyby jako wzory intelektualistycznej poezji polskiej podać Broniewskiego, Leśmiana, Sebyłę, Czechowicza i Białoszewskiego, to jeszcze i wówczas takie ugrupowanie miałoby sens jaśniejszy niż w wypadku zaproponowanej przez Słonimskiego ekipy wzorowej. Cała ta sprawa nie jest ani błaha, ani marginesowa, bo owe pięć anglosaskich nazwisk to jedyny konkretny pozytywny przykład, podany w wypowiedziach Słonimskiego.

■

Przegląd Kulturalny zakończył właśnie druk obszernego (nry 9—15) cyklu artykułów prof. Adama Schaffa *Filozofia człowieka.* Tytuły poszczególnych części sygnalizują ogólnie zakres tematyki: *Los człowieka przedmiotem filozofii, O sensie życia, Wolność a konieczność historyczna, O odpowiedzialności moralnej, Marksistowska filozofia człowieka.* Cykl obudził duże zainteresowanie wśród czytelników nie tylko krajowych — zainteresowanie płynące z dwu różnych źródeł. Schaff postawił sobie dwa zbiegające się ze sobą, ale w gruncie rzeczy osobne zadania: udowodnić filozoficzną i naukową pełnoprawność takich zagadnień, jak „sens życia", „ocena postępowania", „wolność decyzji" — i przyswoić filozofii marksistowskiej ten cały zespół problemów, zaniedbany przez nią dotychczas, podejmowany z zapałem przez egzystencjalistów, a odrzucany swego czasu *a limine* przez neopozytywistów. Jakkolwiek to drugie zadanie jest niewątpliwie bardziej „sensacyjne" i donioślejsze w praktyczne i bezpośrednie skutki, to jednak da się ono wykonać dopiero po wykazaniu, że w ogóle warto jest cokolwiek „przyswajać".

Czy Schaffowi udaje się taki dowód przeprowadzić? Sądzę, że nie można dać na to jednoznacznej odpowiedzi. Zagadnienie, jakie problemy „mają prawo" wejść w skład filozofii, jest w znacznej mierze kwestią terminologiczną: zależy od ustalenia zakresu pojęcia „filozofia". Nie chodzi tu o podważanie niewątpliwie słusznej tezy, że przedmiot filozofii jest w zasadzie ten sam, co przedmiot nauk tzw. szczegółowych, ale o ustalenie, jaki stopień sprawdzalności tez i rozstrzygalności problemów jest niezbędny do włączenia ich w zakres czegoś, co ma pretensje do miana nauki. Otóż Schaff wykazuje jasno doniosłość i sensowność takich pytań, jak np. „Co to znaczy, że człowiek jest wolny w swoich decyzjach?" albo „Jaki jest sens życia?", jednakże możliwość ich naukowej rozstrzygalności nie zostaje właściwie zaprezentowana. Na zaciemnienie sprawy wpływają dwa czynniki: po pierwsze w omawianych artykułach nie przeprowadzono wyraźnego podziału na takie problemy, które dają się rozstrzygnąć li tylko na drodze analizy semantycznej tradycyjnie używanych terminów (do nich należy przede wszystkim problem „wolności decyzji") — i na takie, do których właściwego postawienia, nie mówiąc już o rozwiązaniu, niezbędne jest uprzednie uporanie się z pewnymi zasadniczymi trudnościami, nasuwanymi przez filozofię wartości (wśród nich najbardziej typowym i najważniejszym jest właśnie problem „sensu życia").

Istnieje na te tematy wiele prac powstałych nie gdzie indziej, tylko w środowiskach ściśle związanych z neopozytywizmem (A. J. Ayer o wolności woli, C. L. Stevenson o „dostatecznych racjach postępowania") i wydaje mi się, iż warto było podkreślić, że choć pozycją wyjściową zwolenników tego kierunku było odrzucanie całej interesującej nas w tej chwili problematyki filozoficznej jako pozbawionej sensu, to jednak właśnie ów przesadny początkowo sceptycyzm pozwala teraz na nieporównanie jaśniejsze i mniej wieloznaczne ujmowanie zagadnień tradycyjnie najbardziej pasjonujących i najbardziej mętnych. Przede wszystkim zaś uczyć się trzeba od neopozytywistów — czy ich spadkobierców — wielkiej sztuki robienia rzeczy po kolei. Prof. Schaff stwierdza w drugim ze swoich artykułów: „Nie zamierzam rozwiązywać w tym miejscu teoretycznych problemów, leżących u podstaw aksjologii (...)" — ale niestety bez wypowiedzenia przynajmniej pewnych propozycji rozwiązań wiele z tego, co pisze np. o „dyrektywach postępowania humanizmu socjalistycznego", za-

wisa w powietrzu albo kręci się w błędnym kole. Zanim się nie ustali, jakie mogą być teoretycznie podstawy wartościowania, nie można owocnie zastanawiać się, jakimi poglądami się przy wartościowaniu kierować. Rozpatrzenie sprawy stosunku opisu do oceny musi wyprzedzać analizowanie konkretnych obowiązków moralnych jednostki.

Te metodyczne postulaty nie są jednakże skierowane przeciwko zawartości artykułów Schaffa: są tylko domaganiem się uzupełnień i precyzacji. Trzeba jednak dodać, że szkicowość, dyskusyjność, niepełność rozważań była założeniem autora *Filozofii człowieka*, i to właśnie uważam za najważniejszą i najciekawszą stronę cyklu. „Cóż by się stało z postępem i nowatorstwem w nauce i sztuce, gdyby wolno było uznawać tylko prawdy, powszechnie akceptowane?" — pyta Schaff. Dodajmy: i tylko prawdy usystematyzowane, sprecyzowane, dopięte. A zaraz na początku cyklu, wspominając podział kierunków filozoficznych ze względu na przedmiot filozofii (na jednym biegunie neopozytywiści, na drugim egzystencjaliści), pisze Schaff: „Jeszcze jeden podział, który pozwala przynajmniej części filozofów żywić mało pochlebne dla własnej dziedziny przekonanie, że historia filozofii to historia głupoty. (...) Ponieważ jednak takie mało pochlebne dla innych kierunków przekonania są wśród filozofów rozpowszechnione na zasadzie wzajemności, można dojść do niezbyt budującego wniosku, że wszyscy mają tutaj rację. I w pewnym sensie jest to słuszne. Byłoby dobrze, gdyby każdy filozof przyswoił sobie to ziarenko sceptycyzmu, chociaż przyznaję, że jest to wymóg bardzo wygórowany".

W *Posłowiu* zamykającym *Filozofię człowieka* zestawia Schaff dwa typy filozofowania: „niemiecki" — erudycyjny, uczony, męczący i elitarny, i angielski — ukrywający balast erudycji, unikający pedantyzmu i hermetycznych zawiłości. I niedwuznacznie opowiada się za uprawianiem poruszonych przez siebie zagadnień właśnie na sposób angielski: mniej może systematycznie, ale przystępniej, mniej uczenie, a z większym polotem. Postulaty z pewnością słuszne, zwłaszcza na tym etapie rozważań i badań. Ale „angielski" typ filozofowania różni się pod jeszcze jednym względem od „niemieckiego" i to bardzo wyraźnie: nie jest zdepersonalizowany. Tam, gdzie Niemiec (czy ktoś w tym duchu piszący) powiada „jesteśmy zdania" albo „uważa się", Anglik powie „osobiście sądzę". I właśnie ten osobisty ton, bezpośredni i prywatny, jest może największą — z punktu widzenia odbiorców przynajmniej — zaletą „angielskiego stylu". I pod tym względem cykl prof. Adama Schaffa — rzecz rzadka i cenna — należy niewątpliwie do tradycji „angielskiej".

Zdzisław Najder

LIST Z GENEWY

Marzec 1961

Jesienią ubiegłego roku przechadzaliśmy się, Stanisław Wygodzki, moja żona i ja, uliczkami Coppét, małego, spokojnego miasteczka, oddalonego od Genewy jak Żelazowa Wola od Warszawy. Jest tam zamek, z którego Mme de Staël urągała Napoleonowi. Wiele wybitnych osobistości przewinęło się przez jego sale i tego wieczoru dawano tam koncert na cześć uczestników międzynarodowego spotkania, poświęconego zagadnieniu głodu na świecie. Zostawiwszy kongresistów ich muzyce, patrzyliśmy, jak nad jeziorem zapada noc. Ostatnie jaskółki ukosem przecinały powietrze. Wygodzki łagodnym głosem mówił o okropnościach, jakie przeżył w Auschwitz, a których my nie możemy sobie nawet wyobrazić. Byliśmy zdumieni, że człowiek, który wyszedł z takiego piekła, mógł odnaleźć tak pewną i pogodną ufność w życie i w innych ludzi. Z kolei Wygodzki pytał nas o nasz kraj. Wsty-

dziłem się, że tak niewiele jest do opowiadania i, jakby dla usprawiedliwienia, tłumaczyłem naszemu nowemu przyjacielowi, że w tym kraju nigdy nic się nie dzieje, że młodzież tutaj się nudzi, że doznaje uczucia zapomnienia, zdystansowania przez historię.

Nie od razu na to odpowiedział; tymczasem zapada noc i wsiadamy na stateczek, który nas zabiera do Genewy. Wygodzki przygląda się rodzinom wracającym z niedzielnej wycieczki, zmęczonym i szczęśliwym, a zwłaszcza dzieciom, i nagle mówi: „Nawet jeżeli tutaj ludzie nudzą się trochę, chciałbym, aby mój kraj zaznał co najmniej stu lat takiej nudy, tak, stu lat spokoju, po prostu spokoju".

Mija już dwa lata, kiedy odkryłem Warszawę i, jak wszyscy Szwajcarzy, którzy widzieli to miasto, nie przestaję o nim myśleć, o nim mówić. Dla nas Warszawa jest miastem, w którym się dyskutuje. Nie znaczy to, aby w Szwajcarii nigdy się nie dyskutowało. Owszem, dyskutuje się, dużo, nawet za dużo, przynajmniej w środowisku intelektualistów. Ale te dyskusje nie prowadzą do niczego. Każdego wieczora przeobrażamy świat, nie wiemy jednak, jak zmienić rzeczy nam najbliższe, w których tkwimy... „Jak kret zagrzebujesz swoje bogactwa i wszystko, co kochasz, gnije..." — pisał Dürrenmatt. Ten sam Dürrenmatt porównuje także Szwajcarię do „człowieka, który stąpa po wodzie i nie tonie". W sumie są dwie Szwajcarie: jedna chciwa, tchórzliwa, w zastoju, i druga pełna naiwnego zaufania, zuchwała, trochę szalona. Nie pamiętam już, jaki poeta francuski porównał ją do piasty koła: koło się obraca, piasta wydaje się nieruchoma. To jest złudzenie. Piasta jest w środku i bierze udział w ruchu szprych, tylko ten ruch jest ukryty.

Co stałoby się z piastą, gdyby nie było koła? Ramuz dopiero w Paryżu, w którym spędził dwanaście lat, zanim wrócił do ojczyzny, aby ją opiewać, poczuł się Szwajcarem, to znaczy *„vaudois"*. Podróże i współpraca z obcymi aktorami pozwoliły Maxowi Frischowi stać się tym, czym jest. To samo można powiedzieć o Gottfriedzie Kellerze i Dürrenmacie. Może się to wydać śmieszne, ale kiedy nasi pisarze i intelektualiści chcą Polakowi dać wyobrażenie o Szwajcarii, sami zadają sobie pytania, nad którymi przedtem nigdy się nie zastanawiali.

Wszystko zaczęło się najzwyczajniej w małej kawiarence genewskiej. Kawiarnia nazywała się „Le Kid". Właściciel jej, były szampion kolarstwa, dziś patronujący młodym, sprzedaje Pernod 20 centimów taniej starym, wyranżerowanym aktorom. Właścicielka, blondynka dobrze przy kości, o niewyparzonym języczku jest ulubienicą całej dzielnicy. W kawiarence tej spotykają się nadzieje sportu, murarze z sąsiedniej budowy i snobi. Bywaliśmy tam z Florianem Uryzajem, polskim attaché kulturalnym a moim przyjacielem. Wspominaliśmy czasy, kiedy, zaledwie wylądowawszy w Bernie, przyszedł do mnie z nieśmiałą prośbą, czy nie mógłbym poświęcić paru słów rocznicy Kopernika w *Journal de Gèneve*. Było to siedem czy osiem lat temu. Od tego czasu dużo się zmieniło. Nie zdziwiłem się więc, kiedy tego wieczoru Florian zaproponował mi wydanie w *Jornal de Genève* kolumny literackiej o Polsce. Nie zdziwiłem się, ale w końcu kolumna to dużo. Nieufności nie da się rozproszyć z dnia na dzień. Chciałem poprosić o czas do namysłu, gdy nagle przyszła mi pewna myśl: „Czy nie dałoby się tego zrobić na zasadzie numerów wymiennych?" Resztę znacie; jedna strona zmieniła się w cały dodatek. To, co się wydawało niemożliwe, kosztowało tylko trochę wysiłku.

Kiedy sprawy dostatecznie dojrzeją, reszta już idzie własnym rozpędem. Góry argumentów, jakie przygotowałem dla przekonania Oliviera Reverdina, mojego redaktora naczelnego, okazały się zbyteczne. Zgodził się natychmiast. To samo było z Ernstem Ansermetem, Frischem, Dürrenmattem, ze wszystkimi innymi. Muszę wam złożyć podziękowanie za te sześć miesięcy zamieszania, telegramów, makiet, przekładów, korekt, trudności technicznych wyłaniających się w ostatniej chwili. Gra warta była świeczki i nie mogę wyrazić, jaka była nasza duma i radość, kiedy dowiedzieliśmy się, że *Journal de Genève* został rozkupiony w Warszawie w ciągu półtorej godziny. A tutaj? Jeszcze po czterech miesiącach prasa poranna przynosi echa tej wymiany. A potem listy: germanista z Krakowa chciałby nawiązać kontakt z kolegą ze Szwajcarii; studentka

z Brukseli pyta, ile kosztuje pobyt dziesięciodniowy w Polsce. Lecz to, co najważniejsze, nie zawiera się ani w listach, ani w dziennikach. To przesącza się w przypadkowych rozmowach. Reakcja zdumienia: a więc to prawda, że Niemcy zabili tylu ludzi, zniszczyli takie masy dóbr materialnych. To prawda, że w Polsce wybudowano tyle teatrów. To prawda, że wolno tam czytać naszych pisarzy, nasze pisma. Że można pisać o tym, o czym pisał Kazimierz Brandys. Cyfry podane przez *Życie Warszawy* zrobiły więcej niż sto konferencji. Ludzie zaczęli zadawać sobie pytania, a tego właśnie było potrzeba.

■

Paryż konsumuje jednego geniusza na tydzień. Kilka miesięcy temu mówiło się tylko o Robercie Walserze. Coś niezwykłego ci krytycy paryscy! Zanim przeczytali *L'Institut Benjamenta*, już wiedzieli wszystko. Że Walser był podziwiany przez Manna, Hessego, Zweiga i Musila i że sam Kafka w początkowym okresie czerpał z niego inspirację. Ponieważ zaś lubią klarowne definicje, natychmiast znaleźli dla niego odpowiednią szufladkę. Walser? Trochę wcześniejszy Kafka, tylko Kafka, który nie miał szczęścia. Jeżeli zaś inne książki Walsera w niczym nie przypominają *L'Institut Benjamenta*, tym gorzej dla nich. Nie są tłumaczone, nie ma to więc żadnego znaczenia. Najważniejsze, że Walser jest zaklasyfikowany; a teraz: kto następny?

Natrząsam się z Paryża i nie mam racji. Gdyż Walser, mimo wszystko, był Szwajcarem. Ignorowaliśmy go pięćdziesiąt lat, tak, pięćdziesiąt lat, pół wieku, mimo że był naszym ziomkiem i żył wśród nas i mimo że Karl Seelig, jego najwierniejszy przyjaciel, robił wszystko, aby wyrwać go z zapomnienia, publikując w samej Genewie cztery pierwsze tomy jego dzieł zbiorowych. Kto słyszał o Walserze? Co najwyżej kilku pisarzy, z których Frisch i Dürrenmatt zawdzięczają mu niewątpliwie więcej, niż skłonni są przyznać. Jeżeli jednak chodzi o resztę — milczenie, obojętność. Trzeba było, aby Paryż raz jeszcze odkrył Walsera, abyśmy się nim zainteresowali. Czy teraz my z kolei okrzyczymy go za geniusza? Zależy od tego, co się rozumie przez geniusz. Jeżeli geniuszem jest wrodzony czy naiwny wdzięk, ten rodzaj swobody i poczucia szczęścia — Walser jest naszym dobrym geniuszem, jest ucieleśnieniem czegoś lekkiego, fantastycznego, niezdyscyplinowanego, o co nigdy by nas nie podejrzewał żaden cudzoziemiec, a co jednak również mieści się w naszym charakterze. Tylko, że my kryjemy się z tym, tłumimy to w sobie, wypieramy się tego.

Przede wszystkim, kto to jest ten Walser, co zrobił w życiu? Zacznijmy od początku. Walser urodził się w 1878 r. w Bienne, małym miasteczku na brzegu jeziora, dokładnie na granicy dwu języków. Tak więc jedna połowa mieszkańców mówi po niemiecku, druga — po francusku. Przypadek sprawił, że rodzice Walsera należeli do pierwszej grupy, a także, że byli biedni i mieli dużo dzieci. Wszystko, co zdobył, zawdzięczał samemu sobie. Zaledwie liznąwszy szkoły, poszedł do pracy. Czy próbował się z niej wyzwolić? Bynajmniej. Z gorliwością wybierał zajęcia najbardziej bez znaczenia, powiedziałbym nawet, najbardziej upokarzające. Urzędnik bankowy, agent ubezpieczeniowy, robotnik w fabryce, lokaj, *Mädchen für alles;* kariera jego nie szła w górę, ale w dół. Systematycznie, planowo, stale zmienia zajęcia, tak że trudno jest śledzić miejsca jego pobytu. Dwa z nich są jednakże pewne. Od 1896 do 1904 przebywa w Zurychu lub jego okolicach. Później obija się siedem lat po Berlinie, gdzie wydaje trzy powieści, pisze trzy inne, które zaginęły, i cieszy się nawet przez krótki czas pewną popularnością. Czy zasmakował w niej? Nie, ucieka z Berlina, szuka schronienia w kraju, gdzie wydaje jeszcze artykuły i szkice. W 1929, po kilku próbach samobójstwa, dobrowolnie daje się zamknąć w domu dla umysłowo chorych, którego nie opuszcza aż do śmierci. Umarł nazajutrz po Nowym Roku 1956.

Niespokojna, nieporządna młodość, po której nastąpiło trzydzieści lat zupełnego milczenia; co za zagadka! Czy można ją wyjaśnić? W każdym razie nie ma po co zwracać się z tym do Walsera. W ciągu ostatnich lat coraz bardziej wymyka się i zaciera ślady. Oto fragment z listu do przyjaciela: „Chcę czuć się tu jak u siebie w domu. Pragnę, aby mi się to udało. Abym

mógł odczuwać radość. Teraz często, bardzo często zdarza mi się, że o niczym nie myślę. Pokryła mnie fala bardziej błękitna niż niebo, utonąłem w niej. Zaczynam żyć na nowo. Ponieważ zapomniałem o wielu rzeczach, ponieważ znowu zaczynam żyć". Zamiast goryczy — przeciwieństwo poczucia klęski. Walser odnalazł swą drogę, jak to się mówi, udało mu się. Tak mu się przynajmniej wydaje. Ale co z punktu widzenia Walsera stanowi wygraną?

Dwie książki mogą posłużyć nam za klucz, pod warunkiem, że będziemy czytać między wierszami: właśnie *L'Institut Benjamenta* i *Der Gehülfe*, obydwie z r. 1909. Pierwsza nosi cechy estetyki ekspresjonistycznej, druga, o technice bardziej bezpośredniej, przypomina realizm Gottfrieda Kellera. Pomijając formę, sytuacja jest ta sama; w obu wypadkach chodzi o wtajemniczenie. Zdeklasowany młodzieniec, włóczęga, wstępuje na służbę do chimeryka w zamian za pozór ogniska domowego. Próbuje zmiękczyć swego chlebodawcę, w którym chciałby widzieć ojca. Próżny trud: fanaberie pana przekraczają wszelkie granice. Mimo to nasz syn marnotrawny znajduje sojuszniczkę w osobie młodej kobiety, siostry czy żony chlebodawcy, która raz tajemniczo występuje jako wróżka, innym razem jako praktyczna zuryska gospodyni. Dzięki temu chociaż na krótko doznaje złudy pojednania, odnalezienia rodziny.

Ale — mógłby ktoś słusznie zauważyć — ten konflikt i nadzieje na jego rozwiązanie — to typowy Kafka. Otóż bynajmniej: pokrewieństwo jest pozorne. Walser nie napisał nic w rodzaju *Ameryki*. Nie walczy i nie buntuje się przeciw potworowi społecznemu. Przyjmuje go takim, jaki jest. I chociaż ten potwór czy ten porządek traktuje go jak jednostkę podejrzaną, starając się wyrzucić go poza swój obręb, on, mimo wszystko, uparcie znajduje dla siebie jakieś miejsce, chociażby nędzne i upokarzające. Okazuje maksimum dobrej woli, aby służyć porządkowi, któremu na nic nie jest potrzebny. Kiedy czytam Walsera, widzę Charlota (Chaplina) ofiarowującego bukiet róż (ukradzionych naturalnie) majstrowi, którego chce ugłaskać za spóźnienie się do pracy. On nie dyskutuje, nie buntuje się: marzy i jest nieobecny. Jedyna jego ambicja to „stać się krągłym zerem".

Jego ambicja? A może ten człowiek, gorliwie szukający piękna, życzliwości, cudowności we wszystkim, co spotyka na swojej drodze, kpi sobie z nas? Bądźmy ostrożni: delikatny humor dobrego dziecka z *Der Gehülfe* staje się w *Benjamenta* bardziej gryzący. Walser usuwa się na drugi plan, aby lepiej nas śledzić. Kogo nas? Ludzi dobrze uplasowanych, bezpiecznych, wciśniętych w tryby porządku, przynajmniej pozornie. Tak, pozornie, gdyż Walser wcześnie pozwala odkryć słabe strony swego szefa, inżyniera Toblera. Inżyniera? Raczej szaleńca, który, opanowany przemysłową gorączką Zurychu z okresu fin-de-siècle'u, gromadzi obłąkane wynalazki, całkowicie bezużyteczne, które doprowadzają go tylko do ruiny. Otóż Tobler jest w sumie istotą pokrewną Walserowi. Z tą różnicą, że bierze siebie samego na serio, przez co wszelkie porozumienie z nim jest niemożliwe.

Zasadą Walsera jest nie brać siebie na serio. Niczego nie planować: „Bóg jest z tym, który nie myśli". Nastawmy ucha! Już kiedyś to słyszeliśmy. Ten strach przed myślą, myślą, która mogłaby zakwestionować porządek rzeczy (czy to, co za ten porządek uchodzi), to ubóstwienie życia, „które żąda czynu, a nie refleksji" — wszystko to Walser wziął z romantyków niemieckich, ściśle mówiąc z Novalisa, Novalisa, o którym Lukacs powiedział, że był wielki, ponieważ miał odwagę dojść do końca swego błędu.

Błędu? Czy pisarza można osądzać w tych kategoriach? Walser niewątpliwie nie zgodziłby się na podporządkowanie sztuki kryteriom moralnym. Nie dlatego, aby sam był amoralny, przeciwnie, ale dla niego moralność przeplatała się z miłością. Ważna była nie ocena danego postępku, ale zrozumienie jego istoty. Miłość bowiem nie potępia żadnych spraw międzyludzkich: czego nie znosi, to braku tych stosunków, obojętności. Oto dlaczego Walser nie wpada w desperację z powodu długów i nie skarży się, kiedy Tobler nie wypłaca mu wynagrodzenia. Brak pieniędzy i konieczność pożyczania ich to jeszcze jeden sposób wchodzenia w związek z drugą istotą ludzką. Kto puka do drzwi bogatych, temu drzwi te zostaną otworzone, gdyż bogaci w

głębi serca czują się dłużnikami ubogich. Dla współczesnych Walsera taka ewangeliczna moralność mogła być tylko szokująca. Dziwiono się, że może żyć w systemie, który doprowadza produkcję do absolutu, tłumiąc wszelkie formy bezinteresowności. Ten system uważa się za porządek, a nawet Porządek od dużej litery. Porządkowi temu Walser przeciwstawiał się z naiwnym zuchwalstwem. On, który czuł wstręt do wszystkich systemów („jesteśmy dzisiaj niewolnikami idei uniwersalnej"), opiewał lenistwo, sprzeciw, nierozwiązalną zagadkę. Początkowo pogodnie i beztrosko. Później ton jego nabiera niepokoju, melancholii. Tu i ówdzie spotykamy aluzje do dawnych czasów, kiedy zasady były bardziej nieludzkie, ale wyjątki zdarzały się częściej. I nagle nostalgia szwajcarskiego żołnierza, której dziś już nikt nie rozumie; gdyby tak można maszerować, słuchać rozkazów, otępieć, nie myśleć o niczym. I odtąd zaczyna się okres, obejmujący ostatnie trzydzieści lat. Walser jak gdyby przestał opierać się temu porządkowi, temu, aby „żyć tak jak każdy", przełożył to nad swą długą samotność i dumną odmienność.

Nic w jego ostatnich pismach nie zapowiada obłędu. Przeciwnie, robi wrażenie dużo spokojniejszego. Co się zatem stało? Czy to obłęd ostatecznie zahamował jego twórczość? Czy w ogóle można w tym wypadku mówić o obłędzie? Kto jest aspołeczny: Walser czy społeczeństwo, które go odrzuca? Pytania pozostają otwarte. Trzeba być ostrożnym w ocenianiu klęski Roberta Walsera. To milczenie, ta uległość w przyjęciu porządku (nawet jeżeli ten porządek zostaje karykaturalnie pomniejszony do dyscypliny domu dla umysłowo chorych) — nie jest bynajmniej przezwyciężeniem siebie. Odrzucając wybór, walkę, Walser nie zdobywa nic ani się nie udoskonala. Po prostu zadowala się unikami.

Nie, szaleństwo Walsera nie było jego zwycięstwem. Zwycięstwem są jego książki, które dzisiaj wyłaniają się z mroku milczenia. Przeżyły nędzę, która je zrodziła. Dziś mamy jeszcze więcej powodów, aby je kochać. Walser nie chce nas ani pouczać, ani zmieniać. Jeżeli wypowiada jakieś twierdzenie, zaraz je tonuje i modyfikuje. I, tak odbierając nam wszelką pewność, uczy nas kochać istoty ludzkie takimi, jakie są: tajemnicze, niekonsekwentne, ograniczone, nieudane, nieskończone. Na tym poprzestaje. I w tym jest zadziwiający.

Walter Weideli

LOS KARIN STEINHOFF

Autor znanego już u nas *Mostu*, Manfred Gregor, wydał nową powieść *Das Urteil* (Kurt Desch, 1960). Akcja tej książki rozgrywa się latem 1958 roku w małym miasteczku na terenie NRF. W miasteczku tym popełniono ohydną zbrodnię: czterej żołnierze amerykańskiej armii okupacyjnej zgwałcili szesnastoletnią dziewczynę, Niemkę, i bestialsko zmasakrowali spieszącego jej na pomoc chłopca. Sprawa ta wywołuje ogromne poruszenie zarówno w miasteczku jak i w sztabie amerykańskim. Jakiego jednak rodzaju poruszenie? Przede wszystkim — jak zwykle w podobnych wypadkach — rozsnuwa się wokół tragedii nieszczęsnej Karin Steinhoff atmosfera niezdrowej sensacji. Ta atmosfera nie pozostaje bez wpływu na działanie osób najbardziej tym wydarzeniem zainteresowanych.

Ojciec Karin, wiceburmistrz miasteczka, Karl Steinhoff, były Parteigenosse, który umiał jednak tak urządzić się w czasach hitleryzmu, że bez trudu uzyskał po wojnie rehabilitację, postanawia zrobić co tylko będzie w jego mocy, aby osiągnąć pełną satysfakcję, a uważa za nią skazanie na śmierć krzywdzicieli dziewczyny. Sądzi bowiem, że tylko taki wyrok zmyje całkowicie hańbę jego córki (dodajmy: córki adoptowanej, gdyż Karin jest dzieckiem obecnej żony wiceburmistrza, Urszuli, z jej pierw-

szego małżeństwa), przywróci honor nazwisku Steinhoffów w oczach opinii publicznej i tym samym uchroni jego powagę jako lokalnego dygnitarza. Zgodnie zresztą z prawodawstwem amerykańskim przestępcom istotnie grozi najwyższy wymiar kary. Dowództwo amerykańskie jest zdecydowane dążyć do przeforsowania takiego właśnie wyroku, ażeby w ten sposób zadokumentować wobec ludności niemieckiej swoją życzliwość i przyjaźń oraz surową bezwzględność wobec tych, którzy swoim postępowaniem mogliby wpłynąć na pogorszenie stosunków między dwoma sprzymierzonymi obecnie narodami. Od początku więc osoba Karin Steinhoff staje się pionkiem w grze ambicji osobistych oraz interesów politycznych.

Sytuację zaostrza w tym wypadku jeszcze jedna okoliczność: oto — zgodnie z amerykańską procedurą prawną — najwyższy wymiar kary może zostać zastosowany tylko wtedy, kiedy poszkodowany osobiście składa zeznania przed trybunałem. Adwokat, dr Samuel Goldstein, stary przyjaciel Steinhoffa, Żyd ocalony niegdyś przez niego z rąk nazistów, który ma wystąpić w tej sprawie jako rzecznik Karin, usiłuje namówić ojca nieszczęśliwej dziewczyny, aby zaoszczędził jej konieczności zeznawania przed sądem. Będzie to bowiem dla niej — twierdzi — tortura równająca się ponownemu zgwałceniu — tym razem w imię sprawiedliwości. Ambicja Steinhoffa domaga się jednak pełnego i całkowitego zadośćuczynienia, a to może mu dać tylko śmierć winowajców w komorze gazowej. Nic nie pomagają prośby żony ani argumenty, jakie wysuwa przeciw jego stanowisku ksiądz Schneider, wezwany na pomoc przez Urszulę Steinhoff. Daremnie apeluje do jego uczuć i zdrowego rozsądku obrońca oskarżonych, kapitan Korneff, tłumacząc mu, że w interesie swoich klientów będzie musiał zadawać Karin pytania jak najbardziej niedyskretne i starać się podważyć prawdziwość jej zeznań.

Korneff chce ocalić oskarżonych, ponieważ uważa, że wyrok śmierci byłby w tym wypadku nie aktem sprawiedliwości, ale demonstracją polityczną. Zdają sobie z tego sprawę również sami winowajcy („Wiedzieli, że Niemcy Zachodnie stały się sprzymierzeńcem, i bali się, że zostaną złożeni jako ofiara na ołtarzu tej nowej przyjaźni"). Korneffem w walce o życie podsądnych kieruje jeszcze jeden powód: kiedyś sam jako prokurator żądał kary śmierci dla przestępcy winnego również zbrodni gwałtu i proces ten wygrał. Z racji sprawowanego urzędu musiał jednak asystować przy egzekucji skazańca, który przeklinał go do ostatniej chwili. To przeżycie zdecydowało, że Korneff rzucił prokuraturę i został obrońcą. Wpoiło ono też w niego przekonanie, któremu daje wyraz w rozmowie z Brentem, oskarżycielem w obecnym procesie: „Nie wierzę, Brent, żeby wolno było odbierać człowiekowi życie w imieniu prawa. Nie wierzę w to".

Żeby ocalić oskarżonych, kapitan stosuje tak inkwizytorskie metody w przesłuchaniu Karin, że doprowadza ją do załamania nerwowego i uniemożliwia w ten sposób dokończenie zeznań. Jest to zwycięstwo, ale zwycięstwo iście pyrrusowe. Dwaj podsądni skazani zostają na dożywotnie więzienie, dwaj na 40 lat więzienia. Tego jednak należało się spodziewać. Należało się również spodziewać, że spełnią się słowa Brenta, bezpośredniego przeciwnika Korneffa w walce o życie winowajców: „Sprawiedliwość musi zwyciężyć (...). Masz opinię publiczną przeciw sobie. Tu chodzi o manifestację prawa. Kto występuje przeciw temu prawu, Korneff, popełnia samobójstwo!" Wiemy już, jaka to sprawiedliwość i po co odbywa się ta manifestacja prawa. Niemniej kiedy kapitan istotnie decyduje się na popełnienie czegoś w rodzaju cywilnego samobójstwa, które ma być moralnym zadośćuczynieniem za okrucieństwo wobec Karin, i składa natychmiast po zakończeniu procesu prośbę o dymisję, uprzedza tylko usunięcie go ze stanowiska przez zwierzchników, którym zepsuł ich propagandowy manewr polityczny.

Najgorsze jest jednak to, że Korneff ratując od śmierci czterech przestępców staje się pośrednim sprawcą śmierci ich ofiary. Okazuje się bowiem, iż wiceburmistrz Steinhoff miał w pewnym sensie rację: fakt, że wbrew powszechnym przypuszczeniom nie został zastosowany najwyższy wymiar kary, daje jego politycznym

i osobistym wrogom broń do ręki. Skoro przestępcy nie zostali skazani na śmierć, to znaczy, że w tej sprawie jest coś niejasnego, że nie wiadomo, jak to właściwie było z tym rzekomym zgwałceniem... Rozpętuje się nagonka plotek i oszczerstw, godząca poprzez Karin w jej ojca. Steinhoff zaś to człowiek, który nie umie przegrywać. Nie pomija więc teraz żadnej okazji, aby dać córce do zrozumienia, że to ona jest przyczyną jego strapień i niepowodzeń, z najdotkliwszym ze wszystkich — porażką w wyborach do rady miejskiej — włącznie. Zaszczutej i udręczonej Karin nie zdoła uratować nawet miłość przyjaciela z lat dziecinnych, Franka Bernfelda. Jako jedyne schronienie przed okrucieństwem życia pozostaje jej samobójcza śmierć w nurtach rzeki.

Okrutny i zimny jest świat, w którym rozgrywa się dramat Karin Steinhoff i kapitana Korneffa, świat bez miłosierdzia i współczucia. Taką właśnie wizję świata pokazują często egzystencjaliści, ale u Gregora nie jest ona tworem pojęciowej spekulacji, lecz obrazem zbudowanym z materiału dostarczonego przez realistyczną obserwację. Autorowi *Wyroku* obcy jest symbolizm; on pisze o tym, co widzi, tkwi w opisywanej przez siebie rzeczywistości, wstrząśnięty nią i przerażony. Z kart jego książki przemawia nie lęk metafizyczny, ale realna trwoga pisarza-humanisty wobec dehumanizującego się społeczeństwa.

Tej dehumanizacji nie można przypisywać wyłącznie faktowi, że „wojna sieje nienawiść, a nienawiść żyje długo". Ksiądz Schneider w rozmowie z Korneffem mówi: „Nie ma po co chodzić do Steinhoffa. Ten człowiek wierzy tylko w siebie. W swoją uczciwość, w swoje samochody, w swoje pieniądze, w swoją pracę, w swoją dzielność, w swój honor, w... ach, czy ja wiem w co jeszcze. On wierzy w wiele, tylko nie w Boga". „Tylko nie w Boga": nie o ateizm chodzi w tym wypadku, ale o tę formę niezbożności, której wyrazem jest stosunek do bliźnich i świata — wrogi, zawistny, drapieżny, pozbawiony miłości i życzliwości. I jako wyraziciel takiej właśnie postawy Steinhoff jest osobnikiem dla swego środowiska reprezentacyjnym. Nie przeceniajmy bowiem sprawy jego upadku: byłego wiceburmistrza obalają ludzie myślący jego kategoriami i działający według zasad, jakimi i on kierował się w swoim postępowaniu. Nie zapominajmy natomiast, jak samotni i bezradni są pośród klanu większych lub mniejszych Steinhoffów ludzie pokroju dr Goldsteina czy ks. Schneidera, jak bezowocne są wysiłki kapitana Korneffa, który zapobiegając jednej zbrodni musi stać się współwinowajcą innej.

Gregor stoi bardzo daleko od tego, co mogłoby być uznane za lewicowość w naszym pojęciu. Niemniej jego psychologiczny portret Steinhoffa jako przedstawiciela mentalności burżuazyjnej („Bez was stałem się tym, kim jestem... Ja pracowałem dla swojej rodziny; ja zbudowałem ten dom, ja oszczędzałem, harowałem, zabiegałem! Ludzie wybrali mnie nie dlatego, że mnie lubią, ale dlatego, że mnie poważają"), jako wielka metafora socjologiczna jest osiągnięciem, którego mogliby mu pozazdrościć najbardziej zdeklarowani marksiści. Równie ostro i bezwzględnie, choć zarazem z troską i niepokojem, patrzy Gregor na teraźniejszość i przyszłość Niemiec. Przytoczmy tu jeszcze choćby tylko tę krótką charakterystykę narodu niemieckiego, scedowaną przez autora na rzecz Korneffa: „Osobliwy naród — myślał kapitan. — Ludzie pracują, jakby nic się nie zdarzyło. Harują i budują, aż wszystko znów będzie wyglądać porządnie i miło. Spokojny naród, można by pomyśleć, skrzętny i dobroduszny. Ale ni stąd ni zowąd przypominają oni sobie swoją pełną chwały historię i swoich bohaterów. I nagle zachciewa im się znowu koszar, armat, samolotów i bomb. Wreszcie wtrącą prawdopodobnie siebie i nas w nową wojnę. A potem znowu będą budować. Jeżeli za następnym razem będzie jeszcze co budować".

Być może, iż w wypadku Gregora jego talent okazał się mądrzejszy niż jego świadomość, że ta surowa, bezlitośnie atakująca niemiecką współczesność, a zarazem na wskroś realistyczna książka jest dziełem nad miarę autorskiego zamierzenia. Tak czy inaczej — jest niewątpliwie dziełem wybitnym. Jest przejmującym głosem niemieckiego sumienia, które oskarża i przestrzega.

Stefan Lichański

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY

Anglia

Wychodzący od roku kwartalnik X (vol. II, nr 1) ustalił swoją pozycję pisma w najlepszym sensie elitarnego. Na terenie angielskim taki „mały magazyn" był bardzo potrzebny, żadnego bowiem z istniejących pism literackich nie można nazwać warsztatem nowych talentów.

W słowie wstępnym do drugiego rocznika czytamy:

„Był czas, kiedy ogłaszanie manifestów było bronią zabawną i pożyteczną. Kiedy jednak cofniemy się do wielkich dni artystycznych deklaracji, uderzy nas niemożność sprostania głoszonym zapowiedziom.

W samym rdzeniu każdej interesującej idei artystycznej tkwi anarchiczny, nieuchwytny element — coś w rodzaju żywej zasady — który nie zniesie narzucenia sobie kategorycznej definicji; nawet najdziksze proklamacje surrealistyczne czy antyestetyczne występują przeciw tej wolności, jaką artysta ceni sobie najwięcej.

...każda postawa opierająca się na poglądzie, że istnieje całkowite i racjonalne wyjaśnienie artystycznego porywu i działalności, jest dla nas wrogiem prawdziwej poezji.

...To już wyświechtany banał, że funkcją „małego magazynu" jest zwracanie uwagi na krawieckie niedobory Cesarza.

...Naszym celem głównym jest wydobyć na światło utwory najlepsze, przy czym pierwszeństwo przysługuje nieznanym i zaniedbanym lub znanym, lecz niedocenianym; na drugim planie stawiamy wydobycie istoty panujących i modnych w praktyce teorii, co jest o wiele trudniejsze.

...To, aby prawdziwe artystyczne idee — idee żywe — mogły być dostępne dla mas, jest rzeczą wątpliwą, nawet przy najbardziej sprzyjających warunkach. Sztuka nie ma zdolności leczniczych. Jej rozkosze sprawiają cierpienie, jej etyczne imperatywy — przerażają. Prowadzi nas, mówiąc słowami Eliota, jak Wergiliusz prowadził Dantego do krańca świata, gdzie władzę przejmuje religia i poezja nie jest już potrzebna.

...nie interesuje nas ten rodzaj popularnej kultury, którą zajmują się zawodowcy od sztuki i literatury. Obchodzą nas idee w tym najbardziej newralgicznym stadium, w którym poczyna się sztuka."

Treść numeru ciekawa, artykuły bez źdźbła zbędnej wyściółki, esencjonalne i czytelne. Interesujące fragmenty z powieści 24-letniego pisarza, Johna McGaherna, wyróżniają się prostym językiem, który przy całej oszczędności jest niezwykle poetyczny. Prawda i realizm tej prozy dowodzą, że autor potrafi bez uciekania się do niezwykłych sytuacji dać wrażenie głębokiej pasji. W smakowitym irlandzkim sosie utrzymana jest znakomita humoreska Antoniego Cronina. Na uwagę zasługuje wyjątek ze szkicu duńskiego poety i krytyka, H. G. Gompertsa, o „artystycznej elicie". W części poświęconej malarstwu reprodukcje Francisa Bacona z notą wprowadzającą Heleny Lessore.

Kwietniowy ENCOUNTER otwiera felieton znanego krytyka Cyryla Connolly *(Beyond Believing)*, perełka sztuki pięknego pisania, na temat: w co można wierzyć w pewnym wieku. (W sen? Nieodpowiedzialność? Sztukę?) „W ostatecznej analizie, w momencie, kiedy kula przeszywa ciało, kiedy samolot wali się na dół, kiedy odliczam pod narkozą — czy mogę naprawdę utrzymywać, że wierzę w cokolwiek poza odczuwaniem paniki czy litowaniem się nad sobą?"

W sprawie krytyki pewnych odmian myślenia obronnego zabiera głos specjalista od spraw atomowych, profesor fizyki P. M. Blackett. Artykuł o Bliskim Zachodzie, umiarkowanie optymistyczny, C. M. Woodhouse'a zawiera sumę pobożnych życzeń.

W dziale prozy bardzo interesujące opowiadanie młodego amerykańskiego prozaika, Herberta Golda, *Śmierć na wybrzeżu Miami*. W dziale krytyki ciekawy szkic Franka Kermode o ostat-

niej książce Grahama Greene'a na tle jego poprzedniej twórczości. Jeżeli można wyciągnąć prosty wniosek z kunsztownych wywodów krytyka Querry, bohater *A Burnt-out Case* („wypalony przypadek" — określenie używane w wypadku, kiedy trąd dokonawszy dzieła zniszczenia zatrzymuje się, zostawiając człowiekowi tylko życie; tu użyte także w sensie przenośnym) nie może udźwignąć ciężaru problemu, jakim go autor obarczył. Ten zarzut bywa zwykle wysuwany w stosunku do pisarzy, którzy nie celebrują i nie zachowują śmiertelnej powagi w sprawach zasadniczych.

Dział recenzji jak zwykle interesujący.

at

Austria

WORT IN DER ZEIT (Wiedeń), nr 4, kwiecień 1961 r. Numer otwiera krótka rozprawka Herberta Zanda o Hermannie Brochu. Stały cykl artykułów pod tytułem *Pisarz austriacki i jego dzieło* kontynuuje Kosmar Ziegler szkicem o Fritzu von Herzmanowsky-Orlando (1877—1954), prozaiku, komediopisarzu i cenionym grafiku. Jedną z najciekawszych pozycji numeru jest znany i często przez badaczy przytaczany artykuł Jana Parandowskiego *Spotkanie z Joyce'em*, opisujący rozmowę z irlandzkim prozaikiem, którego Parandowski poznał podczas kongresu PEN-clubu w Paryżu w 1937 roku.

Kilka ciekawych uwag o kiczu znajdujemy w szkicu Günthera Buscha, który właściwie dochodzi do wniosku, że niemożliwą jest rzeczą dokładne sprecyzowanie tego zjawiska. Kicz nie jest bowiem ani złą sztuką (w literaturze — grafomania), ani ubocznym produktem sztuki, poza tym występuje często poza granicami sztuki i może się objawiać w sposobie myślenia, odczuwania, w ubiorze, w gestach, a nawet w zachowaniu się człowieka. „Kicz należy do tych zagadek — czytamy — których odgadnięcie nie rozwiązuje problemu. Kiczowi odrastają stale wszystkie piórka, które traci. Silniejsze od wszystkich jego alibi są jego siły regeneracyjne. Dotychczas urąga wszystkim napaściom i przetrwał wszystkie oskarżenia. Nic nie może go zniszczyć, ponieważ sam sobie dochowuje wierności, ba, jego siła wydaje się tak diabelska, że nawet jego krytycy nie są przed nim zabezpieczeni".

Krytyczny dział wypełniają relacje Hansa Wintera o repertuarze wiedeńskich scen i omówienia austriackich i niemieckich nowości wydawniczych. Numer zamyka kronika wydarzeń kulturalnych.

FORUM (Wiedeń), nr 88, kwiecień 1961 r. W kulturalnej części pisma największe zaciekawienie wzbudza dział muzyczny. Tutaj zwraca przede wszystkim uwagę esej świetnego teoretyka muzyki, Theodora W. Adorna, o uczniu Schönberga, Allanie Bergu, oraz artykuł Paula Konta pod tytułem *Możliwości współczesnej opery.*

Na temat nowej powieści austriackiej zabiera głos Humbert Fink, który ocenia dosyć sceptycznie jej stan obecny. „Oczywiście — pisze autor — możemy wyliczyć wielu pisarzy, którym udało się opublikować powieść lub tom nowel. Ale bylibyśmy w kłopocie, gdybyśmy chcieli mówić o nowej prozie austriackiej, tak jak to mówimy o nowej francuskiej powieści, o nowych nie tylko neo-werystycznych eksperymentach młodych Włochów, o odżywającej powieści niemieckiej lub powojennej powieści szwajcarskiej."

Fink zarzuca austriackim prozaikom unikanie wielkiej tematyki naszej epoki. „Przekształcają oni w szablon przede wszystkim człowieka, model dwudziestego wieku, owo żywe i wciąż jeszcze najsilniejsze i najbogatsze źródło siły... Młodzi autorzy austriaccy w wieku 40 lat nie zajmują się tym... nowi epicy austriaccy piszą powieści miłosne i znajdują poparcie nazbyt do poklasku skłonnej krytyki, która nie tylko aprobuje owo powszechne dostosowanie się do wysublimowanego dziennikarstwa (Doderer nazywa takie powieści „gazetą pomiędzy okładkami książki"), lecz chwali je jako wzorową prostolinijność współczesnej literatury

austriackiej. Ale źle pisana proza nie ma nawet w Austrii nic wspólnego z poetyckim realizmem."

ÖSTERREICH IN GESCHICHTE UND LITERATUR (Wiedeń) nr 3, marzec 1961 r. Większość artykułów zajmuje się dawną i nowszą historią Austrii. Numer zawiera tylko dwie prace literackie. Pierwszą z nich jest artykuł Johanna Lentnera o Robercie Musilu. Rzecz ma charakter głównie biograficzny. Autor omawia także filozoficzne i społeczne poglądy Musila oraz jego stosunek do kwestii austriackiej. Walter Jambor pisze o szkodliwości i kłamstwie tezy oświetlającej kulturę i historię Austrii jako część składową dziejów niemieckich. Z listów czytelników, które Jambor przytacza, wynika, że infekcja „wielkoniemiecka" i tendencje totalistyczne są wśród niektórych sfer austriackiej inteligencji, niestety, dosyć żywotne.

DIE BÜHNE (Wiedeń), nr 30, marzec 1961 r. W artykule *Czy nowoczesna opera żyje?* Hermann Wanderscheck rozważa trudności, z jakimi spotyka się awangardowa opera. O ile na przykład *Wozzeck* Berga, *Opera za trzy grosze* Brechta, *Czarodziejskie skrzypce* Egka, utwory Hindemitha, Strawińskiego i Menottiego znalazły aprobatę u publiczności, o tyle zdarza się często, że dzieła innych muzyków natrafiają na duży opór widowni. Tak było w Berlinie zachodnim, gdzie publiczność awanturowała się w czasie premiery *Mojżesza i Arona* Schönberga i *Undine* Wernera Henze. Wśród różnych przyczyn kryzysu nowoczesnej opery autor kładzie nacisk na braki libretta, które nie jest dostosowane do nowych kształtów muzyki, i niedostateczne przygotowanie publiczności. „Kryzys produkcji? Kryzys reprodukcji? Kryzys publiczności? — nowoczesna opera musi przezwyciężyć wszystkie trzy kryzysy", konkluduje Wanderscheck.

Wśród bogatego materiału sprawozdawczego o teatrze europejskim czytelnika polskiego zaciekawi relacja o warszawskim Teatrze Dramatycznym. Autor korespondencji (G. H.) zalicza ten teatr do najlepszych scen Europy, wyraża uznanie dla jego różnorodnego repertuaru, znakomitej gry aktorów i reżyserii. Dużo pochwał zbiera inscenizacja *Ptaków* Arystofanesa („sztuka grana z najwyższym wyczuciem, niewiarygodnym tempem i niezwykłą precyzją. Dekoracje wyróżniają się nowoczesną błyskotliwością i unikają przy tym rewiowego szablonu") oraz *Diabła i Pana Boga* Sartre'a. To ostatnie przedstawienie autor ocenia wyżej niż wiedeński spektakl w Volkstheater.

rk

Czechosłowacja

PLAMEN 7—12/1960. Miesięcznik ten pragnie być jednocześnie pismem reprezentatywnym dla całej kultury czeskiej i słowackiej i organem informacyjnym, ogarniającym najwybitniejsze zjawiska kulturalne świata. Jest to więc — w stosunku do innych czeskich i słowackich czasopism literacko-społecznych — periodyk zarówno tradycjonalistyczny (z racji swych funkcji reprezentatywnych), jak i nowatorski (choć bardziej odnosi się to do jego strony graficznej niż do zawartości).

Tak więc *Plamen* zamieszcza w każdym numerze ciekawe i obszerne korespondencje z wielu krajów świata na tematy kulturalno-literackie (w nr 7 — z Holandii i Polski w nr 8 — z ZSRR i Francji, w nr 9 — z Anglii i Wietnamu, w nr 10 — z USA i Austrii, w nr 11 — z Szwecji i Bułgarii, w nr 12 — z Australii i Węgier — przegląd, jak widać, imponujący), problemowe artykuły o najciekawszych zjawiskach literackich współczesności, np. o francuskiej antypowieści (nr 7 i 10), o życiu literackim w Japonii (nr 9), o literaturze węgierskiej (nr 9), serbołużyckiej po drugiej wojnie światowej (nr 12), zachodnio-niemieckiej (nr 12) i inne, interesuje się poszczególnymi wybitnymi twórcami, czy to będzie Tomasz Mann (12), W. Niekrasow (10), Szołochow (7), Wiera Panowa (9), czy też Robbe-Grillet (10) i B. Traven (8),

a nawet Orwell (7), wreszcie publikuje ambitne i najczęściej bardzo interesujące szkice o roli człowieka we współczesnym świecie, o cybernetyce, o stosunku nauki do literatury pięknej, o funkcjach i możliwościach ludzkiego mózgu itp. Dział przekładów z literatury pięknej reprezentowany jest jednak bardzo skąpo, i to zarówno jeśli chodzi o poezję, jak i prozę. Nazwiska Karl Ludwiga Opitza, Roberta Desnosa, Paul Eluarda, M. Krleży, W. Koeppena, Al Bajatiego (współczesnego poety irackiego), M. Szaginian, M. Rylskiego, B. Brechta, reprezentowane są raczej symbolicznie, jednym, dwoma wierszami lub króciutkim fragmentem prozy. Za to twórczość współczesnych poetów i prozaików czeskich i słowackich (tych ostatnich tłumaczonych systematycznie na język czeski i obecnych niemal w każdym numerze) reprezentowana jest obficie. To ich utwory zdają się stanowić główną osnowę pisma, jego najważniejszą treść. Proza ta niestety w swej przytłaczającej większości jest mało odkrywcza — tematycznie obraca się najczęściej w kręgu problematyki drugiej wojny światowej: zbrodnie hitlerowskie i opór narodów czeskiego i słowackiego.

Oprócz tematyki okupacyjnej i kilku bardzo marginalnych opowiadań obyczajowych spotykamy się najczęściej u młodych prozaików z ambitnymi próbami zmierzenia się z problematyką współczesną, rozumianą powszechnie jako tematyka produkcyjna. Mimo jakichś cząstkowych sukcesów, mimo wyraźnych ambicji i starań, opowiadania te — z bardzo nielicznymi wyjątkami — nie spełniają jednak pokładanych nadziei, są suche, nieprzekonujące, jak *Stary dvůr* M. Kroha (rodzaj zbeletryzowanego reportażu, prawdopodobnie nawet autentycznego, ale bez aspektu szerszego uogólnienia), jak nieciekawa i nienajlepiej skomponowana *Jimka* J. Kozáka czy *Bagr na řece* L. Romporthowej.

Że o problemach współczesności, a nawet o tematyce produkcyjnej można mówić w sposób szczery, prawdziwy, przekonujący, bez fałszywej nuty i natrętnej dydaktyki, osiągając świetne rezultaty, dowodzi tego dobra proza J. Trefulki pt. *Škareda neděle*. Jest to historia młodego traktorzysty, który ulega nieszczęśliwemu wypadkowi i dłuższy czas musi przebywać w szpitalu, oderwany od gwałtownego tempa codziennego życia. Zdany na własne myśli i lekturę, ten prosty chłopak po raz pierwszy w życiu zaczyna się zastanawiać nad sobą i swym otoczeniem, życiem, które dotąd wiódł, i koniecznością jego zmiany. Czas refleksji przynosi gorzkie owoce i mówi wyraźnie o klęsce bohatera. Sposób, w jaki przyjmuje tę klęskę i rozczarowania, samotność i kalectwo — przynosi chlubę zarówno bohaterowi tego wzruszającego opowiadania o głębokiej humanistycznej wymowie, jak i jego autorowi. Godne uwagi są również próby groteskowych opowiastek: — J. Žaka *Kaštany z ohně* (historia króla Merdona XXIII z Merdonii, który z tchórzostwa nie chce stanąć w szranki z władcą ościennego państwa i angażuje do tej walki swoich poddanych, sam dowodząc nimi z zacisza swego gabinetu i przez naciśnięcie guzika rozpoczynając wojnę...) oraz K. Michala *Owraha soudruha Krapka*, gdzie zastraszony drobny urzędnik dzięki nietoperzowi w archiwum ma okazję zemścić się na swych groźnych zwierzchnikach („nie strasz, żebyś nie był straszny").

Dział krytyki stanowi w *Plamenie* drugi — po rozdzimej twórczości — najważniejszy punkt programu. Każdy numer przynosi wiele artykułów teoretycznych i historycznoliterackich, polemik, dyskusji, recenzji, głosów, sprawozdań itp. itp. Zbyt obfity to materiał do pobieżnego nawet streszczenia, ograniczę się więc do wymienienia dwóch zagadnień, które zdają się stać w centrum uwagi zarówno czytelników, jak i redaktorów pisma. Chodzi tu przede wszystkim o sprawę krytyki i nauczania literatury w szkołach.

Stwierdzono (charakterystyczne są artykuły R. Lukaszowej *Kilka uwag o stanie nauczania literatury* (9) i B. Nepovima o szkolnych czytankach — w tym samym numerze) bardzo niedobrą sytuację, na którą m. in. złożyło się przeciążenie pracą zarówno nauczycieli (zwłaszcza wiejskich), jak i uczniów, naruszanie toku pracy szkolnej przez różne akcje nie mające nic wspólnego z nauczaniem, zły dobór tekstów, wybieranych według znanego socjologicznego schematu; owe teksty grzeszą — poza swą jednostajnością i staroświec-

kością — tendencyjnością, nudą, monotonią. Młodzież domaga się również utworów nowszych, pisarzy nie tylko czeskich i radzieckich, większej rozmaitości gatunków literackich z reportażem, powieścią przygodową, współczesnym bestsellerem i utworami młodzieżowymi na czele.

dz

Francja

Kwietniowy numer LES TEMPS MODERNES nie ukazał się w sprzedaży ani nie dotarł do prenumeratorów, bowiem cały nakład został skonfiskowany przed opuszczeniem drukarni. Jak donosi prasa, zostało to spowodowane przez obszerny artykuł-reportaż Claude Lanzmanna o kontrterrorystycznej działalności algierskiej policji pomocniczej, tzw. „harkisów", stosujących nagminnie tortury i dopuszczających się sadystycznych zbrodni na Algierczykach podejrzanych o przynależność do FLN-u. Co zawierał poza tym, nie wiadomo.

NOUVELLE REVUE FRANÇAISE wydała interesujący numer. Na pierwszym miejscu znajdujemy ciekawy, choć trudny i zawikłany esej Denis de Rougemonta pt. *Osoba, anioł i absolut* o różnicach w pojmowaniu osobowości ludzkiej przez zachodnią tradycję filozoficzną z jednej strony a religie i filozofie Wschodu z drugiej. Podtytuł tego szkicu (*Dialog Wschód—Zachód)* zdaje się jednak sugerować, że spór toczy się między religią chrześcijańską a religią Zen czy buddyjską, gdy w rzeczywistości interlokutorzy są chyba inni. Niemniej esej jest ciekawy. Dalej dwa dobre opowiadania: Rogera Quesnoy *Obserwator* i Julii Chamorel *Biedny handlarz żywym towarem,* i ładne wiersze Jean Follaina. Z tymi interesującymi tekstami sąsiaduje zupełnie zwariowany manifest niemieckiego plastyka chyba, bo nie architekta przecież, Friedricha Hundertwassera, zatytułowany szumnie *Przeciwko racjonalizmowi w architekturze.* Jest to frontalny atak na funkcjonalizm w pierwszym rzędzie, ale także na wszystkie inne kierunki architektury współczesnej. Rozumiem, że może się komuś współczesna architektura nie podobać, wydawać nieludzka i wręcz wroga człowiekowi, ale twierdzić wobec tego, że ideałem są slumsy, to wynik dziwnej jakiejś aberacji umysłowej. „W tak zwanych biednych dzielnicach jedynie ciało człowieka jest narażone na szwank, natomiast w tej całej nowej architekturze, budowanej niby to z myślą o ludziach, dusza marnieje i ginie" — pisze z wielkim oburzeniem Hundertwasser. I proponuje, żeby znieść uprawnienia i dyplomy architektów, żeby każdy sam sobie budował swoją lepiankę, bo wtedy „człowiek będzie miał wreszcie jakiś stosunek do lokalu, jaki zamieszkuje". Albo jeszcze: „...gdy mur zaczyna pokrywać się pleśnią, gdy mech zaczyna porastać w jakimś kącie pokoju zokrąglając kant geometryczny, powinniśmy się cieszyć, że wraz z mikrobami i grzybem do mieszkania weszło życie." Zaręczam, że humorystyczny wydźwięk tych cytatów nie jest przez autora zamierzony, a i redakcja zdaje się traktować ten tekst zupełnie serio. Chociaż numer nosi datę pierwszego kwietnia, we Francji nie ma zwyczaju drukowania z tej okazji primaaprilisowych kawałów. W *Przeglądzie prasy* cytuje się zabawny fragment artykułu Alexandre Vialatte'a z *La Montagne* o trudności rozróżnienia pomiędzy pracą a wypoczynkiem. Przewodnik wysokogórski wprowadza turystę na szczyt Mont-Blanc. Turysta jest zmordowany jak nieszczęście, chory ze zmęczenia, przewodnik rumiany na buzi i zadowolony z życia. Pracował przecież przewodnik, a wypoczywał turysta, temu ostatniemu zazdrości się pięknych wakacji. Tylko stan ducha — konkluduje Vialatte — różni pracę od wypoczynku. Wracając do rzeczy poważnych warto jeszcze zasygnalizować znakomity szkic Maurice Blanchota w formie dialogu o nowej powieści Becketta *Jak to jest.*

Kwietniowy numer ESPRIT pod tytułem *Kuba — zagrożona rewolucja.*

dotarł do Warszawy w momencie, gdy załamywała się kontrrewolucyjna inwazja na wyspę. Trudno o większą aktualność. Lektura zgromadzonych w tym numerze artykułów, szkiców i materiałów nie nastraja jednak optymistycznie co do przyszłości rewolucji kubańskiej. Claude Julien w znakomitym artykule *Prototyp rewolucji* docieka cierpliwie motywów amerykańskiego zaślepienia w sprawie Kuby, powodów, które sprawiły, że administracja Kennedy'ego przyjęła w tej sprawie nie zmienione w niczym stanowisko poprzedniej, republikańskiej administracji. Jego zdaniem wojna ekonomiczna wydana przez Stany Zjednoczone Kubie (jak wiemy już, nie tylko ekonomiczna) spowodowana została przez trzy czynniki o żywotnym znaczeniu dla przyszłości Stanów Zjednoczonych. Po pierwsze reforma rolna i upaństwowienie niektórych gałęzi przemysłu podważyło kamień węgielny ekonomiki amerykańskiej, a mianowicie świętość i nienaruszalność własności prywatnej. Po drugie (co wypływa z pierwszego) Kuba daje zły przykład innym krajom Ameryki Łacińskiej i bezkarne upaństwowienie kapitałów amerykańskich na Kubie może wystraszyć amerykański kapitał prywatny, który inwestuje miliard dolarów rocznie w krajach Ameryki Południowej. Ten kapitał będzie musiał być wówczas zastąpiony bądź to przez kredyty państwowe, co poważnie zwiększy ciężar podatków, bądź też przez radziecką pomoc ekonomiczną, co znowu... lepiej nie mówić, co to znaczy dla Stanów Zjednoczonych. Po trzecie wreszcie, rewolucja kubańska zagraża wolnemu dostępowi Stanów Zjednoczonych do niewyczerpanych baz surowcowych w krajach nie rozwiniętych gospodarczo, a pamiętać należy, że Stany Zjednoczone konsumują rocznie 50% światowej produkcji (przy ludności wynoszącej 6% ludności świata). Wynika z tego jasno, iż nie ma najmniejszych szans na jakąkolwiek zmianę kursu polityki amerykańskiej wobec Fidela Castro. Ów czołowy oddział „wolnego świata", ów bastion zachodniej demokracji i wolności, jakim są podobno Stany Zjednoczone, musi zdusić i zdławić demokrację i wolność na Kubie. W grę wchodzą bowiem interesy o wiele ważniejsze, o wiele bardziej święte niż wolność i demokracja. Fidel Castro i lud kubański wygrali pierwszą bitwę, czeka ich jeszcze długa i nieustępliwa wojna.

Dość słaby jest wiosenny numer kwartalnika LES CAHIERS DES SAISONS. Na czoło wybija się opowiadanie *Pierścień* duńskiej pisarki Karen Blixen-Finecke, kandydującej do tegorocznej nagrody Nobla, oraz esej-wspomnienie Jean Schlumbergera o rozmowach nadreńskich prowadzonych z Ernstem Robertem Curtiusem w roku 1932, w przeddzień hitlerowskiego puczu. Obok tego, jak zwykle, parę nierównej wartości debiutów poetyckich i prozatorskich i fragment ciekawej powieści Henri Thomas *Aptekarz z Anvers*. Dobre wiersze Armen Lubina.

Kwietniowy numer LA TABLE RONDE przynosi dwie bardzo interesujące pozycje. Nikos Kazantzaki, niedawno zmarły wielki pisarz grecki, wspomina człowieka, który wywarł na jego twórczość największy wpływ obok Homera, Buddy, Nietzschego i Bergsona. Był to Alexiss Zorba, grecki zwyczajny chłop, prawie analfabeta, który bardziej niż jakikolwiek filozof czy intelektualista symbolizował w oczach pisarza całą ludową mądrość rasy. Sądząc z plastycznej sylwetki, jaką skreślił Kazantzaki, był to istotnie człowiek zdumiewający. Drugim tekstem zasługującym na wyróżnienie w tym numerze jest wstęp profesora René Huyghe'a, konserwatora Luwru i jednego z najwybitniejszych znawców sztuki dnia dzisiejszego, do trzeciego tomu monumentalnej historii sztuki wychodzącej w wydawnictwie Larousse pt. *L'art et l'homme, Sztuka i człowiek*. Esej René Huyghe'a nosi tytuł *Psychologia sztuki współczesnej* i ma dla zrozumienia źródeł sztuki nowoczesnej znaczenie zasadnicze. Warto też przeczytać esej André Marissela *Proust i Léon-Pierre Quint*, poświęcony pierwszemu krytykowi francuskiemu, który poznał się na geniuszu Prousta i walczył długi czas samotnie o przyznanie mu rangi, której dzisiaj nikt już nie kwestionuje.

Niewiele interesującego w kwietniowym numerze PREUVES. Szkic Denis de Rougemonta o *Don Juanie* Mozarta i *Tristanie* Wagnera, artykuł Henry Certigny o celniku Rousseau oraz

okrutnie zjeżdżający (bardzo stronniczy) szkic Aimé Patri o ostatniej książce Simone de Beauvoir *W sile wieku.*

Nienajgorszy jest za to ostatni numar MERCURE DE FRANCE. Zawiera jedno dobre opowiadanie (Françoise de Ligneris *Wiosna*), jeden dobry esej (Raymond Picarda *Świat Manon Lescaut*), ale najciekawszym akcentem tego numeru jest parę sylwetek „strasznych kobiet" (Atalii, Messaliny, Beatrix Cenci, markizy de Brinvilliers etc), skreślonych przez kilku wybitnych pisarzy nie współpracujących stale z *Mercure de France*, jak Michel Butor, Pierre Klossowski, Maurice Nadeau i in., z przedmową Jean Selza.

jl

Jugosławia

Jak wiadomo, Jugosławia należy do czołówki światowej co do ilości książkowych przekładów. Od r. 1945 do 1960 przełożono 8.500 tytułów i liczba ta rokrocznie wzrasta. To znaczne zainteresowanie oraz pośpiech w zapoznawaniu czytelnika z ostatnimi nowinkami można także zaobserwować na łamach nieomal wszystkich czasopism. Udostępnia się zarówno poezję jak prozę i filozofię. Np. lublańskie PERSPEKTIVE (z lutego) przynoszą obszerne fragmenty książki J. P. Sartre'a *Krytyka dialektycznego rozumu.* Bardzo dużo miejsca poświęca się nadal Saint-John Persowi (eseje, artykuły, przekłady). Z ciekawszych przekładów poetyckich odnotujmy z zagrzebskiej *Republiki* (z lutego) szereg wierszy wielkiego poety peruwiańskiego Cesara Vallejo (1893—1938), raczej mało znanego u nas, a przez niektórych cenionego wyżej od Nerudy. Jego poezja oznacza „pierwszy prawdziwie poetycki dotyk hiszpańskiego słowa z ustami Indianina".

Od pewnego czasu obserwuje się w Jugosławii renesans unowocześnionego mitu w dramacie. Po trylogii antycznej M. Matkovicia młody pisarz serbski Jovan Hristić ogłosił dramat *Czyste ręce* (*Ciste ruke*, motyw Antygony), grany obecnie z dużym powodzeniem w Belgradzie. Również znany pisarz słoweński, Dominik Smole opublikował w zeszłorocznych numerach *Perspektive* dramat *Antygona*, który przełożyły natychmiast splickie *Mogucnosti.*

Z otrzymanych czasopism za najbardziej interesujący trzeba uznać grudniowy numer nowosadzkich POLIA. Zamieszczono tu fragmenty referatów i dyskusji z II ogólnojugosłowiańskiego spotkania młodych intelektualistów (tzw. Stražilovski susret). Filozof Sveta Lukić w referacie pt. *Społeczne i intelektualne komponenty naszej współczesnej literatury* poświęca wiele miejsca zagadnieniu pozycji i roli kulturalnej tego kraju w obecnym świecie. Polemizuje z dość rozpowszechnionym przeświadczeniem o kulturalnej i intelektualnej prowincji i bada szanse Jugosławii jako pośrednika czy transformatora w dialogu między Wschodem i Zachodem (ma na myśli mniej więcej to, co Kisiel nazywał koncepcją „pomostu obrotowego").

Lukić szczególnie ostro rozprawia się z objawami snobizmu i kultu dla pewnych zjawisk intelektualnych Zachodu, drwiąc z prób „dopędzania" kulturalnego Zachodu: Każdą możliwość uplasowania się „tam" traktuje się jako ostateczną szansę, decydującą o narodowym losie. Stąd też, jak pisze, przecenia się każdy międzynarodowy „sukces", np. włoskie festiwale plastyczne, które przecież organizuje się kilka razy w roku w wielu ośrodkach turystycznych. Przytacza również fakty uznania poważnych pisarzy w kraju dopiero po laurach zagranicznych. Lukić dostrzega groźne niebezpieczeństwa profesjonalizacji artystów, co zachodzi obecnie po raz pierwszy w dziejach Jugosławii. M. in. chodzi mu o tworzenie się koterii i synekur, przede wszystkich w filmie, gdzie od lat działają ci sami, na ogół mało utalentowani, ludzie, akcentuje dalej niepokojący brak krytycyzmu artystów w odniesieniu do własnej twórczości itp.

Numer ten otwiera filozoficzny dys-

kurs między Agnostykiem, Teleologiem, Zwolennikiem i Przeciwnikiem Bergsona, Historykiem Filozofii i Pozytywistą pt. *Pusta słoma* pióra Mirosława Krleży, napisany z okazji setnej rocznicy śmierci A. Schopenhauera. W referacie pt. *Społeczno-ideologiczna struktura i postępowość współczesnej literatury*, wygłoszonym na tym spotkaniu (druk. *Perspektive* z listopada), Janko Kos pisze m. in.: „Twórczość literacką w okresie budownictwa socjalistycznego można rozpatrywać z różnych aspektów, jednakże niewątpliwie najważniejszy jest aspekt społeczno-ideologicznej struktury i postępowości zjawisk literackich. Pojęcie postępu jest kryterium aktywności jugosłowiańskiego socjalizmu". Omawiając twórczość literacką w Słowenii na tle rozwoju literatury światowej, Kos zwraca uwagę, iż po II wojnie światowej zaczął się integralny rozwój literatury i sztuki wedle odmiennych założeń ideologicznych i estetycznych w ramach politycznych obozów. W związku z wyodrębnieniem się dwóch sfer, zmniejszyły się możliwości polaryzacji.

Świetnie redagowany miesięcznik belgradzkich studentów VIDICI *(Horyzonty)*, skupiający wokół tej trybuny „wściekłych" niejako z rozsądku młody aktyw intelektualny stolicy, przyniósł w grudniowym numerze ciekawy esej poświęcony Tołstojowskiemu Bezuchowowi, Są to dywagacje nad różnymi wariantami poglądów bohatera w konfrontacji z jego „życiowymi" sytuacjami. (M. in. problem względności ludzkich pojęć, winy, bezpieczeństwa, szczęścia, sensu istnienia i śmierci.)

N. Disopra w art. *Kilka uwag o naszej książce* MOGUCNOSTI z lutego) pisze o ruchu wydawniczym, ilustrując swe wywody charakterystycznymi liczbami. W składach księgarń i wydawnictw znajduje się obecnie ponad 17 mil. egz. (rocznie drukuje się ok. 26 mil.). Z tego na wydania starsze niż cztery lata przypada ok. 1.250.000 egz., wniosek, że nie sprzedaje się książek nowych. Jakkolwiek wygląda to na paradoks ze względu na wysoką ekonomiczną cenę książki, głównym nabywcą jest prywatny odbiorca. Warto tu dodać, że Jugosławia należy do nielicznych krajów, gdzie wartość papieru i usług drukarskich równa się połowie detalicznej ceny książki np. w Czechosłowacji — 39%, w NRD — 29%. Autor stwierdza, że biblioteki kupują bardzo mało książek. W czasopiśmie *Knjiga i Svet* (z grudnia), organie Stowarzyszenia Przedsiębiorstw Wydawniczych, przytoczono w dyskusji nad tymi sprawami, iż w bogatej Wojewodynie sto publicznych bibliotek nie wydało w ostatnim roku ani jednego dinara na zakup książek. Disopra uważa, że gdyby biblioteki stały się poważniejszymi klientami, można by podnieść nakład książek (obecnie nakład przeciętny wynosi 5.000 egz.) i jednocześnie upłynnić remanenty magazynów. Do wymienionych trudności autor dodaje słabo rozwiniętą sieć księgarń (w 1960 r. — 1 na 30.000, w 1938 — 1 na 8.000).

W grudniowym numerze STVARANJE docent belgradzkiej polonistyki, Stojan Subotin, ogłosił obszerny esej o twórczości Kazimierza Brandysa, od współpracy z *Sygnałami* do *Listów do pani Z.* M. in. czytamy: „Mało który ze współczesnych pisarzy polskich powiązał w takim stopniu swą twórczość ze współczesną rzeczywistością polityczną jak... Kazimierz Brandys. Ta wierność sprawom bieżącej polityki sprawia w pewnym sensie, iż Brandys-artysta idzie na kompromis z Brandysem-działaczem kulturalnym, silnie zaangażowanym w aktualnym życiu politycznym. Jak rzadko u którego z pisarzy dzisiejszej Polski, na twórczości Brandysa, zresztą bardzo nierównej (np. autor krytycznie odnosi się do *Obywateli*), można śledzić rozwój pewnej części współczesnej literatury, którą stwarzali aktywni budowniczowie nowej Polski..." I konkluzja: „...Brandys jest stosunkowo młodym pisarzem i jego twórczość nie jest zamknięta. Jednakże określił już swoje podstawowe założenia i nie wierzę, by zostały one poważniej zachwiane. Nierówności i wątpliwości, które prawdopodobnie zaznaczą się w jego twórczości, będą jedynie świadectwem walki pisarza z własnymi ideałami i poglądami..."

Bardzo czynny i szczególnie zasłużony tłumacz polskiej poezji w Jugosławii, bibliotekarz nowosadzkiej Macierzy Serbskiej, Peter Vujićić, opublikował szkic (z tomu *Piekła i Orfeusze*) — *Piąta strona świata, wyobraźnia* (w

czasopiśmie *Rukovet* z lutego) i poemat *W imię twoje* (z tomu *Sprawa wyobraźni,* w czasopiśmie *Život,* ze stycznia i lutego) Zbigniewa Bieńkowskiego. W komentarzu tłumacza czytamy: „Bieńkowski jest zjawiskiem niezwykle nowym w poezji polskiej, niezmiernie bogatej i różnorodnej. Pojawił się bardzo dyskretnie tomem wierszy *Sprawa wyobraźni* (1945) i dopiero po piętnastu latach wydał swój drugi zbiór poezji *Trzy poematy* (1960). Cichy i dyskretny — ci, którzy znają go osobiście, opowiadają, że taki jest i w życiu prywatnym — Bieńkowski jest również wysoko ceniony w Polsce jako eseista. Uważa się go za jednego z najlepszych znawców nowoczesnej literatury europejskiej. Jego zbiór esejów *Piekła i Orfeusze* (1960), poświęconych literaturze zachodnio-europejskiej, stał się wydarzeniem sezonu, cały nakład rozszedł się w ciągu tygodnia. Znany jest także jako świetny tłumacz rosyjskiej i francuskiej poezji... Bieńkowski jest poetą intelektu. Główny temat jego pierwszego tomu został eksponowany w samym tytule: poeta akcentuje wyobraźnię jako podstawowy element poezji. Od pierwszej do drugiej książki przebył bardzo daleką drogę, stworzywszy całą swą kosmogonię w głęboko refleksyjnych *Trzech poematach,* które stanowią jedno z najwybitniejszych dzieł poezji polskiej na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat..." Vujićić czuje znakomicie klimat i ducha polszczyzny, w pracy nad przekładami trudnych rzeczy Bieńkowskiego wykazał nie tylko zrozumienie, ale słuch i subtelność. Na obszarze języka serbochorwackiego jest jednym z bardzo nielicznych tłumaczy-ambasadorów naszej poezji.

Równie świetny przekład *Śmierci inteligenta* i *Zaczarowanej dorożki* K. I. Gałczyńskiego ogłosili w lutowym numerze *Perspektive* Breda Pogorelec i Veno Taufer. Nadmienię jeszcze, że *Perspektive* bardzo konsekwentnie od kilku lat drukują przekłady polskiej poezji.

sk

Niemiecka Republika Demokratyczna

NEUE DEUTSCHE LITERATUR (Berlin), nr 4, kwiecień 1961 r. Numer kwietniowy ma charakter specjalny — upamiętnia piętnastolecie zjednoczenia dwóch niemieckich partii robotniczych w Socjalistyczną Partię Jedności Niemiec (SED).

Na wstępie Heinz Willmann, długoletni działacz KPD i współpracownik Thälmanna, drukuje — w związku z 75-leciem urodzin Ernsta Thälmanna — fragment wspomnień o przywódcy KPD, które niebawem ukażą się w druku pod tytułem *Nieśmiertelny syn Niemiec.*

W części literackiej przeważa proza. Dział ten zawiera jedną nowelę oraz sześć fragmentów powieściowych, które odtwarzają epizody z różnych okresów ruchu robotniczego w Niemczech, od czasów Republiki Weimarskiej, poprzez lata panowania narodowego socjalizmu, aż do czasów najnowszych włącznie.

Ten cykl epicki rozpoczyna *W przeddzień* Karla Vekena, który opisuje ostatnie lata Republiki Weimarskiej. Rozdział z książki Wernera Reinowskiego *Dwaj bracia* oddaje przeżycia działaczy zdelegalizowanej partii komunistycznej w Niemczech opanowanych przez faszyzm, w ostatnich latach poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej. Mniej więcej do tego samego okresu nawiązuje E. R. Greulich w urywku powieściowym zatytułowanym *Jego pierwsza akcja.* Akcja powieści Fritza Selbmanna toczy się w hitlerowskim obozie koncentracyjnym. Fragment *W obozie* opisuje grupę działaczy komunistycznych, którzy organizują opór więźniów w dramatycznych warunkach, gdzie każdy nieostrożny krok grozi śmiercią. Dwa ostatnie utwory, wyimek z powieści Bernharda Seegera *(Towarzysz Wollni pomaga na wsi)* i fragment powieściowy Marty Nawrath *(Egzamin),* przenoszą nas do czasów powojennych. Seeger opisuje pierwsze chwile tworzenia się spółdzielni produkcyjnej na

wsi, Nawrath — życie uczniów szkoły partyjnej.

Z publicystyki literackiej znajdujemy tylko jeden szkic, teoretyczną rozprawę Elisabeth Simons, która relacjonuje o działalności Związku Proletariacko-Rewolucyjnych Pisarzy w dobie Weimarskiej i ideowo-estetycznych założeniach tego zrzeszenia. Numer uzupełniają omówienia bieżących nowości wydawniczych w NRD i NRF oraz przegląd kulturalny.

THEATER DER ZEIT (Berlin), nr 4, kwiecień 1961 r. *Sąd honorowy* — to tytuł nowej sztuki Manfreda Richtera, który ogłasza w kwietniowym zeszycie jej krótki fragment. Richter należy do dobrze zapowiadających się dramaturgów młodszego pokolenia i zdobył już uznanie sztuką *Wyspa Pana Boga.*

Z materiału sprawozdawczego zwraca uwagę artykuł Karla Schönwolfa o inscenizacji *Borysa Godunowa* w Niemieckiej Operze Państwowej w Berlinie. „Bardzo zwarte w koncepcji — pisze krytyk o tym przedstawieniu. — Pod względem artystycznym wyśmienicie odtworzony, realistyczny teatr muzyczny. Rezultat wzorowej współpracy kolektywnej dyrygenta Kurta Sanderlinga i reżysera Heinza Rückerta oraz dekoratora Heinza Pfeiffenbergera...". Mimo to autor zgłasza zastrzeżenia z powodu opuszczenia epizodów polskich i końcowego aktu buntu. Dyrygent Sanderling uzasadnił te skróty tym, że owe sceny, później przez Mussorgskiego skomponowane, kłócą się z pierwotnymi zamierzeniami kompozytora i tworzą „obce ciało", które łamie styl muzykalnego dramatu ludowego. Krytyk uważa tę tezę za fałszywą i redukcję polskich scen za nieuzasadnioną.

Numer zawiera wiele materiału teoretycznego z dziedziny teatrologii, dużo wiadomości o pracy prowincjonalnych scen Niemieckiej Republiki Demokratycznej, szereg recenzji omawiających aktualny repertuar teatrów w Berlinie i innych miastach. O stanie teatrów w zachodnich Niemczech pisze André Müller, który stwierdza kryzys „teatru absurdu", wcale nie mniejszy od kryzysu teatru konwencjonalnego. „Mieszczański teatr konwencjonalny — pisze autor — przeżywa kryzys, nic już nie mówi o rzeczywistości, ani o dawnej, ani o dzisiejszej, stał się banalny, płaski, nudny i nieciekawy. Nie zawiera już żadnych treści i z tego powodu nie może znaleźć dla siebie odpowiedniej formy."

wz

Niemiecka Republika Federalna

NEUE DEUTSCHE HEFTE (Gütersloh), nr 80, marzec 1961 r. Poza nowelą Herberta Schmidt-Kaspara *Koniec w sierpniu* i cyklem wierszy Ottona von Taube, cały numer jest wypełniony pracami publicystycznymi z dziedziny kultury i literatury. Rolph Italiaander drukuje artykuł o zmarłym niedawno pisarzu niemieckim, Han Henny Jahnnie, Cuno Lehrmann pisze o żydowskiej literaturze, Adolf Frisé o powieści i eseju.

Szkic Friségo, który zredagował i przygotował do druku trzytomowe wydanie dzieł Roberta Musila, dotyka jednego z najciekawszych zagadnień współczesnej powieści. Zbliżenie europejskiej powieści do eseju, a nawet zespolenie się w pewnej mierze obu form, nastąpiło, zdaniem autora, po pierwszej wojnie światowej, i to głównie w dziełach Joyce'a *(Ulisses)*, Huxleya *(Kontrapunkt)*, Tomasza Manna *(Czarodziejska góra, Doktor Faustus)*, Gide'a, Sartre'a i Camusa. Punktem kulminacyjnym tego rozwoju jest *Człowiek bez właściwości* Roberta Musila, powieść, w której granica pomiędzy epiką i esejem całkowicie się zaciera, podobnie zresztą jak w trzecim tomie *Lunatyków* Hermanna Brocha. Frisé przypomina w związku z tym przepowiednię Stendhala: „Im bardziej się rozwija sztuka, tym bardziej będzie ona unaukowiona, w podobnej mierze, w jakiej nauka stanie się sztuką. Obie spotkają się na swych szczytach..."

„Eseizacja" powieści nie dokonała się bez sprzeciwów i opozycji. Niektórzy krytycy widzieli w tym zjawisku za-

gładę powieści, i tak na przykład amerykański interpretator Joyce'a nazwał *Ulissesa* „powieścią, która kładzie kres wszystkim powieściom". Z pisarzy przede wszystkim Hemingway jest przeciwnikiem symbiozy obu form. Znane są jego ataki przeciwko Huxleyowi, a w *Śmierci po południu* czytamy: „Jeśli pisarz wkłada w usta sztucznie skonstruowanych charakterów własne rozważania intelektualne, które może po taniej cenie sprzedać w eseju... to nie ma to nic wspólnego z literaturą. Ludzie w powieści, a nie sztucznie skonstruowane charaktery, muszą wyłonić się z nagromadzonych doświadczeń pisarza, z jego wiedzy, z jego głowy, z jego serca i ze wszystkiego, co w nim żyje".

Te sprzeciwy nie zapobiegły jednakże zbliżeniu powieści do eseju, zwłaszcza w prozie francuskiej i niemieckiej. „Nadszedł czas powieści polihistorycznej", proklamował Musil, który wszakże obwarował to zdanie zastrzeżeniem: „Nie chodzi o to, by polihistoryzm wcielić do powieści w postaci »uczonych« rozmów albo by w tym celu robić z naukowców bohaterów powieściowych. Powieść jest dziełem sztuki, ma przeto do czynienia z pra-motywami duszy, a podnoszenie »wykształconych« warstw społecznych do poziomu nosicieli powieści jest absolutnym kiczem".

Końcowa część miesięcznika zawiera bogaty dział omówień bieżących nowości wydawniczych.

MERKUR (Stuttgart), nr 157, marzec 1961 r. Prozę reprezentuje tylko jedna nowela, *Śmierć źrebięcia*, trzydziestoletniego dziennikarza szwajcarskiego, Jürga Federspiela, który ostatnio z powodzeniem debiutuje w epice. Z krytyki literackiej zwraca uwagę artykuł Nicoli Chiaromonte, znany zresztą z włoskiej prasy. Dennis Gabor, profesor optyki elektronowej i znakomity autorytet w dziedzinie cybernetyki, pisze o wpływie wynalazków, a w szczególności „mózgów elektronowych" na cywilizację.

„Wszystkie dotychczas skonstruowane maszyny — zaczyna Gabor — są w najlepszym wypadku bardzo zdolnymi organami wykonawczymi, które zawdzięczają swoje zdolności jedynie inteligencji konstruktora". Są to, jak powiada C. E. Shannon, „genialni idioci", którzy przewyższają najtęższe mózgi ludzkie przy przeprowadzaniu długich operacji matematycznych, ale niezdolni są do abstrakcyjnego uogólnienia lub induktywnych wniosków. Ale czy te mechanizmy nie zdegradują człowieka, nie zautomatyzują jego myślenia i nie pozbawią go indywidualności? Na to pytanie Gabor odpowiada:

„Jeśli intelektualiści zwalają winę za to na nas, uczonych i wynalazców, to nie możemy się tego wyprzeć. Ale miast ze wstydem pochylić głowy, powinniśmy odwrócić oskarżenie i zapytać: Kto zostawił ludzkość bez duchowej perspektywy? Owa część przyszłości, która nadal jest sprawą wolnej decyzji człowieka, nie obchodzi ani badaczy przyrody, ani twórców maszyn, ani nawet psychologów, lecz powinna być prerogatywą humanistów, poetów i pisarzy, jak to było w wielkich epokach przeszłości. A tymczasem od przeszło pokolenia nie otrzymujemy od nich nic innego, jak tylko mniej lub bardziej wytworne wybuchy rozpaczy i odrazy."

DIE KULTUR (Monachium), nr 161, marzec 1961 r. Tym razem przeważają zagadnienia literackie ujęte w kilka ciekawych i barwnych szkiców. Przegląd problemów i sylwetek literackich lub spraw z literaturą związanych rozpoczyna Herbert H. Wagner artykułem o Maxie Picardzie, szwajcarskim myślicielu, filozofie kultury i pisarzu, który cieszy się w niemieckich sferach kulturalnych dużym autorytetem moralnym. Ze szkicem Wagnera sąsiaduje studium Wolfganga Koeppena o Balzaku, zaopatrzone podtytułem „portret literacki". Zdawałoby się, że o autorze *Komedii ludzkiej* już nic nowego napisać nie można, a jednak praca Koeppena zaciekawia świeżością impresji.

Z zainteresowaniem czyta się fragment powieści Roberta Neumanna *Olimpia*, która wywołała w Niemczech duże poruszenie. Książka ta jest w pewnej mierze parodią *Feliksa Krulla* Tomasza Manna. Bohaterką Neumanna jest Olimpia, siostra Krulla, która w powieści Manna gra epizodyczną rolę, a tutaj występuje na plan pierwszy jako kiepska aktorka i wytrawna kokota. Powieść Neumanna jest co prawda aluzją literacką i czerpie podnietę z obcego dzieła, ale mimo wszystko

ma cechy oryginalnego utworu i zdradza pisarza o przepysznej fantazji.

Czy w Niemczech wydaje się za dużo książek? — oto pytanie, na które odpowiada Rolf Hirschberg. Autor zabiera głos w związku z powszechnymi lamentami, które się podnoszą w prasie i fachowych czasopismach na inflację drukowanego słowa, zalewającego czytelników i księgarzy. Skargi mnożą się szczególnie na przerost powieści — kto ma czas to wszystko przeczytać?

Co prawda w 1958 roku, pisze felietonista, ukazało się w Niemczech 20 000 tytułów, ale z tego tylko 17% przypada na literaturę piękną, która w roku 1959 zajęła jeszcze mniej, bo 15% ogólnej produkcji książkowej. Przy tym Niemcy zachodnie, jeśli się weźmie pod uwagę ilość książek przypadających na 100 000 mieszkańców, znajdują się w skali światowej na 17 miejscu. Nie ma zatem powodu do narzekań, tym bardziej jeśli się zważy, jak potężną konkurencją dla książki jest film, radio i telewizja.

Sporo informacji przynosi dział recenzji książek, przegląd filmowy i relacje teatralne.

rk

Stany Zjednoczone

THE KENION REVIEW (vol. XXIII, nr 1) otwiera programowy niemal szkic popularnego pisarza i naukowca angielskiego, C. P. Snowa *(Nauka, polityka i pisarz czyli ryba w sieci).* Snow występuje przeciw zawężeniu granic powieści, do czego w głównej mierze przyczynia się krytyka, której terror w traktowaniu utworu literackiego jako układu słów niezależnego od intencji autora skrzywił całą koncepcję powieści. Bastionami tej krytyki są ośrodki uniwersyteckie. Metody jej, stworzone do analizy poezji, nie były przystosowane do ogarnięcia wielkich konstrukcji powieści klasycznej; tą siatką można było złowić tylko co mniejsze płotki. Wprowadzenie strumienia świadomości usunęło tę trudność; tu bowiem można było studiować dzieło na małych cząsteczkach; kilka stron dawało mały model całości. Z tą chwilą, zdaniem Snowa, rozwój powieści został zahamowany i aby temu przeciwdziałać, kontakt pisarza z mechanizmem społecznym powinien być przywrócony. Jego interesują zwłaszcza polityka i nauka, tematy wyklęte przez współczesnych pisarzy, których pole widzenia zawęża się coraz bardziej. A może powodem tego jest niemożność nadążania za współczesną techniką, zrozumienia mechaniki władzy?

W dalszej części numeru znajdujemy rozdział autobiografii Franka O'Connora i inteligentny artykuł Jana Błońskiego o przyjmowaniu amerykańskiej literatury w Polsce, które odbywało się w dość specyficzny sposób, w czym jest kawałek naszej historii. Analogia między Faulknerem a polskim intelektualistą („obaj wyłonili się ze śmierci kultury") bardzo efektowna.

Pisząc o teatrze politycznym Eric Bentley kwestionuje użyteczność sztuki dla celów propagandy. Sztuka zmierza zawsze raczej do zrozumienia świata niż do jego zmiany. Zdaniem Dürrenmatta dramat społeczny nie ma przyszłości, gdyż przy obecnym zbiurokratyzowaniu i anonimowości świata pisarz może zajmować się tylko ofiarami.

PARTISAN REVIEW (vol. XXVIII, nr 1) przynosi kilka interesujących pozycji eseistycznych. Lionela Trillinga *O elementach nowoczesności we współczesnej literaturze* to także tytuł pierwszego inauguracyjnego wykładu Matthew Arnold w Oxfordzie w 1857 roku. Trilling mówi o swoich trudnościach w nauczaniu literatury współczesnej na uniwersytecie. Szokująco osobisty charakter tej literatury wymaga, poza technicznym wprowadzeniem, osobistego świadectwa, zmusza do odsłonięcia własnych uczuć i poglądów. Trilling widzi sytuacje literackie na tle historii kultury jako wielkie batalie o cele moralne. Współczesne elementy w literaturze to u Jamesa Frazera tajemnica śmierci i ponownych narodzin, u Nietzschego kanonizacja pier-

wotnych, sprzecznych z etyką energii, wytyczająca historyczną linię od poezji Blake'a do Conrada *Jądra ciemności* i Tomasza Manna *Śmierci w Wenecji*, to okrucieństwo jako społeczna konieczność. W książkach poświęconych wyzwoleniu świadomości Nietzsche przeprowadza obronę nieczystego sumienia jako decydującej siły w rozwoju kultury. Od *Genealogii moralności* do Freuda *Civilisation and its Discontents* tylko krok. Freud uważał, że usprawiedliwieniem życia jest nasza heroiczna odpowiedź na jego wyzwanie. Jedną z najbardziej charakterystycznych cech naszej współczesnej literatury jest — zdaniem Trillinga — zastąpienie bohatera anty-bohaterem (Dostojewski z *Notes from Underground*, Kafka), głównym jej celem zaś — uwolnienie się od moralności klasy średniej.

Frank Kermode przypomina tancerkę, która, zanim balet Diagilewa przybył do Paryża w 1909 r., „wcieliła marzenie Mallarmégo w życie". O Loïe Fuller nie napisano żadnej książki poza jej własną autobiografią. A przecież ona pierwsza stworzyła nowy rodzaj tańca, opartego na optycznych efektach ruchu oświetlonych zwojów jedwabiu, rewolucjonizując całą gałąź estetyki. Nie znając zupełnie techniki klasycznego tańca, potrafiła wskrzesić zapomniane cuda greckiej mimikry. Kariera Fuller była zawrotna. W 1893 odkrywa ją Mallarmé, dla którego staje się ona wyobrażeniem ducha nienarodzonej estetyki. Jest przedmiotem wielu poetyckich komentarzy. Valéry nazywa sztukę jej stanem prawie nadludzkim. Teoria bezosobowości sztuki bliska była T. E. Hulme'owi i T. S. Eliotowi, toteż dehumanizacja tańca ma wiele punktów stycznych ze współczesną poezją.

Żaden tłumacz nie miał zdolności czy szczęścia przyswoić kulturze anglosaskiej Racine'a. W bieżącym numerze znajdujemy fragmenty z *Fedry* w przekładzie Roberta Lowella, który, z braku sylabicznego aleksandryna, posłużył się metryką Pope'a i Drydena.

Prozę reprezentuje duże opowiadanie Jaszy Kesslera *Detektyw*.

Obok wymienionych pozycji oba magazyny zamieszczają duży wybór poezji i recenzji książkowych.

CHICAGO REVIEW (vol. XIV, nr 3). Na czoło wysuwa się polemika Richarda Chase'a ze stanowiskiem Leslie Fiedlera, wyrażonym w jego ostatniej książce (*Miłość i śmierć w powieści amerykańskiej*). Leslie Fiedler, który zwrócił na siebie uwagę w ostatnich latach sądami szokującymi i błyskotliwymi, jest raczej uzdolnionym badaczem kultury niż odpowiedzialnym krytykiem literackim. Fiedler twierdzi, że powieść amerykańska, nie mogąc osiągnąć dojrzałości w sferze stosunków między obu płciami, stała się powieścią „mężczyzn bez kobiet", gotycką powieścią gwałtu i wreszcie śmierci. Chase polemizuje z tą tezą, jego zdaniem bardzo uproszczoną, jeżeli nie naciągniętą. Analiza utworów, na których Fiedler opiera swe wywody, jest tendencyjna. Niemniej oskarżenie, jakie wytacza Fiedler kulturze amerykańskiej, jest w jakiś sposób aktualne.

W szkicu pt. *Mały, smutny świat Jamesa Purdy* Paul Herr zaznajamia nas z pisarzem, który „mówi w niewielu słowach więcej o głodzie i grozie dzisiejszego życia niż cały chór bestsellerów o życiu szarego człowieka, od Irvina Shawa do Hermana Wouka". Oto piętnastoletni chłopak Malcolm czeka całymi dniami na ławce w parku naprzeciw hotelu na ojca, który zniknął, zanim powieść się zaczęła. Wizja prawie beckettowska, pod którą można podsunąć tyle znaczeń, ile się chce. James Purdy jest autorem kilku książek i, jak się wydaje, zjawiskiem istotnie interesującym.

Edwin Morgan przedstawia nam twórczość literacką Mervyna Peake, artysty o silnie rozwiniętej wyobraźni wizualnej. Peake do pisania zabrał się służąc w wojsku w czasie drugiej wojny światowej. Dziś, poza swoją pracą (rysunek, malarstwo, ilustracje książkowe), jest autorem dwu tomików poezji, jednej sztuki i czterech powieści fantastycznych.

W numerze znajdujemy ponadto omówienie dzieła Raymonda Williamsa *Kultura i społeczeństwo 1780—1950* oraz cokolwiek sofistyczne i prawdopodobnie spóźnione rozważania na temat stosunku Zachodu do Afryki. Wreszcie w artykule, na temat polityki wydawniczej, Allan Swollow snuje rozważania i propozycje, w jaki sposób interesy elity intelektualnej byłyby należycie zabezpieczone.

NEW WORLD WRITING, którego nr 17 spadł nam jak z nieba, należy do legendarnych „małych magazynów", wykwitających jak efemerydy za sprawą kilku zapaleńców i stanowiących odbicie literatury *in statu nascendi*. Zamówić mały magazyn drogą oficjalną jest prawie niepodobieństwem, toteż otrzymanie go było nie lada gratką, a lektura prawdziwą przyjemnością. Dwa lata temu pismo to zawiesiło swoją działalność na numerze 15 i dopiero niedawno wznowiło ją na nowo po zmianie wydawcy i redakcji. Jest to spora i bardzo przyjemnie wydana książeczka, składająca się z dużej porcji opowiadań początkujących lub debiutujących pisarzy i odrobiny wierszy dla złapania oddechu. Krytyki nie ma. Gwoździem numeru jest szkic Otto Friedricha *(Ezra Pound The Guide to Kulchur)*, będący jednym rozdziałem książki, na tematy amerykańskiej literatury, którą właśnie pisze. W niezwykle interesujący i bezkompromisowy sposób autor referuje casus Pounda jako bunt przeciw państwu. Pound nigdy nie uznał swojej winy, nigdy też nie odwołał ani słowa z ideologii, która doprowadziła do jego oskarżenia i osądzenia. W każdej próbie oceny twórczości Pounda (*Pisan Cantos*, pisane, kiedy był więźniem armii amerykańskiej we Włoszech, otrzymały w 1949 r. Bollingen Prize i są zaliczane do arcydzieł XX wieku) sprawa jego zdrady nie może być pominięta. Dla wielu intelektualistów opinia Allena Tate, że audycje radiowe Pounda „nie miały wpływu na nikogo", wydawała się najprostszym wyjściem z kłopotliwej sytuacji. W przeciwieństwie jednak do innych przestępstw zdrada jest raczej sprawą intencji niż osiągniętych efektów. Jeżeli nawet poety nie obowiązuje lojalność w stosunku do „geograficznej abstrakcji", to obowiązuje go lojalność w stosunku do idei wolności. Z tego punktu widzenia Pound był zdrajcą albo psychopatą.

Szkic Friedricha zawiera jeszcze ciekawe uwagi na temat mecenatu państwowego. Najbardziej oczywistym argumentem przeciw subsydiowaniu kultury przez państwo jest, że nieuchronnym następstwem tego staje się cenzura. Pound i wielu innych artystów zdaje się nie rozumieć, że pieniądze daje się w zamian za coś i że nabywca kontroluje rynek. W Ameryce midasowe złoto fundacji, rozprowadzane za pośrednictwem uniwersytetów, przyczynia się tylko do popierania martwej akademickości. „Ilekroć fundacja położy martwą rękę na jakimś kwartalniku, to po to, aby chwasty mogły się rozrastać kosztem kwiatów."

THE SIXTIES (nr 4) to pismo poświęcone wyłącznie poezji i uwagom typu warsztatowego. Rok temu nazywało się *Fifties* i, jak nazwa wskazuje, jest trybuną twórczości poetyckiej ostatnich dziesięciu lat. Poetów obcych to ograniczenie wieku nie obowiązuje, chodzi bowiem o przyswajanie zjawisk bezspornie wybitnych, natomiast warunkiem jest, aby przekład był robiony przez poetę, a nie tylko tłumacza. Teksty przekładów są dwujęzyczne. Często słyszy się utyskiwania, że poezja amerykańska jest odizolowana i że grozi jej wyjałowienie tradycji. Otóż, jak się dowiadujemy, poezja najmłodsza zaczyna coraz silniej zdradzać wpływ poezji hiszpańskiej i południowo-amerykańskiej. W omawianym numerze znajdujemy przekłady Enrique Gonzales Martineza, jednego z najlepszych poetów meksykańskich, i dwu poetów hiszpańskich, Antonio Machado i Federico Garcia Lorca. Poza omówieniem nowych tomików poezji pismo prowadzi zabawny dział zatytułowany *Gabinet figur woskowych Madame Tussaud*, w którym cytowani są znani i uznani poeci współcześni na zasadzie Camery Obscury.

at

NOWYJ MIR przynosi w marcowym numerze nowy utwór utalentowanego prozaika radzieckiego Włodzimierza Tiendriakowa, którego opowiadanie *Trójka, siódemka, as* drukowaliśmy w zeszłorocznym majowym numerze naszego pisma. Jest to również dłuższe opowiadanie, które nosi tytuł *Sąd* i poświęcone jest problemom moralności — w szerokim znaczeniu tego słowa. Tezą naczelną, żarliwie postulowaną przez autora, jest absolutna równość wszystkich ludzi — poczynając od jednostek znikomych a kończąc na najbardziej wybitnych — wobec prawa moralnego. Każdy człowiek, niezależnie od swych walorów i przydatności społecznej, obarczony jest jednakową odpowiedzialnością za zamierzone czy niezamierzone skutki swoich czynów. Wszelkie odstępstwo od tej zasady prowadzi do klęski moralnej i życiowej. Dramatyczna akcja *Sądu* (przypadkowe zabójstwo na polowaniu na niedźwiedzia staje się powodem głębokiej rozterki wewnętrznej starego myśliwego, który zna prawdziwego sprawcę wypadku, ale boi się go wskazać) uwypukla ostrą problematykę utworu. Na marginesie dwóch ostatnich opowiadań Tiendriakowa warto zaznaczyć, że ten gatunek chyba znacznie bardziej odpowiada jego usposobieniu twórczemu niż powieść, którą autor dotychczas uprawiał.

W tym samym numerze miesięcznika znajdujemy obszerne fragmenty *Spiżowej bramy* Tadeusza Brezy. Liczne wypowiedzi w radzieckiej prasie literackiej świadczą o tym, że nasz zeszłoroczny bestseller wzbudził tam ogromne zainteresowanie.

W dziale poezji naczelne miejsce zajmuje nowy cykl wierszy Margarity Aliger *Dwa spotkania* (1958—1960). Są to refleksje z podróży autorki do Niemiec. Poza tym *Nowyj Mir* zamieszcza utwory białoruskiego poety Piatrusia Browki oraz obszerny wybór poetów Ghany.

Z pozostałych pozycji warto odnotować *Głęboki ekran* G. Kozincewa — cenne wspomnienia o epoce narodzin filmu radzieckiego, oraz recenzję L. Łazariewa noweli Siergieja Antonowa *Pusty kurs*. Nowela ta, która ukazała się w ubiegłym roku w miesięczniku *Junost'*, została oceniona zgodnie przez krytykę jako jeden z najciekawszych utworów tego znanego pisarza.

Kwietniowy OKTIABR zakończył publikację nowej powieści Siemiona Babajewskiego *Bunt synowski*. Wydaje się, że nie zajmie ona wybitnego miejsca wśród interesujących dzieł literatury radzieckiej lat ostatnich. Frapująca tematyka przeobrażeń, którym uległo życie na wsi rosyjskiej po XX Zjeździe, nie znalazła w tym utworze swojego wyrazu artystycznego. Na tym polu, jak dotychczas, znacznie większe osiągnięcia mają do zanotowania noweliści, którym lepiej udało się sprostać gwałtownie rosnącemu zapotrzebowaniu na treściwą i celną literaturę, wyzwoloną ze schematów i dążącą do rzetelnego ukazania człowieka współczesnego i jego skomplikowanych spraw życiowych. Taka na przykład kronika wiejska Włodzimierza Wojnowicza *Tutaj mieszkamy* ukazuje nam dzisiejszą wieś radziecką w sposób o ileż bardziej pasjonujący niż wspomniany *Bunt synowski*.

W tym samym numerze znajdujemy trzy opowiadania początkującego prozaika Wasyla Szukszyna, należącego do koła literackiego przy redakcji *Oktiabra*. Tego rodzaju ułatwianie debiutu młodym prozaikom jest niewątpliwie inicjatywą godną odnotowania.

Dział poezji przynosi nowe wiersze Mikołaja Asiejewa, Aleksandra Prokofjewa (poeta został wysunięty do Nagrody Leninowskiej za twórczość lat ostatnich), Jarosława Smielakowa, Grigorija Sannikowa, Eugeniusza Dołmatowskiego, Iwana Riadczenko oraz Jurija Grunina.

W dziale pamiętnikarskim *Oktiabr* drukuje wspomnienia marszałka Woroszyłowa z okresu walk o utrwalenie władzy radzieckiej (likwidacja buntu kronsztadzkiego w 1921 r.).

Wśród materiałów krytycznoliterackich znajdujemy krótki, lecz nader treściwy esej Maksyma Rylskiego *Światopogląd poetycki Tarasa Szewczenki*.

Utalentowany krytyk literacki młodszego pokolenia, Emil Kardin, rozprawia się ostro w szkicu *Po przezwycię-*

żeniu przyciągania ziemi ze szmirą i tandetą „międzyplanetarno-rakietową", która pleni się bujnie na peryferiach literatury. Kardin, operując licznymi cytatami, wykpiwa bezlitośnie autorów tych dzieł, którzy żerują na ogólnym zainteresowaniu kosmonautyką.

Moskiewski miesięcznik ZNAMIA, który niedawno obchodził swoje trzydziestolecie, przynosi w kwietniowym numerze obfitą porcję prozy. F. Taurin publikuje pierwszą część powieści *Grzmiące porohy*. Jest to utwór o tematyce współczesnej, którego akcja rozgrywa się w nowopowstającym okręgu przemysłowym. *Znamia* drukuje także opowiadanie Georgija Siemionowa *Nad Wołgą* oraz nowelę Seana O'Caseya *Wiosna*.

W dziale poezji — nowe wiersze Leonida Martynowa oraz poemat Andrieja Małyszki *Opowiadanie kolejarza*.

Wybitny prozaik młodego pokolenia, Jurij Kazakow, przerzucił się tym razem na reportaż. Jego *Dziennik północy*, obfitujący w dygresje liryczne, świadczy o doskonałym warsztacie, dużej wrażliwości na przyrodę i wyraźnym pokrewieństwie ze starymi mistrzami noweli rosyjskiej.

Nasz niedawny gość, poeta i prozaik Włodzimierz Sołouchin, drukuje ostatnią część swoich *Pocztówek z Wietnamu*.

Kwietniowa MOSKWA rozpoczęła druk powieści Frydy Wigdorowej *Szczęście rodzinne*. Autorka, której wiele utworów zostało przetłumaczonych na język polski, znana jest jako gorąca propagatorka idei wychowawczych Makarenki. Do powieści tej jeszcze powrócimy.

W tym samym numerze znajdujemy dalszy ciąg powieści Gennadija Siemienichina *Niebo nad Moskwą jest czyste*, której akcja rozgrywa się podczas ostatniej wojny, oraz opowiadanie Siergieja Barudzina *Nowe Dworiki*.

Moskwa przynosi także nowe wiersze poetów moskiewskich — Dymitra Kowalowa, Mikołaja Dorizo i Łarisy Wasiljewej.

INOSTRANNAJA LITÍERATURA kontynuuje druk *Skradzionej młodości* Wolfganga Neuhausa oraz *Spotkania na dalekim południku* Michella Wilsona.

Poezja reprezentowana jest tym razem jedynie przez cykl wierszy poety bułgarskiego Damiana Damianowa *Męstwo*.

W dziale krytyki literackiej prof. E. Kiryluk zamieszcza artykuł pt. *Taras Szewczenko w literaturach słowiańskich*. Znajdujemy tam m. in. liczne wzmianki o braterskiej przyjaźni łączącej wielkiego poetę ukraińskiego z polskimi zesłańcami i działaczami politycznymi.

Z innych pozycji działu odnotować należy artykuł M. Korałłowa *Róża Luksemburg jako krytyk literacki* oraz esej P. Bałaszowa — *Jedność pierwiastków lirycznych i epickich* (O nowatorstwie artystycznym Seana O'Casey).

N. W. Reformatskaja publikuje niezwykle ciekawe materiały dotyczące pobytu Włodzimierza Majakowskiego we Francji w r. 1922, podczas którego poeta nawiązał bardzo serdeczną przyjaźń z wybitnymi malarzami francuskimi: Fernandem Léger i Robertem Delaunay.

Numer — jak zwykle — uzupełnia bogata kronika kulturalna, w której znajdujemy m. in. noty o planach twórczych polskich pisarzy oraz krótkie sprawozdanie z jubileuszu *Szpilek*.

W 3-im numerze TEATRU ukazała się zapowiadana od dawna nowa sztuka Aleksieja Arbuzowa — melodramat *Zgubiony syn*.

zf

MŁODA ŁÓDŹ

Na mapie kulturalnej Łódź nie była wyróżniana symbolem odpowiadającym w jakimś chociażby stopniu jej pozycji demograficznej, ekonomicznej. W porównaniu z dawnym Krakowem czy dzisiejszym Wrocławiem była, a zwyczajowo myślimy — jest, Kopciuszkiem, ośrodkiem wtórnym, pozbawionym samodzielności, po prostu odległym przedmieściem Warszawy. Środowisko literackie, to oficjalne, wyżywało się w sporach, jeśli nie wieszczów, to bonzów, środowisko młode natomiast wyżywało się w jałowym buncie przeciwko tamtej oficjalności. A inne środowiska? Plastyczne, filmowe, w ogóle intelektualne? Cóż można było o nich powiedzieć? Lata powojenne, które uczyniły z Łodzi równorzędną Krakowowi centralę intelektualną, minęły niemal bez śladu, a raczej owszem, ze śladem, zostawiając osad ambicjonalnych póz i sporów. To żywe, prężne, energiczne miasto robotnicze nie miało — tak się przynajmniej mogło wydawać — szczęścia do artystów, intelektualistów i form życia kulturalnego. Naiwne sformułowanie oczywiście, co tu ma szczęście do rzeczy. A więc warunków? Także nie. Kilka wyższych uczelni: uniwersytet, wyższa szkoła filmowa, wyższa szkoła sztuk plastycznych, konserwatorium — dawały przecie Łodzi i jej młodzieży, jak to się mówi, wszystkie możliwości intelektualnego i artystycznego fermentu. Powołane do życia przed kilkoma laty Wydawnictwo Łódzkie było nie tyle już bodźcem, co konkretną odpowiedzią na żywe i istniejące potrzeby. Środowisko literackie wydało na przestrzeni ostatnich lat szereg interesujących debiutów. W Łodzi właśnie powstało jedyne w Polsce pismo poświęcone całkowicie poezji, *Rzecz Poetycka*, puszczona w ruch przez doświadczonego redaktora *Okolicy Poetów*, Stanisława Czernika, a kontynuowana przez Tadeusza Chróścielewskiego. Ferment więc intelektualny i artystyczny istnieje, nie od dziś istnieje. Ale dzisiaj przybrał nową, jaskrawą postać, ogarnął młodzież nie jednego, ale wielu środowisk.

Mam przed oczami jednodniówkę wydaną przez artystyczną grupę „Nowa Linia" i Komitet Łódzki ZMS — *Z tej strony*. Czytuję czasopisma artystyczno-literackie czy literacko-społeczne środowisk pozawarszawskich, mam skalę porównawczą. Otóż publikacji tak świeżej, młodej, ambitnej i jednocześnie związanej nie formalnie, ale jak najbardziej istotnie z własnym terenem jeszcze nie spotkałem. Ta Łódź, o której miałem tzw. urobione zdanie, nagle mi się objawiła od strony nieoczekiwanej, właśnie „z tej strony". A „ta strona" to autentyczna problematyka artystyczna. Autentyczna, nie owijająca się bluszczowo wokół centralnych dyskusji, nie podrabiająca tzw. czołowych schematów, ale własna, szczegółowa i przez tę szczegółowość dopiero ogólna. Artystyczna i intelektualna problematyka młodej Łodzi wywodzi się z konkretnych potrzeb konkretnego życia.

Z tej strony na czterdziestu czterech stronicach formatu *Problemów* mówi o tym, co Łódź artystyczną najbar-

dziej obchodzi. Jest tu niemal wszystko prócz muzyki. Plastyka, film, teatr, literatura (młoda proza, młoda poezja, młoda krytyka), organizacja życia umysłowego, publicystyka... Najsilniejszą stroną pisma jest — co było do przewidzenia, co jest w Łodzi jak najbardziej naturalne — plastyka. Artykuły i szkice Przybosia, Jerzego Nowosielskiego, Jerzego Skurzycy i historyka sztuki Jana Kowalskiego, ukazują logikę rozwoju łódzkiej nowoczesności plastycznej. Wymieniam tylko: grupa „ar", działalność i promieniowanie Strzemińskiego; zarysowanie się i działalność tego, co trzeba określić łódzką szkołą (w sensie prądu) plastyki z takimi indywidualnościami, jak Nowosielski, Fijałkowski, Kondek, Kunka, Starczewski, Szadkowski, którzy reprezentują nie tylko odrębne style, ale i odrębne dziedziny plastyki; wreszcie wzornictwo przemysłowe, będące czynnikiem sukcesów naszych tekstyliów (ale i nie tylko tekstyliów) na rynkach krajowych i zagranicznych. Liczne reprodukcje malarstwa (Strzemiński, Nowosielski, Fijałkowski, Kunka), rzeźby, metalu i ceramiki (Szadkowski, Kondek, Starczewski, Zieliński), tkanin (Strumiłło, Kosiński, Kosińska, Witkowska, Bławut, Hałat) dają, mimo średniej jakości papieru, na którym są drukowane, przegląd tej bardzo bogatej różnorodności.

Obok plastyki poezja. Dużo poezji, poezji młodej przede wszystkim. Kilku poetów starszych, i to starszych przez porównanie tylko (Łoboda, Pogonowska, Waleńczyk, Gicgier, Czarny). Poza tym bardzo młodzi i najmłodsi. Nie chciałbym wystawiać cenzurek nikomu, ale kilka utworów zwraca uwagę świeżością, o którą nie tak łatwo „na dzisiejszym etapie" poetyckiego awangardowania. A więc za wybitne utwory uważam *Tropik* Konrada Frejdlicha, *Ludzie starzy...* Roberta Glutha, wiersz bez tytułu Józefa Henryka Wiśniewskiego i — a może przede wszystkim — *Zamykanie rzeźni* Jana Florczaka.

Jest i proza. Tu przede wszystkim znakomite opowiadanie Andrzeja Brychta *Bluff*. O młodym filmie i potrzebach eksperymentu pisze Maria Kornatowska, o łódzkich problemach teatralnych — Stanisław Kaszyński. Jest ostra (może za ostra w stosunku do Łobody) krytyka, niebanalna dyskusja poetycka.

Trudno o więcej w jednym numerze. *Z tej strony* to dokument energii artystycznej młodej Łodzi. Jednodniówka, ale warta awansu na periodyk. Trzeba mieć nadzieję, że opieka Komitetu Łódzkiego ZMS nie będzie jednorazowa. Ci młodzi mają coś do powiedzenia, tam jest świadomość artystyczna i świadomość związków ze społeczeństwem.

b

ZANIEDBANIA

Dzięki wysiłkom krytyków i wydawnictw ukazała się u nas w ostatnich latach niejedna dobrze opracowana książka. Specjalnie cieszyć się można z ukazania się wielu słowników oraz encyklopedii. Pomimo to są pewne sprawy niezrozumiałe, które wymagają alarmu.

Po dziś dzień nie opracowana jest należycie przez krytyków literatura osiemnastego wieku. Antologie poezji z tego wieku, które ukazały się parę lat temu, grzeszyły daleko idącymi błędami. Ciągle wydajemy „Wybory" bardzo subiektywnie zredagowane, a należałoby chociaż raz w całości wydać twórczość najwybitniejszych pisarzy tego okresu.

Cały dziewiętnasty wiek poezji polskiej, pisanej w kraju, nigdy nie był wydany i po dziś dzień nie ukazało się ani jedno krytyczne wydanie ani jednego poety z tego okresu. Pomyśleć, cały wiek twórczości nie opracowany i nie wydany, ba, żaden „Instytut Naukowy" ani „Akademia Nauk", ani nawet żaden wydział uniwersytecki nie zajął się systematycznym zbieraniem i opracowaniem twórczości poetów krajowych XIX-go wieku.

Jest to „zjawisko" co najmniej dziwne, nie znane w żadnym innym kraju. Z całego tego wieku literatury po ostatniej wojnie ukazało się dosłownie kilka „Wyborków", bardziej lub mniej inteligentnie ułożonych. Pod tym względem twórczo wyróżniają się dwie antologie: Tuwima *Księga wierszy polskich XIX wieku* oraz Hertza *Zbiór polskich wierszy XIX wieku*. Są to inteligentne książki i zapewne pozwolą zorientować się w problemach XIX-wiecznej poezji, ale nie mogą one

zastąpić normalnych pełnych edycji poetów tego okresu. Wydawnictwo *Dzieł wszystkich* Konopnickiej nie zostało nigdy zakończone. Utworów Syrokomli nikt dotychczas nie zebrał, a przecież jest to o tyle ciekawy twórca, że pisał również w języku białoruskim. Nigdy właściwie nie było wydania krytycznego dzieł Lenartowicza, Zmorskiego, Berwińskiego i tylu, tylu innych. Rozumiem doskonale, że mogą być trudności w wydaniu tych poetów, ale z drugiej strony nie mogę zgodzić się z tym, aby cały wiek literatury był nie opracowany i nie wydany. Tu konieczny jest wspólny wysiłek PAN-u, Instytutu Badań Literackich oraz katedr polonistycznych. Jest to praca na wiele lat, wyobrażam to sobie jako kolektywnie zaplanowaną pracę zespołów studentów pod kierownictwem profesorów. Powinna powstać również odpowiednia pracownia przy IBL-u. Zebrane i opracowane utwory znajdą wydawców, a równocześnie uchronią wielu krytyków przed błędami przedwczesnych osądów i nieudokumentowanych syntez. Myślę, że podobnie jak to się dzieje w innych krajach, w tym wypadku można zaplanować specjalną biblioteczkę.

Wspomniałem w tej nocie o nie wydanej literaturze polskiej XVIII-go i XIX-go wieku, na zakończenie pozostaje sprawa bodajże najważniejsza. Dotychczas nie ukazały się *Dzieła wszystkie* genialnego poety Cypriana Norwida. Jakże tragiczny jest los Norwida. Nie uznawany przez całe życie, tyle dziesiątków lat całkowicie zapomniany, ślimaczo wydawany przez Miriama, po ostatniej wojnie, kiedy sława jego całkowicie ugruntowała się, znowu zostaje uwięziony w równie czułych rękach innego krytyka. Istnieje uchwała Rządu o wydaniu *Dzieł wszystkich* Norwida, istnieje zawarta umowa na wydanie tych dzieł z Państwowym Instytutem Wydawniczym. Wydawnictwo w każdej chwili wydałoby *Dzieła* Norwida, niestety po dziś dzień praca edytorska ślimaczy się w nieskończoność. Rozumiem czułość, rozumiem troskliwość edytorską, cenię żyłkę szperacką, ale wszystko to razem nie może być usprawiedliwieniem.

Uważam, że należy niezwłocznie powołać na nowo realny zespół naukowców i pisarzy, który by w oparciu o dotychczasowe badania był w stanie do końca obecnego roku przygotować co najmniej parę pierwszych tomów do druku. Dotychczasowa nieruchawość jest niepokojąca.

jasp

SZANSA KLASYKÓW

Przekładanie poezji epok odległych, przekładanie klasyków, to sprawa, która, wydaje mi się, warta jest dyskusji. Praktyka przekładu poetyckiego zmusza do bardzo wielu i nie zawsze przekonywających ustępstw, rezygnacji, więcej — do przyjmowania konwencji pozornych. Nie chodzi mi w tej chwili o drobiazgi warsztatowe. Sprawa pierwsza: język. Jakim językiem współczesny poeta ma tłumaczyć Charles d'Orléans, Villona, Ronsarda? Językiem epoki czy językiem współczesnym? Są, a raczej bywali zwolennicy jednej konwencji, są zwolennicy drugiej. Pierwsza prowadzi do stylizacji. Językiem Kochanowskiego można tłumaczyć Ronsarda, załóżmy. Ale jakim językiem tłumaczyć Villona i poetów jeszcze wcześniejszych, których język jest już bogaty, uformowany. Jakim językiem tłumaczyć np. trubadurów? W praktyce doszlibyśmy do jakiegoś fikcyjnego języka, nie tylko już nie istniejącego, ale nie istniejącego nigdy. Poeci dzisiejsi porzucili tę drogę. Ale jeszcze Boy tłumaczył *Testament* Villona językiem na pół odgrzebanym, na pół spreparowanym, językiem czystej konwencji. Dzisiaj obowiązuje inne prawo. Decyduje moment odczytania. Poeta współczesny odczytujący dzisiaj klasyka przeżywa go dzisiejszą wrażliwością. Jak dzisiejsze wzruszenie oddać w sposób prawdziwy? Językiem tego wzruszenia, językiem współczesnym. To jest tak niewątpliwe, że nie zawiera już nawet ziarnka dyskusyjnego. Tłumaczy się więc poetów epok odległych językiem współczesnym. Tym samym językiem tłumaczymy Szekspira i Ronsarda, Scève'a i Wiktora Hugo. Wyobraźnia współczesnego poety wciela się w wyobraźnię poety dawnego. Otrzymujemy utwory autentyczne. A o to chodzi przede wszystkim. Odcięto się od stylizacji, od podrabiania, od udawania języka i środków wyrazu.

Ale to jest dopiero pierwsza połowa zagadnienia. Jest jeszcze połowa druga. Współczesny poeta tłumacząc dawnego poetę współczesnym językiem nie podrabia już, ratuje autentyczność, zapewne, ale czy całkowicie? Językiem współczesnym nazywa odległe w czasie obrazy i wizje. Schodzi z historycznego punktu widzenia. To, co dawne, przeżywa jak dzisiejsze. Tak. Ale przecież zachowuje konwencje czasów minionych, konwencje poetyk zastygłych, skamieniałych, umarłych, które dla współczesnego czytelnika są progiem wrażliwości, progiem często nie do przekroczenia. Poeta dawny został językiem współczesnym pozbawiony swojego miejsca historycznego. Z odległej epoki przyszedł w dzisiejszym stroju. Ten strój jest jednak kostiumem, jakimś kostiumem z jakiejś rekwizytorni. Dawny poeta mówi dzisiejszym językiem, to prawda, ale tym językiem składa niedzisiejsze formy, tercyny sonetu, pełne muzealne rymy, jakże często banalne i wyświechtane, skostniałe układy rytmiczne. Współczesny poeta chcąc uratować autentyczność stworzył jednak fikcję. To nie jest Szekspir, to nie jest Ronsard, to nie jest... itd. Co więc zrobić, ażeby klasyka uratować maksymalnie?

Wydaje mi się, że jest jeszcze jeden krok do zrobienia. Obalić fikcyjność całkowicie. Odrzucić także te konwencje umarłe, które dzisiaj są już tylko kostiumem. Tłumaczyć poetów odległej epoki nie tylko dzisiejszym językiem, ale także dzisiejszą formą. Poddać ich dzisiejszej wrażliwości, dzisiaj odczytać ich całkowicie. To, co było autentykiem swojego czasu, niech będzie także autentykiem czasu dzisiejszego.

Skrupułów oczywiście jest niemało. Sam je mam. Dlatego chociażby, że je mam, w mojej praktyce przekładowej nie odszedłem dotychczas od tych murowanych konwencji. Ale właśnie ta praktyka zrodziła skrupuły inne i one mnie nurtują.

Tłumacząc poetę dawnego, zachowując umarłe konwencje czynię to ze świadomością popełnianej zbrodni. Znakomitego twórcę odległej epoki, nowatora tamtych czasów, przedstawiam jako zabytek muzealny. Dzisiejszy czytelnik uformowany przez dzisiejszą wrażliwość staje przed murem, który ja wzniosłem. Tam, za tym murem, są znakomite wynalazki obrazowe, pojęciowe. Są, ale w kagańcu. Nie gryzą ostrością wizji, nie drażnią śmiałością. A tym przecież były w swoim czasie, ostrością i śmiałością były przede wszystkim. Oni, ci dawni poeci, byli w swoich czasach najśmielsi, jak być mogli, oni właśnie byli burzycielami i kodyfikatorami. Doznać dzisiaj ich pełnie, to tak właśnie ich doznać. Gdyby tworzyli współcześnie, znajdowaliby się w poetyckiej awangardzie. Wyklęci dawniejsi byliby wyklętymi dzisiejszymi.

Moje uwagi i moje sugestie dotyczą przede wszystkim poetów wyklętych, tych najżywiej żywych. Oczywiście są świetni poeci i świetne poezje. które są całkowicie historyczne. Poza swoją formą, poza dawną konwencją są nie do przeżycia, nie do pomyślenia. Jeśli więc proponuję rewizję warsztatu przekładowego, to moja propozycja jest zawężona do tych zjawisk, które na tej rewizji zyskają. Bezpośrednim powodem tych uwag jest moja aktualna praca nad przekładem olśniewającego poematu Wiktora Hugo *Mówią usta ciemności*. Przez rytm aleksandrynu przelewają się olbrzymie, niepohamowane wizje. Te wizje były natchnieniem nadrealistów, w nich tkwią korzenie dzisiejszej wyobraźni. Tłumacząc je w gorsecie trzynastozgłoskowca i pełnych rymów czuję już nie tylko własne skrępowanie tłumacza, ale przede wszystkim ciężar narzuconej mi formy, czuję właśnie, że popełniam morderstwo. Ten poemat oddany formą dzisiejszą byłby jednym z największych przeżyć współczesnych.

Istnieją w świecie wzory takiego przekładania poezji dawnych. Mam w oczach nowe przekłady na język francuski utworów Mickiewicza dokonane przez Armanda Robina. Robin przełożył m.in. *Na Alpach w Splügen, Polały się łzy me czyste...*, kilka fragmentów z *Pana Tadeusza* także. Przekład wierny filologicznie, ale odarty z romantycznej konwencji. Kiedy to piszę, słyszę już protesty: jak można z czegokolwiek odrzeć Mickiewicza? Ja też nic podobnego nie proponuję. Czytając Mickiewicza współcześni Polacy nie muszą dokonywać żadnych zabiegów, aby go przeżyć

dzisiejszą wyobraźnią. Dla nas te konwencje są przezroczyste. Ale przekład je mumifikuje, spiętrza, wynosi ponad ich stan, że stają się przeszkodą i granicą. Armand Robin właśnie je obalił.

Moja propozycja jest oczywiście dyskusyjna. Nie nadaje się do generalizowania. Wysuwam po prostu projekt: spróbujmy żywe do dzisiaj utwory klasyków tłumaczyć na żywo.

zb

IFIGENIA W TAURYDZIE

Jeszcze raz sprawdza się zasadnicza sprawa, że dobry teatr to jest aktor plus literatura. Kto woli: literatura plus aktor. Wspaniały dramat Goethego w doskonałym, bardzo teatralnym przekładzie Edwarda Csatô znalazł w Teatrze Współczesnym znakomitych interpretatorów. Mrozowska, Łomnicki, Borowski i inni stanowią niezapomniany zespół. Poza literaturą i aktorem nie ma w tym wspaniałym spektaklu nic: ani jednego mebla, ani jednego rekwizytu. A człowiek wychodzi z przedstawienia wstrząśnięty. Wstrząśnięty i oczyszczony. Cudowny finał goethowski (cały w C-dur) przyprawia o łzy i bicie serca.

Dyskretna reżyseria Axera nie narzuca się w niczym, nie ma ani jednego „pomysłu", ani jednej „interpretacji". Co za ulga! Aktorzy wychodzą na pustą scenę i mówią swoje role. Ale jak mówią, jak potrafią i żyć, i mówić, i wkładać swe piękne postacie w sceniczne rzeźby.

Dawno nie mieliśmy takiego przedstawienia.

e

BOŻENA GRABOWSKA

Bożena Grabowska, młodziutka, ciekawie zapowiadająca się poetka, zmarła w Egipcie, gdzie beznadziejnie chora przebywała od kilku lat na leczeniu, a ściślej, gdzie warunki klimatyczne przedłużały sztucznie jej życie. Była, o czym wiedzieli jej bliscy, skazana na śmierć. Spotkałem ją raz tylko. Przed kilku laty, przed wyjazdem na ową kurację przyszła do redakcji z wierszami, a ja zajmowałem się, ściślej współ-zajmowałem się wówczas poezją w piśmie. Przeczytałem wiersze, które przyniosła, i porozmawiałem chwilkę, może nieco dłuższą niż zwykle w takich okazjach, z zażenowaną i ukrywającą to zażenowanie pod nerwową swobodą autorką. To było wszystko. A przecież zapamiętałem i ją, i te wiersze, i dzisiaj jej śmierć jakoś bardzo osobiście odczułem. Myślę o niej jak o czymś niedokonanym, niespełnionym, zahamowanym, a co mogło stać się czymś ciekawym i pięknym. Żal mi tych straconych możliwości, które się dopiero zarysowywały. A to jest zawsze bolesne. Przerwany lot poety jest tragiczny, ale niedokonanie właśnie boli. Dorobek Bożeny Grabowskiej jest skromniutki, cały zmieści się w cieniutkiej teczce. Od bardzo wczesnej młodości, dosłownie od dzieciństwa, pisała wiersze, które drukowała prasa młodzieżowa, potem także niekiedy dorosłe czasopisma literackie. Wiersze te są więc bardzo różne i trudno byłoby ułożyć z nich tomik debiutancki. Dopiero dojrzewała do własnego głosu. Są w tych wierszach typowe wzruszenia młodości wrażliwej i chłonnej. Ale jest także, zdarza się także, coś więcej. I to coś każe mi o niej myśleć jako o zjawisku ciekawym. Poeci jej pokolenia, a zresztą poeci wszystkich pokoleń rozpoczynają swoją drogę od buntu, od przeciwstawienia się światu. Czując swoją obcość, nieprzystosowanie, nie aprobują tego stanu i pragną zmienić świat, który ich osacza. Bożena Grabowska czuła się nie mniej obca i nie mniej nieprzystosowana od swoich rówieśników, na pewno. Ale czuła jeszcze — nadwrażliwość jej to podyktowała — własną bezsilność. Nie aprobując świata szukała ucieczek, choćby były pozorne, w jakiejś *gdzieś* będące poza życiem rzeczywistym, w jakieś *gdzieś* wyobrażone, iluzyjne. W jednym z wierszy, delikatnym erotyku, pisała:

Lubię twoją nierzeczywistość,
Lubię ciebie nieprawdziwego,
Lubię cię we śnie.

Bo na jawie i ty nie taki,
I ja nie taka.

I dzisiaj o tej niedokonanej poezji i o tej młodziutkiej poetce myślę z tkliwością. To był ktoś bardzo samotny i samotny nie z goryczy, nie poprzez doświadczenia życia, ale z instynktu, z przeczucia świata. A taka samotność bez względu na stopień jej uświadomienia jest mimo wszystko uprzywilejowaniem. Samotność to tak jak talent, albo się ją ma, albo nie ma. Bożena Grabowska ten talent miała.

zb

O POLSKIEJ LITERATURZE WSPÓŁCZESNEJ

Ukazał się w Kijowie duży (260 str.) tom esejów o polskiej literaturze współczesnej. Najwybitniejsi krytycy ukraińscy piszą tam o naszych pisarzach. Każdemu pisarzowi inny krytyk poświęca obszerną pracę. Omawiana jest twórczość Dąbrowskiej, Tuwima, Iwaszkiewicza, Broniewskiego, Kruczkowskiego, Putramenta i Newerlego. Całość poprzedził pięknym wstępem niestrudzony znawca i lubownik literatury polskiej, Maksym Rylski.

„Niechaj ta książka — pisze Rylski — będzie dalszym ciągiem tych pięknych tradycji, jakie zapoczątkowali Orzeszkowa i Franko, niechaj będzie jeszcze jednym dowodem ciągłej uwagi i szacunku, jakim cieszy się wielka i urozmaicona literatura braterskiego polskiego narodu na ziemi ukraińskiej."

Eseje, napisane po większej części przez młodych krytyków, odznaczają się wielką starannością wywodów i pracowitością przygotowania. Nie ze wszystkimi tezami młodych krytyków zgodzą się zapewne omawiani autorzy, przyznać jednak muszą, że rzadko w kraju spotykają się z taką sumiennością i z taką dobrą wolą w rozpatrywaniu ich dzieła.

e

POLSKA LITERATURA NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM

O życiu kulturalnym Polaków na Śląsku Cieszyńskim pisał na naszych łamach kilkakrotnie Wojciech Natanson. Jak widzą je Czesi? Na podstawie artykułu D. Szajtara zamieszczonego w czasopiśmie *Plamen* dajemy garść informacji. Centrum tego życia kulturalnego, zwłaszcza zaś działalności kulturalno-oświatowej, jest — obok polskich szkół podstawowych, średnich i zawodowych — przede wszystkim PZKO, czyli Polski Związek Kulturalno-Oświatowy, z siedzibą w czeskim Cieszynie. W ramach tej organizacji działa sekcja literacko-artystyczna, skupiająca artystów narodowości polskiej — obok rzeźbiarzy, malarzy i muzyków należą tu przede wszystkim pisarze, spośród których część należy również do Związku Pisarzy Czechosłowackich (Przeczek, Jasiczek, Wawrosz i inni). Sekcja organizuje każdego roku konkursy literackie, które wyłaniają najciekawsze utwory pisarzy polskich Śląska Cieszyńskiego. Nakładem tej sekcji w ciągu ostatnich lat piętnastu ukazał się szereg prac popularno-naukowych, etnograficznych, folklorystycznych, literackich, a zwłaszcza poetyckich.

Po odejściu G. Morcinka grupa pisarzy polskich na Śląsku Cieszyńskim straciła swego najwybitniejszego prozaika. Ani twórczość Anny Zawadzkiej bowiem (*Ku nowym dniom*, 1954), ani Bohumiła Goja, Karola Piegzy czy Marii Węglarz (którzy swe *Opowiadania i wspomnienia*, 1958 r., wydali we wspólnym tomie), nie wybija się ponad przeciętny poziom. Najbardziej godne uwagi są tu *Wspomnienia spod słomianych strzech* M. Węglarz, utwór znajdujący się na pograniczu literatury i etnografii. Znacznie żywiej natomiast bije puls twórczości poetyckiej. Należy tu wymienić nazwiska: Pawła Kubisza (którego przedwojenny *Przednówek* wydano w r. 1946 w Łodzi), autora dramatu *Opowieść wydziedziczonych* (1949) i *Rapsodu o Oszeldzie* (1953), poświęconego rewolucjoniście z 1948 r., Pawłowi Oszeldzie, dalej Gustawa Przeczka, który po powrocie z obozu koncentracyjnego wydał tom zatytułowany *Serce na drutach*, a także prozę zawierającą przeżycia autora z obozu koncentracyjnego pt. *Kamienna Golgota*. Działalność społeczno-polityczna nie pozwoliła Przeczkowi przez czas dłuższy na twórczość literacką, dopiero w roku 1958 ukazał się drugi tom jego wierszy pt. *Drogi i ścieżki*.

Osobne miejsce w tej grupie poetyckiej zajmuje Henryk Jasiczek, autor kilku tomów wierszy, m. in. *Rozmowy z ciszą, Pochwała życia, Gwiazdy nad Beskidem, Obuszkiem ciosane* i *Jaśminowe noce*, oraz tomu *Humoresek beskidzkich*, które wydał niedawno „Śląsk"; postać tego utalentowanego pisarza i jego twórczość zasługują na bliższą uwagę zarówno czytelników, jak i krytyków.

Spośród najmłodszego pokolenia pisarzy polskich na Śląsku Cieszyńskim zwracają na siebie uwagę nazwiska: Józefa Krzywonia, który zadebiutował w r. 1958 tomem wierszy *Śpiewająca Jutrzenka*, dalej autorów, którzy opublikowali swe wiersze we wspólnym almanachu, zatytułowanym *Pierwszy lot* (1960), a więc B. Bielana, W. Przibulowej, J. Gandyna, J. Raszyka, Wilhelma Przeczka, A. Dostola (znajdującego się w kręgu wpływów T. Różewicza), Danuty Siwkówny (szukającej bardzo usilnie własnego wyrazu w swych wierszach lirycznych) oraz Władysława Sikory, w którego twórczości dają się dostrzec wpływy Leśmiana.

dz

JESZCZE JEDEN PRZYJACIEL

Atrakcyjność Polski i polskiej kultury na Zachodzie, we Francji, wzrasta. Krąg naszych przyjaciół tam się rozszerza i odmładza. Jeszcze jednym przejawem tego zjawiska jest postać młodej pisarki, Cathérine Paysan. Warto ją zaprezentować, tym bardziej iż żywo się Polską interesuje. Urodziła się w Aulames, w żyznym i przeważnie rolniczym regionie Sarthe, który, nie bez racji, uchodzi obecnie za „spichlerz" Paryża. Ziemia ta wydała wielu pisarzy i artystów.

Cathérine Paysan pracuje jako pedagog, jest nauczycielką historii w liceach paryskich. Poezja nie żywi dziś w żadnym kraju swych wybrańców, a Cathérine Paysan jest przede wszystkim poetką, autorką dwóch tomów wierszy *Ecrit pour l'âme des cavaliers* (1956) oraz *La Pacifique* (1957). Za tę ostatnią publikację otrzymała nagrodę literacką imienia Theofile Brianta. Miesięcznik paryski *Esprit* drukował w grudniu 1956 roku piękne wiersze Cathérine Paysan w stylu starofrancuskich piosenek: *Le chant du coq, Genets* i *Chant de route*.

Obecnie Cathérine Paysan sięgnęła do prozy także. Z przygotowanego do druku dla „Gallimarda" tomu nowel przełożono już na język polski opowiadanie *Le jeune homme tres imparfait (Młodzieniec bardzo niedoskonały)*. Chodzi tu o przeobrażenia, jakim ulega współczesna rodzina francuska, ciążenie sytuacji społeczno-obyczajowej na sprawy miłości, małżeństwa, szczęścia i przyszłości nowych pokoleń. Autorka bardzo pomysłowo i szczęśliwie łączy temat opowiadania z jego formą: wątki dotyczące życia rodzinnego dwóch pokoleń przeplatają się ze sobą i kończą niespodziewaną pointą: odruchem sumienia bohatera, „niedoskonałego" młodego mieszczanina; paradoksalnym biegiem rzeczy odruch ten przybiera postać cynicznego okrucieństwa, jako jedynego wyjścia z zaklętego koła obłudy i kłamstwa.

Cathérine Paysan pracuje też nad powieścią, w której wartości życia rodzinnego przeciwstawione są niebezpieczeństwom, jakimi grozi współczesna cywilizacja techniczno-konsumpcyjna. Inna powieść tej autorki ukaże się w firmie „Denoel" jesienią 1961 roku. Problematyka: sprawa rasizmu.

Utalentowana pisarka, jaką jest Cathérine Paysan, gorąco interesuje się Polską. Zetknęła się z naszymi rodakami tuż po zakończeniu ostatniej wojny. Celem jej planów najbliższych jest przyjazd do Polski. Ten plan przyjazdu nie jest bez powiązań z jej zamierzeniami literackimi.

W.N.

DYSPONENDA

Wszyscy cieszymy się ogromnie rozwojem czytelnictwa w Polsce. Autorzy z dumą stwierdzają, że ich książki znikają z półek księgarskich w ciągu paru dni. O, naiwni! Czytajcie biuletyn wydawnictwa pod tytułem *Dysponenda*.

Z tej interesującej broszury, przeznaczonej do użytku służbowego, dowiedzieć się można, że kilkaset interesujących i poszukiwanych na rynku pozycji (co do których księgarze zapewniają, że są wyczerpane) leży sobie spokojnie w magazynach Domu

Książki, czekając cierpliwie na przemiał. Są to powieści i opowiadania Andrzejewskiego, Brandysa, Buczkowskiego, Dąbrowskiej, Iwaszkiewicza, Pruszyńskiego, Parandowskiego, Rudnickiego, a także poezje Białoszewskiego, Bieńkowskiego, Broniewskiego, Jastruna, Karpowicza, Przybosia, Różewicza, Ważyka. Nie mówiąc już o klasykach, od Ajschylosa do Joyce'a i od Kochanowskiego do Kasprowicza. Konia z rzędem temu, kto zdobędzie w Warszawie Herodota czy Tukidydesa, ale w magazynach Domu Książki kiśnie około połowy nakładu dzieł tych historyków.

Lektura *Dysponendy* narzuca podejrzenie, że mamy do czynienia z kulturalnym sabotażem. Powód istotny jest mniej demoniczny. Po prostu księgarze chcą, na wzór sprzedawców jarzyn, handlować tylko „świeżym towarem", „nowościami", które zapewniają szybkie upłynnienie masy, wypełnienie planu, premie, więc nie opłaca się im trzymać na półce kilku egzemplarzy wierszy poszukiwanego poety. Znacznie prościej odesłać klienta z kwitkiem i sakramentalnym zapewnieniem, że nakład wyczerpany.

Ten stan rzeczy musi ulec zmianie (oczywiście na lepsze), bo zasada rentowności w handlu księgarskim oznacza zupełnie co innego niż bagatelizowanie czytelnika i kulturalne szkodnictwo.

zh

TEGOŻ AUTORA

Zdarza się, że ktoś bierze do ręki książkę nieznanego pisarza, która w czasie lektury zaczyna go interesować, a po przeczytaniu ów czytelnik pragnie poznać inne dzieła tegoż autora. Idzie zatem do księgarni, ale może się tak zdarzyć, że księgarz nie jest w stanie poinformować, co interesujący jego klienta autor wydał. Tu kończy się tak pięknie zaczęta, a przypadkowa przyjaźń dwu nie znających się ludzi: twórcy i odbiorcy. Pozostaje jeszcze oczywiście książka telefoniczna, Milicja Obywatelska, biuro ewidencji ludności, ale z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać można, że nasz czytelnik ostatecznie zniechęcony sięgnie po *Trylogię*, bo wiadomo, kto to pisał, a poza tym wszędzie dostać można.

Istnieje stary, dobry i nie wiadomo dlaczego zaniechany przez nasze wydawnictwa zwyczaj podawania wykazu dzieł pisarza tuż koło karty tytułowej. Ale jako że u nas panuje powszechny zwyczaj drapania się w lewe ucho prawą ręką, zastąpiono rzeczową informację tzw. „uszami" obwoluty, gdzie przytacza się urywki recenzji albo zgoła informację, co z danej „serii" wydawnictwa dostać można w księgarniach. Nie mam zamiaru zwalczać „uszu", ale wiadomo przecież, że książek nie dobiera się według formatu, ale według autorów. Warto więc chyba powrócić do wykazu dzieł pod skromnym tytułem „Tegoż autora".

Nie zastąpi to oczywiście bardzo potrzebnej nie tylko masowemu czytelnikowi, ale także bibliofilom i bibliotekarzom — książeczki (mogłaby się nazywać *Przewodnik po literaturze polskiej 1945—1960*), która zawierałaby zwięzłe życiorysy, bibliografię i krótką charakterystykę pisarzy.

Analogiczne wydawnictwa na Zachodzie mają ogromne powodzenie, że wspomnę tylko o bezpretensjonalnej pracy Marcela Girard *Guide illustré de la littérature française moderne* (wiele uzupełnianych wydań). A więc czekamy. Propaganda książki polskiej nawet na rynku wewnętrznym wciąż jeszcze pozostawia wiele do życzenia.

zh

KŁOPOTY Z KRYTYKĄ

Jednym z kardynalnych problemów krytyki literackiej jest zagadnienie jej obiektywizmu. Oczywiście, krytyka jest i musi być subiektywna w tym sensie, że manifestuje idee i upodobania estetyczne krytyka, jego temperament, literackie sympatie i animozje. Ta stronniczość jest dobrym prawem krytyki i prawdopodobnie źródłem jej żywotności i atrakcyjności. Ale tutaj wyłaniają się kłopoty przyziemnej natury, które można objąć jednym słowem: prywata. Chodzi o uchronienie krytyki od tak zwanych recenzji grzecznościowych („napiszesz dobrze o mojej książce, napiszę dobrze o twojej"), od sądów podyktowanych uczuciem przyjaźni lub nienawiści do autora, wreszcie od serwilizmu wobec uznanych au-

torytetów, których lepiej „nie szargać".

O sprawach tych pisze niemiecki prozaik i krytyk, Ludwig Marcuse, w tygodniku *Die Zeit*. Jego rozważania dotyczą głównie literatury niemieckiej, ale problem jest ogólny i aktualny w każdym środowisku literackim.

Marcuse nie zaprzecza istnieniu recenzji grzecznościowych, ale zaleca w ich rozpatrywaniu dużą ostrożność. Goethe i Schiller — jeden o drugim często pochlebnie pisali: Balzac ocenił entuzjastycznie *Pustelnię parmeńską*, Stendhal chwalił epikę Balzaka. Z nowszych czasów Marcuse powołuje się na przykład Arnolda Zweiga i Feuchtwangera, którzy się często wzajemnie chwalili. „Mój sąd był gotowy — pisze Marcuse — aż pewnego dnia zauważyłem, że każdy z nich rzeczywiście sympatyzował serdecznie z twórczością drugiego. Jeszcze niedawno, rok po śmierci Feuchtwangera, Arnold Zweig określił jego dzieło jako jeden ze wzorów swojej własnej twórczości. Innymi słowy tak zwane grzecznościowe recenzje są trudne do rozpoznania, albowiem mimo że pisane są z uprzejmości — mogą być jak najszczersze."

Krytyka wywołana nienawiścią. „Ale jak trudno — wywodzi autor — odróżnić sprawiedliwe krytyki od niesprawiedliwych w nienawistnych ocenach. Właśnie na wielkich przykładach można się przekonać, że krytyka może być zemstą — a mimo to może być obiektywna." Marcuse przytacza spór Nietzschego z Wagnerem, polemikę, w której prywatne animozje Nietzschego splotły się ze względami natury ideowej. I na odwrót. „Józef Roth — wyznaje Marcuse — był jednym z moich najbliższych przyjaciół, byłem zachwycony każdym zdaniem, które napisał. Czyż miałem zabronić sobie pisać o tych zdaniach? I czyż mam nie pisać o człowieku tylko dlatego, że nienawidzę jego osoby i jego utworów?"

Wreszcie serwilizm. Marcuse potępia bez zastrzeżeń serwilistyczną krytykę, ale — jeśli idzie o współczesną literaturę niemiecką — bardzo sceptycznie ocenia możliwości jej usunięcia. „Przy najlepszej woli trudno mi dostrzec sposób usunięcia jednego z najbardziej rozpowszechnionych zjawisk: padania na klęczki przed znakomitościami. Jest to smutne — ale najbardziej przemądrzali filozofowie niemieccy naszego czasu wychwalali pod niebiosa (jako zdeklarowani głupcy) najohydniejszych morderców masowych naszej epoki. Jakżeż tu żywić nadzieję, by w dziedzinie krytyki literackiej wyrugować serwilizm?"

rk

NOTY DO PRZYPISÓW „DZIENNIKÓW" FRANZA KAFKI

Do redakcji *Twórczości!*

Znikoma znajomość spraw czeskich w Polsce jest chyba wynikiem małej znajomości języka czeskiego w naszym społeczeństwie. Nie wiadomo, dlaczego lekceważy się język naszych najbliższych sąsiadów. Może właśnie dlatego, że jest najbliższy i podobny do polskiego? Zna się za to więcej języki krajów odległych, ale czeski, któż się uczy czeskiego?

Myśli te nasunęły mi się przy lekturze świetnych *Dzienników* Franza Kafki — urodzonego, jak wiadomo, w Pradze — udostępnionych nam wreszcie przez Wydawnictwo Literackie w przekładzie Jana Wertera *. Chodzi mi konkretnie o przypisy. A przypisy to rzecz bardzo ważna. informują o wspomnianych w tekście nazwiskach, miejscach, książkach, rzeczach. Bez nich trudno nieraz zrozumieć uwagi, wzmianki autora. Nie zapominajmy jednak o tym, że praca nad przypisami to rzecz bardzo, bardzo żmudna i uciążliwa. Często w poszukiwaniu jednego nazwiska trzeba przewertować sporo ksiąg, encyklopedii czy roczników gazet.

Przypisy dotyczące spraw czeskich są opracowane w *Dziennikach* dość słabo, niektóre zawierają błędy, brak przypisów do niektórych słów. Zastrzegam się, że nie wiem (nie znając niemieckiego wydania książki), czy pochodzą z wydania niemieckiego, czy też wyszły spod pióra tłumacza. Ale nawet w wypadku tłumaczenia ich z edycji niemieckiej należało je przecież uzupełnić, poprawić, sprawdzić. Oto przykłady:

Na s. 148 jest przypis do nazwiska Jaroslav K v a p i l. Podano rok urodzenia (1868), nie podano daty zgonu. Tymczasem wystarczy zajrzeć do książki Jaroslava Kunca *Slovník českých spisovatelů beletristů 1945—1956* (Praha 1957), ażeby się dowiedzieć, że Jaroslav Kvapil zmarł 10.I. 1950 w Pradze. Kvapil był nie tylko reżyserem (Teatru Narodowego w Pradze) i poetą, ale także dziennikarzem, librecistą i tłumaczem. Tłumaczył dramaty z norweskiego, niemieckiego i francuskiego. Utrzymywał kontakty z polskimi pisarzami, w r. 1918 inspirował „manifest czeskich pisarzy" o narodową niezawisłość, odegrał dużą rolę w życiu kulturalnym Czechosłowacji. Zdobył tytuł narodowego artysty, za swoje zasługi otrzymał doktorat *h. c.* Uniwersytetu Karola w Pradze.

Jaroslav V r c h l i c k ý (ý!), s. 147 oraz 532 i 536 (indeks), nazwisko właściwe nie F r i d, ale F r i d a, urodzony nie w r. 1859, ale w 1853. Warto dodać, że Vrchlický również utrzymywał kontakty z polskimi pisarzami i tłumaczył na czeski *Dziady* Mickiewicza.

Na s. 365, wiersz 14—15 od góry: „Przechadzka z panną St. do T r o i (...)". Niewielu z czytelników polskich wie, o jaką Troję chodzi, czyżby o Homerowską? Można było więc dać przypis, że chodzi tu o Troję, dzielnicę Pragi, gdzie znajduje się jeden z najpiękniejszych czeskich pałaców baro-

* Franz Kafka: *Dzienniki (1910—1923).* Przeł. Jan Werter. Przedmowę napisał Zbigniew Bieńkowski. Wyd. Liter., Kraków, 1961.

kowych, zbudowany w latach 1679—1685. Schody od strony ogrodów ozdobione są rzeźbami przedstawiającymi walkę bogów z Gigantami. Dziś pałac w Troi jest jedną z galerii praskiego Muzeum Narodowego.

Na s. 384, wiersz 11—12 od dołu, śmiesznie brzmi zdanie: „(...) parę kroków przez Malá Strana (...)". Można było spolszczyć („przez Małą Stronę") i objaśnić przypisem.

S. 446, wiersz 4 od dołu: „Pogrzeb Myslbecka" i przypis: „wybitny czeski rzeźbiarz (1848—1923)". Konieczne było powtórzenie w przypisie po raz drugi nazwiska w poprawnym brzmieniu czeskim i z dodaniem imion: Josef Václav Myslbek. Myslbek był najwybitniejszym czeskim rzeźbiarzem narodowym, jego dziełem jest wielki pomnik św. Wacława w Pradze.

S. 447, wiersz 6—7 od dołu: „Tvrz Sedlec". Cóż znaczy słowo „tvrz"? Nie ma przypisu. Wg słownika Vydry: „twierdza, forteca, warownia, kasztel".

Tyle moich skromnych uwag do przypisów *Dzienników* Kafki. Uważam, że jeżeli książka zaopatrzona jest w przypisy, należy już w takim razie postępować konsekwentnie: objaśniać wszystkie nieznane polskiemu czytelnikowi zwroty, nazwiska, nazwy, ale objaśniać bezbłędnie i wyczerpująco. To też przyczynia się do solidnego wyglądu danej edycji. A na tym przecież zależy i tłumaczowi, i wydawcy, i czytelnikowi.

Józef Dużyk

LITERATURA PIĘKNA

Klasycy literatury polskiej

Mickiewicz Adam — *Pan Tadeusz.* Tekst i przypisy wg *DZIEŁ* Adama Mickiewicza, t. IV. „Czytelnik" 1955. Opracowanie graficzne: Andrzej Heidrich. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1961; str. 413, 3 nlb.

Słowacki Juliusz — *DZIEŁA WSZYSTKIE.* Dział drugi. Utwory wydane z puścizny rękopiśmiennej. Tom XII — część druga. Pod redakcją Juliusza Kleinera przy współudziale Władysława Floryana. *Agezylausza* — opracowali Juliusz Kleiner i Jan Kuźniar. *Walter Stadion* — opracował Jan Kuźniar. *Zawiszę Czarnego* — opracowali Juliusz Kleiner i Władysław Floryan przy współudziale Jerzego Pelca. Bibliografię opracował Wiktor Hahn. Wrocław, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, 1961, wyd. I; str. 638, 2 nlb.

Klasycy literatury obcej

Balzac Honoriusz, de — *KOMEDIA LUDZKA.* XV. Studia obyczajowe. Sceny z życia paryskiego. *Ubodzy krewni. Kuzynka Bietka. Kuzyn Pons.* Przełożył Tadeusz Żeleński-Boy. Warszawa, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", 1961, wydanie 1; str. 748, 4 nlb.

Maupassant Guy, de — *Horla i inne opowiadania.* Tłumaczyła Irena Wieczorkiewicz. Obwolutę projektowała Liliana Baczewska. Warszawa. „Czytelnik", 1961, wydanie 1; str. 218, 2 nlb.

Poezja, dramat

Bacewicz Wanda — *Cisza i ciemność.* Okładkę projektował Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 84.

Brzostowska Janina — *Zanim noc...* Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Witowska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961, wydanie 1; str. 51, 3 nlb.

Bujnicki Teodor — *Wiersze wybrane.* Wyboru dokonał Tadeusz Bujnicki. Przedmową opatrzyła Anna Jędrychowska. Tłoczenia i kartę tytułową projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 396.

Horak Stanisław — *Jesień zaczyna się w nocy.* Okładkę projektował Marian Warzecha. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1961; str. 59, 5 nlb.

Iredyński Ireneusz — *Moment bitwy.* Okładkę projektował Józef Wilkoń. Warszawa, Państwowe Wydawnictwo „Iskry", 1961; str. 55, 5 nlb.

Kowalewski Stanisław — *Zamknięte granice.* Sztuka współczesna w 7 odsłonach. Biblioteka Teatrów Ludowych. Okładkę projektowała Hanna Balicka Fribes. Warszawa; Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1961, wydanie 1; str. 100, 4 nlb.

Lewin Leopold — *Nowe wiersze.* Obwolutę projektował Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 96, 4 nlb.

Ożóg Jan Bolesław — *Gdzie powój woła.* Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Witowska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961, wydanie I; str. 49, 3 nlb.

Piwowar Lech — *Wiersze wybrane.* Wybór i redakcja: Jan Śpiewak. Przedmowa: Leon Kruczkowski. Tłoczenia i kartę tytułową projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie 1; str. 189, 3 nlb. 1 portret.

Pogonowska Anna — *Gąszcze.* Obwolutę projektował Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 113, 3 nlb.

Przyboś Julian — *Próba całości.* Obwoluta i rysunki: Danuta Kula-Przyboś. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie 1; str. 72, 4 nlb.

Śladewski Kazimierz — *Wiersze.* Okładkę projektował Marian Warzecha. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1961; str. 59, 2 nlb.

Proza

Antonow Sergiusz — *Alonka.* Przełożyła Halina Klemińska. Obwolutę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 131, 1 nlb.

Aragon Louis — *Aurelian.* Przełożyła Krystyna Dolatowska. Obwolutę projektowała Zofia Sadowska, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961, wydanie I; str. 756, 4 nlb.

Bernanos Georges — *Monsieur Quine.* Przełożyła Beata Hłasko. Okładkę i kartę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, Instytut Wydawniczy „Pax", 1961, wydanie 1; str. 279, 1 nlb.

Bogomołow W., Czukowski M., Nagibin J., Niekrasow W. — *Druga noc.* Opowiadania. Przełożyli: Wacława Komarnicka, Andrzej Mandalian, Irena Piotrowska, Tadeusz Żeromski. Okładkę, obwolutę, stronę tytułową i ilustracje w tekście projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961, wydanie 1; str. 314, 2 nlb.

Breza Tadeusz — *Niebo i ziemia.* Obwolutę projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie 11. Tom pierwszy — str. 267, 1 nlb., tom drugi — str. 274, 2 nlb.

Brycht Andrzej — *Czerwony węgiel.* Okładkę i kartę tytułową projektowała Barbara Niedzielska. Warszawa, Instytut Wydawniczy „Pax", 1960, wydanie 1; str. 112, 4 nl.

Bubiennow Michał — *Zdobywcy stepów.* Przełożył Jerzy Brzęczkowski. Okładkę według projektu Aleksandra Stefanowskiego opracował Mieczysław Kowalczyk (na okładce fragment obrazu F. Szapajewa). Warszawa, Państwowe Wydawnictwo „Iskry", 1961; str. 363, 5 nlb.

Cin Pa — *Gdy bogowie odchodzą.* Przełożyła Teresa Lechowska. Przekładu dokonano na podstawie wydania chińskiego z roku 1958. Obwolutę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 402, 2 nlb.

Conrad Joseph — *Los.* Opowieść w dwóch częściach. Przełożyła Teresa Tatarkiewiczowa. Posłowie: Róża Jabłkowska. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 501, 4 nlb.

Dine S. S., van — *Piosenka śmierci.* Tłumaczyła Janina Sujkowska. Obwolutę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 287, 2 nlb.

Dutoud Jean — *„Masło wyborowe" czyli dziesięć lat życia mleczarza.* Tłumaczyła Julia Stabrowska. Obwolutę projektowała Hanna Stachurska. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 275, 1 nlb.

Farrel James — *Dzień sądu.* Tłumaczyli: Wanda Dehnel i Jan Zakrzewski. Obwolutę projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 453, 3 nlb.

Faulkner William — *Intruz.* Przełożyła Ewa Życieńska. Projekt obwolutę i tłoczeń: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 357, 3 nlb.

Fiker Eduard — *Seria C—L.* Przełożyła Emilia Witwicka. Okładkę projektował Mieczysław Kowalczyk. Warszawa, Państwowe Wydawnictwo „Iskry", 1961; str. 293, 4 nlb.

Jantar Mateusz — *Samotne kruki.* Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 238, 2 nlb. Obwolutę projektował Marian Stachurski.

Katajew Iwan — *Żona i inne opowiadania.* Tłumaczył Seweryn Pollak. Obwolutę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 198, 3 nlb.

Klimaszewski Tadeusz — *W składzie kursuje wagon sypialny.* Obwolutę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 146, 2 nlb.

Kłoś Kazimierz — *Uczeń pirotechnika.* Okładkę projektował Tadeusz Niemirski. Biblioteka Ziem Zachodnich. Warszawa, Instytut Wydawniczy „Pax", 1960, wydanie I; str. 124, 4 nlb.

Koźmiński Karol — *Meteor.* Opowieść o Józefie Sułkowskim. Obwoluta i ilustracje Ludwika Maciąga. Warszawa, Państwowe Wydawnictwo „Iskry", 1961; str. 264, 4 nlb.

Lechicka Anna — *Anastazja czyli niepokój.* Biblioteka Satyry. Ilustrował Jerzy Flisak. Warszawa, „Czytelnik", 1961; str. 136, 4 nlb.

Nałkowska Zofia — *Granica.* Okładkę projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie XVI; str. 307, 1 nlb.

Newerly Igor — *Leśne morze.* Powieść. Obwolutę projektował Jerzy Jaworowski. Pisownię nazw i wyrazów chińskich opracowała mgr Alina Jabłońska. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie II; str. 502, 6 nlb.

Otčenašek Jan — *Romeo, Julia i mrok.* Przełożyła Maria Erhardtowa. Obwolutę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961, wydanie I; str. 192, 4 nlb.

Otwinowski Stefan — *Czas nieludzki.* Powieść. Okładkę projektował Ma-

rian Warzecha. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1961; str. 170, 2 nlb.

Parnicki Teodor — *Twarz księżyca.* (Powieść z wieków III—IV) Część pierwsza. Okładkę i kartę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, Instytut Wydawniczy „Pax", 1961, wydanie I; str. 401, 4 nlb.

Philippe Charles-Louis — *Dobra Magdusia i Biedna Marynia.* Przełożył Jarosław Iwaszkiewicz. Ilustrowała Teresa Melierowicz. Okładkę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 119, 5 nlb.

Rowan David — *Głośne procesy 1944—1955.* Tłumaczyła Eleonora Romanowicz. Obwolutę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 201, 3 nlb.

Rzezacz Wacław — *Niebiańska koza.* Przełożyła Donata Ciepieńko-Zielińska. Okładkę projektował Roman Cieślewicz. Warszawa, Państwowe Wydawnictwo „Iskry", 1961; str. 228, 4 nlb.

Saroyan William — *Chłopiec na lotnym trapezie i inne opowiadania.* Tłumaczyli: Wojciech Adamiecki, Józef Brodzki, Witold P. Cienkowski, Krystyna Evert-Vaedtke, Andrzej Nowicki, Anna Przedpełska-Trzeciakowska. Projekt obwoluty i tłoczeń: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 507, 1 nlb.

Schuder Rosemarie — *Syn czarownicy.* Opowieść o Janie Keplerze. Przełożyła Cecylia Lewandowska. Klub Interesującej Książki. Obwolutę i okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Wiersze w przekładzie Włodzimierza Lewika. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 359, 1 nlb.

Seghers Anna — *Siódmy krzyż.* Biblioteka Powszechna. Przełożyły: Maria Wołczacka, Janina Marecka. Drzeworyt na okładce: Kathe Kollwitz. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie VI; str. 447, 1 nlb.

Sujkowski Bogusław — *Dziewice słońca.* Obwolutę projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa „Czytelnik", 1961: wydanie I; str. 271, 1 nlb.

Szabo Magda — *Sarenka.* Z węgierskiego tłumaczył Andrzej Sieroszewski. Obwolutę projektował Władysław Brykczyński. Warszawa, „Czytelnik", 1961; str. 175, 1 nlb.

Szołochow Michał — *Zorany ugór.* Księga druga. Tłumaczył Andrzej Stawar. Tłoczenia i obwolutę projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie 1; str. 377, 3 nlb.

Tiendriakow Włodzimierz — *W pogoni za jutrem.* Tłumaczyła Janina Dziarnowska. Obwolutę projektował Marian Stachurski, Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 479, 1 nlb.

Winawer Bruno — *Doktor Przybram.* Obwolutę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 115, 5 nlb.

Zieliński Stanisław — *Hulki Babulki.* Anegdoty i obrazki. Obwolutę projektował Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1961; str. 201, 1 nlb.

Zola Emil — *ROUGON-MACQUARTOWIE.* Historia naturalna i społeczna rodziny za drugiego cesarstwa. *Klęska.* Przełożył Gabriel Karski. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961, wydanie I; str. 493, 3 nlb.

Pamiętniki, wspomnienia

Boguszewska Helena — *Poprzez ulice.* Obwolutę, okładkę i strony tytułowe projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, Państwowe Wydawnictwo „Iskry", 1961; str. 218, 2 nlb.

Gentil-Tippenhauer Wanda, Zieliński Stanisław — *W stronę Pysznej.* Tatry, narty i ludzie. Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 274, 2 nlb., 15 knl.

Kafka Franz — *Dzienniki.* (1910—1923) Przełożył Jan Werter. Przedmowę napisał Zbigniew Bieńkowski. Okładkę projektowała Zofia Darowska. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1961; str. 536, 4 nlb., 21 ilustr.

Rychlewski Janusz — *Zielone granice.* Wspomnienia Krzysztofa Zbrucza. Okładkę i kartę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, Instytut Wydawniczy „Pax", 1960, wydanie II; str. 484, 4 nlb.

Sieroszewski Wacław — *DZIEŁA.* Tom VIII. Varia. *Szkice podróżnicze. wspomnienia.* Okładkę i obwolutę projektował Janusz Bruchnalski. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1961; str. 404, 4 nlb.

Żmichowska Narcyza, Baranowska Julia — *Ścieżki przez życie.* Wspomnienia. Opracowała Mieczysława Romankówna. Wstęp napisała Zofia Kossak. Okładkę projektował Wiesław Zajączkowski. Wrocław, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, 1961; str. 333, 4 nlb., 15 knl.

Reportaże, felietony

Jasiczek Henryk — *Morze Czarne jest błękitne.* Notatki z podróży. Wydawnictwo Okręgowe w Ostrawie, 1961; str. 125, 3 nlb., 10 ilustracji.

Sawicki Jerzy (Lex) — *Ludzie i martwe paragrafy.* Obwolutę projektował Janusz Stanny. Ilustrowali: Eryk Lipiński i Janusz Stanny. Warszawa, Państwowe Wydawnictwo „Iskry", 1961; str. 369, 3 nlb.

— *Paragrafy i żywi ludzie.* Okładkę projektował Janusz Stanny. Ilustrowali:

Eryk Lipiński i Janusz Stanny. Warszawa, Państwowe Wydawnictwo „Iskry", 1961; str. 448, 4 nlb.

Stolarek Zbigniew — *Podróż do wielkiego patata.* Obwolutę projektował Janusz Grabiański. Warszawa, Państwowe Wydawnictwo „Iskry" 1961; str. 245, 3 nlb.

Esej, krytyka

Maciąg Włodzimierz — *16 pytań.* Portrety polskich prozaików współczesnych. Okładkę projektowała Barbara Szczerbińska. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1961; str. 290, 2 nlb.

Mikulski Tadeusz — *Temat Wrocław.* Szkice śląskie. Wybrał i wstępem opatrzył Bogdan Zakrzewski. Opracowanie graficzne: Wiesław Zajączkowski. Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1961; str. 467, 1 nlb., 33 ilustr.

Rogalski Aleksander — *Rosja—Europa.* Wzajemne związki, wpływy i zależności kulturalno-literackie. Okładkę i kartę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, Instytut Wydawniczy „Pax", 1960, wydanie I; str. 393, 1 nlb.

Zimand Roman — *Trzy studia o Boyu.* Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Witowska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961, wydanie I; str. 369, 3 nlb.

Biografie

Drucka Nadzieja — *Michel.* Dzieciństwo i lata młodzieńcze Michała Glinki. Okładkę i stronę tytułową projektował Antoni Uniechowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 193, 3 nlb.

Majchrowski Stefan — *Pan Sienkiewicz.* Opracowanie graficzne Adam Siemaszko. Podobizna Sienkiewicza według płaskorzeźby Czesława Makowskiego. Warszawa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1961, wydanie I; str. 542, 2 nlb.

Maurois André — *Życie Aleksandra Fleminga.* Przełożyła Maria Wisłowska. Obwolutę projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 365, 3 nlb., 1 portret.

Stobiński Jerzy — *Profesor Jędrzej Śniadecki.* Okładkę i kartę tytułową projektował Stanisław Żakowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 214, 2 nlb.

Antologie

Dawne czasy. Antologia noweli rosyjskiej XIX wieku. Część pierwsza. Wyboru dokonała Maria Grzeszczak. Okładkę i kartę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, Instytut Wydawniczy „Pax", 1960, wydanie I; str. 628, 4 nlb.

FILOZOFIA

Sinko Tadeusz — *Od filantropii do humanitaryzmu i humanizmu.* Obwolutę, okładkę i kartę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, Instytut Wydawniczy „Pax", 1960, wydanie II; str. 68, 4 nlb.

SZTUKA

Reinfuss R., Świderski J. — *Sztuka ludowa w Polsce.* Tekst i makieta: Roman Reinfuss. Zdjęcia: Jan Świderski. W pracy tej korzystano z materiałów Archiwum Sekcji Badania Plastyki Ludowej Instytutu Sztuki PAN w Krakowie. Obwoluta: Zofia Darowska. Redaktor: Zofia Żarnecka. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1960; str. 174, 2 nlb.

NAUKA O LITERATURZE

Chmielowski Piotr — *Pisma krytycznoliterackie.* Opracował Henryk Markiewicz. Indeks zestawiła Maria Skalska. Okładkę i strony tytułowe projektowała Ewa Frysztak-Witowska. Biblioteka Studiów Literackich. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961. Tom I — str. 585, 3 nlb., tom II — str. 498, 2 nlb.

NAUKA

Shippen Katarzyna — *Ludzie, którzy badali tajemnice życia.* Ilustrował Antoni Ravielli. Przełożyli: C. Lewandowska i T. Zajączkowski. Okładkę projektował Stanisław Zagórski. Redaktor: Kazimierz Greb. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 126, 2 nlb.

HISTORIA

Silnicki Tadeusz — *Z dziejów Kościoła w Polsce.* Studia i szkice historyczne. Okładkę i kartę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, Instytut Wydawniczy „Pax", 1960, wydanie I; str. 498, 2 nlb.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Bechlerowa Helena, Jurjewicz Janusz — *Miś na huśtawce.* Pomysł książki i tekst — Helena Bechlerowa. Ilustrował Janusz Jurjewicz. „Książki z Misiowej Półeczki". Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1960, wydanie I; str. 23 nlb.

Broniewski Władysław — *Dla dzieci.* Ilustrowała Zofia E. Fijałkowska. Warszawa, „Czytelnik", 1960, wydanie I; str. 40 nlb.

Brzechwa Jan — *Kaczka Dziwaczka.* Ilustrował Henryk Tomaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie VI; str. 46, 2 nlb.

Hikmet Nazim — *Allem—Kallem.* Baśnie tureckie. Przekład Małgorzaty Łabęckiej-Koecherowej. Ilustracje i okład-

ka Adama Marczyńskiego. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 77, 3 nlb.

Jaworczakowa Mira — *Sanki*. Ilustrowała Halina Gutsche. Warszawa „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 15 nlb.

Kubiak Tadeusz — *Niby na niby*. Ilustrowała Eugenia Różańska. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 56, 4 nlb.

Rustaweli Szota — *Witeź w tygrysiej skórze*. Spolszczył Igor Sikirycki. Podstawą adaptacji starogruzińskiego poematu „Wepchis Tqaosani" jest rosyjskie opracowanie dla młodzieży I. Zabłockiego pt. „Witiaź w tigrowoj szkurie" porównywane z tłumaczeniem rosyjskim Szałwa Nacubidze. Ilustrował Andrzej Heidrich. Na obwolucie i wkładkach reprodukcje starogruzińskich miniatur. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1960, wydanie I; str. 190, 6 nlb., 8 wkładek.

Słobodnik Włodzimierz — *Pan Cymberek z Cymberkowic*. Ilustrowała Maria Wieczorek-Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1960, wydanie I; str. 54 nlb.

Żabiński Jan — *Ile tych zwierząt*. Okiejkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 220, 4 nlb.

RÓŻNE

Kalendarz dla wsi na rok 1961. Okładkę, stronę tytułową oraz znaki Zodiaku projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, Instytut Wydawniczy „Pax", 1960; str. 271, 1 nlb.

W poprzednim numerze:

Agrippa d'Aubigné: Les Tragiques (przełożyła *Wisława Szymborska*) — *Maciej Słomczyński:* Sam przeciw Tebom — *Jerzy Harasymowicz:* Pogubiłem przyjaciół. Wakacje. Śniadanie na trawie. Niedziela u ciotki — *Effendi Kapijew:* Zapiski frontowe (przełożył *Ziemowit Fedecki*) — *Bolesław Taborski:* O wołach co wiemy? O przemijaniu rzecz z piosenką — *Zbigniew Herbert:* Siena — *Roman Śliwonik:* List. *** (Odwróć się na południe...). *** (Mówiłem pod wiatr...) — *Jan Strzelecki:* Amerykańskie niepokoje (2).

Książka miesiąca: *Jan Prokop:* Metafizyka i rzeczy.

Wśród książek: *Arnold Słucki:* Liryka wyobraźni uładzonej — *Jacek Trznadel:* Zdjęcie z koła? — *Zbigniew Zielonka:* Jeszcze jedno świadectwo — *Włodzimierz Maciąg:* Summa i żart — *Tomasz Burek:* Bankructwo ideału — *Włodzimierz Maciąg:* Powieść o naiwnym inspektorze kontroli — *Helena Zaworska:* „Pierożek drewniany"... — co to jest? — *Jan Józef Lipski:* Książę aforystów — *Jan Wyka:* Pamiętnik osiwiałej pensjonarki — *Stefania Podhorska-Okołów:* „Czwartakami ten pułk nazywano..."

Na widnokręgu: *Jarosław Iwaszkiewicz:* Z podróży — *Zdzisław Najder:* Przegląd prasy — Faulkner o sobie samym (przełożył *Rek*) — *Jerzy Kwiatkowski:* Nadrealizacje — *Zbigniew Bieńkowski:* Nowa zdrada klerka — *Leszek Elektorowicz:* Huxley weryfikuje — Przegląd Zagraniczny.

Noty

Książki nadesłane

Wydawca: WYDAWNICTWA ARTYSTYCZNE I FILMOWE
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54.

Adres administracji: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 21/23
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Cena numeru zł 10.–

Cena prenumeraty: kwartalnej – zł 30.–, półrocznej – zł 60.–, rocznej – zł 120.–.

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty – przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu". Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-6-100020 – Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" – Warszawa, ul. Srebrna 12.

Cena prenumeraty zagranicznej jest o 40% droższa od ceny podanej wyżej. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" w Warszawie, Wilcza 46, za pośrednictwem PKO Warszawa konto Nr 1-6-100024.

Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać w sklepie przy ul. Wiejskiej 14 w Warszawie. Zamówienia spoza Warszawy należy kierować do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Srebrna 12.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa, Zamówienie 2967/c z dnia 24.IV.61 r.
Nakład 5400 egz. Druk ukończono w czerwcu 1961 r. S-66.

Cena 10 zł

0374608

W NASTĘPNYCH NUMERACH UKAŻĄ SIĘ

Malcolm Lowry — Przez Kanał Panamski · Roman Karst—Sztuka, parodia i diabeł · Jerzy Kwiatkowski — Blaise Cendrars · Mieczysław Porębski — Zniknięcie Mony Lizy · Janusz Sławiński — Poezja Jana Brzękowskiego · Monika Warneńska — Tropem legendy balzakowskiej